

PAMIĘTNIK O TOMASZU ZAMOJSKIM

KANCLERZU W. KOR.

UŁOŻONY PRZEZ

Seweryna Golebiowskiego.

Tomasz Zamojski, syn wielkiego Jana i Barbary Tarnowskiej, urodził się w kwietniu r. 1594. Ojciec troskliwie czuwał nad jego wychowaniem; byłto syn, którego się doczekał mając lat przeszło 50, jedyne dziecko, które mu się uchowało. Zakładając akademią zamojską miał na myśli, żeby w niej syn jego, jeżeli go Bóg da kiedy, na równi z inną szlachecką młodzieżą odbierał wychowanie. Nie chował go w domu, pod bokiem matki, w pieczyotach i miękkości; ale siedmioletniego chłopca do szkół odesłał, żeby zawczasu sposobił się do zawodu publicznego, do téj przyszłości, która go czeka. Osadził go ludźmi prawego charakteru i zdrowego sposobu myślenia, dobierał mu dobrych mistrzów, z poczciwego gniazda młodzież do towarzystwa.

Uczucie silnej wiary i zaufania w Bogu stanowi podstawę dobrego wychowania. „Bojaźń Boża jest początkiem mądrości:“ to był pierwszy wiersz łaciny, którego nauczył się Tomasz Zamojski, starosta knyszynski, bo król Zygmunt uczył zasługi ojca, pozwalając mu przekazać synowi posiadane starostwo. Głównym mistrzem, któremu kanclerz ster wychowania powierzył, był Adam Burski, który pana starostę uczył historii, wy-

mowy i filozofii, Tomasz Dresner wykładał prawo, Walenty Ftarmiusz i Adryan Roman matematykę, Herman Fuchs język niemiecki, a Jan Iwaszkowicz uczył go po turecku.

Ojciec odumartł go w dzieciennym wieku; opiekę nad nim powierzył krewnym i przyjaciółom, a mianowicie Mikołajowi Zebrzydowskiemu wojewodzie krakowskiemu, Stanisławowi Zółkiewskiemu kasztelanowi lwowskiemu, Markowi Sobieskiemu wojewodzie lubelskiemu, i Jerzemu Zamojskiemu biskupowi chełmskiemu. Bystry znawca serc ludzkich zawiódł się w wyborze człowieka, którego nazначył pierwszym opiekunem.

Źle szły sprawy opieki: Zebrzydowski rozpraszał skarby wychowanka, wojskiem jego wspierał stronnictwo rokoszowe, dochody zabierał, a potrzeby jego ladajako opatrzone zostawiał. Zółkiewski pilnując Ukrainy i spraw publicznych, nie mógł we wszystko wglądać. W jednym z listów Barbara Zamojska z uczuciem matki mówi o sprawach domowych: „Sierotaś, cierpieć musisz; ale Bóg sprawiedliwy pomści się, a tobie nagrodzi. Wiedz, że ojciec ojca twego w małych majątnościach odumartł, a za błogosławieństwem Bożem i cnotą do takich przyszedł, jakie zostawił. Ja jechać i czynić co dobrej matce należy będę, Pana Boga biorąc na ratunek, którego opiece cię poruczam (1)”. W innym liście tak powiada: „Dla ratowania spraw twych przyjechał tu j. m. pan wojewoda (Stanisław Zółkiewski). Pokazuj Jęgomości swoje uniżoność, a nie frasuj się: będzie da Bóg lepiej z twemi rzeczami, niż było dotąd. Jestto pan dobrego sumienia (2)“.

Doszło do tego, że dziad Tomasza Zamojskiego, Stanisław Tarnowski kasztelan sandomierski, na sejmie skarżył się przed królem, że pan wojewoda krakowski majątkiem Tomasza Zamojskiego źle rządzi, w Zamościu konie siodła wyprawując się na rokosz i z rokoshu wracając tam je rozsiodływa, pieniędzmi małoletniego swoje potrzeby opędza, sługi swoje arendami w ordynacyi opatruje. Prosił zatem, żeby król raczył w to wejrzeć, żeby powierzył szczególną opiekę Stanisławowi Zółkiewskiemu wojewodzie kijowskiemu (3). Zółkiewski poszedł z wojskiem do Moskwy, a opieka została przy Zebrzydowskim.

(1) Z Krzeszowa 10 lutego 1608.

(2) Z Krzeszowa 14 lutego 1608.

(3) Stanisław Tarnowski do Barbary Zamojskiej. 1609,

Od śmierci ojca, Tomasz Zamojski stale przebywał w akademii, a matka rada była, że chłopiec nie tęskni, powiadając: „głupich to synów rzecz tęsknić do matek, a mądrych starać się, żeby matkę ucieszyć.“ Pisywała do niego często, dowiadując się o jego zdrowiu i dosyłając mu rozmaite przysmaki, a nawet puzderko wina węgierskiego i parę flasz piotunkowego dla poleczenia żołądka. Oto jeden z takich listów, które zawsze zaczynały się znakiem krzyża świętego: „Pomarańcz dziesięć posyłam ci; mało, bo mi ich mało przywieziono z Gdańska: popsowały się na szkucie. Soku cytrynowego dla przysmaku do kurczątek posyłam ci: zdrow jadaj z nim pieczyście, po kąsku biorąc na przystaweczkę, w szafce go swój miej. Z tém cię Panu Bogu poruczam (1)“.

W drugim liście daje mu naukę, jak ma pisać do matki.

†

Mój namilszy synu.

Pytam się o twém zdrowiu, ale mi właśnie pisz jako syn matce. Zda mi się, że poznawam pana Komorowskiego słowa w twych liściech. Nietrzeba nikomu zdobić syna matce; miłuj mnie jedno: milsze mi słowo z własnej głowy twojej, niż cudzej mądrości libra. Brzoskiń nie mam już; byś był tygodniem pierwszy pisał, bardzo radabym ich była posłała; teraz wina w gronach posyłam z winnice księdza plebanowej. Nie wiem jeśli tam oddawano gruszki, śliwy, orzechy włoskie, com ci słała. Opiece boskiej cię poruczam. W Krzeszowie, 1607. Gruszek i jablek posyłam ci też.

Matka życzliwa

Barbara Zamojska z Tarnowa

ręką swą.

W innym liście tak się wyraża: „Nie dziw, żem cię poprzedziła pisaniem, bom cię i miłością poprzedziła. Odpoczynek mój na świecie jeno ta uciecha, abym to o tobie słyszała, czego dobra matka po dobrym synu czeka” (2).

Pani pobożna i świątobliwa posyłała mu książki nabożne, obrazki świętych, relikwiarze i odpusty, któremi ją obdarzali ojcowie Jezuiti. Przypomina mu pierwszy wiersz łaciny, którego

(1) Z Krzeszowa 4 czerwca 1606.

(2) Z Krzeszowa 15 maja 1609.

się nauczył: „bojaźń Pańska jest początkiem mądrości.“ Prawda, że i podług świata chciała go mieć mądrym; ale i duchownie tém bardziej, bo to jest wieczne dobro (1).

Codzień zrana wstawszy przy łóżku odmawiał modlitwy, potem w drugim pokoju przy ołtarzyku. Po skończeniu pacierzy szedł do nauk, których słuchał od godziny 6 do 10; o 10 szedł na mszę, a po mszy czas pozostały do obiadu, obracał na rozmowę z gośćmi albo ze starymi sługami ojca. O 11 szedł do stołu, przy którym zawsze miewał swoich nauczycieli, ludzi godnych i uczonych, z którymi prowadził dyskursa o rzeczach szkolnych, o rzeczach wojennych, albo téż o wierze, kiedy się trafił przy stole jaki heretyk. Nie tknął jedzenia, dopóki kapłan błogosławieństwa nie odprawił. Popołudniu nauki trwały od 2 do 5; o 5 szedł na przechadzkę, o 6 jadł wieczerzę, a czas od 6 do 8 zajmowały powtarzanie nauk na dzień następujący, zabawy i rozmowy. Po 8 rekolekeya w duchu i pacierze wieczorne, o 9 szedł spać, skropiwszy wodą święconą wszystkie kąty. Przy nim zawsze sypiał w tym samym pokoju starszy sługa, Jerzy Sredziński. W dni czwartkowe przy rekracyach przystojnych wyjechawszy w pole z inszemi paniętą, którzy z nim razem słuchali nauk, jak Mikołaj Potocki, Mikołaj Ostroróg, Marcin Urowiecki, Alexander Prusinowski, Prokop Leśniewski i drudzy, wprawiał się jak koniem władać, a kopyą gonić do pierścienia. Uczył ich konno jeździć Andrzej Kanewezi, kawalkator z dworu cesarza Rudolfa, umyślnie sprowadzony.

Matkę swoje miłował i nigdy nie dał jój powodu do zmartwienia. A gdy umarła w Krzeszowie 27 kwietnia 1610, nieutulony był w żalu; zamknąwszy się w pokoju, przez pół dnia krzyżem na ziemi leżał, aż starsi słudzy drzwi wyłatali, i upominali go łagodnemi słowy, żeby żal swój miarkował. Wyjechał do Krzeszowa, gdzie ciało matki było złożone, i kilka dni tam przepędził na nabożeństwie; a gdy prowadził ciało z Krzeszowa do Zamościa, więcej szedł piechotą ze sługami, niż na wozie jechał. Przez cały czas pogrzebu w ławce nie usiadł, ale klęcząc przy trumnie pacierze odmawiał. Pogrzeb był bardzo ludny i okazały; senatorów było kilku: Janusz Ostrogski kasztelan krakowski, panowie Tarnowscy niemal wszyscy, mię-

(1) Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego, z Krzeszowa 22 maja 1607.

dzy niemi Stanisław kasztelan sandomierski ojciec zmarłój, panowie Ociescy, Zamojscy, Herburtowie, i innych przyjaciół, krewnych i sąsiadów niemało. A że ta pani świętobliwa miała we zwyczaju ubogich w dzień św. Barbary częstować, syn naśladowując jój przykład, sam ze sługami dla ubóstwa stoły zastawiał, sam potrawy z kuchni przynosił i przed nimi stawiał.

W jedzeniu był skromny, pijanego towarzystwa unikał, do Bogarodzicy godzinki codziennie odprawiał, święta jój obchodził spowiedzią i przyjęciem komunii, i tak prowadził swój żywot, filozofii ucząc się z pilnością, aż do roku 1612. W tym roku skończył nauki; a że była sposobność zasłużenia się królowi i Rzplitej, począł się wybierać na wyprawę do Moskwy. Gdy miał w drogę wyruszyć zaszło inne królewskie rozkazanie, więc ze swoim oddziałem udał się do wojska kwarcianego pod regiment Stanisława Żółkiewskiego, i czynił opór pogaństwu, które pustoszyło Polskę po pogromie w Wołoszech Stefana Potockiego. I września 1612 przybył do obozu na Tatarzyskach o milę od Dunajgrodu, w ośmset ludzi, z armatą przednią. Tam poznawał się z ludźmi rycerskimi; a lubo zawsze dostatek u stołu jego był wielki, na dnie kielicha przyjaźni ludzkiej nie szukał, i nikogo u siebie nie spoił. Mszy codzien w namiocie swoim słuchał; po mszy jechał do hetmana, gdzie przysłuchiwał się naradom i sądom.

Po obiedzie raczej z kopyą gonił do pierścienia, niż przy trunku czas trawił. Grą rzadko się bawił. W ciągnienu do wojska i w obozie pilno tego przestrzegał, żeby ludzie jego niktogo nie krzywdzili, a szkody ze swojej skrzynki nagradzał. Gdy straż wypadła na jego chorągiew, w której porucznikiem był Krusz, całą noc przy niej jeździł we zbroi, z konia nie zsiadając, tak jako inszy żołnierz na posłuchach stawał, i wszystko pełnił co strażnik rozkazał. Tym sposobem młodzieży, której dostatek było na jego dworze, z siebie dawał przykład, żeby nie uchylała się od niewczasów, zaprawiając się do rycerskiego rzemiosła, jak przystoi ludziom szlacheckim.

Poszła sława do Wołoch, że na granicy skupiło się wielkie wojsko; Skinder basza, który stał obozem niedaleko Jass, wyprawił swoich czauszów z kommissarzami wołoskimi, żeby traktowali z hetmanem o pokój. Hetman naznaczył kommissarzów: Wojciecha Chamieckiego kasztelana halickiego, Jerzego Zbaraskiego krajczego koronnego, Tomasza Zamojskiego starostę knyszyn-

skiego, Wal. Alexandra Kalinowskiego starostę braclawskiego i Piotra Grudzińskiego. Wziąwszy z sobą kilka chorągwi stanęli na miejscu naznaczoném naprzeciw Choćima, z téj strony Dniestru, w miasteczku Braki. Turcy i Wołochy każdego dnia przewozili się przez Dniestr do namiotów kommissarskich; nie bywało z nimi więcej nad trzysta koni, z naszej strony takż liczbą, a drudzy ludzie pod gajem o kilkoro strzelenia z łuku. Szanowano Turków przystojnie, częstowano ich rozmaitemi wódkami, winami, małmazią, cukrami, a po takim traktamencie rozmawiano o rzeczy. 8 października stanęło postanowienie, a hetman wojsko na leże rozpuścić. Zamojski ze swoim pułkiem udał się do Szarogrodu i przybył tam 29 października przed południem. Tegoż dnia ze trzy godzin w noc przybiegła straż dając znać o Tatarach, że wpadli na Podole. 30 października BATERBEJ murza we 40,000 ordy kosz położył pod Murachwą. Do Szarogrodu ściągnęła chorągiew hussarska Tomasza Zamojskiego, chorągiew petyhorska Jana Zamojskiego strażnika kor., szlachty i ludu niemało. Przebrawszy 120 koni, Tomasz Zamojski wyprawił ich pod wojsko tatarskie dla języka, dawszy téj czacie za wodzów dwóch braci charwatów w dziele rycerskiém doświadczonych. Pogromili jeden zagon tatarski i ośmiu żywcem przywiedli. Wyrozumiawszy co za wojsko i jaka jego potęga, Zamojski z rady starych wojennych ludzi postanowił zetrwać na miejscu; a kiedy nadciągnęły dwie chorągwie kwarcianych Kozaków, poszedł prosto na BATERBEJA. Noc 1 listopada zaskoczyła go w Stanisławowie; nieprzyjaciel był o półtory mili. Dwóch szpiegów wyprawił, ale ich straż tatarska porwała. Więc kiedy nie wracali, nadedniem po mszy, przy której spowiedź odprawił i komunią przyjął, siadł na koń i wyprowadził wojsko w pole. Kiedy tak postępował ku Meżyrowu, z inszej strony ukazał się pułk tatarski około 300 koni; Zamojski puścił na nich sto koni własnych Kozaków z rotmistrzem Gniazdowskim, za Kozakami skoczyli ochotnicy i wojsko zwolna się posuwało. Kozacy zegnali Tatarów, siekli, strzelali i przyprowadzili 12 więźniów; między nimi był jeden murza osobisty, ale go chłopci rozsiekali u mostu. Od tych więźniów dowiedział się, że BATERBEJ nazad już ruszył tym samym szlakiem, którym przyciągnął. Tymczasem przybyło około 400 ludzi z Murachwy, na koniach i pieszo, z Golińskim dzierzawcą tamtejszym. Chociaż z BATERBEJEM była potęga ogromna, Zamojski bez wszelkich respektów chciał na niego

uderzyć, poruszony rycerską ochotą i żalem, że tyle ludzi Tatarzy nabrali w niewolę. Zwołał ochotników z pod wszystkich chorągwi na stracenie, znalazło się ich 130. Dał im za starszego Mikołaja Marchockiego i puścił ich na harc od prawego skrzydła; na lewem postawił murachowców, którzy się zataborowali kolosami, na przodzie dwie chorągwie kozackie, strażnika koronnego i Gorzyckiego; za niemi stali w szyku hussarze i piechota z armatą. Baterbej widząc, że garść ludzi stanęła rezolutnie, zatrzymał wybór wojska a plon i hałastrę puścił przodem. Uderzyli Tatarzy na murachowców, którzy nieźle wytrzymali natarcie strzelając od kolos, a gdy za ustępującymi Tatarami puściwszy się w pogon od wozów odbiegli, Tatarzy ogarnęli ich ze wszystkich stron i srodze nasiekli, gdzie na placu kilkadziesiąt trupa zostało. Za drugim natarciem, gdy Tatarzy zmyśliли ucieczkę, głupie chłopstwo niesłuchając rozkazu, żeby stać w miejscu, znowu wymykać się zaczęło; więc Zamojski skoczył na ratunek ze swoją chorągwią, ale nie zapędzał się daleko. Baterbej ze swoim dworem uderzył na harcowników, którzy nie mogąc wytrzymać natarcia zemknęli do płotu i odstrzelili się jak mogli, aż piechotę na pomoc im ruszono i z dział dano ognia. Baterbeja zranił w rękę z muszkietu towarzysz Dobrzyniecki. Po takiej zabawie Baterbej ze swoimi ustąpił i stanął na noc pod Murachwą. Tymczasem do Zamojskiego nadciągnął Łaszcz starosta lisiański we 200 koni, Kulinowski starosta kamieniecki we 400 jazdy i 200 piechoty, Lowikowski rotmistrz z chorągwią kwarcianą, barskich 400 ludzi: słowem, zebrało się wojska do 4,000. Rada była w nocy, jeśli iść za nieprzyjacielem: stanęło na tém żeby iść, ale czekając świtu. Nieprzyjaciel nie czekał i o północy ruszył w drogę. Nim oni przystąpili do Murachwy, już Tatarzy cztery albo pięć mil z plonem ubiegli. Zaniechali więc dalszej pogoni i tak odbył pierwszą wyprawę Tomasz Zamojski. Miał przy sobie starych sług swojego ojca, którzy chociaż mu znakomitęj sławy życzyli, hamowali jego ochotę, bacząc, że z małemi siłami nie podofa nieprzyjacielskiej potędze. A tacy byli: Jan Zamojski strażnik koronny kasztelan chełmski, który potem zginął pod Stryjem napadnięty przez Tatarów, Marcin Tarnowski, Maciej Lesniowski, Paweł Piaskowski, Mikołaj Marchocki, Andrzej Chrzastowski, Jerzy Srodziński, Tomasz Napiórkowski i drudzy.

Po wsiach i po lasach, jak się zdarzyło, bili chłopci Tatarów i dostawili Zamojskiemu 84 jeńców postrzelanych i pokłutych; kazał ich swoim chirurgom leczyć i posłał w upominku królowi, prymasowi i innym panom senatorom. Zatrzymał się w Szarogrodzie, gdzie wytchnąwszy sobie po trudach obozowych, objechał swoje wsie i miasteczka naddniestrzańskie, aby co ma wiedział, i poddanym swoim dał się poznać.

Po Trzech Królach 1613 wyjechał z Szarogrodu do Zamościa: a że miał zawsze w obyczaju szanować ludzi starszych wiekiem i urzędem znakomitych, zwrócił z drogi na Ostróg, żeby odwiedzić księcia Janusza Ostrogińskiego kasztelana krakowskiego, oświadczyć mu powolne służby i powinszować powtórnego wejścia w stan małżeński. (Pan krakowski świeżo przedtém pojął był Tartównę). W dobrach książęcych, studzy i mieszczenie wychodzili z chorągwiami, a gdy zbliżał się do Ostroga, wysłał pan krakowski o milę na jego spotkanie dwór swój, konnych i piechoty więcej nad 2000 ludzi; sam na dół zszedłszy na podwórze gościa czekał i wdzięcznie go przyjął. Z domu nie chciał go puścić aż po trzecim dniu, ciesząc się miłą jego rozmową i zdaniem roztroptnemi. Z Ostroga udał się do Lwowa, żeby poznać się z senatorami, którzy zjechali się dla zaspokojenia żołnierzy skonfederowanych, i z przedniejszém rycerstwem wojska stołecznego. Gdy wjeżdżał do Lwowa, co tylko ludu było w mieście, wszyscy wysypali się na ulice, żeby zobaczyć syna wielkiego Jana, na którym ludzie budowali świetne nadzieje, a któremu Pan Bóg pobłogosławił w piórwyszém polu z nieprzyjacielem. Stanisław Zółkiewski wysłał dwór na jego spotkanie; wyjechało też ze 200 towarzystwa z wojska kwarcianego i konfederackiego. Zamojski ze swoimi konno wjeżdżał; co ludzie przyjęli z wielką pochwałą, powiadając, że tak należy młodemu panięciu, synowi hetmana, zasługować się ludziom rycerskim. Przez kilka dni mieszkał we Lwowie, każdego z senatorów wizytując, co mu też nawzajem oddawali. Jednego dnia miał u siebie na bankiecie senatorów i urzędników ziemskich, drugiego przedniejsze rycerstwo z wojska stołecznego; pułkowników, rotmistrzów i innych ujmował podarkami, kogo pieniędzmi, kogo końmi, rzędami bogatemi, bławatami na szaty, aby tylko ubodzy ludzie poddani jego uciśku od konfederatów nie cierpieli. Ze Lwowa przybył do Zamościa; tam znowu mieszczenie witali go z wielkim tryumfem.

Mieszkał w domu przez zimę i przez wiosnę, przepędzając czas nad księgami lub też na zabawach przystojnych. Co dzień, wyjąwszy dni niepogodne, jeździł konno ze swemi kawalculatorami, uprawiając się w gonitwę do pierścienia i inne ćwiczenia rycerskie. W życiu umiarkowanym i wstrzemięźliwym zawsze się kochał. Z sąsiadami żył w zgodzie, a jeśli który przykreść mu wyrządził, patrzył na to przez szpary; w domu swoim każdego uczył i uszanował, niewyłączając tych, którzy mu niesmaki czynili.

Mszy codziennie słuchał, we święta na kazaniu bywał; święta uroczyste i Matki Boskiej, do której miał szczególne nabożeństwo, obchodził odbywając spowiedź, i przyjmując ciało i krew Pańską. A jeżeli którego dnia nie mógł być na mszy, dawał ubogim 10 złotych jałmużny.

Wezwany przez hetmana, stawiał się do obozu na Kublicz za Braclawiem; odbył wjazd razem z hetmanem, z którym spotkał się w drodze. W obozie sześć tygodni zabawiał, pełniąc służbę pułkownika, rotmistrza i towarzysza. Straż sam trzymał, na postuchach stawał nie zsiadając z konia przez noc całą, i u hetmana codziennie bywał.

Hetman upewniony, że nie ma powodu obawiać się trwogi od nieprzyjaciela, rozporządził wojsko na pułki i na leże iść kazał. Zamojski swój pułk odprowadził i wrócił do Szarogrodu. Tam zastał złożonego ciężką chorobą starego i zasłużonego sługę ojca, Pawła Piaskowskiego; często bywał u niego w mieszkaniu i starał się go pocieszyć. Następował sejmik w Kamieńcu Podolskim; pan starosta za poradą przyjaciół pojechał na niego, żeby się poznał z obywatelami. Nie dojeżdżając do Kamieńca, w Dunajgrodzie spotkały go wieści, że Tatarzy przez wołoską ziemię idą ku Kamieńcowi. Czémprędzej nadworną piechotę, której miał 150 wsadził na wozy i pospieszał do Kamieńca, dokąd przybył szczęśliwie, choć już Tatarzy plądrowali po okolicach. Dał więc pokój sejmikowi i zebrawszy co można było ludzi, razem z Kalinowskim starostą kamienieckim wyszedł w pole. Ci dwaj panowie gromiąc Tatarów tak się w sobie rozmyślali, że jak dwaj bracia, po trudach dziennych, na jednym kobiercu we zbrojach sypiali, i dochowali sobie przyjaźni aż do śmierci. Po odbytej rozprawie z Tatarami, obrano pana starostę deputatem na trybunał lubelski. Z Kamieńca wracając wstąpił do Buska, żeby dziada swego, Stanisława Tarnowskiego, odwiedzić.

Ztamąd po drodze w Bełzie trafił na sejmik, na którym zgodnie został obrany posłem ziemskim; a że pierwszy raz miał wystąpić na zgromadzeniu stanów, jechał z wielkim dworem i splendorem, zaciągnąwszy niemało przyjaciół i sług ojcowskich, także i towarzysztwa z wojska konfederackiego. Królestwo oboje łaskawie go przyjęli, a w senacie mowa jego zrobiła wrażenie, gdy w imieniu izby poselskiej wstawiał się za Mikołajem Strusem starostą halickim, domagając się, żeby Rzplita czyniła staranie o wydobyć go z niewoli. Ten sejm złożony był w grudniu 1613. W czasie świąt Bożego Narodzenia, zacząwszy od pierwszego nieszporu w wilią, odprowadzał króla do kościoła i stawał przed nim jako pierwszy dworzanin, zasługując sobie przez to jego łaskę, i dając z siebie przykład drugim a chudszy, jak króla szanować należy. A chociaż król napominał go, żeby nie zadawał sobie tego trudu; on z miejsca nie zszedł, i było tak jednego razu, że godzin pięć nie ruszając się stał przed królem. Na urzędzie poselskim nie wdawał się w rozprawy, ale rad przysłuchiwał się starszym. Często bywał u nuncjusza, u prymasa, u senatorów tak świeckich jak duchownych, także u paniąt bawiących na dworze królewskim; i co tylko było najprzedniejszego między ludźmi miewał u siebie na bankietach. Przed końcem sejmu (1) powrócił do Zamościa. Tam podczas zapust ożenił swojego nauczyciela i lekarza Szymona Birkowskiego z Zofią Moźdzarską; w czasie postu zajmował się czytaniem ksiąg, a zwłaszcza matematycznych, bo w tej nauce znajdował szczególne upodobanie. Po świętach Wielkanocnych pojechał do Lublina na trybunał, i pilnował sądów jako deputat trybunalski. Z odsądzenia spraw co win jemu należało, darował na kościół Święto-Krzyżki za przedmieściem lubelskiem, i na wywyższenie wieży farnego kościoła. Ubogim codziennie, gdy szedł na mszę, po kilka złotych dawać kazał; czego pilnował jeden z pacholąt, który pieniądze ze skarbu odbierał, i za panem idąc ubogim rozdawał. Zakonnikom, którzy podczas obiadów zwykli z miskami po jałmużnie chodzić, raz nazawsze kazał dawać po czerwonym złotym. A że natenczas wielu wielkich panów było deputatami, często miewał ich u siebie, i sam też zaproszony do

(1) List Jana Swoszowskiego do Tomasza Zamojskiego z Dzierzkowie, 4 stycznia 1614, w którym donosi mu co zaszło po jego odjeździe.

niech chodził; więc gwoli przyjazni ludzkiej sfołgował zwyczajowi, i nie tak umiarkowane życie prowadził jak dotąd. Żeby tego uniknąć odjechał do Krasnika, a przed końcem trybunału wrócił znowu do Lublina.

Odbywszy urzędowanie zaczął myśleć o drodze do cudzej ziemi, czyniąc w tém zadosyć ostatniej woli ojca. Niektórzy odwodzili go od tej drogi, namawiając, żeby raczej żony sobie szukał w jakim znakomitym domu, a osobliwie zalecając przed nim wdzięki i przymioty starościanki żmudzkiej, córki Jana Karola Chodkiewicza. Zamojski chciał poznać pannę pierwiej, nim starać się o nią zacznie; puściwszy więc głos, że odjeżdża do cudzej ziemi, dwór swój rozpuścił, sługi wyprawił w drogę, a sam z Gratusem Tarnowskim kasztelanem żarnowieckim pojechał do Szklowa do domu Chodkiewicza, i tam udawał się za czeladnika pana kasztelana żarnowieckiego. Poznali go ludzie i ostrzegli hetmana, który przyjął go jak swojego przyjaciela i milego gościa, córce u stołu siedzieć kazał, wielką uprzejmość okazywał i strzelbę ogromną puścić kazał, na znak, że wielkiego hetmana synowi w domu swoim rad serdecznie. Zamojski oświadczył się, że z domem jego pragnie związku, jeżeli Bóg da szczęśliwie wrócić z pielgrzymki po obcych ziemiach. Panna tymczasem poszła za mąż za Stanisława Sapięgę.

Z domu hetmana wyjechawszy, na Lublin, na Sandomiérz udał się do Krakowa i stanął na Stradomiu. Dał o sobie znać Mikołajowi Zebrzydowskiemu wojewodzie krakowskiemu, jako opiekunowi swemu, a potem szedł do niego na zamek. Tam u niego wieształ i nazajutrz cały dzień przepędził. Wojewoda odprowadził go do Lanckorony i przez trzy dni gościnnie podejmował, a potem z nim razem pojechał do Krzepic do Mikołaja Wolskiego marszałka nad. kor. który go wziął na swoje pieczę, i przez Wielkopolskę, Kujawy i Prusy, prowadził aż do Gdańska. Tam pan starosta mieszkał koło sześciu tygodni, strój cudzoziemski przywdział, i osoby świadome obcych krajów przyjął do swojej służby. Przejeżdżał się czasem do księdza Konarskiego opata oliwskiego, który był podskarzim u jego ojca; a pierwiej nim się w drogę ruszył, zwiedził Malborg i Elbląg i obejrzał amunicye i porządki tameczne, które u innych narodów miały swoją wagę; żeby mu cudzoziemcy nie powiedzieli: obce kraje zwiedzasz, a nie wiesz co jest godnego widzenia w twoim własnym.

Puścił się w drogę z Gdańska ostatnich dni stycznia 1615; pomorską ziemią jechał do Sztetyna, tam zachorował niebezpiecznie. Wyzdrowiawszy udał się do Lubeki, a potem do Amsterdamu. Był w wojsku niderlandzkim u sławnego wodza Maurycego de Nassau, był także w wojsku hiszpańskim u wodza Ambrozego Spinoli: oba wodzowie uprzejmie go przyjęli, dlatego, że był synem hetmana na wszystkie świat sławnego. Z Amsterdamu udał się do Anglii, i w Londynie bawił pięć miesięcy; bywał u króla Jakóba, z synem jego Karolem, który był potem ściety, na łowy często jeździł. Królowi Jakobowi darował czapkę z kitą kosztowną, a król go nawzajem oddarował noszeniem drogiemi kamieniami nasadzonóm, na którém twarz króla i królowej subtelnie była wymalowana. Z Anglii udał się do Francyi, przemieszkał w Paryżu rok cały na dworze Ludwika XIII, często bywał u młodego króla, który w jego rozmowie znajdował upodobanie. Jeździł konno, odbywał gonitwy z lancą do pierścienia, uczył się sztuki szermierskiej i grania na lutni; przytém bywał na sądach w parlamencie, na posiedzeniach w akademii; tak mu czas pożytecznie i przyjemnie przechodził. Do Włoch przybył w 1617. W Rzymie brał lekcye fortyfikacyi, o czém własną ręką wielką księgę napisał, i w niej się kochał bardziej, jak w najdroższym klejnocie: woził ją z sobą na wyprawy wojenne razem z narzędziami matematycznymi. Nie zaniedbywał praktyk pobożnych: włosienicą ciała trapił, w dzień Wielkopiątkowy między książęty i panami wielkimi niósł krzyż wielki, ciężki, bez żadnej pomocy; tę processyą bosemi nogami odprawił.

Z Rzymu udał się do Neapolu, gdzie go przyjmował wicekról książę Ossuna z królewską wspaniałością, i jako podarek ofiarował mu dwóch Polaków szlachty, odbitych z niewoli tureckiej, przyodzianych w aksamity od stóp do głów. Pozwolił mu także koni wiele zechce z kraju neapolitańskiego wyprowadzić. Na ucztach pierwsze miejsce mu dawał, zgola przyjął go uprzejmie. Powróciwszy do Rzymu miał posłuchanie u Pawła IV papieża, który go przyjął po ojcowsku, i wiele łask wyświadczył dla kościoła i akademii zamojskiej.

Trzeci rok już mijał wędrówki po obcych krajach; zatęsknił za domem, więc na Loret, Wenecyą, przez czeską ziemię wrócił do Polski. W Kościanie powitali go słudzy, którzy z nadworną jazdą i piechotą spieszyli na jego spotkanie. Odpocząwszy dni kilka przybył do Poznania. Dowiedziawszy się o tém

Adam Czarnkowski wojewoda łeczycki, generał wielkopolski, zapraszał go do zamku; a gdy się wymówił, i stanął w gospodzie, sam go odwiedził wieszając szczęśliwego powrotu do kraju, i przez trzy dni wspaniale podejmował. W Poznaniu zrzucił ubiór cudzoziemski, włosy ostrzygł i do polskiego stroju wrócił. Czwartego dnia kiedy już miał wyjeżdżać, ojcowie Jezuitów zaprosili go na śniadanie i na dyalog. U Jezuitów pożegnał się z wojewodą, który mu darował konia tureckiego niewielkiego, ale dzielnego, i strzelby przedniej sztuk kilka. W Łowiczu odwiedził Wawrzyńca Gembickiego arcybiskupa gnieźnieńskiego. Ostatniego listopada 1617 stanął w Warszawie, złożył uszanowanie królowi i królewiczowi, i więcej tygodnia zabawiwszy przy dworze, udał się do Zamościa. Jak tylko wysiadł z karety, poszedł do kościoła, za powrót w dom ojców Bogu podziękować. Duchowieństwo czekało tam na niego; więc odśpiewawszy *Te Deum laudamus* powitali go w kościele; toż uczynili panowie akademicy przez rektora swego, imieniem akademii zamojskiej.

Nadszedł sejm w lutym 1618 r. złożony. Zamojski przybył do Warszawy w pół sejmu; przybyli też po raz pierwszy książęta Konstanty i Janusz Ostrogscy wojewodzice wołyńscy; z nimi często przestawał, i tak się w sobie zakochali, że rzadki dzień minął, żeby jeden u drugiego na chlebie nie był. Król za wstawieniem się hetmana Żółkiewskiego mianował go wojewodą podolskim (1). Zamojski miał wtedy rok 25ty.

Zostawszy senatorem wdał się w praktyki pobożne: pacierze kapłańskie odmawiał, piątki marcowe suszył, w Wielki Czwartek dwunastu ubogim nogi umywał, i każdemu z nich własną ręką dawał czerwony złoty; noc Wielkopiątkową przepędzał na modlitwach trapiąc ciało włosiennicą i dyscyplinami, dzień Wielkopiątkowy na rozmyślaniu o męce Pańskiej, a w sobotę kiedy w kościele odśpiewano Aleluja, wyjechawszy w pole rozmaitemi krotofilami wesołości sobie dodawał. Te praktyki weszły mu we zwyczaj; soboty suszył, pacierze kapłańskie odmawiał, a kiedy sam czytać nie mógł, kazał czytać pacierze pokojowemu, a sam siedząc lub leżąc, słuchał z wielką pilnością.

Wiosnę i lato przepędził w domu na zwykłych zatrudnieniach. Wtém zaczęły latać wieści o następowaniu wojsk tatar-

(1) Piotr Olesnicki do Tomasza Zamojskiego z Warszawy, 6 marca 1618.

skich na państwa koronne. Zamojski wybrał się do obozu na oryńskiem polu, i przybył 1 września 1618 w 1200 ludzi służebnych, zaciągniętych za własne pieniądze, z armatą porządną. Hetman tę cześć mu oddał, że wyjechał na jego spotkanie ze wszystkimi pułkownikami, rotmistrzami i z towarzystwem celniejszem. Zamojski zajął stanowisko na lewem skrzydle i zatonął obóz na osobnej górze. Razem z nim stanęli: dziad jego Stanisław Tarnowski kasztelan sandomierski we 400 ludzi, i Gratus Tarnowski kasztelan żarnowiecki z ludem kasztelana krakowskiego. Nieprzyjaciel nastąpił potężnie. Dewlet Giraj kałgaj i Kantemir murza 29 września przez cały dzień do obozu szturmowali. Widząc dobrą potęgę i zbite siły na prawem skrzydle, wyteżyli usiłowania, żeby złamać lewe skrzydło, gdzie Zamojski stał osobnym obozem. Bili się wszyscy dzielnie; Zamojski, na ratunek Kozakom których nieprzyjaciel z miejsca ruszył, sam prowadził do boju chorągwie hussarskie i petyhorskie; Stanisław Tarnowski starzec 70letni życia nie oszczędzał. Najwięcej zasług położył Maciej Leśniowski podkomorzy bełzki, który z piechotą bronił taboru. Bili się wszyscy dzielnie, ale pan Zamojski w tém był winien, że rozkazu hetmana nie posłuchał i nie przeszedł zawczasu do obozu hetmańskiego. Tatarzy dziewięć razy szturm przypuszczali, a hetman patrzył na walkę i nikomu z miejsca ruszyć się nie pozwalał. „Niechaj się nauczy młodzieniec, powiedział, pierwój słuchać, a potem rozkazywać.“ Dopiero w ostatniej potrzebie posłał 200 strzelców w zbrojach Krzysztofa Zbaraskiego, któremi dowodził Jan Bielecki stary Kozak, a którzy pomogli bardzo dobrze; posłał także dwie chorągwie hussarskie o zachodzie słońca, kiedy już nieprzyjaciel ustępował. Tatarzy ustąpili na uroczysko Zerdzie, a niektórzy z nich podbiegali pod tabor wołając, żeby na jutro przygotowali się do bitwy, że to była jedno igraszka. W nocy za rozkazem hetmana, Zamojski zwinął swój obóz i przeszedł do głównego obozu. Nadspodziewanie nieprzyjaciel ruszył z miejsca o północy, zostawiwszy kilka tysięcy na straży i poszedł głęboko w ziemię, a spustoszywszy niemało kraju, z wielką zdobyczą nazad wrócił. Poszło wojsko za nieprzyjacielem, ale niesporo, bo po dwie mile, nie więcej, na dzień uchodzili; a stanąwszy na Żabińcu kilka dni hetman zamieszkał i wojsko rozpuścił. Zamojski odjechał do Szarogrodu i bawił tam przez dwa miesiące; na Boże Narodzenie wrócił do Zamościa.

W 1619 r. kiedy Żółkiewski postąpił na pieczęć wielką, król posunął Zamojskiego na województwo kijowskie. Tegoż roku był w liczbie kommissarzów, którzy zawarli z Kozakami postanowienie, jak się mają zachować w służbie króla i Rzplitej. We wrześniu przybył do obozu pod Pawołoczą; miał z sobą 1500 ludzi. Wojsko zaporozkie, nad którym starszym był Piotr Konaszewicz Sahajdaczny, stało o sześć mil od polskiego obozu. Traktowali przez posłów, i zawarli postanowienie nad Rastawicą 8 października 1619. Po odprawieniu tej kommissyi, Zamojski ze swoim ludem udał się do Kijowa i wjechał na województwo. Odsądziwszy kilka spraw na ramku, udał się na ratusz, i tam duchowieństwo, urzędników ziemskich, szlachtę i rycerstwo z wojska kwarcianego i zaporozkiego, chlebem u stołu swego częstował. Przez cały dzień strzelbę ogromną puszczano, bez przestanku aż w noc godzin dwie.

Odbywał sądy dopóki spraw stawało w rejestrze. Na tych rokach Niemiryca, prawem przekonanego o najazdy na domy szlacheckie, na śmierć osądził; ścięto go zrana w dzień Zaruszny.

Odprawiwszy roki grodzkie mieszkał w Kijowie ze trzy niedziele, w porządek dobry sprawy miejskie wprawując, zabawy wojenne z żołnierzami czyniąc, a który się pokazał dzielniejszym w gonitwach, temu dawał w nagrodę konia, rząd, broń lub bławat na szaty. Odjechał potem do Zamościa z dworem swoim; chorągwie powoli za nim postępowały, a gdy ich do Słobodyszczu chlopi puścić nie chcieli, zganili to bezpieczeństwo chłopstwu ubiwszy ich kilkunastu.

Czas już było pomyśleć o serdecznych związkach: przyjaciele radzili mu, żeby szukał żony w domu księżąt Ostrogskich, Jakoż przez poważne osoby wyrozumiał wprzód chęci matki Anny ze Sztemberka Ostrogskiej, wdowy po Alexandrze-Ostrogskim wojewodzie wołyńskim; potem zjechał do Jarosławia, i przystojnie według starożytnego zwyczaju starać się zaczął o jej córkę Katarzynę.

Wracając do Zamościa upolował rogacza, którego posłał do Jarosławia z takim listkiem:

„Jadąc przez mój zwierzyniec, na szczęście W. Ks. M. mój miłościwej panny, dał mi się pan Bóg obłowić. P. i siebie samego za sługę W. Ks. M. oddałem, i to co mi zdarzyło szczęście, rozumiem że W. Ks. M. mej m. pannie właśnie należy.

Życzę uprzejmie, abyś zdrowo z księżną jejmością moją miłościwą panią raczyła tej zwierzyny zażyć, pana łowczego nie przepominając, który jest i będzie W. Ks. M, swój M. panny wiecznym przyjacielem i cały sługą.

„Na osobę księżny Jej. M. Anny (1) jedną ćwierć naznaczam, nie więcej, bo się na mnie gniewa; jednak jeśli czas co odmienił, zalecam przy W. M. moje unizone służby”.

Na list odebrał od matki taką odpowiedź:

„Córka moja teraz jeszcze ani pisać ani wskazać nie umie, muszę ja sama za nią odprawić. Za zwierzynę wielce W. M. memu miłościwemu panu dziękuję i ja, i ona, wdzięczna wielce tej pracy W. M. mego miłościwego pana, którą na szczęście jej podjąłeś W. M. raczył. Nie zwierzyłać mi się tego, żeby nie zapominać miała pana łowczego, ale ja przypominać jej chcę. Zalecając służby swe w łaskę W. M. mego miłościwego pana. Dat na Jarosławiu d. 22 lutego roku 1620.

W. M. mego miłościwego pana życzliwa przyjaciółka i sługa
Anna z Sztemberku księżna Ostrogska
wojewodzina wołyńska
ręką swą“.

Nastąpiło przez przyjaciół oddanie pierścieni ze stron obu. We dwie niedziele potem w czasie zapust, w Jarosławiu odbyło się wesele. Ślub dawał ksiądz Próchnicki arcybiskup lwowski; pannę młodą w kościele Jezuitów oddawał Stanisław Wapowski kasztelan przemyski, dziękowanie za nią w łożnicy odbyło się przez Żółkiewskiego kanclerza i hetmana W. Kor. Przenosiny na czwarty tydzień w Zamościu odprawiły się z wielką wystawą. Od tego czasu w poszanowaniu, zgodzie i miłości wzajemnej żyli z sobą przez lat kilkanaście.

Nie zdaje się, żeby tam miała być miłość przed ślubem; państwo młodzi nie znali się prawie. Po bliższem poznaniu w ciągu pożycia rozwinęło się serdeczne przywiązanie. Dość spojrzeć i porównać listy Katarzyny Zamojskiej do męża pisane w pierwszym roku po ślubie (2), zimne i obojętne, gdzie pisze do męża, jak do Jaśnie Wielmożnego pana wojewody kijowskiego,

(1) Anna Aloiza księżniczka Ostrogska, która później była żoną Jana Karola Chodkiewicza.

(2) 23 i 30 marca 1620.

pana i dobrodzieja, i listy z lat późniejszych, które zwykle w te słowa zaczyna: „Moje najukochańsze serce, mój serdeczny dobrodzieju;“ w jednych pisze się powolną małżonką i sługą, w drugich z serca miłującą małżonką, a pisze dlatego, że się stęskniła bez wiadomości od niego (1), a grozi mu że jak do domu wróci, to go nie puści więcéj (2), gdyż nic nie ma miłszego na świecie nad osobę męża i pana, w której są zawarte wszystkie jéj szczęścia i fortuny (3).

Każdy jéj list do męża oddycha miłością i tęsknotą. „Dlaczego! cóżem uczyniła, żeś mnie tak prędko z pamięci utracił? Przy pożegnaniu odniosłam obietnicę, że co trzeci dzień waszmość będziesz pisywał, a tu tak długo listu nie ma“ (4). Wkrótce potem pisze uszczęśliwiona, że w tym tygodniu troje pisania od niego odebrała (5). Chwali się przed nim, że nie ma dnia w którymby nie pisała do niego, a czasem, jak się miła zrzeczność poda, to i dwoje pisania posyła (6). To samo pocziwe przywiązanie ożywia listy z lat późniejszych; mniej może tęsknoty, bo téż działwa przybyła i było się czém w domu zająć, i dom nie był tak pusty, gdy po komnatach rozlegało się ich szczebiotanie. „Wiem, że na tak częste pisania moje waszmość nie masz czasu odpisywać, i na tem poprzestaję, że mogę mieć częste okazye, które mię od grzechu próżnowania wolną czynią. I miła mi ta praca pisać do waszmości; ptakiembym przeleciała i ucieszyła się z widzenia W. M. (7). Działki nasze z łaski Boga zdrowe; Gryzelka z wielką chęcią obiecała się pacierza nauczyć“ (8).

Byłato białogłowa łagodnego charakteru, skromna i cicha, ale w żyłach jéj grała krew dzielnego rodu. Kiedy Tatarzy pustoszyli okolice i w okna zamkowe świecili pożarami, donosząc o tém mężowi, tak do niego pisze: „Mało kto się stawił do odporu: wszyscy się chowali. Nie z tak wielkiém wojskiem przodkowie nasi bywali straszni temu nieprzyjacielowi, ale terazniejsi nasi regimentarze wszystko co czynią, to dla prywatnych swych.

(1) 24 września 1622.

(2) 3 kwietnia 1622.

(3) 24 października 1622.

(4) 27 października 1622.

(5) 30 października 1622.

(6) 31 października 1622.

(7) 5 listopada 1633.

(8) 10 września 1626.

Wszystcy mężczyźni jako żółwiowie w skorupach siedzieli po wsiach, żaden się nie śmiał z za muru wychylić. Wiem, że się urodziła do igły nie do szabli; alebym się nie frymarszczyła swoim animuszem i sercem na ich błazeńskie serca. Szkoda, że się szlachtą porodzili“ (1).

W kilka miesięcy po ożenieniu Zamojskiego, Stanisław Żółkiewski wkroczył na Wołoszczyznę, i stoczył z Turkami bitwę na cecorskim polu; po sześciugodzinnej walce ustąpił obronną ręką i zamknął się w okopie. Nazajutrz popłoch padł na wojsko, i do trzech tysięcy ludzi opuściło obóz. Większa część wyginęła albo poszła w lyka, bo na drugiej stronie Prutu czatowali na nich Tatarzy; ci, którzy dostali się do kraju roznieśli wieści, że wszystkie wojsko zniszczone. Tymczasem do Żółkwi przyniesiono list, który hetman z obozu pisał do króla. Regina Żółkiewska niespokojna o zdrowie męża i syna, otworzyła ten list, a zrozumiawszy z niego na co się zanosilo, strwożona przyjechała do Zamościa, i złożyła w ręce Zamojskiego co mogła zebrać złota, srebra i kosztowności, zaklinając go na miłość boską, na wszystko co jest świętego, żeby zebrał ludzi co może najwięcej i spieszył na odsiecz hetmanowi. Nietyle może jej rozpacz, jak miłość kraju, obudziła w nim odważną ochotę. Rozesłał w rozmaite strony kilkadziesiąt tysięcy złotych, żeby zaciągnąć ludzi służebnych, rozpisał listy do panów, żeby mu dopomogli, i do młodziej braci wezwanie w te słowa:

„Nie przywłaszczam nic sobie między w. m. panami, co by mi nie należało: jednak jako brat i sługa w. m. panów, oznajmuję o niebezpieczeństwie w którym są ichm. panowie hetmani i wszystka Rzplita. Dla Boga poczuwajcie się w. m. panowie. Ja wszystkimi siłami staram się stawić tam, ale o ludzie służebne bardzo trudno; przeto pilno proszę, kto z ochoty, kto by zasłużonego żołdu chciał, pomóście waszmość tego, cośmy wszyscy bożem i przyrodzonym prawem ojczyźnie powinni, a mianowicie w tak niebezpiecznym razie. Pan Bóg waszmościom nadgrodzi tę pobożność, ja odsłużę. Ku Tarnopolu z niedzieli téj brać się będą, i o dalszym postępku wojska naszego rozumiewać nie zaniecham. W Zamościu, die 5 octobris 1620.“

Stanisław Lubomirski podczaszy kor. szwagier Zamojskiego odpowiedział na wezwanie, że gotów wystąpić do boju; dali

(1) 6 października 1620.

więc sobie hasło łączyć się u Tarnopola. Zostawiwszy w gnieździe rodzinném przyjaciela od Boga danego przed kilkoma miesiącami, Zamojski wyruszył z Zamościa 14 października w 800 ludzi, a tym, którzy się zbierali w Tyszowcach i we Włodzimierzu, kazał ciągnąć do Belza. Ledwie zdążył do Belza poczęły wieści latać, że już wojsko zniesione w Wołoszech, a Tatarzy koło Lwowa i Żółkwi plondrują. Na ten huk Zamojski wyprawił kilkadziesiąt ludzi, żeby dostali języka; ci spotkali się z jego hussarzami, którzy przebierali się z Potylicza ku Mostom. Połączyli się z hussarzami, nad któremi starszym był Andrzej Drwalewski, a ciągnąc razem trafili na zagon tatarski pod Żółkwią: bili się mocno i odgromili od Żółkwi nieprzyjaciela. Zamojski tymczasem postępował naprzód; pominąwszy Lwów stanął w Strumitowój Kamionce, i dał znać o sobie Lubomirskiemu będącemu we Lwowie, żeby się z nim zdejmował; ale Lubomirski sam we Lwowie został, a ludzi swoich posłał ku Bóbrce, nad któremi starszym był Szymon Kopyczyński i Jerzy Rzczycki starosta urzędowski. Rozmawiając się tym ludziom zdarzało: gromili nieprzyjaciela, sami byli gromieni, tak, że raz przyszło Rzczyckiemu w kilkadziesiąt ludzi zamknąć się we młynie i odstrzeliwać się, zrzuciwszy dach, a jego oddział wiatry po polu gonił. Tatarzy prędko wrócili z tej wojny, zdobywcz niezmierną uwodząc z lwowskiej i przemyskiej ziemi; należało się jednak obawiać, że nowe wojska wpadną drugim nawrotem; z tego powodu Zamojski, do którego przyłączyło się nieco szlachty belzkiej, zamieszkał w Kamionce dwa tygodnie.

Lud Zamojskiego, 600 ludzi Lubomirskiego, z których po pogromie 400 tylko zostało, i 200 ludzi Daniłowicza, oto była cała gotowość na Rusi. Nie było wodzów, wojska, ani pieniędzy; Rzplita znajdowała się w największém niebezpieczeństwie, a Kozacy, którzy ciągle drażnili Turków, w końcu września znowu poszli na morze we sto czółen.

Zamojski wezwany przez króla pospieszył na sejm do Warszawy, zostawiwszy ludzi własnego zaciągu w Strumitowój Kamionce: 200 koni hussarów i 150 arkabuzerów. Przybył do Warszawy na sejm, który zaczął się w listopadzie; królowi jak zwykle cześć oddawał, pilnował jego boku i nieraz go pod rękę wodził. W dzień niedzielny, kiedy króla wprowadzali do kościoła św. Jana biskupi, a Zamojski prowadził królewicza Władysława: Pickarski szlachcic uderzył Zygmunta III czeka-

nem w głowę. Król upadł na ziemię; podniósł go szlachcic Kaliński i razem z Zamojskim zaprowadził do pobocznej kaplicy, a gdy się tumult uciszył, przez ganek z kościoła odprowadził go do pokojów zamkowych.

Na tym sejmie Zamojski w imieniu wdowy poległego hetmana, oddał królowi na zgromadzeniu senatu 5 grudnia 1620 r. pieczęć i buławę, i w ten sposób przemówił: „Te dwa przedniejsze w Rzplitej urzędy, król zjednoczył w osobie sławnej pamięci hetmana; za tę łaskę Zólkiewski nie mógł lepiej wdzięczności swojej okazać, jak położeniem żywota w służbie króla i Rzplitej. Pamiętał na to, że hetmanowi nie na łożu, ale w polu umrzeć przystało. *Imperatorem stando mori oportet*. Pieczęć w jego ręku była kluczem od warownego skarbu łask królewskich i praw pospolitych. Buława, którą piastował, torowała wojsku drogę przez środek nieprzyjacielskich hufców; poskromić nie mogła wyuzdanej swawoli, ani złamać wyroku bożego. Z bronią w ręku zginął ten nowy Epaminondas. Ranami okryty, krwią zbroszony stanął na sądzie bożym. Pomogła mu zaiste śmierć za króla, za kraj i za wiarę do wiecznej chwały, której cieniem jest chwała ziemską. Siebie, syna, synowca, zięcia, oddał na obronę Rzplitej. Ogarnijże miłościwy królu cały dom ten twoją łaską, pokaż co u ciebie ważą takie zasługi. Żal wielki hetman po sobie zostawił; ale nie tak mają żołnierze, nie tak obywatele hetmanów swoich żałować, jako czule matki dzieciątek swych żalują. Nie łzami, ale krwią nieprzyjaciół naszych płakać trzeba; to będzie dla niego obchód pogrzebowy, kiedy prędko wojska w polu staną i szczęśliwie [z nieprzyjacielem czynić będą”.

Po zawarciu sejmu powrócił do Zamościa, żeby sposobić się do wojny. Król przysłał mu list przypowiedny, zrazu na tyle koni hussarów, wieleby mógł sposobić, potem na pułk, który miał w sobie zawierać 1000 koni hussarów i 500 rajtarów (1). Tymczasem żołnierze zostawieni na leżach w Strumiłowej Kamionce, posłyszawszy o zaciągach od innych panów, że wyższe żoldy postępują, rozerwali się i wyjechało ze 200 koni, którzy zaciągnęli się z panami Sieniawskimi. Tych więc, którzy zostali wyprawił pod Kamieniec pod rozkazami Wojciecha Sredzińskiego, i zajął się pilnie koło tego, żeby co najwięcej ludzi sku-

(1) Zygmunt III do Tom. Zamojskiego 11 i 26 stycznia 1621.

pić. Rozesłał między szlachtą swoje sługi, na Szlązk i do Inflant wyprawił z listami, zaciągając do służby cudzoziemców. Płynął czas i zbliżała się pora wojenna. W lipcu 1621 Zamojski ruszył do Satyjowa na Wołyń. Będąc w Równem przyjął do swojej służby Stefana Chmieleckiego, naznaczył mu 2000 złp. rocznego jurgieltu, miasteczko Nowy Międzyboż i dwa sioła: Szczuczynce i Dewce w dożywocie, i puścił mu włość kraśniańską w łaskawą arendę. Ludzi ukraińnych oddał pod jego władzę, i kazał z nimi ciągnąć do Tarnopola, gdzie miał zamiar skupić całą siłę. Tych ludzi, których miał przyprowadzić Chmielecki, zatrudniło przechodzenie przez włość zaporozkiego wojska, które ciągnęło na Wołoszczyznę, i niezmiernie ciężkie było ludziom w tém ciągnięciu, mając nad sobą wodza zuchwałego i wielkiego pijaka, nazwiskiem Borodawkę.

Gdy w Tarnopolu czekał na skupienie się ludzi, nadszedł list z obozu od hetmana Chodkiewicza, który mu donosił, że już cesarz turecki stanął pod Chocimem dnia 2 września. Wkrótce téż Tatarzy weszli w ziemię, i 5 września stanęli pod Tarnopolem. Zamojski wyszedł do nich w pole za folwark, między rowami rozstawił piechotę i armaty. Tatarzy raz i drugi natarli potężnie; rażeni ogniem z dział odstąpili i poszli w głąb ziemi wojować: srodze spustoszyli lwowską, belzką, i przemyską ziemię, i cało powrócili z wielkim plonem. Stefan Chmielecki który prowadził 600 Ukraińców, szczęśliwie pogromił jeden zagon, ale niewielką mając siłę, na tém przestać musiał.

Do Zamojskiego przyniesiono list od królewicza, który nalegał, żeby co prędzej z posiłkiem przybywał i żywności przyprowadził jak najwięcej (1). Pożyczył więc kilkadziesiąt tysięcy złotych od Jana Łosiatyńskiego, i za te pieniądze kazał żywność kupować. Już téż nadciągnął Stefan Chmielecki w 600 koni, Anzelm Kietlicz z Inflant przyprowadził sto rajtarów; drugiego kapitana La Barego ze stem rajtarów rozkaz królewski zatrzymał w Rydze, bo w tym czasie Gustaw król szwedzki wpadł do Inflant; Kołaczkowskiego téż spodziewał się lada dzień ze Szlązka z trzema stami rajtarów. Wtém odebrał od króla rozkaz, żeby skupił pospolite ruszenie pięciu województw (kijowskiego, wołyńskiego, braclawskiego, ruskiego i podolskiego) i z niem ciągnął do obozu pod Chocim. Rozesłał uniwersały, do nie-

(1) Z obozu 24 września 1621.

których sam jeździł; ale nic się nie sprawiło, bo województwa broniły się tém, że według prawa nie z kim innym powinny ciągnąć w pole, jedno z królem. Powróciwszy od województwa ruskiego, które stało pode Lwowem, przysposobił żywności 2000 wozów i już miał się ruszyć, gdy nadeszła wiadomość, że zawiązano traktaty, a wkrótce po tém ponowa, że już pokój stanął. Pomimo to Tatarzy weszli w ziemię ku Przemyślowi; zatem wsadził na konń 600 piechoty, i z całym wojskiem ruszył za Tatarami, tu i owdzie ich szlakując, ale daremnie. Wrócił z niczem do Tarnopola. Na drugi dzień przyjechał z obozu królewicz Władysław; Zamojski przyjmował go w swoim domu i odprowadzał za groblę w pole: tam go pożegnał, i darował mu konia tureckiego z siedzeniem bogatém. Wkrótce potem odjechał do Zamościa, dowiedziawszy się z listów o złém zdrowiu swojej żony.

Wojsko koronne wróciwszy z pod Chocima, podniosło konfederacyą. Tomasz Zamojski naznaczony królewskim kommissarzem (1), pracował wraz z innemi nad uśmierzeniem związku (2), W jesieni 1622 został obrany deputatem na trybunał.

Mieszkając w domu przez całą zimę, jak przystało czujnemu senatorowi utrzymywał szpiegów w Białogrodzie i w Krymie, od których miewał często wieści o gotowaniu się wojsk tatarskich na wojowanie państw koronnych. Dawał o tém znać królowi, który mało na to zwracał uwagi, i owszem do Prus odjechał.

Wykluło się to złe, o którym Zamojski dawał przestrogi. W czerwcu 1623 weszło wielkie wojsko tatarskie, i położywszy kosz pod Medyką, rozpuściło zagony ku Tarnowu, Sandomierzowi, i w Podgórzu; bełzką i lwowską ziemię ze szczerem splondrowali. Gdy się nazad wracali, utraciło ich trochę wojsko kwarciane pod Haliczem, i plonu część odbiło.

Zamojski odjechał na trybunał; tam doszły go wieści o nowych na Rzplitej następujących trwogach, osobliwie, że car tatarski z wielkim wojskiem przeszedł Dniepr u Oczakowa. Dat

(1) Zygmunt III do Tomasza Zamojskiego 28 stycznia 1622.

(2) Podczas kommissyi lwowskiej, Tomasz Zamojski usłużył Rzplitej pożyczaniem znacznej summy na zapłatę wojsku. Przekonać się o tém można z kwitu na 20,000 złp. wypłacone Zamojskiemu, wydanego przez Hermolausa Ligęzę z Bobrka 1 września r. 1630.

o tém znać królowi prosząc go, żeby zbliżyć się raczył do miejsc zagrożonych (1). Na to król odpisał, że wyprawił hetmana polnego, żeby sposabiał obywatela tameczne (2). Mimo tych postrachów nie było najazdu. Nastąpiły w ordzie zamieszki, w których Szahin Giraj tak ważną grał rolę; więc zaciągnąwszy Kozaków zaporozkich wojował z Turkami i chylił się pod opiekę Polski.

Sejm odprawił się w Warszawie w lutym 1624; Zamojski przyjechał na sejm gromadnie i okazałe. U króla miewał częste posłuchania, znosił się z senatorami, każdego dnia ośmiu postów na bankiecie u siebie miewał. W tym czasie Stefan Chmielecki z ludźmi ukrainnemi Zamojskiego, złączywszy się z wojskiem kwarcianém, przez Stanisława Koniecpolskiego został wyprawiony na podjazd pod wojsko tatarskie na Podolu wojujące. Trafiał na potężny zagon Sałmasz murzy: mężnie nań uderzył, więźnie i łupy odgromił, i hetmanowi tak fortunném powodzeniem do zwycięztwa drogę utorował. Chmielecki postrzelony strzałą w prawy bok, zdał dowództwo Janowi Dzikowi, który napadł w nocy na drugi zagon tatarski w Zalesiu pod Skalą, nasłał Tatarów trupem i żywcem wziął niemało. Sam hetman z wojskiem kwarcianém nastąpiwszy na kosz tatarski, odniósł świetne zwycięztwo, i gromiąc nieprzyjaciela gnał go przez trzy mile w zimna tak ciężkie, że żołnierzom bronie do ręku przymarzały.

W Warszawie dano znać Zamojskiemu o zejściu ze świata Wawrzyńca Gembickiego arcybiskupa gnieźnieńskiego, z którym żył w ścisłej przyjaźni, i z którym zwali się braćmi. Pelen dni i zasług spoczął w Panu 16 lutego 1624 w Łowiczu. Synowcom nie zostawił bogatego dziedzictwa; umierając polecił ich opiece królewskiej, i kazał im uważać pana Zamojskiego za osobliwego przyjaciela i opiekuna. Jakoż Zamojski dotrzymał przyjaźni domowi Gembickich: usługi ich zalecał królowi, a zostawszy podkanclerzym, księdza Piotra Gembickiego mianował rejentem kancelaryi. Potém za postąpieniem księdza Szyszkońskiego sekretarza w. kor. na biskupstwo warmińskie, posunął go wpływem swoim na ten urząd; nakoniec wyrobił mu pieczęć mniejszą. Co dlatego się pisze, aby wiedziano, jak statecznie zacnym ludziom przyjaźni dotrzymywał.

(1) Tomasz Zamojski do Zygmunta III 21 lipca 1623.

(2) Zygmunt III do Tomasza Zamojskiego z Poznania 1 sierpnia 1623.

W jesieni 1624 przybył do obozu na Gorczyczanach w tysiąc ludzi, z szczęścią działami i z dwunastą wozami różnej armaty. Nie było żadnej bitwy, zatem odjechał do Szarogrodu, a zmieszawszy tam kilka tygodni, pojechał pod Tarnów na rozgraniczenie, które wypadło w grudniu, z dobrami Tarty kasztelana lubelskiego, w skutek wyroku trybunalskiego.

W tymże roku z rozkazu Zamojskiego, kapitan Fityng zaciągnął sto niemieckiej piechoty, którą potem zamienił na dragonią: bytło pierwszy przykład dany innym panom, do chowania stale przy swoim boku ludzi niemieckich. Z téj piechoty wybierał instruktorów dla nauki wybrańców, naznaczając im większe zasługi, a nawet opatrując majętnostkami.

Święta Bożego Narodzenia przepędził w Tarnowie, zapusty w Krzeszowie; ale nie do zabaw mu było, bo powietrze grasowało dokoła, i przez cały ten czas cierpiał bole pedogryczne. Wyjechał na Wołyń, a potem w Tarnopolu mieszkał przez całe lato, z żoną i z drobnymi dziećmi. A ponieważ na sejmie był naznaczony kommissarzem na kommissyą z Kozakami zaporożkami, w październiku 1625 wyjechał do obozu. Gdy wojsko rzekę Roś przeszło, nadciągnęli też jego ludzie. Pod Mosznami Jan Odrzywolski w kilkanaście chorągwi kwarcianych uderzył na tabor, ale Kozacy rozerwać się nie dali. Uniosł wtedy koń kniazia Czetwertyńskiego którego Kozacy porwali i trzymali u siebie do zamiany jeńców. Poczęli zwolna ustępować, a na noc zatrzymali się o pięć albo sześć mil od wojska. Szli na Czerkasy, Borowice, Kryłów i stanęli na Cybeliku, zatorowawszy się kolasami, które ziemią nasypali. Do hetmana wyprawili posłów, prosząc o miłosierdzie i obiecując, że będą powolnemi i wiernemi poddanemi króla i Rzplitej. Hetman położył za warunek, żeby hersztów buntu wydali, na co posłowie przystać nie chcieli, i odjechali nic nie sprawiwszy. W ślad za posłami ruszył hetman wojsko 28 października, i z trzech stron nastąpił potężnie. Wyszli Kozacy pieszo przed tabor, ale ich prędko weгнаły chorągwie i piechota niemiecka, nad którą byli kapitanami Butler i Winteral, ludzie w dziele rycerskim doświadczeni. W téj potrzebie Zamojski trzymał prawe skrzydło, a lewe Kazanowski kasztelan halicki. Zamojski kazał zatoczyć sześć swoich dział pod sam tabor i utrzymywał ciągły ogień; sam rychtował działa, sam je zapalał, a gdy hetman na jego skrzydło przyjechał, palił z działa za zdrowie J. W. hetmana, hetman

spieszwszy się z konia nawzajem tę cześć mu oddał, a krew ludzka lała się prze zdrowie jasných panów. Piechotę cudzoziemską na tabor do szturm upuszczono; Kozacy wytrzymali natarcie. Trzysta koni wysunęło się z taboru pod chorągwie prawego skrzydła, wrzekomo na harc, a za niemi w trawie czołgała się na brzuchach piechota z rusznicami w zasadzce ukryta. Zamojski postrzegł zasadzkę i posłał Chmieleckiego ze swemi ludźmi, do których dodał dwie chorągwie kozackie ale dobre: Kruszyńskiego i Łąckiego. Skoczyli naprzód, wygnali Kozaków z zasadzki, i goniąc ich siekli pod sam tabor. Tam dopiero wstręt im uczyniono, strzelając z działek i ze strzelby. Nie zginął nikt znaczny, pacholik jeden tylko, i postrzelonych było kilkadziesiąt. Łąckiemu kula działowa urwała łęk zadni u siodła, kołczan i kawał ferezy; sam z łaski bożej zdrów i cały został. Z drugiej strony doliną kilkuset ludzi skradać się zaczęło do dział; Zamojski wyprawił przeciw nim Fitinga z piechotą, która weгнаła ich w tabor, a wtém ze wszystkich dział po kilkakroć do taboru uderzono na dobranoc. O zachodzie słońca sprowadzono wojsko do obozu, który był zatoczony o ćwierć mili od taboru kozackiego. Przez całą noc był pokój. Nazajutrz kogo mógł na strażach podchodził. Tego dnia Sadowski pokojowiec Zamojskiego wyszedł z bandoletem na upatrzonę; źle mu się powiodło, bo go Kozak postrzelił między łopatki. Kiedy się o tём Zamojski dowiedział, posłał kilkadziesiąt koni; przywieźli rannego, więc kazał go położyć w swoim namiocie, swoich dał mu poduszek, cyrulikowi swemu kazał go opatrzeć, i białogłową umiętną w sztuce lekarskiej dla pilnowania go sprowadził. Ten młodzieniec był w wielkim dozorze i w wielkiej opatrności; nie na wozie jechał za wojskiem, ale nieśli go na noszach pańscy Kozacy; jednakże wkrótce w Puwołoczy umarł.

29 października w nocy straż dała znać, że Kozacy rozłożywszy wielkie ognie, sami cicho wyszli taborem. Hetman złożył radę, na której stanęło, żeby iść za nimi. Przodem wyprawił Chmieleckiego, żeby ich zabawił i zatrzymał, dopóki sam z wojskiem nie nastąpi. Chmielecki uderzył na tabor i część jego rozerwał, a wzięwszy kilkunastu więźniów, odesłał ich do hetmana. Kozacy zarzucili się znowu kolasami i odstrzelali kwarcianych. Chmielecki ciągle się nad nimi wieszał, a upatrzwszy porę kiedy się zmieszali przy niedobryj przeprawie, znowu ude-

rzył, znaczną sztukę taboru urwał i niemało ich nabił. Tak jak i pierwój kolasami się związali, i pozostałego taboru potężnie bronili. Przybył potém za Chmieleckim Janusz Tyszkiewicz, za nim kapitan Butler z Niemcami, aż téż sam hetman z pułkami. Przyparli ich do rzeki Kalnik, przez którą przecie Kozacy w bród przeszli, sprawiwszy tabor. Zamojski i Tyszkiewicz z chorągwiemi skoczyli do nich przez rzekę, i rozerwali część taboru i gnali ich przez pół mili aż do uroczyska Niedźwiedzie Łozy. Tam między błotami i kłodziną zatrzymały się kozackie pułki. Zamojski uderzył na nich ze swoją hussarską chorągwią, i naraził ją na wielką strzelbę; cofnął zatém chorągiew, a sam przejeżdżając w bok przed chorągwią, zapadł z koniem w błocie. W tém błocie zataiło się niemało Kozaków; widząc, że koń z nim uwiązł, ze czterdziestu do niego wystrzeliło; jednak Bóg ręką swoją go zastonił, że jedna tylko kula w pierś go trafiła, i ta odbiła się od zbroi, na której ślad został od uderzenia. Koń téż dzielny wyniósł go z niebezpiecznego miejsca i słudzy odstrzelali nieprzyjaciela. Osobliwie Jan Świeżyński porucznik od chorągwi Zamojskiego skoczył żeby go ratować; zaraz pod nim konia zabiło, więc z koniem zwałił się na ziemię, i dostałby się w niewolę, gdyby nie to, że Kozacy którzy go opadli, zabawili się koło złotego rzędu, który był na koniu, wtém nadbiegło kilku towarzystwa i odratowali Świeżyńskiego.

Przyszali Kozacy postów do hetmana, dla Boga o miłosierdzie prosząc, żeby im dał czasu dwie godziny dla namowy między sobą. Pozwolił hetman, a oni korzystali z czasu, okopali się, zataborzyli i zawalili kłodami; a miasto onój obietnicy, że wszystko uczynią co hetman rozkaże, z dział poczęli strzelać. Hetman z kilku stron kazał uderzyć chorągwiom i piechocie, ale naderemnie: Kozacy dali dobry odpór z niemałą naszymi szkodą. Tego dnia zginął Rogawski, który bywał pułkownikiem nad Lisowczykami, człowiek mężny i w dziele rycerskiem biegły. Ku wieczorowi sprowadzono wojsko do obozu; siła było nastrelanych, ale i kozacki trup gęsto leżał na pół mili. To się działo 30 października.

Po odstąpieniu wojska, Kozacy mocniej się okopali, a swoim porządkiem wyprawili postów do hetmana, oświadczając swoją powolność a prosząc, żeby ich zachowano przy dawnych prawach i wolnościach. Hetmanem zaporozkim był wtedy Marko Izmajło, starszym między postami Piotr Odyniec. Odjecha-

li posłowie 4 listopada z podanemi warunkami. Na drugi dzień obrali sobie hetmanem Michała Doroszenka; po tej elekcji strzelali, trąbili i różne aplauzy czynili. Trupy ich Zamojski kazał zebrać i pochować. 5go listopada Kozacy przysłali z oświadczeniem, że przyjmują podane warunki. 6go hetman wyprawił do taboru dla odebrania przysięgi Jakoba Sobieskiego krajczego kor. i Bałabana starostę trembowelskiego, których wdzięcznie i z wielkiem poszanowaniem przyjmował nowoobрани hetman Doroszenko. Wyjechał przeciwko nim z taboru na kilkoro staj we 300 koni, i wprowadził ich do swojej kotary. Potem zwołał wojsko wszystkie do koła, i w obec delegowanych starszyzna i czerń wykonała przysięgę na wierność i posłuszeństwo królowi i Rzplitej.

Po tej przysiędze rozeszły się wojska, każde w swoją stronę, a Zamojski odjechał do Równego. Advent przemieszkał w Równem, potem wrócił do Zamościa.

U dworu długo nic nie wiadano o rozprawie z Kozakami; dopiero Ungier podskarbi Zamojskiego przysłał krótki dyaryusz tej rozprawy księdzu Starczewskiemu; ksiądz Starczewski pokazał go księdzu podkanclerzemu, więc doniosło się do króla, który kazał go sobie odczytać przy wszystkich senatorach, a każdy prosił o przepisanie tego dyaryusza. Król wdzięcznie wspominał o Zamojskim; żałował, że ta kommissya krwią się oblała, ale niepomału się cieszył z uskromienia hardości chłopskiej (1).

Częste dochodziły wieści o następowaniu wielkich wojsk tatarskich ku państwu koronnemu. Z tego powodu Zamojski kazał Chmieleckiemu skupić ludzi ukraińskich. Rozkaz jego został spełniony: Chmielecki w dobrej gotowości czekał na Tatarów. W opisie żywota tego sławnego pogromcy Tatarów wypadnie mi mówić obszernie, jak pod Tarnopolem w 800 ludzi wpadł na kosz tatarski i hana przepłoszył; jak znosił pojedyncze zagony i odbijał brańców, zarabiając na uczciwą sławę i przysparzając sławy temu, kto dał mu sposobność służenia krajowi z większym pożytkiem.

W lipcu 1626 Gustaw król szwedzki w Pilawie wylądował z wojskiem; Elbląg mu się poddał, Malborg także. Zamojski list od króla odebrał, żeby zaciągnąłszy ludzi ile może,

(1) Paweł Wilkostowski do Tomasza Zamojskiego 24 listopada 1625.

z nimi do Prus na ratunek ojczyzny przybywał. Posiadłości ukraińnych nie mógł ogolować z obrońców, dał więc pieniądze na zaciąg nowych ludzi: Stanisławowi Czerneckiemu na koni 150, Adamowi Kisielowi na koni 150, Andrzejowi Drwalewskiemu na koni 150; swoich też miał wołyńców 150 pod Alexandrem Płyzińskim, piechoty 100 pod Bohdaszewskim, 120 piechoty cudzoziemskiej pod kapitanem Grymem, rota hussarska ścigała się pod Glinianami, nad którą porucznikiem był Świeżyński. Zamojski z tymi, których naprędce mógł zebrać, pospieszył za królem, dogonił go w Kowalu, a potem prowadził do Torunia. Na tej wojnie nie było regimentarza: Zamojski dowodził pułkiem, do którego należeli czterej bracia Działyńscy z tysiącem zbrojnych ludzi, rotę husarską Niewiarowskiego i Wejera starosty radzyńskiego, rotę kozacką Wodyńskiego wojewodzica podlaskiego, Szmeling Inflanctzyk który miał 150 rajtarów, Abramowicz wojewodzie smoleński który miał 400 rajtarów; do tego pułku przyłączywszy własnych ludzi, zawsze w przedniej straży chodził, chorągwie na straż prowadził i posłuchy rozstawiał, a po wieczery znowu wzięwszy z sobą kilka osób objeżdżał straż; o północy dopiero wróciwszy do namiotu zabierał się do snu, a często kładł się spać nierozzebrany. Nad świtem nieraz straż objeżdżał, a kiedy wypadło czynić z nieprzyjacielem, pierwój mszy św. wysłuchał. Pilnie przestrzegał, żeby po wytrąbieniu hasła nikt w obozie niebawił się muzyką, pijaństwem ani grą. Pod Gniewem towarzysza, który z białogłową pijaństwem się bawił, ukarał słowy surowemi, a tej, która mu przyczyną była, nosa kazał naderznąć i wyprowadzić z obozu; a potem ograżać, żeby żadna białogłowa, która nie ma męża w obozie, nie bawiła w nim pod gardłem.

W dzień Narodzenia N. Panny (8 września), król z Torunia ku Gniewu ruszył. Kiedy wojsko stanęło pod Gniewem, Zamojski z dwoma tylko kapitanami miasto od Wisły do Wisły objechał, sam miejsca naznaczył w których szanice sypać i kosze stawiać kazał, a zatoczywszy działa, sam je rychtował i zapalał. Dla braku kul i prochu musiano zaprzestać strzelania, i działa do obozu sprowadzić.

Gustaw stał pod Czczowem; 22 września wybrawszy się w kilka tysięcy piechoty i osiem kornetów rajtarskich, szedł z posiłkiem ku Gniewu, i między tamą a Wisłą ludzi swoich prowadził. Zamojski nastąpił ze swoim pułkiem, a zegnawszy

z tamy nieprzyjacielską piechotę, osadził swoimi strzelcami; z boku na regiment szwedzkiej piechoty kazał uderzyć dwom chorągwiom kozackim, które rozerwały Szwedów i szablami na placu położyły ze dwieście: drugi regiment odstrzelał Kozaków bez wielkiej szkody. Zamojski posłał do króla prosząc o piechotę, bo w jego pułku nie było jój więcej nad 200, a jazdą trudno co począć w miejscu przerzniętém rowami. Król przysłał kapitana Astona z trzema stami Niemców bez prochu; więc znowu po proch posłano do obozu. Wzięło to siła czasu, a gdy prochy nadeszły i Niemcy rozbierali je między siebie, któryś z nich nieostrożnie iskrę z knota upuścił i prochu trzy beczki w powietrze wysadził, przyczém zginęło niemalo ludzi. Gustaw widząc, że nasi słabo strzelają, ruszył swe regimenty ku tamie, a strzelając gęsto, plac sobie ostrzelał i sprawnie nazad poszedł. Potém przez tydzień spokojnie szły rzeczy. 29 września Gustaw znowu nastąpił ku Gniewu; niedochodząc dębniaku, gdzie pierwój była walka, przy tamie między rowami i płotami, zasadził swoją piechotę, od czoła w równém polu uszykował kirysników i rajtarów. Zamojski wyprowadził przeciw niemu swój pułk i tysiąc cudzoziemskiej piechoty. Długo stali patrząc na siebie spokojnie i harce zwodząc; aż za rozkazaniem króla skoczył Zamojski ze swemi chorągwiemi, przy nim Abramowicz we 400 koni rajtarów dobrych Inflantczyków: wegnali do Gronowa jazdą Gustawową, sami wpadli w ogień działowy, i za dymem przez kilka chwil nie było ich widać. Rowy przecięły im drogę, więc Zamojski uprowadził jazdę, a piechotę obrócił, i strzelali do siebie od trzeciej godziny aż do zmierzchu. Kazano Mocar-skiemu, który miał kilkaset koni ochotników, z tyłu wpaść do Gronowa, i wieś zapalić. Dokazał on tego: wpadł do wsi, i zapalił dom jednego gburą; ale go prędko Szwedzi odstrzelali, i ogień ugasili. W tej zabawie kapitana Gryma, Szkota, w rękę postrzelono, rotmistrza pieszego, którego Wejer wojewoda chełmiński przysłał z dwoma stami Kaszubów zabito; żołnierzy pieszych zginęło 43, pod chorągwiemi jezdniemi daleko więcej, między innymi Herbert z pod chorągwi Zamojskiego.

Gustaw nie wracał do obozu, ale położył się na noc w Gronowie i w dębniaku nad Wisłą. Nazajutrz począł się przymykać z piechotą ku Gniewu, mało co strzelając: sypał szance i forty na tamie. Zamojski sypał z swojej strony na górze, i przez cały dzień umacniali się w swoich stanowiskach, nic sobie nie

czyniąc. Na trzeci dzień Gustaw ruszył swoje piechotę wprost ku Gniewu, a ogniem z dział tak pole strychował, że piechota postępowała naprzód bezpieczna od wszelkiego napadu. Na górze od tamy w szańcu, który Zamojski kazał usypać, 600 piechoty broniło przystępu; spędzili ich Szwedzi i do szańca wleźli. Zamojski wzięwszy z sobą kilka chorągwi hussarskich i rajtarskich, skoczył rezolutnie, żeby Szwedów z szańca wybić; zegnał wprawdzie tych co wleźli, ale gdy z boków inne regimenta z gestą strzelbą następować zaczęły, ustąpić musiał. W zamieszaniu zginął Niewiarowski chorąży od jego własnej chorągwi, a chorągiew Szwedzi porwali; drugiej chorągwi Wejera starosty radzyńskiego kawał szarpnęli, chorąży raniony omdlał od krwi upływu i dostał się w moc Szwedów, lecz towarzystwo wydarło im chorągiew i odbiło chorążego. Kapitana rajtarów Szmelinga i porucznika Szwarchofa, ludzi bardzo rycerskich postrzelano; Zamojski obmyślił im dworek blisko obozu, i cyrulikom swoim zlecił pilne koło nich staranie; odwiedzał ich niemal codziennie straż zawodząc i po kilkaset złotych wydał na ich potrzeby. Tego dnia postrzelono także księdza Rycyusza kapelana, który w bitwie towarzyszył Zamojskiemu; kazał go odwiedzić do Gdańska razem z resztą rannych.

Gustaw opanował górę i uszykował na niej swoje wojsko. Zamojski ruszył przeciwko niemu wszystką piechotę, co jój było: Fitynga, Astona, Judyckiego, Kreta i innych. Strzelali się nieustępując kroku więcej niż dwie godziny, a gdy prochy wystrzelała i nasza piechota i Gustawowa, przestali strzelać i stojąc w miejscu na siebie patrzyli. Król ze wszystkiem wojskiem wyszedł w pole; stanęły chorągwie jak kto chciał bez żadnego szuku: Zamojski w to się nie mieszał, pilnując porządku w swoim pułku. Popatrzawszy na nieprzyjaciela król przed wieczorem sprowadził wojsko z pola, a Gustaw w nocy bez przeszkody wszedł do Gniewa, załogę dawną sprowadził, a nowym ludem miasto osadził; sam tejże nocy nazad powrócił, a żywności, prochu, ołowiu i kul Wisłą na batach przysłał wiele było trzeba.

Zamojskiemu żadne przedsięwzięcie nie wiodło się dobrze na tej wojnie, z powodu wielu rządców, bo co jeden naprawił, to drugi zepsuł. Prędko potem król ruszył wojsko pod Czczów. Gustaw stał nad Wisłą o dwie mile od wsi Walignowój, dobrze oboz opatrwszy blokowcami i armatami, a na Wiśle most zrobić kazał ze skut, naprzeciw Czerwonej Karczmy na Żuławie.

Zawiązano układy. Ze strony królewskiej ci byli komissarze: Tomasz Zamojski wojewoda kijowski, Wacław Leszczyński kanclerz koronny, Krzysztof Wesołowski marszałek nad. lit., i Denhof starosta dorpacki. Ze strony Gustawowej: Alexander Oxenstiern, Hans Wrangiel, drugi Wrangiel i Arnold Horn. Zjechali się w pół drogi między obozami; namioty rozbite były tuż obok, tak, że kapę podniosłszy widzieć się z sobą mogli, a oba namioty jedną izbę tworzyły; stoły w obu namiotach ustawione były obok siebie, i siedząc przy stołach z sobą rozmawiali. Po długich naradach, gdy się doskonale nic nie sprawiło, kommissarze wrócili do obozów.

W tych dniach przyniesiono Zamojskiemu wiadomość o zwycięstwie, które odniósł Stefan Chmielecki na Ukrainie. Nuradyn sultan w 80,000 ordy pustoszył województwo kijowskie; Chmielecki z wojskiem kwarcianém, do którego przyłączyło się 2,000 Kozaków zaporozkich, w biały dzień, w samo południe, pod Białącerkwią uderzył na orde gotową do boju, pobił ją, rozgromił i uwolnił wielkie mnóstwo brańców. Zamojski doniósł o tém królowi, i wielka radość była w polskim obozie.

W październiku 1626 Konicypolski hetman polny przybył pod Czczów do króla z wojskiem. Za jego przybyciem, Zamojski już nie wdawał się w rządy; jednak hetman i królewicz ustawicznie z nim się naradzali. A że często przechadzki czynili Szwedzi na zdobywanie żywności, i po wsiach czeladź polską płoszyli; zmówiwszy się z sobą królewicz i hetman, wysłuchali w namiocie u Zamojskiego przededniem mszy świętej, i we 2000 jazdy dobrej ruszyli ku szwedzkiemu obozowi. Tego dnia właśnie Gustaw wojsko swoje ruszył i przeprawił się przez Wisłę ku Malborgowi. Z obozu wysłał trębacza od kanclerza Oxenstierna do kanclerza koronnego, oświadczając, że król szwedzki życzy sobie, żeby kommissarze zjechali się na traktaty. Ale to były sztuki, żeby przejść bezpiecznie przez Wisłę. Nasi czekając na zasadzce do samego południa nikogo nie widzieli, żeby wychodził ze szwedzkiego obozu, prócz trębacza i zwyczajnej straży. Patrzyli przez perspektywę co się dzieje u nieprzyjaciela, i widzieli, że Szwedzi ciągle idą na drugą stronę Wisły. Zatem hetman posłał rozkaz do obozu, żeby piechota i jazda wszystka co prędzej następowała z armatą; ale nim wojsko nadciągnęło, już ostatnie chorągwie szwedzkie most przechodziły. Zamojski zajął szaniec przedmostowy, a sprowadziwszy arma-

ty raził z nich nieprzyjaciela; z drugiej strony Gustaw z ośmiu dział na dobranoc do szanca wypalił. Sprowadziwszy działa, Zamojski nocował w Walignowój; hetman z królewiczem odjechali do obozu. Rano wstawszy udał się do szanca, a zatoczywszy działa wypalił do Czerwonej Karczmy, gdzie Wrangiel dowódca szwedzki jadł śniadanie; wystraszony śniadanie porzucił, dopadł konia i ze swoimi pospieszył za Gustawem, który szedł drogą do Malborga. Most w nocy został przez Szwedów rozebrany i szkuty uprowadzone.

Gustaw téj zimy w polu nie był; król odjechał do Gdańska. Zamojski przez niego wezwany pięć dni bawił na dworze; a gdy hetman przybył, on powrócił do obozu, żeby objąć rząd w jego nieobecności. Podług swego zwyczaju, strażę za światła rozstawione objeżdżał z poufałemi sługami. Raz się zdarzyło, że trafił na chorągiew Łaszczza, w której towarzysze i pacholkiwie posiadawszy z koni zasnęli snem twardym, a chorągiew stała w ziemię zatknięta. Zamojski cicho, ostrożnie podjechał, wziął chorągiew i odesłał do swego namiotu przez kawalkatora Julego Włocha, a sam jak gdyby nic nie było powrócił do namiotu, spać się położył i przykazał surowo warcie, żeby nie mówiła przed nikim, że wyjeżdżał téj nocy. Przybyli zdać sprawę porucznik z chorążym od chorągwi Łaszczza; Zamojski budząc się ze snu, zapytał:

— Jest tam kto? abo słyhać co o nieprzyjacielu?

— Nie, miłościwy panie, przyszliśmy tylko opowiedzieć żalną nowinę, że nam podczas snu ktoś chorągiew pochwycił.

— Moi panowie, wielce was żałuję, ale skoro dzień, w wojsku każe otrąbić, jeżeli kto nie znalazł waszój chorągwi.

Porucznik i chorąży padli mu do nóg, żeby im tego wstydu przed całym wojskiem nie czynił. Więc kazał przynieść chorągiew i dał im dobrą łacinę, żeby inaczéj powinności swéj dopełniali.

Drugiego albo trzeciego dnia wrócił hetman z Gdańska, a Zamojski ruszył ku domowi, i przyjechał do Zamościa w końcu listopada 1626. Na sejmie nie był obecny; z tego powodu pytano się u dworu, jeżeli nie malkontent odjechał (1); ale tak było, że domowe sprawy pilnie potrzebowały jego bytności. Do Warszawy wysłał Piotra Oleśnickiego i starał się o buła-

(1) List pisany cyframi do Tom. Zamojskiego 16 grud. 1626.

wę polną. Współcześnie starał się o nią Stanisław Lubomirski starosta sandomierski. Koniępcowski nalegał i prawie z płaczem prosił, żeby król jednego z tych dwóch panów dodał mu do pomocy (1); król wahał się w wyborze, a rzecz publiczna cierpiała na tém.

Trudy obozowe zrujnowały zdrowie Zamojskiego: trzeba je było ratować lekarstwami. Z tego powodu pisał do hetmana: „Wolałbym się na koniu widzieć przy waszmości, niż na łóżku z plastrem. A to tak prędko kaleczę, jako źrebiec po starym ojcu. Podobno on i za mnie i za siebie Rzplitej odstąpił. Ale przecie będę się otrząsał póki Pan Bóg żywota użyczy, i będę pomagał miłej kompanii waszmości (2).“

Chorągiew kwarcianą, którą miał w wojsku, pieniędzmi i żywnością opatrywał, gdyż zwyczajnie oprócz żołdu Rzplitej, na każdego konia z własnej szkatuły dopłacał. Pod jego niebytność niektórzy panowie odwabili mu z pod chorągwi niemało towarzystwa, ale gdy przyjechał Andrzej Drwalewski z pieniędzmi, nietylko chwiejących się utrzymał, ale i tych, którzy powyjeżdżali na dawne miejsce zaciągnął.

Trzy tysiące albo więcej zaciężnych Niemców weszło do Prus, żeby połączyć się z wojskiem Gustawowem. Koniępcowski dnem i nocą idąc zeszedł ich niespodzianie w Hamersztajnie, otoczył i do poddania się przymusił. Pozwolił na to, żeby poszli nazad wydawszy broń, znaki wojenne i dowódców, którzy ich zaciągali. Chorągwie na pamiątkę tego zwycięstwa zostały zawieszane w Warszawie w kościele farnym: a kto chce wiedzieć o szczegółach téj rozprawy, niech przeczyta relacją Łukasza Miaskowskiego, która była w druk podana.

(Dokończenie nastąpi).

(1) List cyframi pisany do Tom. Zamojskiego 10 marca 1627.

(2) Tom. Zamojski do Stan. Koniępcowskiego 30 kwiet. 1627.

CHOROBA SERCA.

OPOWIADANIE.

NAPISANE

Mr. Restkowski.

Mimo krótkich wieczorów w letnich miesiącach, raz przyjęty zwyczaj zbierania się na pogwarkę w domu państwa W^a, od lat kilku nie ulegał zmianie; dlatego i w czasie grasującej w r. z. epidemii tém chętniej, jakby w jedno rodzinne kółko, łączyli się znajomi i przyjaciele. Niepewność czy jutro nasze, strach paniczny, smutek, jakby za pośrednictwem telegrafu elektrycznego udzielający się mieszkańcom Warszawy: usprawiedliwiał te odwiedziny i robił je niejako koniecznymi. Tu jedni drugim udzielali czasem prawdziwych, a czasem przesadzonych wiadomości o zaszłych wypadkach; tu pocieszano się wzajemnie, tu zapominano o czarnym kirze, który co dzień w ciszy i ponuro przesuwiał się po ulicach miasta. Kiedy ustała pogwarka o cholery, wówczas jaki zręczny dowcip, jakaś naukowa rozprawka lub powiastka, przerywały myśl towarzystwa, prawie zawsze skierowaną do ciężającej nad nami plagi, i wtenczas oczy wszystkich zwracały się na mówiącego lub czytającego: każdy zapominał o niebezpieczeństwie, każdemu spokojność wracała na oblicze, i nieraz głośny śmiech wydobyl się z piersi cisniętej przed godziną bolesném jakim wspomnieniem. W takiemto zebraniu w jednym z dni miesiąca sierpnia, wtenczas, kiedy cholera do najwyższej cyfry posuwała ilość swoich ofiar, słyszałem opowiedziane zdarzenie, które chciałbym wam dosłownie powtórzyć.

Nie wiem jakie nadzieje, mówił jeden z obecnych, jakie były widoki i marzenia rodziców, kiedy po raz pierwszy usłyszeli mój krzyk niemowlęcy. Nie wiem, czy w przyszłości myśleli widzieć na głowie jedynaka infułę, czy na ramionach togę, czy mundur lub bluzę; za to tylko ręczyć mogę. jak się później przekonałem; że ani sobie życzyli, ani się spodziewali słyszeć o synu, jako o lekarzu i to lekarzu zachwalonym, że powiem błogostawionym; a przecież, choć na chwilę przed śmiercią, ojciec miał tę niepokieszającą pociechę. Co mu zawinił szlachetny zawód doktora, dlaczego nie dał sobie o nim słówka nasunąć?—tego nie wiem, i nigdy nie badałem; zaś o tém, co dziś opowiem, nigdy najmniejszej nie uczyniłem wzmianki, nigdy się z tém nie pochwaliłem, aż zbieg okoliczności zmusił mię przed samą śmiercią ojca, przyznać się do dziwnej mojej doktoryzacji.

Roku 1837, w jednym z pięknych dni lipcowych, wtenczas, kiedy epidemia z cokolwiek większą grzecznością oddawała Warszawianom wizyty: z bramy gmachu pocztowego wyruszał dyliżans na trakt petersburski. W dyliżansie oprócz dwóch młodych i ładnych kobiet, było również dwóch mężczyzn, to jest ja, i mój przyjaciel Edward S. Po małej chwili stanęliśmy na moście.

Turkot karety, zmieniające się postacie ludzi, przebieganie w przeciwną stronę kamienic, zresztą myśl, czy wróciwszy za rok lub więcej, zastanę przy życiu tylu znajomych, tyle kochanych i miłych mi osób, zwłaszcza, gdy ich opuszczam wystawionych jakby na rotowy ogień, bo pod czarném berłem epidemii:—ta mój myśl zajęła całą moją istność, nie dała czasu spojrzeć na sąsiadki, zaskarbić sobie, a przynajmniej ułożyć planik do pozyskania grzeczności i łaski pięknych towarzyszek podróży; słowem, byłem jak to mówią „sam nie swój”. Zbyt długo mogłem pozostać w takiej zadumie, gdyby nie potrącenie, którem mnie uczył mój towarzysz Edward.

Nie ze wszystkiemi rad z téj grzeczności, gdy zabierałem się do zrobienia mu małej uwagi, on wskazując rzutem oczu na sąsiadki, szepnął mi do ucha:

— Wacławie! tyś Warszawiak, więc bądźże grzecznym i zabaw nasze damy; bo inaczej, to ja, wieśniak, będę zmuszony zawstydić cię—i pokreć potężnego, lecz starannie ułożonego węża.

Wiedziałem dobrze, że Edward dotrzyma słowa. Byłto bowiem człowiek żywy, dowcipny aż do złośliwości, przed kilką laty dandy warszawski; a chociaż wieś, na której obecnie zamieszkał, obejście jego zrobiła nieco szorstkiem; chociaż słońce częściej spotykając pana Edwarda na polach, białe i delikatne oblicze śniadością pokryło: przecież śliczny rys mężki, żywość oczu, jedne i też samo pozostały. Nie miałem więc nie przeciw rozpoczęciu pogawarki, szepnąłem tylko:

— Odstępuję ci pierwszeństwa: ja nie znajduję pobudki.

— Jakto?... nie znajdujesz pobudki?... Profanie!! spojrz na oczy brunetki: jakie życie! jaki ogień!.. A blondynka? Przysięgam, muszę je zaczepić—i nie czekając, z wielką układnością zwrócił mowę do brunetki:

— Z minięciem rogatek, zdaje się, że nowe życie wstępuje w człowieka; i panie zapewne to czują?

— Tak—odpowiedziała zapytana, i na tém skończyła.

— Trudno, żeby kto z nas jadących nie zostawił kogoś z drogiech lub przyjaznych mu osób—mówił dalej Edward zwracając się do blondynki;—a jednakże przyznają panie, że mamy zarazem i pociechę ujeżdżając przed cholerą.

— Zdaje się—odrzekła blondynka, i jak tamta ucieła.

— Za to—mówił dalej Edward—ileż przyjemności, ile pociechy, gdy wszystkich zastanie się w pożądaném zdrowiu, bo zapewne panie wracają do Warszawy.

— Może—odrzekła brunetka.

— Jakto? więc nie napewno panie powrócą? Czyż nie obchodzi je Warszawa?

— Nie—odrzekła niedbale blondynka.

— Darują panie, ale to się niegodzi: Warszawa miasto pełne rozrywek, zabawy, nowości, tyle każdego zajmujących; miałyżby panie wśród wszystkich być wyjątkowemi?

— Tak—przerwała brunetka.

— A pani równie nie jesteś wielbicieleką Warszawy?— spytał raz jeszcze blondynki.

— Nie—odrzekła zapytana i zamilkła.

Umm... mruknął przez zęby Edward i szepnął mi do ucha:

— Przekleństwo tym kobietom, żeby zaniemówiły! Czyliż one umieją tylko tak, i nie?

— Przepraszam,—odrzekłem Edwardowi dusząc się od śmiechu—umieją jeszcze jeden wyraz: może.

— Masz słusność, trzeba więc zacząć na nowo; kto wie, czy nie wydobęde co więcej, a wtenczas niczém *l'abbé de L'Épée*, niczém Falkowski; — to mówiąc rozpoczął atak.

— My z przyjacielem jedziemy do Pultuska: panie zapewne dalej?

— Tak—odrzekła brunetka.

— Jeżeli na tej stacyi nie będzie nowych podróźnych..... będzie może smutno?

— Nie—odpowiedziała blondynka.

— Ależ dla Boga! nie może być!... Więc panie nie lubią większych zgromadzeń, liczniejszych towarzystw?

— Nie—ozwała się brunetka.

— A więc panie z całą zimną krwią opuszczają Warszawę?

— Tak—odrzekła blondynka.

— To nie do zniesienia!—szepnął mi z gniewem Edward, odwracając się od kobiet.—Patrz, one nawet zapomniały trzeciego wyrazu: może. To jawne szyderstwo, gotów jestem odpłacić im niegrzecznością.

— Dajże pokój, mój Edwardzie: nie miałbyś wcale słusności. Poprobuuj jeszcze.

I mój pan Edward zaczynał ze wszystkich źródeł, zaczął z każdej strony; ale jak na złość *tak i nie* gradem leciały z pięknych usteczek naszych towarzyszek: więcej ani słowa. Wreszcie grymasy, krzywienie twarzy, niecierpliwość Edwarda do tego stopnia były zabawne, że mimowoli na głos parsknąłem śmiechem.

Edward spojrział na mnie dziwném okiem; potem uśmiech przebiegł mu po ustach, zamyślił się, i zaledwie po kwadransie szepnął mi do ucha:

— One przecież muszą umieć więcej; niech do domu nie dojadę, jeżeli cię nie przekonam.... jeżeli jedna przez drugą nie będą szczebiotały.

Znałem aż nadto Edwarda; wiedziałem, że w obejściu się z kobietami był zręcznym, miał tysiące pomysłów, które doprowadzały go do celu; ale tu nie byłem pewny, czy jego dowcip przyda się na co. Siedziałem więc spokojny i prawie drzemiący.

— Waclawiel!—zawołał po chwili półgłosem, tak jednak, żeby nasze towarzyszki słyszały,—wiesz, że robi mi się niedo-

brze... mdło mi— i przy tych wyrazach zrobił szczególnie dziwne oczy; sam nawet przeląkłem się.

— Co mówisz?—zapytałem— słabo ci?

— Tak, słabo mi... ściska— i trącając mnie łokciem, pochylił głowę w tył, a rękę przycisnął do piersi.

Nasze damy w mgnieniu oka pobladły, spojrzwały jedna na drugą, potem sięgnęły do woreczków, i prawie razem zawołały:

— Pozwól pan... oto krople anticholeryczne, oto pastylki miętowe!...

— Słabo mi... bardzo słabo!—jąkał dalej Edward.

— Ależ przez litość zażyj pan kropli—mówiła brunetka nalewając nektaru na kawałek cukru.

— I pastylki są dobre—wołała blondynka.

— Niech pan weźmie ten cukier.

— Przegryś pan pastylkami.

— Prędzej panie, prędzej! Boże mój, żeby tylko nie cholera!

— Jakże panu teraz? — pytała blondynka, widząc, że Edward oburącz pakował w usta pastylki i cukier z kroplami. Ja zaś zaledwie mogłem wstrzymać się od śmiechu, a tём samém ratunku żadnego nie dawałem.

— Lepiej mi, o! stokroć lepiej, anioły opiekuńcze! Ależ ty Wacławie jak mogłeś pozwolić na tyle utrudzenia?... Straciłeś widzę przytomność.

— Trudno panie—przerwała brunetka—w podobnych wypadkach do kobiet ten przymiot należy.

— Na końcu świata, z serca, z własnego doświadczenia powtórzę pani zdanie—przemówił z wyrazem podziękii Edward.

I od tej chwili przegryzając pastylki mój pan Edward, prowadził jakby ze znajomemi sobie ciągłą, nawet wesołą rozmowę. Ja także kiedyniekiedy wtrąciłem słówko. Towarzyszki podróży ciesząc się dobrym skutkiem lekarstw, z wesołością, jedna przez drugą, jak się wyraził Edward, szczebiotały. Dowiedzieliśmy się tyle, ile tylko delikatność pozwalała być ciekawym; tak dalece, że kiedy trąbka poczytliwa dała znać, że dojeżdżamy do Pultuska, z serca złorzeczyłem krótkości drogi. Nic przecież naszemu rozstaniu się zapobiedz nie mogło, a wpół godziny, po kilkunastu ukłonach z jedną i drugą stroną, widzieliśmy tylko wznoszący się tuman kurzu za pędzącym naprzód dyliżansem.

— Były i nie ma ich—odezwałem się do Edwarda, z którym postępowaliśmy w głąb miasteczka, dla odszukania koni, które po nas ze wsi przyjść miały.

— Nieme, i mówiły; takto się wszystko dzieje na tym bożym świecie—odrzekł śmiejąc się Edward.

— Zawsze jednak z ciebie trzpiot, pustak, mój przyjacielu; a gdyby też kara Boska!...

— Czyliż zawiniłem tym postępkim?—odrzekł Edward—alboż Pan Bóg nie znał mojej myśli?...

— Zawsze to żarty, a żarty z Twórcą!...

— Zbyt mało znasz mnie przypuszczając, abym śmiał żartować z Boga. Ten, co zna najskrytsze tajniki serc ludzkich wie o tém, że żartowałem z kobiet. Wreszcie nie pomyślałem nawet, że to może być grzechem. Tylko wiesz mój przyjacielu, te przekłete krople ledwie mi ust na drugą stronę nie wykręciły. Biedaczka, nie żalowała doży: dotąd język mi palą.

Tak rozumując doszliśmy miejsca, gdzie konie czekały; lecz dla interesów, które Edward miał załatwić na miejscu, podróż o kilka godzin spóźnić się musiała. On więc poszedł w swoją stronę, a ja zapragnąłem obejrzyć miasteczko, które niegdyś było rezydencją książąt pultuskich (1), biskupów płockich, a dziś jest tylko rezydencją tytułu ostatnich. Chciałem przyjrzyć się zblizka zamkowi, i przebiez chociaż niektóre zakątki miejsca znanego w naszej historii.

W téj przechadzce, na ulicy zwanéj Stare Miasto, doszedł mnie jęk bolesny i płacze dziecięce. Zbliżyłem się do zapadłego nawpół dworku z którego słyszałem głosy, i widziałem w jednéj izbie prawdziwy szpital cholerycznych. Ojciec na lichém łożu, matka na ziemi przy mężu, dwoje starszych dzieci na pęku słomy, wili się niemiłosiernie z boleści i kurczów; zaś dwoje najmłodszych, wrzeszczały na całe gardło. Jedna tylko kobieta krzątała się koło nawiedzonych chorobą, to z miętą, to z rumiankiem, to z gorącym popiołem lub ogrzane-mi cegłami; ale naraz wszystkim nastarczyć, przechodziło siły kobiety. Spytałem więc:

(1) Dotąd w kościele farnym w Pultusku, w pięknej kaplicy, znajduje się nagrobek biskupa dyecezyi płockiej na Szeptycach Szeptyckiego, z wyrażeniem: książę pultuski.

— Czyliż tu nie istnieje żaden szpital, albo czy nie ma doktorów? moja matko.

— Są, łaskawy panie, jest wszystko, ale ci biędni zachorowali tak prędko jedno po drugim, że doktor może teraz dopiero dowiaduje się, i tylko go patrzeć.— Jakoż ujrzałem we drzwiach spokojne, miłe oblicze doktora, stojącego tu pułku, za nim przybiegł chirurg również wojskowy, a następnie kilkoro osób z sąsiedztwa.

Pocziwy doktor obejrzał każdego chorego z ojcowską troskliwością, i zwróciwszy się do mnie, powiedział nieco ciszej: „niewiele tu nadziei”!...

Następnie kazał grzać piasek, sypać go w woreczki, okładać nim słabych i dawać pić zimnej wody ile można najwięcej; zaś fclczcr miał poleccone dopilnować, aby tarcie nóg i rąk nie ustawało.

Za wychodzącym i ja pospieszyłem, dziwnym mi się bowiem zdawał ten sposób kuracyi; jakoż zapytałem:

— Przebacz szanowny konsyliarzu, czyliż rodzaj takiego leczenia przynosi kiedy dobry wypadek?

— W ostatnich razach—odpowiedział—używa się wszystkiego; dwa przeciwne działania, zewnątrz i wewnątrz, mogą przynieść pożądany skutek, tém więcej, że na wielu ludziach z naszego pułku miałem jawne dowody. Już tu bańki, pierwsze zwykle używane środki, i najgwałtowniejsze lekarstwa są zapóźne. Uważałeś pan—mówił dalej—że nawet zwyczajne chorobliwe objawy ustały; zbytek wody wzbudzi je może, zaś ciepło zewnętrzne pomoże do ewaporacyi, z którą dopiero wróci nadzieja.

Rozważaliśmy jeszcze chwil kilka; potem on udał się do innych chorych, a ja nie mogłem przenieść na siebie, aby nie wrócić na Stare Miasto.

Czynność tu panowała w całym znaczeniu; ja tylko jeden byłem smutnym i ciekawym widzem. Nikt się mną nie zajmował, mogłem więc nie *dolce far niente*, ale *doloroso* rozmyślać nad znikomością rzeczy ludzkich, nad życiem człowieka, nad jego siłą, z której się nieraz zbyt nieogłędnie chlubi; i byłbym długo tak pozostał, gdyby nie krzyk rozpaczcy sąsiadów, na ponawiające się zwyczajne oznaki epidemicznej słabości w samym początku.

Wtenczas ja, pewny słów doktora, pocieszony, zawołałem na całe gardło: *victoria!* będą zdrowi, przykrywać ich czém można.

Troje chorych, to jest: ojciec, matka i jedna dziewczynka zaczęli usypiać, czwarte tylko zasnęło od kilku minut snem wiecznym; a że więcéj nie miałem tu co robić, wracałam więc do Edwarda.

— Czy zabłądziłeś, mój przyjacielu?—zapytał tenże trącając mię zlekka po ramieniu— szukam cię od półgodziny, i zdaje mi się, że mógłbym szukać do jutra, gdyby nie zdarzenie...

— A to jakie?— zapytałam.

— Spotkałem dwóch zdaje się obywateli miasta, opowiadających sobie o doktorze, tylko co przybyłym z Warszawy, który z miejscowym wojskowym lekarzem już próbuje praktyki na Starém Mieście. Z opisu poznałem ciebie, biegłem więc co prędzój, żeby szanownego konsyliarza nie porwano w inną stronę, bo w takim razie albo musiałbym cię zostawić praktyce, albo konie słuchałyby na środku rynku najczyściejszój retoryki.

— Rzeczywiście, byłem razem z doktorem w domu, gdzie cała prawie rodzina uległa epidemii.—Tu opowiedziałem mu wszystko, com widział i co zauważałem.

— A zatém, ci dwaj poczciwcy nie mylili się nazywając cię doktorem—przerwał mi Edward.—Rozprawiasz jak z kartą, dowodzisz jak Eskulap: słowem, od dziś jesteś doktorem.

— Żartuj sobie, żartuj— odpowiedziałem Edwardowi— ale gdybyś był ze mną, patrzył na cierpienia tych nieszczęśliwych, pewny jestem, że ominęłyby cię żarciki.

— Dziś nie jestem usposobiony do płaczu, mój przyjacielu; ale przecież i to bywało. Zresztą dajmy temu pokój, a spieszmy siadać na bryczkę. Moje bieguny, jak to wiesz w gospodarstwie, niekoniecznie wyglądają na młynarskie: obroku niewiele, trzeba spieszyc do domu.

Tak rozmawiając doszliśmy rynku, z którego ruszyliśmy na trakt prowadzący do Ciechanowa.

* * *

Gdybyśmy naszą podróż odprawiali w jesieni lub w czasie wiosny, miałbym co do opowiedzenia, bo droga od Pultuska do

Ciechanowa w tych porach roku jest prawdziwem piekłem, topieliskiem, gdzie nieraz wysiadłszy z bryczki dla umniejszenia ciężaru, można bez siadania, bez obcej pomocy pozbyć się najniższej części ubioru i lekko deptać grunt itowato-gliniasty: lecz w lipcu wcale co innego: droga jak po stole, kurz nie dusi jak na szosy, koła toczą się jak szalone. Przecież interesa Edwarda nie dały nam wyjechać aż nad wieczorem, i dlatego dobrze już było ciemno, gdyśmy stanęli w mieście, niegdyś ulubioném ustroniu królowej Bony. Na tle czystego nieba, czarno odbijały się reszty dwóch baszt obronnego przed parąset laty zamku, małe domki i kościół tworzyły coś fantastycznego, a cichość, brak wszelkiego ruchu i światelka w oknach, po gwarze Warszawy nasuwały mi dziwnie ponure myśli.

Edward kazał zwrócić na rynek i niebawem stanęliśmy przed karczmą, gdzie po cztero-milowej podróży koniom wytchnąć należało.

— Zsiadaj przyjacielu — zawołał Edward — konie się popasą, a my wstąpimy na szklankę wina lub miodu; zresztą i głodny jestem.

— Zgoda — odrzekłem, i szedłem za Edwardem.

Miejsce do któregośmy weszli, było, jak się później przekonałem, głównie uczęszczane przez urzędników i przez okoliczną szlachtę. Tu dobijano zgody w czasie jarmarków, tu załatwiano spory w obec sądów polubownych, tu zawierano kontrakt, tu nakoniec przychodziło do czubów; co wszakże zbyt rzadkim było wypadkiem, bo Abram, właściciel zakładu, żyd poważny i dbały o sławę, wolał z jednego jarmarku stracić dukat, byleby następne przyniosły mu dziesięć. Dlatego ile możliwości nie dopuszczał kłótni, a tém więcej bijatyki. Jak wyżej powiedziałem, przybyliśmy do Ciechanowa dość późno; nie zastaliśmy nikogo więcej, prócz tamtejszych mieszkańców.

— Dobry wieczór, panie Abram — zawołał wchodząc Edward — cóż tu u was słychać?

— O! co słychać! — odrzekł żyd z westchnieniem. — Żle, i bardzo źle słychać: wnuczek mi umarł. Wielmożny pan go znał, takie śliczne dziecko! Oj waj! oj waj! to serce się radowało, a teraz się rozpękuje.

— Szkoda, wielka szkoda dzieciaka, mój Abramku; ale cóż robić: taka wola Pana Boga — dodał żałośnie Edward.

— I jeszcze jedna szkoda, Wny Panie: moja żona takó¿ bardzo chora, i... oj waj! oj waj! jój mo¿e i na śmierć przyjdzie—tu żyd jął rzewnie płakać.

— A có¿ znów Abramowój?

— Ny, a co być mo¿e innego, jak nie cholera! Żeby ona sobie już poszła gdzie na koniec świata; za co tu nas biednych męczyć.

— Czy wołaliście doktora?— zapytał Edward.

— Doktora? a z kąd doktora? Pan wie, że tu nie ma ciągle doktora; jak jest, to przyjeżdża z Pultuska albo z Przasnysza, a nasz starozakonny fclczcr, co on tu mo¿e doradzić? Oj waj! oj waj! biedni my ludzie.

— Czy mo¿na widzié Abramowó?

— Za co nie: ona tak bardzo stęka, że aż strach!—to mówiąc podniósł się i poprowadził Edwarda do przyległej izby.

Przez ten czas wypróziłem szklanke wina i przegryzałem wyborny sér żuławski, którego tu, jak się zdaje, mają podostatkiem.

Niedługo gospodarz z moim towarzyszem bawili u chorój. Na ich twarzach przy wyjściu dziwne malowały się uczucia: Edward zdawał się wstrzymywaé od uśmiechu, a żyd z jakąś radością i niesmiałością zbliżał się do mnie.

— JW. Panie—mówił żyd klaniając się kilkakrotnie—jesteś młody, bardzo młody: to widać na jego policzkach i na jego brodzie; ale dlatego Bóg ci dał mądrość jako Dawidowi i Saulowi i Salomonowi, to nie ma do tego. A kiedy jesteś tak bardzo mądry choć tak młody, pewnie ci Pan Bóg dopomo¿e wykurować moją żonę. Ja wiem, że ty nie chcesz nigdzie kurować, że ty się zapierasz żeś doktor; no, ale ja już wszystko wiem. Ten Wielmo¿ny Pan—mówił dalej wskazując na Edwarda—zna dawno, bardzo dawno starego Abrama, i on mi to wszystko opowiedział. Jaśnie Wielmo¿ny Panie! ratuj moją żonę!

Zglupiałem na takie *dictum acerbum*: prędjéj śmierci byłbym się spodziewał, ni¿eli podobnego figla ze strony Edwarda, który w téj chwili odwrócił się do okna i bębnił palcami po szybie.

— Mój przyjacielu — odpowiedziałem żydowi — jesteś w błędzie: ani jestem, ani byłem doktorem. Pan Edward żartował tylko.

— Pan Edward? — przerwał żyd — ny, pan Edward nie, jest taki zły człowiek; pan Edward nie żartowałby zo starych, którzy go jeszcze małym bachorkiem znali. Co on powiedział, ja bardzo wierzę; a on powiedział, że Jasny Pan tylko przejeżdżasz do Królewca, gdzie się jeszcze wiele rzeczy masz wyuczyć, i że nie chcesz tutejszym doktorom wydzierać kawałka chleba.

— Ale przysięgam ci na Boga, że nie jestem doktorem, ani nim być myślę, i żony twojej leczyć nie będę.

Tu dał się słyszeć jęk w izbie, gdzie chora leżała.

— Słyszysz JW. pan, to moja żona tak stęka. Oj waj! oj waj! ja pana nie puszcze, ja będę gwałt krzycheć. Pan jesteś chrześcianin, pan jest katolik, no, to jak JW. pan swojego katolickiego Boga kocha, to niech ratuje biędną kobietę; co pan chcesz ja zapłace, ja wszystko oddam, ratuj tylko moję żonę Ryfkę.

Żal i złość naprzemian mną miotaly, i kiedy już miałem wybuchnąć z tysiącem wyrzutów na Edwarda, on w tój chwili odwrócił się, i z zimną do niepojęcia twarzą przemówił:

— Daj się uprosić, mój przyjacielu! Wydałem się z sekretu, ale cóż robić? Abram poczeiwy człowiek, trzeba dopomódz.

W tój chwili stanąłem przy Edwardzie i szepnąłem mu do ucha:

— Trzeba być nieczłowiekiem! Narażasz mnie i żydówkę; widzę, że ciebie życie ludzkie nie obchodzi, i wierz mi, że lękam się jechać dalej z tobą.

— Poezye, poezye! — odrzekł mi równie na ucho — jak każdemu wolno chrzcic w razie niebezpieczeństwa, tak każdy kto tylko ma cokolwiek więcej oświaty, powinien spieszyć z ratunkiem choremu bliźniemu.

— Ale jakieżś dziwny! Czyż ja mogę dać ratunek? chyba zabić.

— Rób co możesz, co ci się zdaje: w własném sumieniu nie będziesz odpowiedzialny.

— Dlaczegoż ty — zapytałem Edwarda — nie weźmiesz się do tego?

— Ja? a to doskonale. Ja? co nie pamiętam kiedy byłem w szkołach; ty zaś świeży przykład leczenia miałeś w Pułtusk. Zresztą nie lecz, ale się staręj pokaż.

W tój chwili nowy jęk dał się słyszeć z przyległej izby, i żyd porwawszy mnie za rękę, gwałtem pociągnął do choręj.

W jednym okamgnieniu przesunęły mi się wszystkie ważne zdarzenia mojego życia. Ani pierwsza godzina w szkole, ani żadne examina i popisy, ani przerażenie, jakiego doznałem kiedy w wieku młodzianiska zeszedł mnie ojciec u nóg równie młodej, a nawet dziecka panienki, nietyle mię przestraszyły; słowem, nie wiedziałem gdzie i na czém stoję. Patrzyłem więc w żydówkę kamienném okiem, co jeszcze większego nabawiło mię kłopotu, bo Abram wziął to za głęboką naukę, za gruntowne badanie; to téż złapał mię za nogi i zawołał:

— Widzę, widzę JW. Panie, żeś człowiek bardzo mądry. Ty tak patrzysz, tak patrzysz! Oj waj! ratuj moje Ryfke!..

Głowę miała zimną, ręce i nogi wolne, ale wszelkie inne cierpienia dowodziły jawnie napadu e, idemii. Domyślcie się zatem, że użyłem środków dopiero co praktykowanych przez doktora w Puttusku: zrobiłem też same zastrzeżenia, i jak z łaźni wyszedłem do gościnnéj izby, rzuciłem się na krzesło, zamknąłem oczy jak zbrodniarz, który słucha wyroku, a nie chce widzieć szafotu. W duszy modliłem się do Boga z takiej głębokości serca, jakiej nie pamiętam, i słuchałem, czy tylko krzyk rozpaczny nie doleci mnie z izby, gdzie leżała chora, otoczona kilkunastą osobami z rodziny i znajomych. Wreszcie przyszło mi na myśl, żeby jak najprędzej uciekać od wypadku śmierci, który i bez mojego leczenia był bardzo naturalnym; dlatego zawołałem:—Edwardzie, jedziemy i to natychmiast jedziemy! Nie wystawiaj mnie na dłuższe męki.

Jakoż nawet bez widzenia się z Abramem opuściliśmy Ciechanów. Przeszło kwadrans jechaliśmy w milczeniu: ja nie wiedziałem czy żyje, a Edward drzemał; dopiero gwałtowny grzmot zbudził nas obudwóch. Przeciąga błyskawica pokazała nam, że zjeżdżamy w rów, i Edward krzyknął:

— Stój! stój mazgaju!— i już leżeliśmy w dole.

To jawna kara Boska, pomyślałem, i téj myśli udzieliłem Edwardowi, który klął niezgrabnego woźnicę.

— Zdaje mi się—mówiłem dalej—że żydówka pewnie w téj chwili skoła.

— Co ci się marzy?—odrzekł Edward.—Ja mam przecucie, że będzie zdrową, bo czyliż robiliśmy w chęci zysku? Ale to szczególna, że po pięknym wieczorze w kilka godzin taka burza! Nie postrzegalem żadnej chmurki.

Pomogliśmy woźnicy dźwignąć brykę, urządziliśmy napowrót siedzenie, i wśród najcięższego deszczu stanęliśmy w domu.

Gdyby nie znużenie podróży, nie przemoknięcie do nitki i nie złe zakupienie placu w rowie, pewnie nie zasnąłbym przez resztę nocy; tymczasem obudziłem się dopiero wtenczas, kiedy moi gospodarze jedli drugie śniadanie.

Sen był lekarstwem na wczorajsze zdarzenie. Edward śmiejąc się, dowcipkując, opowiadał wszystkim moją praktykę, tak dalece, że sam z siebie śmiać się musiałem. Kieliszek wina jeden i drugi dodał nam jeszcze więcej wesołości, a figiel mojego przyjaciela wydał mi się tak doskonałym, że mu wszystko przebaczyłem. Lecz jakąż wesołość długo trwać może? Właśnie w tej chwili, kiedy wznosiliśmy kieliszki za zdrowie pani Abramowej, dał się słyszeć tętent na podwórzu. Spojrzałem w okno i ujrzałem, zgadnijcie państwo kogo?...—żyda Abrama, pędzącego kurcgalop prościuteńko do dworu. Kieliszek wypadł mi z ręki.

— Rób co chcesz—zakrzyknąłem do Edwarda—ja się kryję.

Można sobie wyobrazić, co się we mnie działo... Czekałem żyda jako wyroku na śmierć, czekałem jego przekleństw i złorzeczeń jak ciężkich śmiertelnych razów, a jednak ciekawy byłem, co będzie mówił; przyłożyłem więc ucho do dziurki od klucza i słyszałem:

— Wny Panie—krzyknął żyd wchodząc—Bóg wielki niech będzie z wami, niech ci wszystko szczęście daje! Bogdajes się ożenił z JWPanną, żebyś miał dzieciów pięknych jak gwiazd na niebie! Oj! waj! Abram teraz żyje, bo i jego Ryfka żyje, i nie chora, bo jeść wrzeszczy—i dalej całować ręce i kolana Edwarda, dalej przedłużać błogosławieństwa.

Odetchnąłem, podskoczyłem z radości: kamień zleciał mi z serca.

— A gdzie Jaśnie Wielmożny doktor? niech ja jemu ucałuję ręce, niech ja jemu popatrzę. To tak młode, a takie mądre.

Nie czekając wyszedłem. Żyd rzucił się do mnie jak na swoje zdobycz, tylko że nie z pazurami, ale z uściskami, z błogosławieństwami i pokłonami.

— Dlaczegoż ją opuścisz, mój przyjacielu?—zapytałem żyda.

— A kłoby podziękował, a kłoby to oddał—i tu jął z sakwy wydobywać pomarańcze, cytryny, figi, kawę, herbatę i inne drobiazgi.

— Nie jestem tak bardzo bogaty żyd, żebym zapłacił Jaśnie Panu jak przystało, a podarek zawsze podarkiem.

— I to niepotrzebne, mój bracie.

— Jak niepotrzebne, czemu niepotrzebne? A mnie pan był potrzebny, a mojej Ryfce pan był potrzebny? a naszym dzieciom, naszym wnukom JPan był potrzebny? I żyd umie być wdzięcznym, to téż Jaśnie Panowie muszą tego przyjąć.

Kiedyśmy tak rozmawiali z żydem, i Edward zabierał się poczęstować go kieliszkiem francuskiej wódki, dało się słyszeć głośne szczekanie psów na podwórzu.

— Komu tam otwierają bramę, ciekawy jestem.

— Ny, jaki ja głupiec!—zawołał żyd uderzając się w czoło—nie powiedziałem co miałem powiedzieć. To jeden pan Alfons, syn kommissarza od JWój sędziny R. Wny Pan wie: ona także bardzo chora na cholere, i ja wstąpiwszy po drodze powiedziałem, że tu jest taki wielki doktor, co moję Ryfkę wykurował. Ona téż zaraz kazała jechać po pana; a panna Marychna jój wnuczka tak pięknie prosiła pana Alfonsa, tak na niego spoglądała, że on zawiązał się choćby gwałtem zabrać JWgo Pana: a to bardzo można pani!

Mimowolnie przysiadłem, pot na mnie wystąpił i pomyślałem: otóż mości zaimprovizowany doktorze, wpadłeś w kałatę z Jaśnie Wielmożną sędzią, z panią Marychną i z synem pana kommissarza, co tak na siebie mają pięknie spoglądać. To sprawa nie z Abramową; trudno, ani krok za drzwi, a jeżeli mi ją tu przywiozą, to chociażby kominem uciec muszę.

Niebawem wszedł i pan Alfons: byłto człowiek wieku równego prawie ze mną, przystojny w całym znaczeniu tego wyrazu, a w twarzy malowała się dobroć i nieco melancholii. Edward przywitał go po sąsiedzku i przedstawił mnie jako swego przyjaciela.

— Wiem już o wszystkiém— odrzekł Alfons—pocziwy Abram opowiedział nam każdy szczegół; i gdyby téż nie nadzieja, że konsyliarz jest twoim przyjacielem, nie byłbym się może puszczał w drogę z zamiarem wyrwania ci na chwilę doktora. Ale ty mi pomożesz, połączysz swoje z mojami prośbami....

— Ależ panie—przerwałem.

— Nie słucham, panie, nie słucham. Osoba, która jest słabą, w panu ma nadzieję; mnie zakłęto i przysiędz musiałem, że pana przywiozę: jej wnuczka ze łzami przez usta moje prosi. Dwie godziny drogi, czyż wielkie utrudzenie!

— Ale pozwól panie słowo sobie powiedzieć: nie byłem, nie jestem i nie będę doktorem...jakżeż...

— Dosyc, dosyc, toż samo mówiłeś wczoraj, szanowny konsyliarzu Abramowi, a jednak pokazało się inaczej.

— To wypadek, to zdarzenie, to opatrność Boska—wołałem prawie z rozpaczą.

— Więc dobrze: jeżeli cię panie Opatrzność wybrała za swoje narzędzie, czemuż nam masz odmówić pomocy? Jeżeli ty nie pojedziesz, ja tam już nigdy nie będę; a doktorze, sam młody, masz serce i ja jestem młody.

— Edwardzie! — zawołałem zwracając się do niego—wiesz, ile twoja nierozwaga, twoje roztrzepanie narobiło mi kłopotu. Zawierz mi panie, nie jestem doktorem: jestem urzędnikiem z Warszawy—powiedziałem znów do Alfonsa—zabić mogę, ale wyleczyć, to sam Bóg tylko.

— O tém wszyscy wiemy, a doktor choćby najlepszy, Bogiem nie jest; jednakże bądź co bądź, pan nie odmówisz wizyty. Nie mówię mu o nagrodzie, boym ubliżył delikatności i sercu pańskiemu; ale ręczyć mogę za dozgonną wdzięczność słabój, moję i jeszcze jednę osobę, która jest sierotą, wnuczką cierpiącą.

Nie wiem co jest takiego w wielu ludziach, że raz rzuceni fatalizmem na jakąkolwiek drogę, mimo wewnętrznej chęci nie mogą oprzeć się pędowi i naprzód postępują. Ja na sobie jawny tego dowód miałem: pomyślawszy bowiem chwilę porwałem za czapkę, i jak szalony, zagłuszony, przekonany że Bóg za jakiś ciężki grzech dotyka mnie krzyżykiem, skoczyłem do czekającego przed sienią wolancika, a za mną pan Alfons i Edward. Siedziałem jak na rozpalonych węglach; pragnąłem, żebyśmy nigdy nie dojechali i kłąłem w duszy Edwarda.

Na słowa wyrzeczone przez Alfonsa: „otóż cel naszej podróży“, dreszcze mię przeszły, i wysiadając z wolantu szepnąłem Edwardowi:

— Słuchaj nieroztropny! na twojej duszy moja zgryzota i życie storój.—A kiedy Alfons zostawił nas samych, by uwia-

domić kobiety o naszym przybyciu, wtenczas Edward odpowiedział mi nie żartując, ale z prawdziwem przekonaniem:

— Wchodzę w twoje położenie, mój przyjacielu; dziś cierpię tyle, co i ty, ale tak się rzecz złożyła, że nie mogłem zrobić inaczej. Szczerą chęć miałem nie pozwolić ci jechać, i byłbym tego dopełnił, gdyby...

— Cóż gdyby?

— Gdyby w tém nie było interesu Alfonsa. Lubię tego chłopca, będzie z niego dobry obywatel, dobry sąsiad i przyjaciel, a jemu na tém wiele zależy. Mała przysługa jaką wyświadcza przywożąc ciebie do sądziny, zjedna mu jój względy, a powoli może co więcej. Kocha jój wnuczkę i zdaje się mieć wzajemność.

— Ależ na Boga! chcieciuz ażebym zabił starą dla usunięcia przeszkód, jeżeli jakie istnieją?

— Waclawiel czy możesz to przypuścić?

— Więc jakiz ja wpływ mam wyrzucić na los Alfonsa?

— Jakąbądź radą; tém więcej, że mówił mi Alfons, iż tak źle nie jest, i przepisawszy babuni ścisłą, dyetę, uwolnisz ją od boleści w żołądku: to proste lekarstwo, to każda baba na wsi potrafi.

W téj chwili otworzyły się drzwi od pobocznego pokoju, i Alfons prosił mnie bliżej, następnie wskazał mi sypialnię pani sądziny, a sam pozostał z Edwardem.

Nowe poty uderzyły na mnie; szedłem jak na rusztowanie, i kto wió, czy nie byłbym się zawrócił, gdyby nie dźwięczny i miły głosik, który mię zaprosił przy otwarciu sypialni:

— Tu panie, tu. Jakżeś dobry, że nie odmówiłeś ratunku!

— Pani!... to... to jest moim obowiązkiem... tylko... że...

— Wiemy już wszystko, i dlatego po tobie, panie, panu Alfonsowi winniśmy prawdziwą wdzięczność.

I to mówiąc, zlekka postąpiła do łóża.

— Babuniu! pan doktor.

Ten wyraz doktor bieg krwi we mnie zatrzymał; jednak trzeba było dalej ciągnąć najdziwniejszą i najniebezpieczniejszą rolę.

Nietrudne były dla mnie znajomości z doktorami w Warszawie; wielu z nich było mojemu kolegami ze szkół, innych poznałem z przypadku: wiedziałem więc zwyczajne ich postępowanie i wziąłem za puls, którego ani liczyć, a tém bardziej

namacać i wnioskować z uderzeń nie umiałem. W innym razie możebym sobie dał radę, ale w takim położeniu, stałem się zupełnym okrągłakiem: trzymałem więc dla zwyczaju za rękę, rzuciłem kilka zwyczajnych pytań, a gdy mi staruszka odpowiedziała, sam się przekonałem, że nie mogło być nic innego jak kurecz żołądka, lub jak tam nazywają d ktorzy dosyć, że z przesytu lub z zaziębienia, czego moja matka często doznawała. Rozgrzewanie zatem powierzchowne, picie gorącego rumianku, i pewne lekarstwo powszednie matki mojej było całą moją radą; nadto przyrzekłem za powrotem do domu nadesłać trzy proszki, za których skutek ręczyłem.

Ileżto było podziękki, ile słów wdzięczności od babuni i panny Maryanny! Pan Alfons był chwalony jako chłopiec skrzętny i poczciwy.

Pani sędzina życzyła sobie, abym się zatrzymał na obiad, i po długich naleganiach musiałem się zastosować do woli gospodyni. Przez czas parogodzinny przekonałem się: że Edward miał słuszność co do Marychny i Alfonsa, ale postrzegłem także, że oboje muszą przejść ciężkie próby; że babunia była dumna z urodzenia i majątku, i że Alfons był tylko widzianym jako syn wiernego sługi. Pomyślałem też sobie: biedny młodzieńcze! sądzisz, że poprawiłem twoje interesa; jakże grubo się mylisz! Tydzień, miesiąc, kwartał dłuższego bywania, za twoją usłużność podniosą do 3, 4, 5, potęgi uczucia, a koniec zawsze jednaki, tylko boleść większa.

Gdyśmy skończyli obiad, jeszcze raz poszedłem do pani sędziny i zastałem ją siedzącą w łóżku. Z wyciągnionemi rękami dziękowała mi, i tylko czekała jeszcze na proszki, po których, jak mówiła, pewnie zupełnie będzie zdrową.

Pod wieczór wróciliśmy do domu. Z cukru miało utartego i z kremortartary, którą mi stara a oględna gospośia Edwarda jeszcze zrana w apteczce swojej pokazywała, zrobiłem trzy proszki i przesłałem do wiadomego użytku. Długo w noc rozmawialiśmy o Alfonsie i pięknej wnuczce sędziny, objawiłem Edwardowi moje postrzeżenia i uwagi, na które on się zgodził, ale wypadkom trudno było zapobiedz. Następnie umówiwszy się, że nazajutrz o południu wyjedziemy nad samą granicę do mojej rodziny, zasnęliśmy ze słowami na ustach.

Opowiadający zamilkł, i zdawało się, że już na tém skończyła się jego praktyka; ale kiedy całe towarzystwo milczało, jakby czekając dalszego ciągu, kiedy młode panienki zaczęły badać, co się zrobiło z Alfonsem i Marychną, kiedy zaczęły dopytywać się, czyli téż babunia wywdzięczyła się synowi kommissarza za przywiezienie tak biegłego lekarza: rzecz prosta, że musiał dalej mówić i mówił:

Dwa lata minęło od mojej bytności w ciechanowskiej ziemi. W ciągu tego czasu spędzonego za granicą nie miałem chwały Bogu żadnej praktyki, i doktoryzacya moja jałowiała, z czego wszakże bardzo się cieszyłem. Wracając jednak do Warszawy chciałem zwiedzić Busk w téj właśnie chwili, kiedy najwięcej było goszczących. Zboczyłem więc kilkanaście mil drogi do moich krewnych, mieszkających bardzo blisko miasteczka, i po dwu dniowym spoczynku udaliśmy się wraz z bratem i siostrą do źródła.

Mało znany w tych stronach, pierwszy dzień poświęciłem oglądaniu zakładu; nawet mimo potrzeby spróbowania niezbyt przyjemnego nektaru, przejrzałem wszystko i przyjrzałem się prawie wszystkim. Następných dni nie bywałem regularnie, ale być co drugi dzień uważałem sobie za powinność; tém więcej, że czas miałem ograniczony. Szczególnym trafem przy źródle spotkałem owe dwie damy, towarzyski naszej podróży dyliżansem, a one z całą naiwnością poskoczyły do mnie jak do brata z powitaniem i zapytaniem, czy mój towarzysz z pięknemi wąsami dojechał zdrowo, czy nie zachorował później na cholere i czy żyje? Na wszystko odpowiedziałem jak mogłem, bo od Edwarda przeszło trzy miesiące nie miałem listu, a tak zadowolone pytały mię, jak dawno tu jestem i czy długo pozostanę?

Odpowiedziałem im, że od dwóch tygodni, że nie mieszkając w Busku i nie potrzebując kuracyi, zaledwie co drugi lub trzeci dzień bywam u źródła, że nakoniec moja chatka jest o godzinę drogi na południe od miasta....

— Ach! to zapewne pana widzimy przez perspektywę chodzącego przed wieczorem z fuzyą na ramieniu, bo zawsze w téj stronie—odezwiała się blondynka.

— Nie pani: lubię wprawdzie polowanie, ale z chartami; tu fuzyi nie mam nawet z sobą.

— Ależ co dzień, i w téj właśnie stronie—przerwała brunetka.

— Może być, że ktoś inny używa téj przechadzki, ale za siebie ręczę że nie.

Następnie dowiedziałem się, że jedna z nich, to jest bruneta była mężatką, że były rodzonemi siostrami, że mieszkają aż w cyplu augustowskiej gubernii; słowem, zapoznałem się prawie z całą ich rodziną, ale tylko przez opowiadanie.

Odprowadziłem moje damy aż do ich mieszkania, gdzie zastałem matkę i małego brata mocno cierpiącego na skrofule. Po krótkiej wizycie wracałem do domu, rozmyślając, kto był ten jegomość w dzień polujący, bez strzału, bo strzału nikt w naszej okolicy nie słyszał.

Tak ubiegło jeszcze kilka dni, i czas mojego odjazdu już był bardzo blizkim.

Moje piękne znajome nie były zadowolone z tego, że je mam opuścić, i ja muszę się przyznać, że nie z radością widziałem krótki termin odjazdu. Przyzwyczailem się do ich towarzystwa: lubiłem naiwność blondynki, wietbiłem jęj dziecinną szczerłość, a rozsądek brunety zachwycał mię w całym znaczeniu. Ale coż robić?—mus, jestto twardy orzech, ale go zgryźć trzeba. Raz tedy przed zachodem słońca wracając od augustowskiej rodziny, mimowolnie przyszedł mi na myśl ów strzelec spostrzegany wieczorami, a którego ja dotąd jeszcze nie widziałem. Rozmaite domysły chodziły mi po głowie, każdy w następstwie z wiatrem ulatał, gdy jednę chwilę zatrzymano mię z tyłu.

— Panie Waclawie! niebo zsyla cię na moje pociechę!

Obejrzałem się i ujrzałem Alfonsa w stroju myśliwca i z dubeltówką na ramieniu.

— Pan Alfons tu?

— Jak widzisz.

— Czy dawno?—zapytałem.

— Od pięciu tygodni—odrzekł Alfons.

— Nie widzujemy się przecież u źródła.

— Bo tam nie bywam; mojem lekarstwem, moją pociechą i mojem życiem jest ten kawalek obszaru, który dwa razy dziennie przebiegam.

— Nic tego nie rozumiem—odrzekłem Alfonsowi—racz mi się jaśniej tłumaczyć.

— Czy dawno tu jesteś i jak długo myślisz jeszcze bawić?—zapytał Alfons.

— Jestem blisko trzy tygodnie, a wyjeżdżam za dwa dni.

— Czy je widziałeś?

— Kogo?— zapytałem zdziwiony.

— Sędzinę i wnuczkę Maryą.

— Czy są także w Busku?

— Od pięciu tygodni, to jest tyle, co i ja.

— Nie widziałem, mój przyjacielu i to mię dziwi; od tygodnia bywam regularnie co dzień u wód, a nie spotkałem.

— Niech cię to nie dziwi: Marya musi być bardzo słabą. O Boże!—i zakrył sobie twarz rękami.

W tej chwili dopiero przyszło mi do głowy, że moje domysły były nie bezzasadne, że skutek wypadł taki, jakiego się spodziewałem. Popatrzwszy więc z boleścią na Alfonsa, zapytałem:

— Czy i ty jęj nie widzisz?

— Już więcej od roku. Sędzina przeciwna jest naszym uczuciom: wzbroniono mi bywać i wszelka komunikacja przecięta; przez żebraczkę tylko mogłem mieć czasami jakąś karteczkę lub wiadomość. Marya w miesiąc stawała się słabszą, nakoniec doktorzy kazali jęj wyjechać do Buska. Wiesz teraz, dlaczego tu błędę.

— Pojmuję: biedny Alfonsie, ale jakież koniec twojego błędzenia?... cóż robić zamysłasz?

— Sam nie wiem: tego tylko pewny jestem, że ojciec mój przestał być sługą sędziny, że siedzi i gospodaruje na swoim, że i ja mam gospodarstwo, że co do rodu nie ustępuję herbowym tarczom pani sędziny, a przeciwia służba nikogo nie hańbi: bo nie my okolicznościami, ale okoliczności nami rządzą. O przekłeta manio!

— Ależ mój panie Alfonsie, trzeba przecież obrać jaką drogę, żeby nią postępować do celu.

— Trzeba, a ja jęj nie widzę—odrzekł Alfons. Po chwili milczenia i wpatrywania się w ziemię, podskoczył jak zmysłów pozbawiony, rzucił mi się na szyję i wołał:—Mam już, mam drogę, już mam środek: ty panie Wacławie będziesz moją, będziesz naszą drogą, na której się z Maryą spotkamy.

Usunąłem się od Alfonsa i patrzyłem na niego, nie dowierając rozumowi biednego młodzieńca.

— Wszak nie odmówisz mi tego, nie odmówisz: zaklinam cię na wszystko! na wszystko co miałeś, co masz, co mieć będziesz najświętszego!... Czy dajesz mi słowo?

— Ale cóż ja ci dopomódz mogę, mój Alfonsie?

— Wszystko, wszystko, tylko daj słowo.

W tym razie, widząc tyle cierpienia ze strony Alfonsa, domyslaając się równiej boleści ze strony dziewicy, nie mogłem odmówić słowa, i nie pytając na co, rzekłem:

— Masz moje słowo — i słucham.

— Zatrzymasz się kilka dni dłużej; z tego wzgórką wskażę ci ich mieszkanie. Bardzo rano i o zachodzie słońca babka z wnuczką siadają przed sienią lub w oknie; tam musisz krążyć, żeby cię spostrzegły, a spostrzegłszy powitają jako doktora i wprowadzą do domu: będą żądać rady, pomocy...

— Stój, stój! człowieku! Ja... jeszcze raz mam być doktorem? — i poty wystąpiły mi na czoło. — Czy ty wiesz, że Busk to nie kącik jakiś mały w ciechanowskiej ziemi, że w Busku nie brak doktorów jak w Ciechanowie, że tu nie z Abramkami sprawa. Nie, to być nie może, na to mnie nie wystawiaj.

— Czyliż nie możesz żądać sekretu, i pod tym jednym warunkiem podjąć się kuracyi?

— Ale jakaż będzie moja kuracya?

— Wiadomość o mnie, i wiadomość o niej dla mnie.

— Jesteś tego pewnym?

— Jak tego, że to słońce zaszło.

— Więc zgoda: przystaje.

I po najszczerzych uściskach, po wyrazach żywej wdzięczności, i po umowie o czasie i miejscu schadzki, rozeszliśmy się każdy w swoją stronę.

Nie wiem jak zaszedł pan Alfons do mieszkania; ale ja po drodze myślałem sobie: to już chwała Bogu trzeci raz będę doktorem; ale tu nie przyjmuję na siebie przynajmniej odpowiedzialności: może też to raz ostatni, a zresztą i z Litwinkami przepędzę kilka dni więcej.

Nazajutrz, zaledwie słońce zaczęło czerwienić wschodnią stronę nieba, już byłem w drodze. Mieszkańcy miasta i jego goście od godziny powstawali; wszędzie ruch i życie już się objawiły. Zmierzałem ku wskazanemu mi domostwu, i jakby z umysłu, w chwili kiedy dochodziłem okien mieszkania sądziny, ona je sama otwierała. Ja niby zdziwiony przystanąłem, aż z za staruszki dał mi się słyszeć znany głos:

— Babuniu! pan doktor z Ciechanowa!

Obejrzałem się dookoła, czy nie ma czasem kogo, co by usłyszał mój tytuł, i postąpiłem kłaniając się naprzód.

— Prawda, prawda, moje dziecię: witamy, panie doktorze, w samą porę.

Jednym krokiem byłem w stancyi, unikając głośnego mianowania, i powitałem obie niskim ukłonem.

— Bóg cię sprowadza w te strony! O! teraz spokojną jestem o moje Marychnę: patrz doktorze, jak ona słaba.

I rzeczywiście Marya była nie do poznania: nie było śladów rumieńca tak pięknego przed dwoma laty, przez spadnięcie z ciała rysy tylko wybitniejsze pozostały. Oczy melancholiczne, kibić pochylona i ciche cierpienie na całej twarzy, jawnie pokazywały słabość, która daleko zaszła. To, czego wymagała moja rola, zrobiłem: siadłem bliżej dziewczęcia, wziąłem za miejsce gdzie puls uderza, i patrzyłem w oczy.

— Mój kochany doktorze jeszcze zbyt rano, żebyś był już po kawie; zatem wypijesz z nami, to jest ze mną, bo Marychnie nie wolno. Nie wiem, co wy macie przeciw kawie! A że teraz niema mnie kto wyreńczyć, więc zostawiam was samych; wypowiedzaj ją, a ja pójdę. Wiiesz, że na służącej polegać nie można—to mówiąc staruszka sunęła się ku drzwiom innego pokoju.

Zostaliśmy sami, świadka żadnego, ale nie wiedziałem jak zacząć. Uderzyłem więc w przyjętą rolę.

— Cóż panią najwięcej boli?—zapytałem Maryi.

Ona się uśmiechnęła i spojrzała mi w oczy. Tym uśmiechem dobiła mię: domyśliłem się bowiem, że Alfons musiał jęj powiedzieć jakim ja doktorem i kto mnie doktoryzował, bo w téjże chwili zapytała o Edwarda.

Głupią była moja mina jak sobie wyobrażam, ale zarazem i ucieszyłem się serdecznie. Odpowiedziałem więc:

— Edwarda dawno nie widziałem, ale widziałem pana...

— i ta naodwrot ja wlepiłem w nią oczy.

— Kogo pan widziałeś?—mówiła rumieniąc się i ze wzruszeniem.

— Widziałem pana Alfonsa. Małe zdarzenie przekonało mnie, że biedny chłopiec miał słusność.

— Pana Alfonsa? kiedy i gdzie—mówiła z nieśmiałością?

— Wczoraj i bardzo blisko pani.

Drżenie się wzmagalo.

— Chciéj się pani uspokoić: widzisz przed sobą przyjaciela, który wszystkie sprężyny poruszy, abyście byli szczęśliwemi.

Błagalne spojrzenie, uściśnięcie ręki, było całą odpowiedzią; lecz po chwili mówiła:

— Nie paniel tego nie dokazesz. Alfons używał wszelkich środków, babka pozostała niewzruszoną.

— Bądź pani dobrej myśli: to nastąpi prędzej może, jak się pani spodziewasz. Nie dziś, nie jutro, ale najdalej za trzy dni.

— Paniel nie pocieszaj téj, dla której niéma pociechy.

— Cóż mam powiedzieć Alfonsowi?

— Więc on rzeczywiście tak blisko?—zapytała z pewną radością.

— Takjest, jedném oddycha powietrzem; zresztą jutro opowiem pani więcej: dziś widzę cię zmęczoną.

W téj chwili weszła i babunia, a za nią służąca z kawą i ciastem.

— No, mój doktorze, pij kawę i mów mi, co jest temu dziecku. Bóg widzi, że połowę resztki życia, jakiem mi się jeszcze Niebo cieszyć pozwoli, oddałabym za jéj zdrowie—i to mówiąc otarła łzę, która spłynęła po twarzy sędzinéj.

Marya ucałowała ręce i kolana babki, a ta przytuliła ją do piersi.

— Bo to widzisz, mój kochanku, Marychna, to pierwsze dziecię mojej nieboszki córki, a jéj ojciec, to znany ród w Małopolsce, familiant od wieków: jego pradziady krzesła senatorskie zasiadali. Ta jedna gałązka mi pozostała, ta jedna pociecha na stare lata; tymczasem zły wiatr ją gníe. Boże! cóż ja bym poczęła!

W takim rozrzewnieniu najlepiej dodać jeszcze słówko, któreby więcej zastraszyło; dlatego nachyliwszy się do pani sędziny, prosiłem, ażeby wynalazła coś takiego, za czém panna Maryanna wyjśćby musiała. Sędzina więc ją zaraz wyprawila i zostaliśmy sami.

— Nie mam potrzeby tać przed panią sędziną, że z panną Maryanną jest źle...

— I bardzo źle — przerwała starszka— to mi wszyscy doktorzy powtarzają, ale żaden trafić na słabość nie może.

— Nic dziwnego, że ja dziś jeszcze, a może i jutro nie dam stanowczego zdania; wszelako jeżeli mi pani zaufasz, mam

W Bogu nadzieję, że młodość i siły, jeżeli nie są jeszcze wstrząśnięte, wszystko przemogą. Żebym to poznał, trzeba się wstrzymać od wód i od wszelkich lekarstw.

— Dobrze, dobrze mój opiekunie! mój dobrodzieju! Pytasz mnie, czy mam zaufanie? a któż mi wrócił życie przed dwoma laty? O! bądź pewny, że Busk cały niedługo się zatręsie swoją bytnością.

Nim się Busk miał zatrząść, ja już drgnąłem; dlatego nie czekając rzekłem:

— Właśnie jeszcze jeden warunek: bywam u wód, widują mnie i znają prawie wszyscy, ale nikt nie wie o mojem stanowisku w społeczeństwie, i pragnę, żebym tak pozostał; jeżeli więc szanowna sędzino życzy sobie ażebym leczył pannę Maryannę, w takim razie musisz mi dać słowo, że nikomu przez ciąż naszą tu bytności nie wspomnisz, że jestem doktorem, iż podjąłem się kuracyi jej wnuczki. To jest, powtarzam, warunek, którego nie odstąpię: inaczej wizyta moja będzie ostatnią.

— Ależ przez Bóg żywy! cóż za człowiek z ciebie, mój kochanku! Nie chcesz sławy, nie chcesz pieniędzy... więc czegoż ty pragniesz?

— Dobrego wspomnienia u osób, którym mogłem się zasłużyć, i wewnętrznego zadowolenia.

— Ale daruj, że cię zapytam, jak się nazywasz; bo Bogiem się świadczę, że wdzięczną jestem, a nie wiem komu. Mówili mi coś przed dwoma laty, ale stariej z głowy wyleciało.

— Nazywam się Waclaw P...

— P... uum. Znam tę familią, równie ród dawny jak męża mojego, a nawet przypominam sobie, że jeden P... był sędzią ziemi ciechanowskiej.

— Być może; ale wracając do rzeczy, czy dajesz mi pani słowo, że nie wspomnisz o zajęciu się mojem, i kuracyi jej wnuczki.

— Masz doktorze moje słowo; ale skoro wyzdrowieje?...

— Wtenczas choćby przez gazety—odrzekłem uśmiechając się.

— Zgoda: przecież cośkolwiek ustąpieś.

Następnie przywołała Maryannę, a ja po krótkiej chwili dom, a raczej mieszkanie sędziny opuściłem.

Domyslać się państwo z jaką niecierpliwością czekał na mnie Alfons, i z jaką żywością wypytywał się o wszystko.

Powiedziałem co uważałem że mogę mu powiedzieć, opisałem stan Maryi, a w końcu dodałem:

— Bądź cierpliwym, mój przyjacielu; zdaje mi się, że jeszcze ztąd wyjedziecie zaręczeni.

— Pani! opiekuniel! zbawco mój! jakież balsam pociechy wlewasz w moją duszę!

Pożegnałem Alfonsa i zadowolony, wróciłem do domu.

Z kolei przez dwa dni, rano i wieczór bywałem u sędziny i widywałem się z Alfonsem; lecz w ciągu tego czasu, nie wiem, czyli to z przyczyny że Marya wiedziała o blizkiej obecności kochanka, czy też ze zbytich wrażeń zaczęła być słabszą. Nie było czasu do stracenia: czwartego dnia zatem powiedziałem dziewczęciu, że dziś musimy skończyć wszystko.

— Pani musisz widzieć Alfonsa.

Marya zdrząła.

— Nie paniel przyjacielu! nie, ja nie chcę, przelątkby się Maryi, i naraziłby siebie, nic nie zyskawszy.

— Dlaczegożby nie? I kamienie rozbijają, a ja pewny jestem, że jedném uderzeniem rozbiję żelazo, które owija serce babuni.

— Nie, próżne marzenie; zresztą ja czuję że żyć długo nie będę: jestem bardzo, o bardzo słabą. Od czasu jak wiem że czuwa tak blisko nas, częściej doznaję bicia serca, a to ostatnich sił mnie pozbawia.

Masz tobie, pomyślałem w duszy, więc ja przyspieszyłem jej koniec— to niezłe: *nec sutor ultra crepidam*: ale cofać się nie można, nadzieja w Bogu, idźmy naprzód.

— Musisz go pani widzieć: będziesz jego żoną.

— To nigdy nie nastąpi. Nie uwodź się panie Waclawie, ja znam babunię.

— Zobaczymy; proszę tylko o spokojność i najpewniejszą nadzieję.

W tej chwili weszła i pani sędzina.

— Jakże znalazłeś mój doktorze Marychnę?

Dałem znak babuni, ażeby poleciała wyjść słabój.

Skoro wyszła, rzekłem poważnie:

— Teraz właśnie podług przyrzeczenia objawie pani wszystko, co zauważałem, jakie zrobiłem wnioski, co dalej być może i jakie na to środki.

— Słucham cię, słucham mój dobrodzieju: mów wszystko, wypełnię, wszystkiemu uwierzę.

— Widzisz pani, bo zbyt jawne są tego ślady, że wycieńczenie sił panny Maryanny doszło prawie najwyższego stopnia: życie w niej na włosku, z cichém tchnieniem lada moment ulecieć może, tak nawet, że nikt z nas o tém wiedzieć nie będzie. Bicie serca od dni kilku zwiększyło się, a to bicie roztrąci ciało; i dziecię, któreś pani wypiastowała, któreś wychowała, w którym wpoilaś miłość Boga i nieograniczone przywiązanie do siebie....

— Tak paniel tak! — przerwała babka zanosząc się od płaczu.

— To dziecię — ciągnąłem z większym jeszcze zapalem — które miało ci zamknąć oczy, oddać ostatni pocałunek i odebrać jak od ojca i matki ostatnie błogosławieństwo... musi... umierać, i umierać....

— Paniel panie! ratuj ją — zawołała stara zsuwając się z fotelu na kolana przedemną i wyciągając złożone ręce — wszak mówiłeś, że są jeszcze środki.

— Są. powtarzam drugi raz, ale tych środków nie znajdziemy w aptece. Pani, albo jej wnuczka, musicie mi się przyznać. Zaklinałem, badałem pannę Maryą, ale nic się nie mogłem dowiedzieć. Jeśli jeszcze pani, jako najbliższa opiekunka, jako anioł stróż nad sercem młodej dziewczycy, nie odpowiesz na pytania: wtenczas ja się usuwam. Posłuchaj mnie sędzino! to jest straszna choroba, straszniejsza jak cholera, jak dżuma: to jest choroba serca....

— Choroba serca! — powtórzyła staruszka załamując ręce. — O Boże mój! choroba serca! Paniel zawierz mi, ani słyzałam o podobnej słabości.

— Poznasz ją pani niezadługo w skutkach; przekonasz się, że z modlitwą na ustach, z westchnieniem do Boga opuści ludzi, którzy przecież musieli jej jakieś złe wyrządzić.

— Nie, nigdy, nigdy najmniejszej krzywdy nie dozwolłam jej uczynić.

— A jednakże cierpiała i cierpi; a dopóki cierpieć będzie, śmierć stoi przed nią, i to co dzień, co godzina, co uderzenie serca, — bliżej. Powiedz mi pani, kiedy nie mogłem się dowiedzieć od jej wnuczki, czy panna Maryanna nie kochała kogo?

— Paniel zabiłeś mię—wykrzyknęła sędzina!—Ja nie-szczęśliwa! zgubiłam dziecię mojej krew córki mojej. Kocha-ła, paniel i bardzo kochała; a jak sobie teraz przypominam, od chwili kiedy wzbronila wizyt młodzieniaszkowi, Marychna dzień za dniem słabszą się stawała. Ależ, bo zważ kochany doktorze, jaka niestosowność: on jakkolwiek dobry chłopiec, pocziwe dziecko, ale syn kommissarza dóbr moich, czyli dóbr mojej Marychny; poprzysięgłam więc sobie, że na ten związek nie zezwolę.

— Nie wchodzę —przerwałem sędzinie—kim jest ten mło-dy, wiem tylko, że przysięgę pani dobrodziejki rozwiąże śmierć panny Maryanny.—To mówiąc podniosłem się z krzesła i wzią-łem za kapelusze.

— Doktorze! mój dobrodzieju! zlituj się nad nami! wszak-że ci wszystko powiedziałam! Podaj więc środki ratunku: cze-kam od ciebie.

— Zezwolić na ten związek, zawiadomić ukochanego przez Maryą młodzieńca, ażeby przyjeżdżał jak najspieszniej, pocieszyć dziecię, przycisnąć ją do serca, dać błogosławień-stwo, i patrzeć, czuwać nad ich pożyciem, nad ich szczęściem: to jedyny ratunek. Innego nie ma, i ten, za sześć, dziesięć dni już będzie zapóźny. Żegnaj panią i chciałem wychodzić, bo prawdziwie zmęczyłem się tym monologiem; przystępem serce mi pękało patrząc na Marychnę.

— Stój panie, stój, rób co chcesz, na wszystko przysta-ję; do grobu poniosłabym wyrzut sumienia, boleść nieukojo-ną. Ty wiesz o wszystkiem, tobie jak księdzu na spowiedzi wszystko odkryłam; teraz ratuj moję Marychnę, dziecię mo-je! Cóżby mi było po życiu—i pocziwa sędzina zanosila się od płaczu.—Tak doktorzel na wszystko przystaje: niech mi tyl-ko ona zamknie oczy. Pisz do niego, szukaj go, on musi być przy ojcu lub na swójdzierzawie; niech przyjeżdża, niech leci jak ptak: bo jeśli Marychna umrze, to ja jój nie przeżyję. Bóg cię sprowadził: tyś mi dopięro oczy otworzył.

— Proszę sędziny, — rzekłem po chwili —nie nie mówię o tém panie Maryi aż ja powiem kiedy; dziś okalać ją tąz sa-mą pieczołowitością jak dotąd, i tylko zrób jój pani nadzieję, że ja posłałem daleko po pewne lekarstwo, które musi przy-nieść dobry skutek.

— Wszystko wypolnię, wszystko, doktorze, tylko zapewnij mię, że będzie zdrową.

— Zapewniam, ale nie tak prędko—to mówiąc pożegnałem sędzię i pełen zadowolenia wracałem do domu.

Jak czuwający bandyta, Alfons czekał mojego powrotu; a ponieważ wiedział, czego dziś miałem dokonać, schwycił mię drżącą ręką i zawołał:

— Panie Waclawie! co mi przynosisz? śmierć czy życie?

— Życie, przyjacielu! życie pełne rozkoszy, słodyczy i błogosławieństwa!

— A więc precz odemnie—krzyknął z radością rzucając na bok dubeltówkę. Wystrzał z jednej lufy przez wstrząśnienie wydobyty, zwrócił moje uwagę i zapytałem:

— Dlaczegoż rzuciłeś o ziemię broń tak ładną: mogła się uszkodzić.

— Do téj chwili była mi potrzebna, lecz teraz, nie!— i postąpił dalej, podniósł ją, a wykręcając nabój z niewystrzelonej lufy, pokazał mi kulkę.

— W obudwu były takież same—powiedział.— Gdyby rzeczy poszły inaczej, obiedwie dziś jeszcze rozsadzilyby mi głowę.

Wstrząsnąłem się na tę wiadomość i z rozrzewnieniem dziękowałem Niebu za łaskę doznaną. Następnie opowiedziałem wszystko uszczęśliwionemu kochankowi; wyrachowaliśmy z nim czas potrzebny na dojsście listu, przyjazd, i ułożyli cały plan dalszego postępowania.

Ja codzien bywałem u sędziny, zwolna przysposobiłem Maryą do przyjęcia wiadomości o pomyslnym skutku starań, i nareszcie powiedziałem jęj: że już babunia na wszystko przystała, że co chwila Alfonsa spodziewać się możemy.

I nadszedł ten dzień oczekiwany. Babunia spostrzegłszy czasem uśmiech dziewicy, zdawała się odmładniać, ale się niecierpliwiła, że nie dawałem pozwolenia wygadania wszystkiego, jakie jęj szczęście przysposobiła.

— Ależ mój doktorze—mówiła mi nakoniec—kiedyż mi pozwolisz powiedzieć Marychnie, że będzie żoną Alfonsa?

— Chociażby i teraz—odrzekłem.

— Doprawdy! kochany doktor!—i posunęła się do dziewicy, wzięła ją za głowę, zaczęła płakać, całować i łkając rzekła:

— Moje dziecko, moja jedyna podpora! Ty mnie nie opuścisz, ty będziesz pielęgnować starą babkę, która ci już pozwala iść za Alfonsa. Dziś ma przyjechać, dziś będziemy się cieszyć, wraz z kochanym doktorem.

Co było płaczu radosnego, można sobie wyobrazić; ja sam kilka razy sięgnąłem po chustkę.

Uspokoili się nareszcie Marya z babunią, i zaczęliśmy mówić o przyszłości, a więc jeszcze zwracałem uwagę na inne przedmioty, żeby przerywać mękę oczekiwania.

Na odgłos trąbki pocztarskiej Marya zemdląła: ja kląłem pocztyliona, babunia wołała wody i szukała flakoników; Alfons tylko chwycił Maryą, przycisnął do piersi i starał się ocucić ją najrzewniejszymi słowy. Powoli dziewczyna przyszła do siebie, błogostawieństwo natychmiast nastąpiło, a ja tej nocy już nie wracałem do domu.

I cóż mam państwu jeszcze powiedzieć? Domyślicie się że były zaręczyny i że ślub nastąpił; ale ja wam mogę to jeszcze dodać: że babka jest dziś prababką, błogostawi Boga za zrządzenie tego małżeństwa, i mnie, choć wié o wszystkiém, zawsze panem doktorem nazywa. Ja zaś powtarzam: że często bywa dobry skutek dziwnej konieczności.

GEDYMINOWICZE.

Ustęp z dzieła Karola Szajnoch:

JADWIGA I JAGIELLO.

II.

Podjęta jednocześnie z Ludwikiem wyprawa Krzyżaków do Litwy, objawiła najwidoczniej coraz cięższą przewagę zakonu nad pozorną potęgą Gedyminowiczów. Zdobywcy Kowna, zwycięzcy nad Rudawą, obaczyli się teraz wpośród samej stolicy litewskiej, w wielko-książęcém Wilnie. Zapalone ze wszystkich stron przedmieścia, w trzeciej części w perzynie legły. Pojedyncze wycieczki krzyżackie, zapuszczały się jeszcze niżej w głąb kraju. Wielki Książę Olgierd musi szukać pokoju, prosząc w szczególności o zachowanie niedopalonej jeszcze części stolicy. Krzyżacy pewni rozbrojenia Gedyminowiczów, przeciwni ostatecznemu wyćpieniu pogaństwa, a blizcy zaboru krain litewskich, jakieby jeszcze przed prawdopodobnym chrztem Litwy zająć się dały, nigdy tymczasowego nie odmawiają pokoju (1). Na tém téż rozejmie z Krzyżakami, zamyka Olgierd swój zawód. Ostatnią wiadomą sceną jego żywota jest uczta rycerska, wyprawiona tryumfującym Krzyżakom w zamku wileńskim (2). Jużto zamek nawpół krzyżacki, jak i ziemia litewska napoły ziemią niemiecką. Nawet w Kiejstutowym zamku, w Trokach, czeka Niemców takąż sama uczta zwycięstwa. Młody Kiejstutowicz Witold uderza wprawdzie jeszcze

(1) Narbutt Dz. n. lit. V. 221.

(2) Voigt His. Pr. V, 274.

w młodzieńczej zapalczywości na powracających do domu Krzyżaków, lecz starego Wielkiego Księcia Olgierda strawił już bóg z Krzyżakami. Poczém „największy z książąt litewskich“ „twórca głośniejszy w świecie potęgi, jakiej żaden z braci jego, ani ojciec, ani dziad jego nie odziedziczył (1)“ ustępuje Olgierd skrycie z widowni dziejów. Niestaje niewątpliwych wiadomości o jego końcu. Palscy współcześnicy jego syna (2) opowiadają za rzecz pewną, którą i my za najbliższą prawdzie przyjąć musimy (3), że Olgierd umarł w wierze pogańskiej, i jako poganin, z zwykłą starodawnym książętom litewskim wystawnością, na pogańskim spalony został stosie, w perłami i klejnotami przetykanym kaftanie, w purpurowym płaszczu książęcym, z srebrno-złocistym pasem na biodrach, wraz z najdzielniejszym z rumaków swoich, w lesie Kokiwejtos, w pobliżu grodu Miskoli. Na Rusi przeciwnie krążyła wieść, jakoby Wielki Książę przed śmiercią, za sprawą kapelana drugiej małżonki swojej Julianny, greckiego księdza Dawida, przyjął chrzest święty, i nadto pod imieniem Alexego w habit czerńca na śmiertelnym łożu przyobleczony, spoczął w zbudowanej przez siebie cerkwi Bogarodzicy w mieście Wilnie (4). Sama sprzeczność tych podań dowodzi moralnego rozchwiania ówczesnej Litwy. Jedyłą niewątpliwą okolicznością zda się, iż umierający Olgierd, za przyzwoleniem obecnego przy łożu śmiertelnym brata Kiejstuta, przeznaczył tron wielko-książęcy synowi swojemu Jagielle, najstarszemu z potomstwa splotzonego z drugą żoną Julianny, Rusinki, księżniczki twerskiej. Oprócz wymienionych powyżej sześciu synów z pierwszego małżeństwa, z których teraz żyje już tylko trzech (5), to jest: Andrzej, Wingolt niebawem do Moskwy zbiegły, Konstantyn, Korygiell, niedawno od Krzyżaków przybyły, i ów na

(1) Voigt His. Pr. V, 222, 274.

(2) (3) Długosz Hist X, 114. Wiadomość Długosza współczesnika Jagielle, domownika wnuka Olgierdowego, Kazimierza Jagiellończyka, jest dla nas tém pewniejszą od późniejszych podań kronik ruskich, iż Długosz zwyczajnie bardzo dobrze zainformowanym okazuje się, a nawet tam, gdzie mu późniejsi pisarze fałsz zarzucają, po dokładniejszym wyjaśnieniu rzeczy, prawdę nakoniec przyznają sobie miewa.

(4) Kron. Nikon. Narbutt Dz. n. l. V, 235.

(5) Narbutt Dzieje narodu litewskiego, V. 241.

dworze rzymskiego cesarza bawiący Butlaw czyli Borys, oprócz oznaczonego wielkim księciem Jagiellę, pozostawił zmarły Olgierd jeszcze pięciu z drugiego małżeństwa synów, mianowicie: Skirgietłę, Swidrygietłę, Dymitra Korybuta, Dymitra księcia na Korcu, i Wasila-Alexandra-Wigunda, tudzież pięć córek: Agrypinę, Maryą, Alexandrę, Helenę i Teodorę, o którychto wszystkich braciach i siostrach Jagiellowych, nieraz później mówić nam jeszcze przyjdzie (1).

Obecnie nad tych wszystkich braci, nad samego młodego Wielkiego Księcia Jagiellę, najpotężniejszym w rodzie i całym kraju był Kiejstut. Niezmienny w swoim przywiązaniu do starodawniej narodowości i zmarłego brata Olgierda, powtórzył on teraz względem jego syna Jagiellę też samą scenę, która przed trzydziestą laty ojca na tron wyniosła. Przestając na swoim księstwie trockim i na ciągłej walce z Niemcami, ukoronował osmdziesięcioletni już starzec, 26-letniego Jagiellę mistrzą księżęcą. Poczém wspólnie z młodszym bratem Lubartem księciem na Łucku i Włodzimierzem, uznał go panem wielkoksiężęcej stolicy Wilna. „Gdyby Kiejstut był chciał,” mówi o nim naoczni owych czasów świadkowie, Niemcy, „byłby snadnie mógł osiąść sam na zamku w Wilnie, a Jagielle inne dać księstwo. Ale Kiejstut nie chciał uczynić tego dla miłości Olgierda starszego brata, i osadził Jagiellę na stolicy wileńskiej, i ochraniał go ze wszech stron, aż dopóki nie podrósł, i aż póki ludzie nie przywykli do niego (2)“. I aż starzec nie postrzegł, że młody wielki książę nie podziela jego pogańskonarodowych zamiarów, jakie Kiejstutowi jedynym zbawieniem Litwy się zdały; bo jakkolwiek sprawa narodowa ku upadkowi się pochylała, dziecięco-uporny umysł Kiejstuta trwał wiernie przy dawnych bogach. I jeżeli Żnicz święty miał jeszcze gorzeć, potrzeba było w istocie bezwzględnej uporności; przy wszelkiej bowiem potędze i powadze Kiejstuta w Litwie, rosła nad nią niepowstrzymanie przemoc krzyżacka. Nowa Niemców po śmierci Olgierdowej wyprawa, jedna z siedmiu w przeciągu jednego roku, rozlewając się z dwóch stron: od północy znad ujścia Niemna, i od zachodu znad Narwi, sprowadziła w końcu oba skrzydła wyprawy w pobliżu niedostępnego dotąd Krzy-

(1) Narbutt: Dz. n. lit. V 239. 240.

(2) Voigt. Hist. Prus. V 287. Strykowski Kron. II. 60.

zakom Bugu (1). Tak rozprószy całe wnętrze Litwy mnogimi szlakami pożogi i spustoszenia, objął ją zakon dokoła uściskiem śmierci. Młody Wielki Książę Jagiello patrzył obojętnie na klęskę kraju. Sam Kiejstut wet za wet Niemcom oddając, zgromił ich w Prusiech, gdzie zdobył warownię krzyżacką Insterburg; a z nieodstępującym go męztwem, nie odstępowała go na chwilę i dawna ludzkość. W tęto właśnie wyprawie chciało pogaństwo spalić pojmanego w zdobytém Insterburgu starostę zamkowego Surbacha, wieloletniego tyrana Litwy. Kiejstut zachował go przy życiu (2), a również laskawy dla Olgierdowego syna, Jagielly, przystał wreszcie na podpisanie zawartego przezeń z Krzyżakami rozejmu, zabezpieczającego przedewszystkiem rusko-litewskie pogranicze, między Niemnem a Bugiem, od Brześcia aż po Grodno, i podobnież rozległą pograniczną przestrzeń ziemi krzyżackiej na lat dziesięć od wzajemnych napaści (3). Potrzebował naród téj ulgi, gdyż, jak niełatwo do uznania bezsilności swego narodu dziejopis litewski przyznaje: „straciła już Litwa tęgosc oporu, krzepkosc władzy najwyższej i zbliżyła się do katastrofy, jaką jej przygotować usiłowali nieprzyjaciele (4)”. Jednakże cóż po téj uldze chwilowej, skoro rozpoczęte raz podupadanie sił kraju, nieuchronnie dalej rozwijało z siebie następstwa! Najsmutniejszym z tych następstw okazał się zwykły towarzysz osłabienia, tajny jątrz waśni, wyłgłej w samém książęcym rodu zanadrzu. Młody Wielki Książę Jagiello nie miał żadnego współczucia dla pogańskiej wytrwałości Kiejstuta. Pachnęła mu widocznie przeciwna starodawnemu pogaństwu nowoczesność, obczyzna, skłaniająca go do używania nowszego tytułu: „król litewski (5)”. Małego zresztą serca, czuł on się upokorzonym moralną przewagą stryja. Upo-

(1) Narbutt: Dz. n. lit. V. 246. 247.

(2) Tamże V. 250.

(3) R. 1379. Raczyn. Cod. dipl. Lith. 53. Voigt Hist. Pr. V. 293. Narbutt Dz. nar. lit. V. 256. Niestusznie w ostatniem z przytoczonych tu dzieł na str. 258 nazwano rozejm niniejszy „nowym i pierwszym w swoim rodzaju, mającym w sobie coś szczególnego i zadziwiającego”. Już bowiem przed jedenastą laty, roku 1367 zawarli byli Olgierd i Kiejstut podobny traktat, *pac latruncolorum* nazważy, z mistrzem inflanckim Wilhelmem, dla okolic nad Dźwi-
ną. Obacz Dogiela Cod. diplomat. V. 78.

(4) Narbutt V. 247.

(5) Voigt. Hist. Pr. V. 286. 300. Narbutt V. 200.

korzenie nadstawiało chętnie ucha przeciwnym Kiejstutowi podszeptom. Krzyżacy ze swój strony nie omieszkali dołąć zółci cichaczem, starając się poważnie śmiertelnie Wielkiego księcia z stryjem Kiejstutem. Pozostał nam w tój mierze nadzwyczajnie kosztowny list krzyżacki do matki młodego Wielkiego księcia, Julianny, jak wiadomo grecko-chrześcianańskiej Rusinki. Zaczyna on nader miłym sercu macierzyńskiemu doniesieniem, jak wspaniale jeden z synów Wielkiej księżny, Skirgiello, bawiąc w gościnie u „Wielkiego księcia niemieckiego“, jak wielkich mistrzów krzyżackich na Rusi zwano (1), podejmowany był przez Krzyżaków, „jako dworskie grzeczności i rewerencye i biesiady i uczyty i podarunki“ witały go ze strony wielkiego mistrza we wszystkich zamkach krzyżackich, jak świetną wreszcie garderobą, odpowiednią jego dostojności zaopatrzył go mistrz wielki na zamku toruńskim, gdy młody książę spieszył na jakieś wesele, wyprawiane w Polsce przez książąt mazowieckich. Kończy się list pobożnym napomnieniem Wielkiej księżny do chrześcijańskiego wychowywania dziełek, i wzmianką o załączonym podarunku dla Wielkiej księżny i ukochanego jój syna Jagielly. Dość niezręcznie zaś, w pośrodek listu, pomiędzy inne wiadomości wsunięte żądło krzyżackie przestrasza biedną matkę podszeptem, zalecającym zwrócić uwagę na to, „jako ów wściekły pies (2), Kiejstut, nietylko przeciw chrześcijaństwu, ale i przeciw Litwie złośliwe knuje zamysły, a w szczególności, jak to już poprzednio donosiliśmy wam, dysze żądzą owładnięcia państwa litewskiego, przemyśliwając codziennie, jakimby sposobem zgubić waszego przesławnego syna Jagiellę, i wydrzeć mu wszystkich poddanych i wszystkie zamki, i posiąść państwo całe.“

Oprócz uzyskanego tym sposobem poufnictwa u Wielkiej księżny Julianny, oprócz wielu książąt litewskich uciekających

(1) Danill latop Lit 63.

(2) „Iste furens tanquam canis rabidus“. Cały list przedrukowany w Narbutta Dz. n. lit V. Dod. II. Zdaje się jednak, iż mylnie odniósł go autor do roku 1382, kiedy Jagiello z matką w Krewie był na wygnaniu. Wielosłowne bowiem oznajmienie, jako Kiejstut pragnie objąć (regnum) wielkie księstwo litewskie, zdradzie Jagiellę, odjąć mu ziemie i grody i posiąść całe państwo, każe wnosić, że tu mowa jest o czasie, kiedy Jagiello był jeszcze W. księciem, a Kiejstut tylko książęciem trockim, to jest w czasie przed sierpniem 1381 roku.

sie w ich opiekę, powiodło się Krzyżakom nawet pomiędzy ludem zjednać sobie stronników. Owi przesiedlający się do Prus Litwini, ów oprowadzający Krzyżaków po Litwie kapłan pogański, późniejszy Surwiltowie (1), są tego smutnym dowodem. Podobnie usłużył im teraz dworak Wielkiego Księcia, Wojdyłło. Naprzód nadzorca piekarni książęcej, potem pokojowiec Wielkiego Księcia Olgierda, doszedł on jeszcze za życia ojca Jagielly do wyższych urzędów państwa, mianowicie dostąpił starostwa w Lidzie. Młody Wielki Książę Jagiello tak dalece sprzyjał ulubieńcowi ojcowskiemu, że własną siostrę Maryą, wdowę po ruskim książęciu Dawidzie, wydał za niego. Zapewne jeszcze z czasów Olgierdowych niechętny Wojdyłło Kiejstut, obruszył się żywo na toż małżeństwo, a nowy gniew Kiejstutów dodał ostrza zauszniczemu językowi Wojdyłły. Czy ujęty już przez Krzyżaków, czy uprzedzając przyjazne z nimi związki, poduszczył starosta lidzki drażliwe serce Wielkiego Księcia przeciw staremu stryjowi. Z synem Kiejstutowym Witoldem, żył Wielki Książę w ściślejszej przyjaźni, naśladowującej braterską miłość ich ojców; lecz stryja starego, butnego wroga Jagielly, godziło się według porady Wojdyłły, na pewną narażość zgubę. Pierwszym ku temu krokiem odbyto w Dawidyszkach, wśród puszczy łośnej, poufny zjazd z dostojnikami zakonu niemieckiego, pozornie tylko kilkudniowej rozrywce myśliwskiej poświęcony, na którym tak potajemnie, że nawet obecny tam Witold niczego domysleć się nie mógł, zawarto w imieniu Wielkiego Księcia układ z zakonem, przyrzekający mu okrom pokoju, ze swojej strony nie wspierać księcia trockiego w razie zaczepienia go przez Krzyżaków (2). Spiskiem tym, zwróconą została wszystka potęga zakonu przeciwko osamotnionemu Kiejstutowi; uwikłany w sidła krzyżackie Jagiello, przechodził w opiekunstwo zakonu, a z łatwem teraz rozgromieniem Kiejstuta, zbliżała się dla Krzyżaków chwila zupełnego owdładnięcia ziemi litewskiej. Zaczem uderzyli Krzyżacy całą potęgą na Kiejstuta. Do mnogich jego nieprzyjaciół, przybył jeszcze nowy rodzaj broni krzyżackiej, najstraszniejszy ze wszystkich dotąd znanych, użyty po raz pierwszy w obecnej

(1) Narbutt: Dz. n. l. V 378,

(2) R. 1380. Raczyń. Cod diplomat. Lithu. 55. Voigt Hist. Pr. V 356. Narbutt V 464.

przeciw Kiejstutowi wyprawie — działa prochowe. Pod ich gromowami wystrzały padła ku przestrachowi Litwy starodawna twierdza krajowa Neuenpille, uważana za niezdobytą (1). Po wszystkich kościołach pruskich zabrzmiały modły dziękczynne za świetne nad Kiejstutem zwycięstwo. W Litwie Wielki Książę Jagiello nietylko że mu nie dopomagał w zapasach z wrogiem, lecz nadto niezrozumiałym dla Kiejstuta sposobem nie doznawał żadnej napaści ze strony Niemców, omijających troskliwie jego granice, a dziwnie dokładnie o każdym Kiejstuta planie uwiadomionych (2). Wzbudzona tém podejrzliwość Kiejstuta, nie wahała się w rozmowie z synem Witoldem, posądzić Jagiellę o tajne porozumienie z zakonem. Niewiedzący o niczem Witold zapewniał starego ojca o niewinności brata i przyjaciela Jagielly. Wszelako ten stary ojciec był najfortelniejszym z synów Gedyminowych (3), i łatwo téż fortelność Jagiellowego knowania przejrzał. Utwierdziło go w domysłach ostrzeżenie samego komtura krzyżackiego twierdzy Osterode, Kuna de Liebstejn, który jako chrzestny ojciec Kiejstutowej córki Danuty, małżonki mazowieckiego księcia Janusza, osobiście z Kiejstutem rycerską pobratany przyjaźnią, uwiadomił go o konszaktach Jagielly z zakonem (4). Gwałtowność niebezpieczeństwa zwiększona starością Kiejstuta, z którego blizką już może śmiercią wszelkie dla sprawy narodowej upadały nadzieje, nagliła do doraźnego kroku. Wreszcie jawne niebawem na życzenie Jagielly posiłkowanie Jagiellowego brata Skirgielly przez Krzyżaków inflanckich przeciw Kiejstutowemu synowi Andrzejowi Garbatemu w Połocku, usunęło wszelką wątpliwość o nieprzyjaznych Kiejstutowi planach Wielkiego Księcia (5). Przeto niezwierając się synowi Witoldowi, najechał rączy starzec niespodzianie Wielkiego Księcia

(1) Narbutt: V. 271.

(2) Tamże V. 273.

(3) Długosz Hist. X 66. „Inter omnes Godymini ducis filios magis prudens magisque industrius, et quod illum plurimum honestabat, civilis, humanus et verus in sermone”, którato fortelność i przemyślność rycerska, nawet w połączeniu z kawalerskością, miłosierdziem i szczerotą, nie daje mu przecież prymu nad Olgierda „umeniem”, i jego wszechstronną bacznością i potęgą.

(4) Kron. litew. Bychow. 23. Narbutt Dzieje nar. lit. V 273.

(5) Narbutt V 277.

w Wilnie, opanował obadwa zamki, uwięził Jagiellę z matką, z bratem Korybutem i całym dworem, i zagarnął skarbiec książęcy, w którym, pomiędzy innymi, znalazły się dokumenta związane z zakonem spisku. Dopiero teraz przywołany został Witold do Wilna, dla naocznego z tych dokumentów przekonania się o zdradzie przyjaciela, Jagielly. „Bądź jednak spokojnym o jego dolę“ rzekł Kiejstut do Witolda, „wydzielię mu księztwa: Witebsk. Krewa i wszystką ziemię, jaką ojciec jego Olgierd, od mojego ojca Gedymina otrzymał (1)“. Uczynił to Kiejstut, aby, jak społeczne świadectwo niemieckie prawi (2) „nie skalać swego imienia rycerskiego, i nikogo ze swjej rodziny nie robić wygnańcem z ojczyzny“. Za co Jagiello przyrzekł nie pokuszać się nigdy o odzyskanie Wilna, i jako wierny hałdownik Kiejstuta, mając wszelkie ojczyste skarby i dostatki, a między temi kosztowną stadninę wielko-książęcą zwrócone sobie od stryja, osiadł z matką Julianną w Krewie. Wielko-książęcą zaś godność, wraz z sterem skołatanej Litwy pogańskiej, objął w chęci podźwignięcia upadającej narodowości 83-letni Kiejstut.

Był to ostatni dzień pogaństwa w Europie. Ten sędziwy, gołębiego serca staruszek, to ostatni jego obrońca. Nie mógł on już innęj dać mu pomocy, jak tylko uderzyć jeszcze na Niemców. Jeszcze raz więc zwołał Kiejstut lud zbrojny pod chorągwie bogów ojczystych i wyprawił je w ziemię krzyżackie. Z gwałtownością ostatniego wysilenia, runęła teraz Litwa na grody pruskie. W trzy miesiące po zajęciu wielko-książęcęj stolicy przez Kiejstuta, zdobyło pogaństwo krzyżacki gród Osterode. Po kilku tygodniach przedarła się druga wycieczka litewska pod którymś z synów Kiejstutowych w głąb pruskiej Warmii, w pobliże głównej wielkiego mistrza stolicy. Nieco później sam Kiejstut obległ jurborski zamek nad Niemnem. Wytężono wszelkie siły do zdobycia niemieckiej twierdzy: bito ogromnemi machinami w mury zamkowe, strzelano nawet z sprawionych już przez Kiejstuta dział ognistych, lecz nadesłana tymczasem odsiecz krzyżacka, położyła granicę zamachom

(1) Kronika Litew. Bych. 24. Narbutt V, 219.

(2) Voigt Histor. Pruss. V 367. „weil Kynstutte sich keinen bösen namen erwerben und nemanden seines geschlechtes vertreiben wollte“.

broni pogańskiej. Zniewolony do odwrotu Kiejstut, musiał wnet o obronie własnych Trok myśleć. Odpartą z pod nich siłę krzyżacką poparła wkrótce nowa wyprawa, zdążająca pod samo Wilno. Straszne po dwakroć spustoszeniem Żmudzi, dostarczającej zapewne najwięcej środków wojennych do obecnego podźwignięcia się kraju, pomścili Krzyżacy sowiec ostatni tryumf pogaństwa. W końcu przypadło Kiejstutowi uzupełnić na nowo swoje zeszcupiałe już rotły wykupnem mnogich przez Krzyżaków zabranych jeńców. Nie mając dość krzyżackich brańców do wymiany, wypłacił Kiejstut 3000 grzywien za wykupioną z niewoli Litwę, a 1000 grzywien winnym pozostał (1). Tak krótka, tak małoznaczna pomyślność wojny z zakonem, oziębła ducha narodu. Najwytrwalsi poczeli trwożyć. Śmiałe rozkazy Kiejstuta przyjmowano z niechęcią. Coraz powszechniejsze nieposłuszeństwo, rozprzęgło wszelką możność oporu (2). Opuszczony od ludu własnego Kiejstut, ujrzał przed sobą nieuchronną wynikłość wszelkich swoich wysiłen, ten los zupełnego „wygnania lub ustąpienia całego rodu książęcego z wszystkich krain litewskich“, od którego, według późniejszych słów jego syna (3), zbawiła Litwę jedynie niespodziana pomoc obca. W takim położeniu niezachwiana niczem chęć ocalenia Litwy, na przekor samój Litwie, zniewalała nieraz do srogich środków. Wojdyłto, ów pierwszy sprawca nieszczęsnego przymierza Jagielly z Krzyżakami, został za jakieś nowe knowania powieszonym. Załedwie zaś jednego winowajcę ukarano, wypadło poskromić bunt drugiego rodzonego hrata Jagiellowego, Dymitra Korybuta księcia siewierskiego. Otrząsłszy się z zwierzchnictwa Wielkiego Księcia Kiejstuta, zagarnął on niektóre zamki litewskie i poddał się Wielkiemu Księciu moskiewskiemu (4). Kiejstut zostawił syna Witolda w domu ku obronie Wilna i Trok, a sam pospieszył z wojskiem w daleką

(1) Narbutt Dzieje nar. lit. V. 281 — 285. Voigt Hist. Pr. V. 367, 368.

(2) Alte Preuss Chron: „Kynstod war oyn alder mann und syne land und leut waren ym ungehorsam“. Voigt Hist. Pr. V. 371.

(3) Witold: „ingenue profitebatur asserens suam et suorum omnium ejectionem et discessionem ex terris Lithuaniae et Samogithiae (1378—1386) beneficio polonico esse et fuisse aversam et prohibitam.“ Długosz Hist. X. 44.

(4) Narbutt: Dz. n. lit. V. 287.

wyprawę przeciwko Dymitrowi. Samego rodzonego brata Dymitrego, Jagiellę, zawezwał rozkaz Wielkiego księcia do obowiązkowego przystawienia zbrojnych ze swego księstwa posiłków. Brat Dymitrow, Jagiello, nieukojonny jeszcze po niedawnej stracie wielko-książęcych rządów, bolejący świeżo śmiercią swojego ulubieńca i powiernika Wojdyłty, wyruszył z wojskiem z Krewa, lecz nie przeciwko bratu swojemu Dymitrowi. Zamiast za Kiejstutem, do dalekiego Siewierza, zwróciły się rotty Jagielly w przeciwną stronę ku poblizkiemu Wilnu. Ciągłe spiski z Krzyżakami, zabezpieczały Jagiellę, w razie powstania przeciwko Kiejstutowi, jak najrychlejszą pomoc niemiecką. Nadto wspomniane zniechęcenie się samegoż ludu ku Kiejstutowi, dozwoliło mu zawiązać potajemne stosunki z niektórymi mieszkańcami Wilna, mianowicie z przychylnym Krzyżactwu cudzoziemczym dowódcą miasta Hankiem (1). Niemcem rygajskim. Ztąd skoro Jagiello pod miastem stanął, sami Wilnianie ochocznie poddali mu oba zamki (2). Witold ustąpił do Trok, lecz słysząc, że Krzyżacy z Prus i Inflant ciągną już z pośpiechem ku pomocy Jagiellę, zabrał z sobą matkę Birutę z skarbami ojcowskiemi i cofnął się z Trok do Grodna. Jakoż w istocie nadciągnęły niebawem znaczne siły krzyżackie pod wodzą wielkiego marszałka zakonu. Połączony z nimi Jagiello, zajął z łatwością Troki (3). O czém wszystkiém dowiedziawszy się Kiejstut, nie złożył jeszcze broni. Wyprawił czempredziej kilku naczelników wojskowych na Żmudź, do téj walecznej twierdzy pogaństwa, po liczniejszą pomoc orężną, a sam pognął do Grodna. Tam pokrzepiała go nadzieja doczekania się znaczniejszych posiłków od poblizkiego księcia mazo-

(1) Czyli, jak pospolicie piszą: Hanulem, Hanulonem. Jestto niewątpliwie ten sam „Hancke” albo „Hannike” mieszczanin wileński, „Burger czur Wilne” niemiecki przybysz z Rygi, a ztąd także „Hannike von Rige” zwany, poufnik Jagielly, który w tymże samym roku, wraz z Jagiellą i braćmi, podpisuje po trzykroć przyjazne z Krzyżakami układy. Raczyński Cod. dipl. Lit. str. 57, 58, 60, 65, 66.

(2) Kron. Hermana Kornera w Eccarda Corp Hist. Medii aev. II. Mieszczanie wileńscy opanowawszy podstępem zamek książęcy „mittentes post Jagil castrum sibi praesentarunt”. Narbutt Dzie: narod. lit. V 288.

(3) Wigand. Raczyński 274. Voigt Histor. Prus. V 370, 371. Narbutt V, 290.

wieckiego Janusza. Przytarty od Krzyżaków, zdradzony od synowca, którego sam na tronie wielko-książęcym osadził, opuszczony od własnego narodu, mniemał znękany starzec, iż w obecném tonięciu swojém, będzie się mógł uchwycić ręki małżonka swojej rodzonej córki, ręki syna swojego. Toć dwór tegoż zięcia mazowieckiego stał się uciekającemu niegdyś z niewoli krzyżackiej Kiejstutowi tak szczęśliwą przystanią ocalenia!....

Prócz tego znana mądrość Janusza (1) pozwalała spodziewać się, że przenikliwy wzrok księcia mazowieckiego oceni należycie niebezpieczeństwo, jakim nie tylko Litwie, lecz zarazem i Polsce groziła wzmagająca się przemoc krzyżacka, i nie zechce przeto dopuścić teraz jej ustalenia się w Litwie, upadkiem ojca, Kiejstuta.... Mądry Janusz widział tylko niepodobieństwo utrzymania się Kiejstutowego pogaństwa w Litwie, i uprzedzając blizkie jej rozszarpanie, najechał pozostałe Kiejstutowi Polesie, a po zawojowaniu całej ziemi, zagarnął dwa główne powiaty z gradami: Drohiczynem i Mielnikiem (2). Kiejstut chciał ocalić sprawę, którą bogi i ludzie opuścili. Pozbawiony ostatniej nadziei, z przekleństwem losów na siwych włosach, zgarnął nasz nieszczęśliwy obrońca Żnicza, młodszy brat onych we mgle starożytności zanurzonych bohaterów pierwotnego pogaństwa Europy: onego celtyckiego Artusa, saskiego Witukinda, słowiańskich kruków, ostatki skarbów swoich, i wraz z żoną i synem ustąpił do świętej Żmudzi. Wypadło tam uznać, że nadeszły już czasy, w których się miała spełnić krążąca po kraju wróżba o blizkim upadku wiary ojczyściej, blizkiem zgaśnięciu Żnicza świętego (3). Najgorliwsi zwolennicy narodowości myśleli wprowadzić o ciągłym jeszcze panowaniu pogaństwa, lecz w obradach swoich odzywali się niekiedy przychylniej sprzymierzonemu z Krzyżactwem Jagielle, niż uciążliwemu z powodu swoich ustawicznych wymagań i bojów, Kiejstutowi. Miało nawet wyprawić do Jagielly poselstwo z oświadczeniem mu uległości, jeżeli pozostanie wiernym Żniczowi (4). Nareszcie w żałobnych wówczas zgromadzeniach ludu, wążących osta-

(1) Długosz His. XI. 509. „Homo inter suae aetatis principes sapientissimus et insignis”

(2) Archid Gniez 137. Dług. His. X. 64. Narbutt V. 289.

(3) Narbutt Dzieje narod. litew. I. 229.

(4) Wigand. Raczyń. 284.

tecnie losy narodowości, stanęła rada powszechnego wychodźstwa z kraju. Ziemię litewską i żmudzką chciano pozostawić Krzyżakom, a cały naród z wszelką ludnością sielską, z trzodami i stadami, miał szukać innych bezludnych stron, bezpiecznych nieprzebytymi lasy i bagna, gdzieby zwyczajem dawnych wędrowek narodowych, nową założył ojczyznę (1). Odracząc jednakże chwilę spełnienia tej gorzkiej ostateczności, usłuchano tym razem odezwy starego wodza Kiejstuta, powołującej Żmudzinów do ostatniej walki pod mury Trok. Zdawało się jakoby głos wewnętrzny ostrzegał, że dla wytępionego w tej części świata pogaństwa, nie ma już nigdzie spokojnego kwitnienia, nie ma już przyszłości, jak tylko w losie boju. Osobliwie zgrzybiałego w tej walce bohatera pogańskiej Litwy, ciągnęło serce w ten los. Jakkolwiek więc smutną jest przyszłość sprawy, o której życiu, tylko śmiertelna walka rozstrzyga: stanął przeciw Kiejstut do boju. Niebawem ściągnęły Kiejstutowe i Witoldowe hufce pod mury trockie, które oblegać miano. Nie było w Trokach Jagielly: oczekiwał on gdzieindziej nadejścia nowych posiłków krzyżackich. Jakoż spełniły się wkrótce jego życzenia: niebawem po wyruszeniu Kiejstuta z Żmudzi, wtargnął tam mistrz inflancki, i spustoszywszy kraj cały, sunął w głąb Litwy.

Z drugiej strony zbliżał się ku Trokom marszałek zakonu z znaczną potęgą; Jagiello wiodł trzecie wojsko. Wszystkie te siły dokola pod Trokami opasały Kiejstuta. Zniknęła dlań wszelka nadzieja. Sam Jagiello uzalił się próżnego krwi rozlewu; przeto dla ocalenia stryja, wyprawił przed rozpoczęciem bitwy wysłańców do przyjaciela swego Witolda, z wezwaniem: aby skłonił Kiejstuta do rozejmu (2). Witold przyjął wdzięcznie głos łaski, i po zaprzysiężeniu bezpieczeństwa osób, udał się wraz z ojcem do obozu Jagielly. Syn Olgierdów wyjechał z licznym orszakiem naprzeciw przybywającym (3). Przy spotkaniu, poddali się Kiejstut i Witold zwyciężkiemu Jagielle, prosząc jedynie o życie dla reszty zbrojnego ludu. „Jagiello poruszył mistrza inflanckiego do miłosierdzia, i wzięto 5,000

(1) Długosz His. X. 44.

(2) (3) Latopis Lit. Daniłow. Obacz Kron. lit. Bychowca. Narbutt V. 292.

Kiejstutowego wojska w niewolę (1)". Lecz gdy Kiejstut z Witoldem do pozostałych im jeszcze niedobitków powracać chcieli, zatrzymał ich zdradnie Jagiello (2), rozkazując, aby jechali z nim do Wilna (3). Opasani zewsząd Jagiellowym orszakiem, musieli Kiejstut i Witold chcąc niechcąc ruszyć wraz z tłumem naprzód. Cztero-milowa odległość Wilna, usunęła ich z przed oczu rozprężonego wojska żmudzkiego. Rozbroili je do szczętu goncy Jagielly, donoszący raz po raz, jako stanęła zgoda między książętą, jako Kiejstut zdał wielko-książęcą władzę Jagielle, a Witold za to otrzymał Żmudź; jako wreszcie niepotrzeba już wojska, bo niema wojny (4). Nazajutrz cała armia pogańska częścią sama do domów się rozproszyła, częścią pod rozkazy lub w niewolę Jagielly przeszła. Całe rozwiązanie tej ostatniej wyprawy Kiejstutowej, okazuje najjawniej śmiertelną omdlałość jej natchnienia. Ostatni zamach litewskiego pogaństwa, skończył cichem zachodniego słońca zgaśnięciem. Zgrzybiały jego wódz, gasł już w więzieniu krewskim.

Po przybyciu książąt do Wilna, zostali Kiejstut i Witold z osobna uwięzieni. Syna zatrzymano tym razem w Wilnie, starożo zaś ojca, po zwyczaju (5), w ciężkie zakutego łańcuchy, wywioził brat Jagiellów, Skirgiello, do odległego o kilkanaście mil

(1) (2) Wigand, Raczyn. 286. „Jagel rex movit magistrum ad misericordiam.. Dederuntque se captivos 274 et sic in dolo ibidem K captivatur.”

(3) Cała scena pod Trokami, głównie według Wiganda, wyd. Raczyn. str. 274, 286, nieco odmiennie od Narbutta. Jako świadek społeczny, może naoczny, ma Wigand stanowczą przewagę nad kronikami ruskimi. Długosz połączył Wiganda z latopisarstwem ruskim, lecz powodowany raczej względami narodowości niż krytyką historyczną, dał ruskim źródłom pierwszeństwo. Naruszewicz poszedł za Długoszem. Narbutt nieznający całkowitego Wiganda, wydane go w lat kilka po jego dziele, oparł całe opowiadanie na latopisach ruskich, z niemną, jak sądzimy, krzywdą Jagielly.

(4) Kron. lit. Bych. 26. Narbutt Dz. n. l. V. 291, 293. Voigt His Pr V 371.

(5) Posuwano ten zwyczaj podówczas w rzeczy do tego stopnia, że niektórzy Niemcy, mianowicie nasi Krzyżacy, nie jeńców, lecz gości swoich, w szczególności księcia geldryjskiego Wilhelma, i jeszcze jakiegoś grafa von Kyburg, jak o tem list samego wielkiego mistrza donosi, niekiedy w łańcuchach na żelaznej

zamku Krewa, niedawnej stolicy strąconego z tronu Jagielly. Osadzono tam Kiejstuta w podziemnym sklepieniu sterczącej dotąd baszty. Był to ostatnia niewola, często imanego i więzionego księcia. Przeżył w niej nieszczęśliwy starzec cztery noce (1). Piątego dnia rozeszła się pogłoska, że stary książę życie sobie odebrał. Złotym od ferezy sznurem miał się udusić.

Rozlegając się szeroko po świecie, ulegała ta wieść różnym długo wykładom. U Rusi nienawidzącej Jagiellę, dla jego ochrzczenia się później nie w ruską, ale „niemiecką wiarę”, jak tam obrządek łaciński powszechnie zwano (2), utwierdziło się zdanie, że Kiejstuta z rozkazu Jagielly uduszono w więzieniu. Wiczą tam nawet kroniki, jak się to stało. Trzej służący Jagiellowi, w spółce z jakimś Krzyżakiem, mieli wniść przebrani do więzienia, i zabić naprzód czekaniem pacholika Kiejstutowego, a następnie sznurem od ferezy zadławić starego księcia (3). W Polsce opowiadano sobie, że Kiejstut sam się udusił (4). Najważniejszym w tej mierze głosem jest świadectwo współczesnych Niemców krzyżackich, śmiertelnych niebawem wrogów Jagielly. Otoż żadna z kronik pruskich, zaciekających się nieraz w swojej złości ku Jagielle aż do nazywania go „psem wściekłym” (5), nie śmie zadawać mu jawnie winy mordu Kiejstutowe-

uwięzi do siebie wprowadzali. Voigt Hist. Pr. V. 512. Wielki mistrz pisze, że urzędnicy zakonnicy „lisen in spennen in ein keten mit dem graffen von Kyburg und furen in das laht czu Prüssen.” Dopiero groźba odebrania sobie życia w ręku Krzyżaków, uwalnia księżęcego gościa po kilkomiłowej podróży od tego proceduru gościnności krzyżackiej.

(1) W Litwie, księżyc nie słońce, noc nie dzień, były miarą czasu I. Jaroszewicz, Obraz Litwy I. 80.

(2) Latopis: Litwy i Kronika ruska Danil. 204.

(3) Latopis Litwy Danil. 38. Narbutt Dz. n. lit. V. 294.

(4) Archid. Gnieź 136. Wiadomość u Długosza (X. 66) jest dosłownie, nawet z wiernym powtórzeniem jawnych omyłek, np. Mosten, zamiast Moster, (Narbutt V. 295, wyimek z Kroniki litewskiej w przypisku) wyjęta z późniejszych kronik ruskich, i mimo wszelką naszą cześć dla Długosza, ma ona ztąd mniejszą w naszych oczach wartość, niż słowa wcześniejszego Archidyakona gnieźnieńskiego. Anon. Rerum a: 1330—1426 gest: Historia przy gdańskim wydaniu Kadłubka 1749 str. 108 wspomina: „Ilunc quoque Ceistuthy patrum sibi offensum Wladislaus R. P. in caloribus balnearibus suffocavit.”

(5) Alte Preuss Chron. „der boze hunt.” Voigt. Hist. Pr. V. 502.

go. Wszystkie poprzestają na dwuznacznych półsłówkach (1), blizkich zupełnemu uniewinnieniu Jagielly (2). Ponieważ jednak, według wyrażenia się jednej z kronik niemieckich (3), „życie opuściło Kiejstuta“ w rękę Jagielly; ponieważ śmierć Kiejstuta rymowała z widokami Jagiellowemi; ponieważ można było przypuszczać, że Jagiello jako przyjaciel powieszzonego Wojdyłły, siostra Jagielly Marya, jako wdowa po tym Wojdyłły, pragnęli chciwie śmierci Wojdyłłowego zabójcy, Kiejstuta: przeto każda z wzmianek o śmierci Kiejstutowej pozwala sobie rzucić cień podejrzenia na wiadomość o *dobrowolnej* śmierci staro- książęcia (4). A jak syn Kiejstuta mógł później wyrzec: że Jagiello zgubił jego ojca (5); tak sami Krzyżacy nie wahali się w następnych czasach, nadać półsłówkom swoich kronik, znaczenie rzeczywistego obwinienia (6). Nam co do uznania winy lub niewinności Jagielly, niegodzi się w naszych wymaganiach dokładnego udowodnienia rzeczy być surowszemi od najświętszych onego czasu dusz, którym bliższe w istocie obeznanie się z okolicznościami całego wypadku, wystarczało do uznania niewinności Jagielly (7). Jedyną jego winą był nieszczęsnym parciem wypadków narzucony spisek z zakonem. Niewiedząc zaś co zaszło w więzieniu krewskim, wysłał tam Jagiello swego brata Skirgiellę do Kiejstuta. Skirgiello „chcąc mówić z stryjem w więzieniu, zastał go już nieżywym (8)”. Nie pozostało mu nic więcej jak sprowadzić ciało do Wilna, dla oddania mu czci ostatniej. Odbył się ten obrzęd pośmiertny obyczajem pogań-

(1) Wigand Raczyński. 274. Przy myłności wyraźnego twierdzenia o Birucie, „submergant.“ (Narbutt. V. 301) musi dotyczący Kiejstuta wyraz „strangulatu“, mieć wartość ogólnika, a ogólnikowość ta obraca się w końcu stanowczo przeciwko Wigandowi, gdy on później str. 288 sam wyraźnie wyznaje: że „nikt w świecie nie wie, jakim sposobem Kiejstut zeszedł ze świata.“ Lindenblatta Jahrbücher str. 50 mówią o samobójstwie Kiejstuta.

(2) (3) Kron. Detmara str 321. „In der vengnisse verlos Kinstutte sinlif“, opuściło Kiejstuta życie.

(4) Archid. gnieź. 136, „ut dicitur“, Lindenblatt Jahrb. str. 50, „als man sagete“ Voigt Hist. Prus V. 371, 372.

(5) Wyraz Witolda w tranzakcyi z r. 1384 u Baczka Annal. des Königr. Voigt Hist Pr. 372.

(6) Voigt Hist Pr. V. 372. Handlung vider Polen.

(7) Jadwiga żąda przed ślubem z Jagiellą wyświecenia pogłosek o śmierci Kiejstutowej, i uspokaja się powziętą wiadomością. (8) Wigand. Raczyński. 288.

skim, z nadzwyczajną uroczystością. Na wileńskim zgliszczu Swyntoroga, nad wydrążoną wewnątrz na półtora chłopca mogiłą (1), uczyniono wielki stos z drzew suchych. „Tamże ubrawszy ciało Kiejstutowe we zbroje i szaty książęce, z orężem, włócznią i sajdakiem, położyli je na stos; a przy nim sługę wiernego żywego, konia najlepszego żywotnego, ubranego, parę chartów, sokołów i wyźłów, paznogie rysie i niedźwiedzie, i trąbę myśliwczą; potem uczyniwszy bogom modlitwy i ofiary, i wyśpiawwszy dzielności jego, co za żywota uczynił, zapalili on stos dREW smolny, i tak wszystko ciało zgorzało (2). Obecni pogrzebowi Krzyżacy widzieli z przerażeniem, jak po przedarcie się płomieni do spodniej warstwy drzew, cały stos runął z trzaskiem w niedostrzeżone przez nich wydrążenie mogiły, i nowym wybuchem ognia i dymu przestraszył lud zgromadzony (3). Brakowało przy pogrzebie najmilszych nieboszczykowi świadków, rodziny. Żona bohatera zmarłego, dawna pogańska kapłanka, Biruta, przeszło sześćdziesięcioletnia już niewiasta, została w tym samym czasie utopioną (4). Najślawniejszy z synów tęsknił w więzieniu wileńskim. Z reszty pięciu Kiejstutowiczów, dwaj: Wojszwił i Wojdat już nie żyli; trzej: starszy od Witolda

(1) Wigand. 288. „Vorago.... pro funda in longitudinem unius viri et medii.”

(2) Strykowski wyd. Malin. II. 65. Pozwoliliśmy sobie anachroniczną „szablę” zamienić na oręż. Dalsze zaś słowa Strykowskiego: „Popiół, potem i kostki wypalone zebrawszy, w trumnie pochowali”, mogą nam posłużyć za skazówkę do wyjaśnienia sprzeczności podań o poprzednim pogrzebie Olgiardowym. Mogło być, iż ciało Olgiarda zostało naprzód (według Długosza) spalone, a taka „trumna z popiołem i kostkami”, poszła potem (według kroniki ruskiej) za staraniem księży greckich, poczytujących zmarłego księcia za tajemnego wyznawcę wiary Chrystusa, do cerkwi Bogurodzicy w Wilnie.

(3) W taki ponos sposób należy sobie tłumaczyć ową „miraculosam voraginem”, Wiganda. Szanowny dziejopis Litwy, wyszczególnił szczęśliwie „nowy wybuch ognia i dymu”, lecz bez potrzeby każe swoim Lingussonom i Tylussonom czynić „nadzwyczajność”.

(4) Wigand 274. Słowa Witolda w Baczka: *Annal. des Kön. Pr. Voigt Histor. Prus. V, 372*. Tamże: *Handlung wider Polen*. Tak stanowcze świadectwa przeważają wzmiankę Narbutta V. 301, 302, przedłużającą żywot przeszło sześćdziesięcioletniej staruszki, do dalszych trzydziestu czterech lat.

Patirg, i młodszy: Zygmunt i Towciwill, dopiero później imienia w dziejach nabyli. Z córek, jedna z litewska Danuta, po chrzcie Anną nazwana, żyła, jak wiemy, za Januszem mazowieckim, księżną na Czersku i Zakroczymie; druga, Marya, za Iwanem księciem twerskim; trzecia nieznanego imienia, za Kazimierzem księciem szczecińskim (1); czwarta i ostatnia, Ryngalla, równie niebezpieczna dla duchowieństwa, jak ojciec dla rycerstwa chrześcijańskiego, przywiedzie w dalszym ciągu powieści naszej, wdziękami swemi jednego z biskupów polskich do stanu małżeńskiego.

Teraz jednakże cały ród Kiejstuta w poniżeniu. Pojmanego Witolda przeniósł niebawem rozkaz Jagiełły z Wilna do Krewa. Tam w świeżo przez ojca opróżnioną wieżę wtrącony, mógł Witold najsroższego lękać się losu. Poznał bowiem Jagiełło przedsiębiorczą duszę stryjecznego brata swojego, i okazał się dlań nader surowym. W jedyny dowód łaski, pozwolono mu widywać żonę w więzieniu. Przychodziła księżna Anna codziennie pod wieczór z dwoma służebnymi pannami, które jej łoże słały. Ciągła jednostajność tych odwiedzin, uspiła czujność straży. Jednego razu postrzega dozorca zamku po wyjściu księżny z pannami, zamiast Witolda, jedną z tych panien w odzieży więźnia. Wszelkie poszukiwania były nadaremne.

Witold za radą żony przywdział strój jednej z panien służebnych, a że był drobnej postaci i niewieściego oblicza (2), więc niepostrzeżony, wyszedł za księżną wraz z drugą panną z wieży, i umknął wkrótce z zamku (3). Poczem nie zdało mu się rzeczą stosowną szukać przytułku gdzieindziej, jak u Krzyżaków. Potęga Niemców pruskich, zaciążyła do tego stopnia nad Litwą, że jeżeli nie wojną, tedy przyjaźnią, ucieczką do nich potrzeba koniecznie wiązać się z nimi. Odnawiając zatem wste-

(1) Narbutt Dzie narod litew. V. 302. 303.

(2) Długosz Hist. XI, 558, „In corpore ejus et tenuitas notabatur et brevitatis“. Strykowski Mal II. 66 „bez brody“.

(3) Ze wszystkich świadectw kronikarskich, jeden Wigand str. 200. mógłby dać powód po wniosku, że nie któraś z panien, lecz sama księżna Anna, zamiast męża w więzieniu pozostała. Atoli niedokładność słów jego niemówiących nic o pozostaniu księżny w więzieniu, każe zgodzić się na powyższy sposób opowiadania. Długosz Histor. X. 66. Narbutt V. 305. cz Voigt V. 409. do przeciwnego chyli się zdania.

cznym sposobem dawną drogę ojca Kiejstuta z niewoli krzyżackiej przez Mazowsze, zmierzał teraz Witold przez toż samo Mazowsze, przez książęcy dwór swojej siostry Danuty w Czersku, do ziemi pruskiej w gościnę, będącą w rzeczy tylko dobrowolną niewolą. Jaki los spotkał pozostałą w więzieniu krewskim Litwinę pannę służebną, nie wspominają dzieje (1). Dowiadujemy się za to, iż upadkowi Kiejstuta i Witolda towarzyszyło krwawe pogwałcenie przywiązanej do dawnych bogów Żmudzi. Wielu możnych Żmudzinów, między którymi stryj i wnuk dawniej kapłanki żmudzkiej, księżny Kiejstutowej Biryty (2), przypłaciło śmiercią na kole (3) swój udział w ostatnim podwignięciu starodawnej narodowości i wiary. Ale jeszcze sroższem dla niej niebezpieczeństwem groziły dalsze obecnych zdarzeń następstwa. Z tych, najsmutniejszem okazuje się terazniejszy stosunek osadzonego przez zakon na tron litewski Jagielly do Krzyżaków, swoich sprzymierzeńców i mistrzów. Byłto stosunek zupełnej uległości. Obaczmy jej wszechstronność w dokumentach, jakimi Jagiello musiał zapisać się Krzyżakom w nieszczęsnej chwili, mającej być błogiem dla Niemców uwieńczeniem całego obecnego przesilenia narodowego w Litwie.

Jestto właśnie chwila onego zjazdu z wielkim mistrzem krzyżackim, na który zawezwał go Jagiello w tym samym czasie, kiedy również przychylny Niemcom nowy władzca, również upokorzonej Polski, owszem sam Niemiec, Luxemburczyk Zygmunt, zaprosił wielkiego mistrza na poufną u granic polskich rozmowę. Upadek bowiem Kiejstuta, zdarzył się prawie jednocześnie z śmiercią króla Ludwika, w miesiącu sierpniu 1382 r. Jednocześnie też i *Polska* wstrząśniona swoim nowym w Koszycach ustalonym porządkiem rzeczy, pod swoim nowym „panem“ Niemcem Zygmuntem; i *Litwa* rozchwiana obaleniem dawnego pogańskiego porządku rzeczy, pod swoim nowym z Niemcami sprzymierzonym władzcą Jagiellą, kłonią się do

(1) Narbutta nieoznaczone bliżej źródło: „Rękopism starej daty“, jest ponoś niedość stare i wiarogodne.

(2) Latop Lit. Danil 38. Narbutt Dzi nar lit V. 307.

(3) Jeżeli szanowny Narbutt V. 308 zlątał Strykowskiego za mylne upatrzenie wyrazu „koło“ „koleso“ zamiast „kół“, tedy musimy ująć się za Strykowskiem wskazaniem tegoż właśnie wyrazu „na kolese rozbili“, w głównym Latop. lit. Danil. 38.

stóp tryumfującego zakonu niemieckiego, przed jego, w tymże właśnie czasie, po śmierci Winryka, nowym wielkim mistrzem Konradem Colnerem de Rotenstejn. I trudno orzec, który z obu dwóch sąsiednich ludów smutniejszego w tój porze doświadcza upokorzenia.....

Polska, pocieszona dotąd nadzieją, że przy rozdziale koron węgierskiej i polskiej po śmierci króla Ludwika, zabrana przez Węgrów Ruś Czerwona będzie mogła wrócić do Polski, musiała teraz patrzeć, jak stary Gedyminowicz Lubart, książę na Łucku i Włodzimierzu, na wiadomość o śmierci Ludwikowej, przekupił starostów węgierskich w grodach czerwono-ruskich, i wetując na Polsce pogńębienie Litwy ze strony Niemców, zagarnął pod panowanie Litwy mnogie „pracą i krwią polską nabyte zamki“, jakoto: Krzemieniec, Olesko, Przemyśl, Grodło czyli Horodło, Łopatyn, Śniatyn i inne (1). Taka nowa zniewaga padła teraz Polsce ze strony Litwy. Litwa zaś upraszając wielkiego mistrza o zjazd, który tylko zakonowi zaszczył i korzyść przynosił, musiała wzajem boleśnie uczutój doznać zniewagi (2, iż wielki mistrz krzyżacki nie raczył nawet osobiście przyjąć hołdu Jagielly, lecz spiesząc na zjazd z Zygmuntem, wyprawił do Litwy, na umówioną wyspę na rzece Dubissie, marszałka zakonu Konrada Wallenroda, z mistrzem inflanckim i kilką innemi urzędnikami. Z Jagiellą nadpłynęli statkami na Dubissę: owdowiała wielka księżna Olgierdowa, matka Julianna, najbliższy po Jagielle brat Skirgiello, obdarzony niedawno Kiejstutowem księstwem trockiém, i wspólnie z Jagiellą w imieniu całej rodziny działający; młodsi bracia: Korybut, Langwenii, Korygiell, Wigand i Swidrygiello; wreszcie ów niemiecki mieszczanin i rządca Wilna „nasz wierny sługa“, jak go Jagiello w dokumentach nazywa, Hanko z Rygi. Sześć całych dni trwały układy (3). Co w nich na korzyść zakonu postanowiono, zostało spisane w trzech ważnych niemieckich dokumentach. Pierwszym (4), oddaje Jagiello wraz z rodziną,

(1) Archid. Gnieźnic. 138. Narbutt V. 312.

(2) Ze Jagiello ją uczuł, okazuje się z późniejszego tłumaczenia się Krzyżaków, dlaczego wielki mistrz osobiście podówczas przybyć nie mógł. Raczynski Cod. dip. Lithu. 64.

(3) Raczynski Cod. dipl. Lithu. 65 „sechs gantze tage“.

(4) Tamże 57.

zakonowi niemieckiemu na własność cały kraj żmudzki od morza aż po rzekę Dubissę. Drugim (1), przyrzeka Jagiełło w imieniu braci i ludu, przyjęc w przeciągu czterech lat chrześcijaństwo. Trzecim (2), porucza się Jagiełło z całym rodem i krajem zwierzchniczj opiece zakonu, obowiązując się pomagać mu we wszystkich jego wojnach i przedsięwzięciach, a nie podejmować ze swj strony żadnego przeciw nikomu kroku „bez rady, wiedzy i zezwolenia zakonu“. Ważność tych ofiar i zobowiązań nie potrzebuje bliższych objaśnień. Dla tćm pewniejszego obalenia pogańskiej narodowości w Litwie, zostaje najwarowniejsza twierdza pogańska, Żmudź, poświęcona darem krzyżactwu, uzyskującemu w ten sposób zamierzone wydarcie Litwie tego, z czego ją pomyślne okoliczności przed chrztu blizkiego przyjęciem, wyzuc jeszcze dozwolą. Po próżnym śmiechu Gedyminowiczów z onego niegdyś wezwania na chrzestną ceremoniją w Wrocławiu, przyszło przecięz do poniewolnego przyzwolenia na takąż ceremoniją w samjż Litwie.

Litwa wstąpiła w przymusową współkę wojny i pokoju z wrogiem śmiertelnym. I niedość jeszcze na tćm. Dopiero niebawem po tym zjeździe nad Dubissą, dostał się Witold przez Mazowsze do ziemi pruskiej. Krzyżacy przyjęli go uprzejmie, gdyż w razie przeniewienia się Jagiełły, służył im syn Kiejstutów za nader szczęśliwe narzędzie nowego zawichrzenia, i nowego zaboru Litwy w podobnyż sposób, w jaki Jagiełło przeciw Kiejstutowi posłużył. Czy z Jagiełłą, czy z Witoldem w rćku, panował zakon nad Litwą. Jako pan Prus, Inflant, polskiego Pomorza, litewskiej Żmudzi, zwierzchnik Jagiełły, sojusznik pogwałconej przez siebie Polski Zygmuntovej, przytłoczył zakon niemiecki znaczną część wschodu europejskiego swojćm brzemieniem. A niemieckie to brzemię gniotło tćm ciężej, iż, jak to obraz potęgi zakonu przedstawił, cała zachodnia zagranica, w szczególności niemczyzna, popierała jego cele zaborcze, współpracowała z nim razem nad dziełem przywłaszczenia sobie tych wschodnich Europy dziedzin. Toć równocześnie z zagarnięciem Pomorza i Żmudzi przez Niemców krzyżackich, zagarnęła niemczyzna luxemburska z Czech cały Szląsk polski; wdzierala się niemczyzna naddunajska z Rakuz do Węgier.

(1) Raczyński Cod. dipl. Lith. 56

(2) Tamże str. 59.

W takim składzie rzeczy, nie chodziło już dziejom o Polskę lub Litwę poosobnie, a chodziło o całą słowiańską Europę. Potęga krzyżacka przestawała być potęgą samegoż zakonu, a biła w Słowiańszczyznę jako najbliższa, najpotężniejsza fala powszechnego nacisku zachodu na wschód, fala starodawnego powszechnego nawału teutonizmu na Słowiańszczyznę. Przyzwyczajeni do widzenia rzeczy w takiej postaci, w jaką one później zbiegiem niespodzianych wypadków i okoliczności inaczej ułożyły się; nie czujemy bólu i trwogi ówczesnego niebezpieczeństwa: lecz pokolenia ówczesne czuły i pojmowały je gorzko, i godzi się w powieści dziejowej, mającej opowiadać koleje szczęśliwego w części odparcia, grożących z zachodu niebezpieczeństw, dać głos téj narodowej obawie, dać widok temu śmiertelnemu podówczas wezbraniu fal teutonizmu.



POGRZEB KMIOTKA.

W jesienny ranek z wieży kościoła
Jęknął poważnie żałobny dzwon,
Zwiastując kmiotkom cichego sioła,
Zmarłego druha pobożny skon.

Z drabiastym wozem, woły strokate
Zaszły powoli przed niski próg;
A lud się tłumem garnął przed chatę,
Kędy przed dobą—śmierć zesłał Bóg!

Ujęli kmicie trumnę na bary,
I każdy w niebo modlitwy szał
Za bratem, co dni dobiegłszy miary,
W sosnowej trumnie na wieki spał.

Na garści słomy złożyli społem
Tego, co ziemski skończył już trud!
Ruszyły woły, a z kornym czołem
Za wozem mnogi pociągnął lud.

Czarną chorągwią smutno wiatr wieje,
Szumiąc ponuro w konary drzew;
Zgastego życia opowiada dzieje,
Którym pogrzebny tworuje śpiew.

Krótkieźto dziecie! Bez blasku, chwaty,
Bez marnej wrzawy, bez rojeń, złud,
W pracy i znoju zbiegł żywot cały,
Jak cichy potok nieznanych wód.

Krajał on plugiem jałową rolę,
Boga modlitwą i pracą czcił;
Splatając wzajem trud, i niedolę,
Ciemisty wianek żywota wil.

Z skowronkiem piosnkę szał on w niebiosą,
Składając w dani gorycz i ból;
A gdy porankiem zalsniła rosa,
Krzepił pierś wonią—rodzinnych pól!

Pracował, cierpiał, kochał, i prosił,
 Własny mu zagon stanął za świat;
 Z wiarą krzyż ciężki na barkach znosił,
 Aż dobiegł zwolna kresu swych lat.

I oto ciche cmentarza wrota,
 A grób otwarty przyzywa już;
 Za trumną idzie żona sierota,
 Przy niej dziecięcek gromadka tuż.

Tęskny jęk dzwonów, poranna rosa
 Z żałobnym pieniem i sierot łzą,
 Niesie pospołu prosto w niebiosu,
 Pokryte grubą, jesienną mgłą.

Ksiądz skropił trumnę wodą święconą,
 By zle nie truło zmarłemu snu;
 A kmieć brat z wiarą, na martwe łono
 Garść czarnej ziemi porzucił mu.

I zapłakała żona—sierota,
 Żegnając zimny na wieki grób;
 Dziad zawarł ciche cmentarza wrota,
 Gdzie z zmarłą bracią pozostał trup.

I znów spokojnie, cicho wśród wioski,
 Zamilknął dzwonów żałobny jęk:
 Anioł ukoił zboliałych troski,
 Praca sieroty zgluszyła jęk.

Wieczorem szedłem znów środkiem siola:
 Dzieteczki cichy obsiadły próg,
 Matka sierotę do strawy woła!.. ..
 O! czyż im serca odmówił Bóg?

„Nie! nie odmówił (głos mi odpowie
 Niby z powietrznych płynący fal);
 O! snadno przebrzmi, gdy w łzach i słowie
 Z zbolalej piersi wypłynie żal!”

„Milczące skargi, Bóg z nieba słyszy,
 Anioł je wznosi nad ziemskie mgły,
 Żywot prostaczków upływa w ciszy:
 Gdzie cichy żywot—ciche tam łzy”.

Wyjątek z przekładu tragedyi Sofoklesa:

ELEKTRA,

wygotowanego do druku

PRZEZ

Antoniego Maleskiego.

OSOBY DRAMATU:

KLITAEEMNESTRA, królowa w *Mycenach*.
AEGISTHIOS, jej drugi mąż, król mycenejski.
ELEKTRA, }
ORESTES, } dzioci Agamemnona i Klitaeemnestry.
CHRYSOthemis, }
PAEDAGOGOS czyli STARY SŁUGA domu Agamemnona, piastun *Orestesa*.
PYLADES, królewicz *phocejski*, przyjaciel *Orestesa*.
CHÓR piętnastu szlachetnych dziewic mycenejskich.

WSTĘP.

Co najwięcej może uderza w sposobie starożytnych tragików, to ścisłość formy, przedstawianie na małym w przyborach: słowem, ograniczenie w środkach. Kiedy dramat grecki stanął pod ręką *Sophoklesa* na wysokości, nad jaką w wiekach starożytnych już się nie wznosił; uważano za regułę, ażeby w sytuacjach pojedynczych, tworzących wątek dramatu, nie działało na scenie nigdy więcej osób razem, jak *trzy*. Napotykamy wprawdzie sceny, w których występuje *jedna* tylko, albo *dwie* osoby;

ale nigdy nie znajdziemy, gdzieby ich było więcej naraz jak *trzy*. Samo się rozumie, że mowa tu jest o osobach rzeczywiście *mówiących*; gdyż *ról niemych*, jaką np. w tragedyi obecnej jest *Pylades*, który się wcale nie odzywa, mogło być oprócz tamtych ile się tylko podobało poecie. Również nie ściąga się, co mówię, do *chóru*, gdyż ten zajmował miejsce od sceny i znaczeniem i odległością odrębne: tak zwaną *orkiestrę*. Tak samo i w *orszaku* którego z bohaterów działających bywa czasem wielka ilość osób; tych jednak za role dramatyczne także bynajmniej nie uważano.

Pomiędzy temi trzema osobami zachodzi zawsze taki stosunek, że *pięrsza* wyczerpuje w sobie całe *pathos tragiczne* chwili danę; *druga* je dzieli z *pięrszą*, ale w sposób dopełniający tylko, i, że powiem, powierzchowny; *trzecia* nakoniec pozostaje albo *ponad*, albo *poniżej* uczuć, zażegających tamte osoby, i jako taka stanowi w dramacie osobę tylko dodatkową, pomocniczą i podrzędnie współdziałającą.

Spostrzeżenie powyższe ztąd jest ważniejsze, niżby się wydawało na *pięrszy rzut oka*, że bez przestrzegania téj zasady nie byłaby mogła mieć miejsca *druga* obserwancya praktyki scenicznej u starożytnych, która jak dla nas nowożytnych prawie dziwną się widzi. *Mówię tu o fakcie dowiedzionym i bezwyjątkowym, że do odgrywania całego dramatu nigdy nie dawano poecie więcej aktorów, jak trzech*. Ci trzej byli winni obsadzić i zapełnić wszystkie role, jakie tylko sztuka w sobie obejmowała.

Działo się zatem, że wszystkie role, które w pojedynczych sytuacjach czyli scenach występowały jako *pięrsze*, t. j. jako całkowicie *patetyczne*, oddawano aktorowi najzdolniejszemu; wszystkie zaś role dopełniające czyli *drugie*, mniej zdolnemu; a nakoniec wszystkie podrzędne czyli *trzecie*, trzeciemu, najmniej zdolnemu pomiędzy nimi.

Samo się rozumie, że co tu mówię o *zdolności* lub *niezdolności* aktorów starożytnych, jest nader względnem. Kto zna wymagania artystycznych Greków od wszelkich wyobraźnieli sztuki; komu nie tajno, jakie zadania równocześnie winni byli spełniać artyści dramatyczni w wiekach klasycznych, tak pod względem deklamacyi, jak muzyki i orchestyki: ten wyrozumie, że najmniej zdolny, skoro był dopuszczony do wystąpie-

nia przed attyką publicznością, przewyższyłby niejednego, którego my podziwiamy jako wielce już utalentowanego artystę.

Ten więc aktor, który występował w roli naczelną, t. j. w roli bohatera tragedji, i w rolach najwięcej doń zbliżonych (jeżeli właśnie były takowe w składzie dramatu), uważany był za *aktora pierwszego rzędu*, i nazywał się *protagonistą* tej sztuki. Aktora, który odgrywał wszystkie role *drugie*, nazywano *deyteragonistą* (graczem *drugiego rzędu*); przedstawiciela zaś ról podrzędnych, *tritagonistą* czyli graczem *trzeciego rzędu*.

W zastosowaniu tego wszystkiego do naszej sztuki, rozkład osób dramatu pomiędzy artystów wykonawczych scenicznych, przedstawia się jak następuje:

Elektra grana była przez *protagonistę*.

Orestes }
Chrysothemis i } „ *deyteragonistę*.
Klitaemnestra, }

Aegisthos i . . . } „ *tritagonistę*.
Stary sługa. . . }

Pylades był „*niemą maską*” jak się ^{*tritagonistę*} „*nie mówiący*” różni, czyli osobą milczącą. Również i *orszak Orestesa* i *służebnice Klitaemnestry*, przytomne na scenie w milczeniu.

Chór składały inne osoby, tak zwani *Choreyci*, t. j. baletnicy i śpiewacy.

Że *protagonista* prócz *Elektry* nie miał w tej sztuce już żadnej innej roli do odegrania, to wynika najprzód ztąd, że żadna inna osoba do składu tej tragedji wchodząca nie przedstawia takiej namiętnej walki uczuć i woli, jak *Elektra*; a dalej i z samego architektonicznego porządku, albowiem prawie wcale ona sceny nie opuszcza.

Z równą pewnością godzi się wnosić, że rola *Orestesa*, *Chrysothemidy* i *Klitaemnestry* oddane były przez jednego i tego samego aktora, t. j. przez *deyteragonistę*. Wszystkie trzy te osobistości zajęte są *czynnie* wprawdzie, ale *nie* naczelnie zadaniem spełnić się mającém w ciągu dramatu. *Orestes* rzecz rozstrzyga i rozwiązuje powikłanie tragiczne, to prawda; ale przybywa na scenę z zamiarem już gotowym, i wykonywa bez gorącego uniesienia to, po co przybywa. *Klitaemnestra* przy całej zabiegliwości swojej jest tylko oporną, a zatém *bierną*. *Chrysothemis* nakoniec, obok *Elektry*, przedstawia się jako

umiarkowanie obok namiętnego zapędu, jako rozsądek obok uczucia, nieodpowiedzialnego już za czyny, do jakich mimowolnie jest niesiona przez cały obrot wydarzeń. Że tak jest, to potwierdza też i sama architektonika dramatu, jeślibyśmy się w niej bliżej chcieli rozpatrzeć. Dwie naraz osoby z tych trzech, nigdy nie pojawiają się równocześnie na scenie. Natomiast występuje pojedynczo tak obok *Elektry* (jako tego prawie cały dramat dowodem), jak obok *slugi* (obacz scenę od wiersza 1) i *Aegisthosa* (obacz scenę ostatnią). A zatem tak *Elektra*, jak *Aegisthos* i *sluga*, były grane przez drugich dwóch aktorów, nie zaś przez *deyteragonistę*.

Jeden i ten sam aktor grał nakoniec rolę *Aegisthosa* i *slugi*. Był to *tritagonista*. Dwie te osoby naraz nigdy nie występują. Natomiast dowodzą sytuacje, jak n. p. scena od wiersza 1, 653, 1318, i t. d. że ani *Aegisthos*, ani *sluga* nie mógł być przyłączony ani do zadania protagonisty, ani *deyteragonisty*. Zkądinąd sama natura rzeczy naprowadza na wniosek, że charakterzy te, o ile są podrzędne w osnowie dramatu, tworzyć musiały właśnie rolę trzeciego rzędu.

Rzecz dzieje się w *Mycenach*, jednej ze stolic kraju *Argos* w Peloponezie.

Czas:—*wiek heroiczny* przedhistorycznej Grecyi.

Co zaś do samego *wydarzenia*, wystarczy zapewne, co poniżej zapisujemy:

Syn *Atreysa*, *Agamemnon*, pan *Mycen* i *Argu*, najpotężniejszy z królów helleńskich, potomek głośnego sławą, ale też obciążonego rozliczną zbrodnią, rodu *Pelopidów*, poprowadził jako dowódzca naczelny siły greckie do *Troi*, by skarać *Ilion* za uprowadzenie *Heleny*, dokonane przez trojańskiego królewicza *Parisa*. Dziesięć lat trwała ta wojna. W ciągu tak długiego czasu nie sami tylko mężowie wystawieni byli na codzienne boje na ziemi obcej; równie i żony ich, w domach same pozostawiane, znajdowały się nieraz w trudnych położeniach, gdzie walczyć trzeba było obowiązkowi przeciw chwilowej skłonności, wierności dla prawego męża, przeciw natarczywości ponętnych zalotników. Znana jest stałość i fortele *Penelopy*, żony *Ulyssesa*, przez które zaledwo się oparła formalnemu oblężeniu swych konkurentów. Nie wszystkie jednak żony wojowników z pod *Troi*

były tyle szczęśliwe. Najfatalniej upadła małżonka samegoż ich wodza, królowa *Klitaemnestra*, żona *Agamemnona*. Była bo też przyrodną i snąc nieodrodną siostrą *Heleny*! Podczas gdy bohaterski *Agamemnon* w obozie, zjawia się w jego domu zniewieściał *Aegisthos*, jego brat stryjeczny, syn *Thyestes*a. Niezdatny do boju na polu sławy, tem obrotniejszy był w zabiegach, których sceną ciasna komnata niewieścia; i stało się, że *Klitaemnestra*, zapomniawszy i męża i obowiązku, jemu rękę i tron królewski oddała. Jest coś w naturze ludzkiej, że i najgorsze serce nim się dopuści niedobrego uczynku, musi wprzód rozgrzeszenie znaleźć w obec własnego rozumu! Rozgrzeszenie takie znalazło się i dla *Klitaemnestry* z okazji następującego wypadku. Kiedy się jeszcze wojska greckie zbierały na wyprawę trojańską, i kiedy połączone pod miastem *Aulis* w *Euboei*, miały na okrętach wyruszyć dalej: nastąpiła taka cisza morska w całej tej okolicy, że nie można było ani naprzód wyjechać, ani napowrót. Przykuci do miejsca przez czas niematy, zapytali wreszcie Grecy wyroczni, co tego przyczyną, jak na to sposób? Wyrocznia odpowiedziała, że to *Agamemnon* plagi tej winien, który zabił nieświadomie na łowach daniela poświęconego *Artemidzie*. Gniw bóstwa wtedy dopiero będzie przeblagany, kiedy własną córkę poświęci *Agamemnon* jako ofiarę na oltarzu bogini. Że nie było sposobu uczynienia w inny sposób zadosyć woli *Artemidy*, wódz zmuszony został przez wojsko do wykonania wyroku: posłał przeto do domu po *Iphigenię*, jedną z córek swoich, i krwią jej zbroczyły się oltarze. Otóż zajście, które posłużyło *Klitaemnestrze* za wymówkę. Złamała wiarę mężowi, jako zabójcy własnego dziecka; oddała się *Aegisthosowi*, a co większa, uknuła nadto wraz z nim zamiar zabicia *Agamemnona*, skoro powróci z wojny.

Po dziesięciu latach wraca do domu zwycięzki pan i król mycenejski. Zamiast serdecznego przyjęcia i wypoczynku po trudach, znalazł pierwszego zaraz dnia po przybyciu swoim, przy rześkiej wrzkomo uczcie, śmierć dawno dla siebie przygotowaną. Pomiędzy dziećmi *Agamemnona* i *Klitaemnestry*, był jeden tylko syn, imieniem *Orestes*. Ten lubo w owęj chwili nie miał lat więcej jak około 12, przecież z obawy, ażeby z czasem nie wystąpił jako mściciel rodzica, zamierzyła *Klitaemnestra* i jego zgładzić. Zapobiegła przecież tej zbrodni jedna z córek *Agamemnonowych*, *Elektra*, wiekiem starsza od *Orestesa*, i wy-

prawiła brata potajemnie przed matką i Aegisthosem do jednego z krewnych swoich, panującego w kraju *phocejskim*, imieniem *Strophiosa*. Wykonawcą tego jej zlecenia był *stary sluga* domu Pelopidów. Ten nie tylko zaprowadził *Orestesa* do *Phoecei*, ale i czuwał nad jego młodością, jako nauczyciel i piastun jego, czyli, jak się poeta wyraża, jako „paedagogos” młodego królewicza. Od téjto chwili aż do czasu, kiedy się akcja dramatu naszego poczyna, upłynęło lat *ośm*. Klitajnestra razem z Aegisthosem opływają w szczęście wszelkie; dzieci Agamemnona ponosić muszą uciemiężenia tak ze strony okrutnej matki, jak nikczemnego ojczyma; potęga kraju niszczy coraz widoczniej. Klęski te szczególnieź odbijają się w duszy i doli Elektry, która ani umie, ani chce sztucznie pokrywać nienawiści do nieprawych przywłaścicieli tronu jej ojca. Tymczasem Orestes spędza lata młodociane bezpiecznie w domu *Strophiosa* we *Phokis*, i wyrasta na młodzieńca wzrostu olbrzymiego, a woli potężnej. Nie zapomina o obowiązku pomsty za ojca, włożonym na siebie przez siostrę, która go wybawiła od śmierci; ale się nie kwapi do spełnienia onęj przed czasem. Wreszcie doszedłszy lat blisko dwudziestu, staje przed *wyrocznią delficką*, aby wyrozumić: jaka jest wola bogów w téj sprawie. Przez usta kapłanki daje mu rozkaz *Apollo* przystąpić do czynu natychmiast. Poczém przybywa Orestes wraz z przyjacielem młodości swojej *Pyladesem*, synem *Strophiosa* (a późniejszym mężem Elektry), do domu ojców swoich niespodzianie i potajemnie; i scena pierwsza dramatu właśnie od téj chwili prowadzi rzecz dalej.

Dla nadania rzeczy właściwych ram, dorzucam jeszcze następujące data o sposobie i miejscu przedstawienia obecnej sztuki.

Teatr, dla którego została napisana *Elektra*, t. j. teatr ateński, mieścił w sobie 30,000 widzów.

Był on zbudowany a raczej wykuty w podnózu skały, na której szczycie wznosił się gród ateński. Byłato zatem jakby ogromna jama, poziomo chyląca się w formie półkoła. Amfiteatr, t. j. miejsce gdzie zasiadała publiczność, tworzyły ławy coraz szerszej i coraz wyższej się piętrzące ku górze. Te ławy, byłyto warstwy naturalnego glazu, tworzącego miąższość owęj skały,

ogłudzone wedle potrzeby, i gdzie były szczyby, kunsztownie nadłożone innym kamieniem.

Dachem téj ogromnej budowy, było gołe niebo.

Naprzeciwko tego półkola wystawiony był w *klamrę* budynek murowany, zwrócony frontem do widzów. Front środkowej części tego budynku tworzył głębi sceny; dwa zaś skrzydła stykające się z tą częścią po obydwu stronach pod kątami prostymi, stanowiły boczne ściany miejsca, które ciągnąc się w przedłużony czworobok, było *widownią*, czyli, jak się już wyraziłem, *sceną* tego olbrzymiego teatru.

Występujący na niej aktor grecki, ażeby być widzianym przez całą rzeszę zapełniającą teatr, przywdziewał *kothurny*, rodzaj obuwia zachodzącego prawie do kolan, którego wysokość dosięgała często stopy i więcej. Nie przestając na tém, wkładał sobie i na głowę tak zwany *onkos*, za pomocą którego jeszcze więcej przedłużały się naturalne rozmiary postaci ludzkiej. W miarę olbrzymionej *wysokości* postawy, były przyrządy nadające mu i *wszerz* wielkości.

Również potęgowano i głosu donośność za pomocą masek, których akustyczne przyrządzenie zresztą nie jest nam znane. Bez maski takiej nigdy się aktor nie pojawiał przed publicznością grecką, i w ogóle przed żadną starożytną.

W sposób taki podniesiona postać przyrodzona człowieka, wyrównywała dopiero ideałowi *Homera*, którego pieśni były skarbnicą tragików greckich, a sposób zapatrzenia kanonem wiary potomnych.

Jako więc śpiewał wieszcz ten pra-stary o bogach i herosach bohaterskiego wieku Hellady, że ludzkiej byli postawy, lecz większej siły, piękności i kolosalniejszych rozmiarów ciała, „niżeli ludzie dzisiejsi”; takimi téż dawała ich widzieć scena ateńska swéj publiczności, i potęgowała nietylko charaktery, ale i samą powierzchowność bohaterów tragedyi.

(Dla ułatwienia porównywania przekładu z oryginałem, dodane są liczby bieżące wierszy tekstu greckiego. Wzięto za podstawę wydanie *Schneidera*).

ELEKTRA.

Scena przedstawia przedsionek zewnętrzny grodu królewskiego w Mycenach.—W głębi front tegoż gmachu z trojgiem bram.—Kolo nich posągi bogów i ołtarz ofiarny.—Po obu stronach sceny, widok na dalsze okolice miasta.—Rzecz dzieje się o świcie.

ORESTES, SŁUGA, PYLADES I ORSZAK ORESTESA.

Sługa.

- Synu męża, co pod *Ilion* wojsk helleńskich był hetmanem (1),
Orestesie! Teraz pora żywém spojrzeć okiem w okół
 Na ten kraj ojczysty tobie, kędy zawsze myśl cię niosła.
 Oto *tam* jest *Argos* stare, do któregoś tyle tęsknił,
 5. Poświęcone *Inachowej* opętanej szalem córce (2);
 To zaś boga-wilczobójcy (3) *plac lycejski*; a po lewój
Hery słynnato świątynia; dokąd zasię przybywamy,
 Wiédz, że widzisz te *Myceny*, głośnie złotem i potęgą!
 (*wskazuje na gród królewski*)
 10. Oto dom obarczón zbrodnią dziadów twoich *Pelopidów!*
Złądto zpośród krwi rodzica twego cię uniosłem kiedyś,
 Ręką siostry twój rodzonej zbawionego otrzymawszy,
 (*podnosi rękę ku głowie Orestesa*)
 Wychowałem na *takiego*, na mściciela śmierci ojca!
 15. Toż więc teraz *Orestesie*, i ty z obcych najzyczliwszy
Pyladesie, jak najprędzej radzić trzeba, co poczynąć,
 Bo już słońca promień jasny budzi ptastwa gwary ranne,
 20. Gwiazdy gasną, noc się chyli.—Zanim kto więc z grodu
 wyjdzie,
 Ułóżcie się w mądrój radzie; bo to chwila *nie* potemu,
 By się wahać i rzecz zwlekać; ale sama czynów pora!

Orestes.

O najmilszy ze służebnych, jakież dajesz oczywiste
 Znaki, że mi zyczysz wiernie! Jako rumak on szlachetny,

(1) *Agamemnona*.

(2) *Jo*, córka *Inachusa*, panującego niegdyś nad *Argos*, była kapłanką *Hery* (Junony), i potajemnie kochanką *Zeysa*. Zazdrosna *Hera* dostrzegłszy niewiary małżonka, zesłała szaleństwa na *Jonę*.

(3) „*Wilczobójca*”—*Lykcios*—przydomek *Apollina*.

25. Co choć stary, nie upadnie w chwili ciężkiej na otusze,
Ale w górę stawia uszy: równie nas i /ty popędzasz,
Sam na przodzie przed drugimi.
30. Toż obwieszczę, co zamyślam; ty zaś bystry dawaj posłuch
Na wyrazy, jakie powiem; a jeżeli w czém pochybię,
Przestaw w lepsze. — Kiedym stanął przed wyrocznią, przed
pythyjską,
Chcąc posłyszć, w sposób jaki mogłbym spełnić mściwą karę
35. Na mordercach ojca mego: wróżył *Phoebus*, co usłyszysz:
„Bez zbroicy, i bez tarczy, i bez wojska, i samemu,
„*I podstępem zatajonym ziścić krwawy ręki zamach.*“
Kiedy takie więc wieszczenie posłyszałem z ust wyrocznych,
Ty się zabierz; w chwili zręcznej prowadzony krokiem
zręcznym
40. Wniknij w wnętrze grodu tego, i co dzieje się, rozpoznaj
I dokładnie nas o wszystkiém, świadom będąc, zawiadomij;
Bo nie poznać im już ciebie żadną miarą w tój starości,
Nie widziawszy czas tak długi; i zawierzać będą ufnie
Tój siwiznie, w którąś zakwitł. Mowy zaś zażyjesz takiej,
45. Żeś przychodziień od Phocei; że cię przysłał *Phanoteys*:
Mąż-to bowiem najwierniejszy jest towarzysz ich oręża.
I oznajmij, uroczyste dokładając zaręczenie,
Że *nie żyje* już Orestes, że przeznaczeń nieuchronność
Na igrzyskach go pythyjskich wytrąciła z niesionego
50. W całym pędzie wozu. — Taka niechaj będzie powieść twoja!
(*do Pyladesa i towarzyszy*)
My zaś, jako rozkazano, przedewszystkiém cześć mogile
Rodzicielskiej dajmy zbożną szczodrym zdrojem płynów
świętych
I wiązanką włosów z głowy (1); a następnie wrócim znowu
W rękach niosąc śpiżo-biodrą czarę (2), co ją w oczeretach
55. Jako wiesz i sam, ukryłem; by słowami ludząc onych,
Słodkie zanieść zwiastowanie, że się oto już rozwiata
Postać moja wśród płomieni i rozpadła w popiół nikły!
Bo cóż miałoby mnie smucić, że umarłszy wedle *słowa*,

(1) Zlewano groby zmarłych ofiarą mleka, wina, oliwy, miodu lub wody.—Również poświęcano im końce włosów swoich z głowy odcięte.

(2) Urną, wrzкомо z popiołami Orestesa.

60. Wedle *rzeczy żyw* zostanę i wyniosę z tego sławę?
 Żadne, sędzę, złém nie będzie słowo, które zysk przynosi.
 Wszakże mądrych nawet często już widziałem, co w pogłosce
 Umarłemi byli wrzkomo, a następnie gdy do domu
 Powrócili, tém rozgłośniój zasłynęli czią i sławą.
65. Równie *ja* też tuszę sobie, że przez wieść tę pełen życia
 Zajaśnieję wrogom jeszcze, by w ciemnościach nocnych
 gwiazda.

Tylkoż, o! ojczysta ziemio i bogowie wy domowi,
 Z błogodawczém mnie przyjmijcie powitaniem na tój drodze,
 I ty domie ojców moich!—Wszak przybywam po słuszności

70. Jako twój oswobodziciel, z dopuszczenia bogów zesłan.
 Niech daremnie nie odejdę z tego kraju, pohanbiony,
 Ale rządy mi oddajcie nad dziedzictwem i nad grodem.
 Otoż na tém słów mych koniec. Zatem starcze idz i pomnij
75. Czuwać nad tém, jak należy;

(do *Pyludesa*)

a *my* pójdziem, bó upływa
 Czas, ten mocarz najwładniejszy wszelkiej sprawy między
 ludzmi.

Elektra (w wnętrzu grodu)

O niestety mnie biédnej!

Sługa.

Toż zaprawdę tam z za bramy jakby jęk z służebnic którój
 Zdaje mi się że doleciał uszu mych, o dziecię moje!

Orestes.

80. A czy tylko nie *Elektra*—to nieszczęsna? Poczekajmy,
 Jeślic' wola, i słuchajmy, czy się jęk nie ozwie znowu.

Sługa.

Żadną miarą! Nic poczynać pierw nie kuśmy się, niżeli
 Co wyrocznia nakazała. A poczynać trza od *tego*:

Od zroszenia świętym zdrojem grobu ojca; *to*—bo tylko

85. I zwycięstwo da nam pewne, i skuteczną czynów dzielność.
 (*wszyscy odchodzą*)

Elektra.

(*wychodzi z jednéj z bram palacu i obraca się ku wschodzącemu słońcu*).

O święty promieniu i czysty powietrza (1)
 Nad ziemią wznoszący się tchu!

(1) Następujący tu śpiew Elektry, że jest ujęty w spadki *anapaestyczne*, i to bez *stroficzego układu*, ma wiele podobieństwa

- Ileż jęków wy mych, ileż w piersi skrwawione
 90. Bolesnych uderzeń słyszycie codziennie,
 Gdy ciemna zapadnie już noc!
 A po nocach co już—to chyba bezsenne
 Posłanie me wie w nienawistnej komnacie,
 Jak płacze nad biédnym, och! biédnym rodzicem,
95. Od którego na ziemi i obcój i dzikiój
 Pragnący krwi *Ares* (1) powściągnął swych rąk;
 A żona go własna i toża jój współnik
Aegisthos o ziemię toporem morderczym
 Cios w głowę zadawszy, rzucili jak dąb!
100. I ni jedna téż w jęk nie uderzy niewiasta
 Prócz mnie opuszczonej, nad tobą, o ojczel
 Tak nędznie, tak grzesznie zgładzony!
 (*chwila milczenia*).
- Ale moich narzekań i jęków żalonych
 Przenigdy nie spełni się czas!
105. Póki oczy me gwiazd widzą jasność promienną
 I świetnej białości ten dzień;
 Jako słowik ptaszyna, co dzieci tu wzięto,
 U proga ja bramy ojczystej płacząca
 Wszem wobec zawiodę mój żal!
110. O przybytku *Hadesa* i *Persephonei!* (2)
 O *Hermesie* umarłych, i *Aro* czcigodna,
 I *wy*, córny bogów, straszliwe *Erinye* (3),

do tak zwanego *Parodos*. Nie jest nim jednak; gdyż takowy był śpiewany tylko przez *chór*, w chwili przybywania jego na *orkiestrę*. W natłoku uczuć lirycznych Elektra wysławia tu swą boleść; towarzyszące zaś w takich razach instrumenta dęte, (mianowicie *flauty*) podnosiły tém bardziej ten wyraz elegijny, jakim całe to miejsce napiętnowane. Pod koniec śpiewu przychodzi na *orkiestrę chór*. Pochód jego dany tu jest bez *parodos*, gdyż śpiew niniejszy, tego samego będąc pod względem rytmu układu, co właściwy *parodos*, zastępuje takowy.

(1) *Ares* grecki *Mars*.

(2) *Hades* i *Persephone*, bóstwa śmierci, piekieł, umarłych. To samo co *Pluto* i *Proserpina*.

(3) *Ara*, mityczne uosobienie zemsty, mało różna od *Erinyi*. *Erinye* zaś byłyto bóstwa ścigające zbrodniarzy; mianowicie jeżeli ci się dopuścili przelewu krwi w zakresie rodziny własnej. Latażba ich nieoznaczona. Zrodzenie niejednostajnie podane. Miały być według jednych córami *Skotosa* (ciemności) i ziemi; według

Wszak bezprawiem ginących dopatrzysz wasz wzrok!
Przybывajcie na pomoc, przychodźcie zdradliwych
Cudzołożców ukarać, o ojca się śmierć

Naszego upomnieć;

I brata mi mego na pomoc przyslijcie,
Bo sama już dłużej brzemienia żałości
Nie zniosę ku ziemi cisnącej!

(Pod koniec śpiewu Elektry przybywa na orkiestrę (1) Chór. Piętnaście dziewcząt, z wienieciami z kwiatów na głowie; przewodniczka chóru na przodzie; postępują rzędami, w miarę w takt śpiewu Elektry. Przybywszy na miejsce, rozstępują się na dwa pół-chóry, grupują się symetrycznie na stopniach *Thymeli*, tak iż najwyższe miejsce zajmuje przewodniczka, i towarzyszą Elektrze aż do końca śpiewu stosowną pantomimą. Następnie muzyka coraz rzędniej wplata się do pieśni, i zaczyna się śpiew chóru.— Podnosi głos najprzód przewodniczka chóru (2).

drugich córami *nocy*; według jeszcze innych początek ich odnosi się do chwili, kiedy krople krwi, sączące z ran zadanych *Uranosowi* (niebu) przez syna jego *Kronosa* (czas, spadły na ziemię i wydały za dotknięciem swoim ze ziemi te straszliwe istoty. Postacią ani do bogów, ani do ludzi podobne, w kir osłonione, ze zmiętymi we włosach, niedościgłe w biegu, nieznużone w przesładowaniu, żadną modlitwą ani ofiarą nieprześląganą, o wszelkiej zbrodni wiedzące, jak wyrzuty niedobrego sumienia późni sięgały zbrodniarza, póki nie skończył szaleństwem. Odpowiednie im były w rzymskiej mitologii *Furie*.

(1) *Orchestra* w teatrach naszych nie ma miejsca sobie odpowiedniego. Pomiędzy *sceną*, wyniesioną nad poziom na jakiej 10 stopni a właściwym *teatrem*, gdzie zasiadali widzowie, znajdowała się w pośrodku rozległa przestrzeń, na samym poziomie urządzona, z przeznaczeniem ażeby w témto miejscu odbywał chór swoje pieśni i tańce. Miejsce to nazywało się *orkiestrą*. Punkt środkowy na orkiestrze stanowił ołtarz ofiarny, wyniesiony nad poziom do pewnej wysokości. Kilka szerokiej stopni ułatwiał przystąpienie do niego. Ten ołtarz nazywano *Thymele*. Około tego ołtarza zgromadzał i ustawiał się chór, i raz przybywszy nie oddalał się już od niego ani na scenę, ani też do żadnej innej części teatru. Przybywał zaś na orkiestrę *nie* z pałacu, jak zazwyczaj scena przedstawiała, ani też w ogólności ze *sceny*; ale z zewnątrz, przez wielkie wnijscie teatralne, jakich było dwa, po jednym na każdej stronie gmachu teatralnego. Temiż wnijskami przychodzili do teatru i widzowie. Wystawiano sobie, że chór przybywa z miasta złożyć ofiarę na ołtarzu owym; spotkanie zaś jego z osobami na scenie działającymi było wrzeczkiem przypadkowe.

(2) *Śpiewy chóru*, jakich tu pierwszy przykład, mogą być rozmaitej natury, jak się to pokaże poniżej. Obecny śpiew należy

STROFA PIĘRWSZA.

Przodownica chóru.

120. Dziecię moje, córo złowieszczej
 Matki, *Elektra*, cóżto we łzach
 Niewyczerpanych się rozplywasz
 Za bezbożnie zgładzonym,
 Zdradą matki podstępnej
125. Niegdyś *Agamemnonem*?
 Oby zginął morderca, jeśli tak mówić się godzi!

do rodzaju przez starożytnych nazywanego *Kommos* (εἰρηνη, właściwie *skarga, planctus*). Charakterystyczne jest w nim to, że go chór samodzielnie i odrębnie od sceny *nie* podnosi, ale owszem wiedzie niejako śpiewaną rozmowę z osobą dramatu, działającą na scenie. W tym miejscu np. widzimy, że śpiewająca wprost zagaduje Elektrę, i otrzymuje od niej kilkakrotnie odpowiedź. Drugą a nieodłączną od tamtej właściwość *Kommosu* w tym uważać należy, że go nie wykonywa cały chór w połączeniu, ani też głosów kilka złączonych; ale zawsze tylko głos jeden, pojedynczo, z towarzyszeniem muzyki instrumentalnej. Zresztą wiedzieć należy, że podczas gdy pojedynczy głos z chóru albo też ze sceny odśpiewuje rzecz swoją, cały chór tymczasem uwydatnia plastycznie melodyą przez *taniec*. Były to oczywiście tańce poważne, uroczyste, nie polegające na zwinnych rzutach, szybkich poruszeniach, ani skocznych obrotach; ale na pełnym gracyi i wyrazu *uśmysławianiu* pieśni, właśnie śpiewanej, przez ruchy ciała i odpowiednie pantominy. Było więc, że tak powiem: *balet tragiczny*, a zwano go *Emmeleia*.

Zwracam jeszcze czytelnika uwagę na inną okoliczność. Wszelki śpiew chóru tragicznego składa się ze *strof*. Każda *strofa* ma swoją odpowiednią *antistrofę*. Między strofą a antistrofą zachodzi zaś zawsze jak najściślejsza spójność. My wyrazu *strofa* lub spolszczonego *stworotka* używamy już o każdej liczbie wierszy tak razem złączonych, że jakąś całość stanowią. Starożytni przywiązywali do tej nazwy daleko więcej znaczenia. Jak u nas, tak też i u nich nie było żadnej zasady, z ilu wierszy ma składać się strofa. Liczba takowych powszechnie bywa dość znaczna; tak np. strofa obecna obejmuje wierszy 16. Również wcale nie było konieczną, ażeby jeden wiersz w strofie był do drugiego podobny. Owszem. różnią się one po największej części od siebie, a to nie tylko pod względem liczby zgłosek, ale i co do rodzaju rytmu. Ale za to zachodzi zupełne podobieństwo i że tak powiem *geometryczne przystawanie do siebie* pomiędzy strofą a antistrofą. Ile

Elektra.

130. O pokolenie szlachetnych!
 Cieszyć mą żalność przyszłyście,
 Wiem to, zgaduję, przenikam...
 Ależ niech zdala zostanie odemnie,
 Bym zaniechała po ojcu nieszczęsnym
 Płaczu żaloby!
 Zatem jeżeli wdzięk wdziękiem rozliczny
 Splacić mi chcecie: o! dajcież, zaklinam,
 W smutku tym zostać!

ANTISTROFA PIĘRWSZA.**Przodownica chóru.**

135. O! nie wskrzesisz z toni *Hadesa*
 Wszem przeznaczonój ojca ty już,
 Ani przez modły, ni przez skargi...!

wieczy w strofie, tyleż jest ich w antistrofie. Następstwo, rodzaj rytmiczny, długość lub krótkość, i w ogólności cała budowa wierszy tak pojedynczo, jak razem wziętych, jest ze wszech miar ta sama w strofie, co w antistrofie. Słowem, antistrofa zawsze jest wykonana według tej samej nuty, a zarazem według tego samego rytmicznego schematu, co odpowiada jej strofa.

Powtarzam raz jeszcze, że podczas kiedy strofę śpiewano, chór tańczył tymczasem w takt nuty, téjże strofy. Tańczył zaś w ten sposób, że obydwie półchóry, z których się składał, w tańecznych ewolucjach swoich przesuwaly się z miejsc, na których stały pierwotnie, na miejsca przeciwległe, tak, iż pierwsza połowa chóru przy końcu strofy znalazła się tam, gdzie na początku strofy stała druga połowa; a druga tam, gdzie pierwsza. W tejto chwili następowała antistrofa. Terazto znowu wracały półchóry w tychże samych ewolucjach, ale odwrotnych, każdy na swoje pierwotne stanowisko, tak, iż przy końcu antistrofy znalazł się każdy z nich na swoim właściwym posterunku. Otóż więc od tego, że to był *swrot* a następnie *odwrot* tańczy, nazwano piosnkę pierwszą, *strofą*, (zwrotką) a drugą *antistrofą* (odwrotką); i samo z siebie wynika, że i nuta, i układ i cała budowa muzyczna jak w pierwszej, tak w drugiej musiała być ta sama. W samym końcu dopiero następowało *dośpiewanie* (epodos), gdzie już obydwie półchóry razem śpiewały w głosach złączonych. Tańca wtedy zapewne już nie było.

Ale przez smutek ten zbytni
 Brniesz z cierpień znośnych w bezdenne
 I zatracasz się sama!

140. Czemuż rzucasz się w rozpacz, z której, ach! *nie ma*
 zbawienia?!

Elektra.

Tylko niemądry zapomni
 Zdradnie zgładzonych rodziców!
 Dla mnie zaś słodki już tylko
 Jęk onęj ptaszki żałośnie *Itysa*,
 Zawsze swojego *Itysa* płaczącej,
 Wiosny zwiastunki!... (1)

145. Ach! jako bóstwu ci cześć, o Niobo,
 Głazie boleści, kamieniu płaczący,
 Kornie oddaję! (2)

(1) Wyrażenie w greckim tekście: *posłannica Zeysa* zamieniłem odrazu na zrozumialsze dla czytelnika polskiego: *Wiosny zwiastunka*, ponieważ o tyle tylko *słowik* nazwany być może wysłańcem tego rządcy niebios i ziemi. Natrącenie zaś o Itysie wyjaśni następujący *mythus* grecki o powstaniu pierwszego słowika. *Tereys*, król Traeyi, miał za żonę *Proknę*. Młodszą siostrą Prokny była *Philometa*. Tereys doczekawszy się z Prokny syna Itysa, pokochał się w *Philomeli*, i kiedy właśnie oddaliła się z domu Prokno, dopuścił się gwałtu na niej. Żeby go zaś nie oskarżyła przed siostrą, wydarł jej język. Pomimo tego za powrotem siostry, *Philomela* dała jej wiedzieć o swojej krzywdzie przez kilka wyrazów, które wyszyła na jej welonie. Prokno zemściła się na małżonku w ten sposób, że syna swego Itysa zabiła i ugotowanego podała Tereysowi zamiast potrawy. Później razem z siostrą uciekła z domu. Natychmiast poznał okrucieństwo Tereys i poszedł w pogoni za uciekającymi. Już ich dopędzał, już podnosił topór morderczy nad ich głowami, kiedy ulitowawszy się bogowie nad niemi, przemienili Proknę w *słowik*, *Philomelę* w *jaskółkę*, a Tereysa w *dudka*. Otóż oculoone sumienie w Proknie-słowiku jest powodem, dlaczego ptak ten takie smętne tony zawodzi!

(2) Dorzucam w krótkości znane podanie o *Niobie*. Nioba, żona króla tebańskiego *Amphiona*, a siostra pradziada Elektry, *Petopsa*, była matką siedmiu dorodnych synów i tyluż córek. Uniesiona dumą, rzekła razu pewnego, że nie równać się z nią w zaszczytach macierzyńskich ani nawet boskiej *Leto* (*Latonie*), ponieważ ona miała tylko dzieci dwoje, t. j. *Apollina* i *Artemis* (*Dianę*). *Leto* skarciła zarozumiałość: *Apollo* pozabijał *Niobie* w jednym dniu wszystkich synów; *Artemis* wszystkie córki. Wtedy *Nioba*

STROFA DRUGA.

(Pierwsza w pierwszym półchórze).

150. Nie samę tylko ciebie
Przygnębił ciężki los;
Lecz cząstkę zajęłaś tak wielką zeń sobie,
Że żadno z rodzonych nie zmierzy się z tobą
Ani *Chrysothemida*, ani *Iphianossu* (1),
155. Ni ów, co zdala cierpień
Szczęśliwą spędza młodość,
Przez słynne swe Myceny
Z witanem wyglądany,
Przybyć kiedyś mający pod *Zeysa* boską pawęzę,
Dziedzic *Orestes*!

Elektra.

160. Jegoto, jegoto bez wypoczynku ja
Przyjścia wyglądam.
Krok mój się chwieje już, łzy w lica wpiły się,
Obce mi matki rozkosze,
Obce małżonki mi szczęście,
Dla mnie—tylko sieroctwo!.....
165. *On* zaś zapomniał już pomsty i cierpień swych,
Zawsze zawodne mi wieści orędzie:
Że tęskni i przyjdzie.
Czemuż „tęsknić”, przyjść się nie kwapi?!

ANTISTROFA DRUGA.

(Pierwsza w pierwszym półchórze).

170. Odwagi, dziecię moje,
Jest w niebie wielki *Zeys*
Wszechwiedny, wszechwładny!—Zdaj *jemu* żal gniewny,
A wrogów się pilnuj, lecz zawiść staw w karby,

w rozpacz bez granic opuściwszy Teby, powróciła do ojca swego *Tantala*, króla Frygii, i przemieniona została przez *Zeysa* na górze *Sipylos* w skałę. Ale jej boleść była tak wielką, że i z tej skały potok łez dniem i nocą się sączył.

(1) *Chrysothemis* i *Iphianassa* siostry Elektry.

175. Resztę zostaw *czasowi*: bóg—to bo smutki kojący!
 Bo ani na *kryssejskiém* (1)
 Bawiący tam nadbrzeżu
 Rozkosznych trzód obfitém
 Syn Agamemnonowy
 Nie zapomniał o pomście, ni bóg królujący potężnie
 Nad *Acherontem*. (2)

Elektra

180. Lecz pod nawalem rozpaczy wyczerpła się
 Życia krynica....
 Zwiędły me siły już, lat młodych kwiat mi schnie,
 Ani mnie matka, ni ojciec,
 Ani przyjaciel, małżonek
 Upadającej nie wesprze!.....
 Lecz, by klucznicza najlichsza ja krzątać się
 185. Muszę po domu ojcowskim, odziana
 W żebraczą tę suknię,
 Prózne głodna stoły obchodząc!

STROFA TRZECIA.**(Pierwsza w drugim półchórze).**

190. Kiedy z wojny powracał,
 Gdy na łożu małżeńskim
 Wypoczynku szukając,
 Morderczych toporów uderzył weń cios:
Wtedy głosów żalonych
 I skarg boleściwych był czas!
 Zamysł *Zdrada* poddała,
 Spełniła go *Chuć*,
 Okropny okropnie
 Widok, dawszy na jaw!
 195. Czyż był bóg, czy człek tego sprawcą?

Elektra.

O! ze wszystkich złych
 Najczarniejszy ty dniu!

(1) Miasto *Kryssa* położone było w *Phocet*, gdzie się wychowywał Orestes stosownie do woli Elektry.

(2) *Acheron*, jedna z rzek krajów śmierci.

- O nocy kryjąca biesiadę strasliwą,
 200. Gdzie ręce spiknięte napasły mi ojca
 Haniebném morderstwem!
 O! te ręce mordercze *mnie* życie podcięły,
 Wtrąciły mnie w grób!
 Niechaj bóg olimpijski z potężnej prawicy
 205. Dolegliwych udręczeń udręczy (1) je kaźnią!
 Co wesele i błogość, niech nigdy już w życiu
 Nie wiedzą za czyn tak ohydny!

ANTISTROFA TRZECIA.

(Pierwsza w drugim polchórze).

- O powstrzymaj ten zapęd!
 Czemuż myślą nie zmierzysz,
 210. Z jakiej doli dzień za dniem
 W coraz głębszą niedoli pogrążasz się toń?
 Zapalczywym umysłem
 Kiedy wciąż budzisz waśnie i bój:
 Alboż mały do cierpień
 Zesłanych przez los
 Przynorzyłaś naddatek?
 215. Do dzierzących bo moc
 Niegodzi² ze zwadą się zbliżać!

(1) Raz na zawsze nadmienię przy okazji obecnego zejścia się dwóch równobrzmiących wyrazów (jak „*udręceń udręczy*”), że ilekroć napotka takowe czytelnik w niniejszym przekładzie, niechaj ich nie kładzie na karb ani niedbałości, ani też upodobania tłumacza w wyszukanych tego rodzaju niezwykłościach. Jestto tylko wierne naśladowanie jednej z częstych właściwości stylu Sofoklesowego. O kilka wierszy wyżej było: „*okropny okropnie* widok dawszy na jaw”, także na zasadzie podobnego wysłowienia w oryginale. Również nie mogę nie wspomnieć o obfitości może niejednego razącej w wierszu 129. „*Wiem to, zgaduję, przenikam*”; zostawiłem tam te trzy mało stopniujące się odcienia tylko w chęci zbliżenia się we wszystkim do sposobu, który nietylko jest cechą naszego poety, ale co ważniejsza, w pewnym względzie i całej klasycznej wyrazistości, jaka wszystkim greckim autorom właściwa.

Elektra.

O dola—to zła

Dała zapęd mi ten!

O wiem i nie taję, że zgubny to zapęd!

Lecz w strasznym tym prądzie nie wstrzymam zagłady

220. Póki życia mi stanie!

Bo i któżby mi kiedy, o miłe wy moje,

Któż mądrzeby rzekł

Niedaremna mi radę i trafną w sam raz?

Więc i wasze niech zmilkną, niech zmilkną pociechy!

225. Dla mnie *nie ma* pociechy! mym skargom żalonym
Wypoczynku *nie* będzie!

EPODOS.**Wszystkie trzy głosy z chóru.**

Ależ dobrze ci życząc,

Głosem matki stroskanój wołam ku tobie:

230. Nie ródź zguby ze zguby!

Elektra.

Pitze kto z czary nieszczęścia pełniejszej?

Czyżto zapomnieć umarłych jest *ślawą*?

Gdzież w człowieku myśl taka?!

Szpetna „ślawo”, preczże odemnie!

235. Jeśli na drodze żywota

Mam jeszcze słodycz gdzie spotkać:

Niech mi się w jad na ustach zamieni,

Jeśli bym skarg rozgłośnych nad ojcem,

Czi go zbawiwszy,

Skrzydła wstrzymała!

Bo jeśli zmarły w grobie,

240. Jak proch, jak *nie* wzgardzone

Zostanie,

A dwaj morderce jego

Przez krew mu krwi wzajemnie

Nie spłacą:

Nie ma chyba już wstydu, ni grozy bożej na ziemi!

Przewodnica Chóru (mówi):

- Jać przybyłam, o dziewico, bacząc skrzętnie i na twoje
 245. I na samęj siebie korzyść; lecz jeżeli źle ci radzę,
 Ty przemagaj: bo pójdziemy z tobą wszystkie dokądkol-
 wiek.

Elektra.

Wstydcy dla mnie, o niewiasty, jeżeliście rzekły w sobie,
 Sądząc z skarg tych wielorakich, żem ja zbyt nieznośna
 w gniewie!

Ależ wszakto twarda przemoc być mi każe jaką jestem!

250. Pobłażajcież!—Bo jakżeby z domu onego białogłowa
 Widząc krzywd ojczystych pasmo, jako ja je widzę coraz
 Dzień za dniem i noc za nocą, zamiast nikuąć, wzrastające,
 Nie czyniła, co *ju* czynię?—Oto serce mi nasamprzód
 Nienawiścią szarpie podłość, ach! ohydna tej, co moją,
 255. Urodziwszy mnie, jest *matką*; a do tego w własnym domu,
 W domu moim żyje wespół z mego ojca mordercami,
 I rządzona jestem przez nich i z ich ręki otrzymuję
 Równie kęs codziennęj strawy, jak i głód i niedostatek!
 A posłuchaj dalej jeszcze: jakież dni-to sądzisz spędzam,
 260. Kiedy widzę na królewskim, *na mojego ojca tronie*
Aegisthosa rozpartego! i kiedy go w szaty widzę
 Odzianego takie same, w jakie *tamten*, i ofiarne
 Lejącego bogom zdroje właśnie *tam*, gdzie zabił jego?
 Kiedy widzę zgoła owo ze wszech zuchwałstw najzuch-
 walsze:
 265. Mężobójcę w łożu ojca, ach! w objęciach matki naszęj,
 Jeśli wolno nazwać *matką Aegisthową rozkosznicę!*...
 Ona zasie tak bezczelna, że się tuląc do zbrodniarza
 Ni przed mściwą drży *Eringą*, i z uśmiechem prawie je-
 szcze
 270. Broi grzechy; gdy doczeka dnia onego, w którym niegdyś
 W zdradzie, milczkiem, z tyłu godząc, ojca nam zamor-
 dowała,
 Wtedy chóry więc taneczne stawia na cześć bogom zbaw-
 czym
 I ofiarą jaguiąt licznych co miesięczną zebrze łaski!
 275. Ja zaś patrząc na to wszystko w domu, płacząc udręczona,
 Tonę we łzach, tłumić muszę w sobie samęj jęki moje

- Nad tą, smutném zwaną mianem, *Agamemnową sypką*;
 Bo już nawet płakać tyle, ile pragnie żalność moja
280. Zabronili! — Zaraz owa tak szlachetna w mowie wiedma
 Wrzeszcząc w głosy, miota na mnie obelgami i złorzeczy:
 „O bezbożna plago moja, czyż ci ojciec umarł samój?
 „Niktże inny ze śmiertelnych jego zgonu nie żałuje?
 „Zgin, przypadnij! Żebyć nigdy z tych przeklętych twych
 wyrzekań
285. „Nie zbawili cię bogowie, co nad grobów światem rządzą“.
 Tak się pastwi w swém zuchwalstwie; a jeżeli kto jój
 wspomni,
Że Orestes przyjdzie: wtenczas krzyczy wściekła przy-
 skakując:
- „A nie tyżeś to przyczyną? a nie twojaż to sprawka?”
290. „Tyś to z rąk mi Orestesa skradłszy, gdzieś tam wypra-
 wiłał
 „Ale wiódz, że czeka ciebie za tę śmiałość godna kara“!
 Tak ujada. A podszczuwa jeszcze nadto, obok stojąc,
 Owże gach jój najmilejszy, to sromotne Do-niczego,
295. Niedolega od stóp do głów, tchórz z babami wojujący
 Ja zaś ciągle wyglądając Orestesa jako zbawcę
 Mającego w pomoc nadejść, ginę oto nieszczęśliwa;
 Bo wciąż dzieło odraczając, wszystkie zniszczył mi nadzieje
 I obecne przed oczyma, i na spodzie serca skryte.
300. Toż w niedoli tak okropnej wzdry nie pora, miłe moje,
 Ani na potulność baczyć, ani na uległość zbożną,
 Lecz w złym domu z konieczności człek i sam się odda
 Przewodnica chóru. złemu.
- Powiedz-no mi, czyli, podczas gdy Aegisthos w domu
 bawi,
 Ty tu z nami tak rozmawiasz,—czy téż wyszedł dokąd
 Elektra. z domu?
305. A zaiste! Nie myśl żebym, gdyby był obecny w domu,
 Śmiała chodzić tak przed bramą;—lecz na pole wyszedł
 Przewodnica. właśnie.
- Toż i ja się sama puszczyć śmielój z tobą i bezpiecniój
 W pogadankę bez ogródki, kiedy tak się rzeczy mają.
- Elektra.
- Ufna, że go w domu nie ma—mów i pytaj, czego pragniesz.

Przewodnik.

310. Otóż pytam córo ciebie: twój rodzony—cóż ty myślisz,
Przyjdzież on, czy zwlecze przyjazd?—tobym wiedzieć naj-
przód chciała.

Elektra.

Obiecuję, lecz z obietnic żadnej dotąd nie uiszcł,

Przewodnica.

Rad spełnienie bo odwłóczy, kto gotuje dzieło wielkie!

Elektra.

A ja przecie *nie* przez zwłokę wybawiam go od śmierci!

Przewodnica.

315. Miejno ufność!—Krew szlachetna płynie w nim, to we-
sprze swoich.

Elektra.

W' *toć* ja wierzę! bez tój wiary jużbyś dłużej żyć nie mógł!
(*Chrysothemis wychodzi z bramy pałacu*)

Przewodnica.

Ni już słowa więcej nie mów, bo spostrzegam we drzwiach
oto

Tejże krwi co ty dziewięć i ze szczepu tegoż co ty,

Jak po ojcu tak i z matki, *Chrysothemidę*; właśnie z domu

320. Niesie dary pogrzebowe, jakie zmarłym dawać zwyczaj (1).

Chrysothemis (*przystępując do Elektry*).

Cóżto mów, o sestro moja, wysunąwszy się z komnaty,

Tak wygłaszasz przed bramami? Aniz długi czas więc ciebie

Nie nauczy, że daremne gniewom czczym jest folgowanie?

325. Wzdyć nie tajno ani dla mnie, że bolesna dola nasza,

Tak że gdybym siłę miała, poznałiby, jak im życzę.

Lecz obecnie, wpośród burzy wolę płynąć z żagleń na dół,

I nie zdawać się że działam: nie działając nic ni szkodząc.

(1) Chrysothemis występuje na scenę z pałacu, którego front przedstawia tylna ściana sceny. Spostrzega ją chór dlatego pierwiej niż Elektra, ponieważ chór stoi ciągle twarzą ku scenie, tyłem lub bokiem ku publiczności; Elektra zaś przeciwnie: twarzą do widzów i chóru, plecami do bram pałacowych. W ten sposób jestto naturalną, że chór choć więcej oddalony od nadechodzącej Chrysothemidy, anizeli Elektra, przestrzega ją przecież o tem.

330. Ależ takie pragnę siostró, by i *twoje* były czyny;
Choćto wprawdzie nie *to* słuszne, co wyrzekną *moje* usta,
Ale jak *ty* osądzisz; przecież jeśli nie jak służa
Ale żyć mam jako wolna, trzeba słuchać panujących.

Elektra.

Ach okropnie, żebyś ojca, *jego* córką, *jego* dzieckiem

335. Własnym będąc, zapomniawszy, dbała tylko o chęć matki!
Bo tych wszystkich przestróg dla mnie *od niej* się to nau-
czyłaś,
Sama z siebie nic nie mówisz; chyba że wybierzesz z dwojga:
Albo czucia nie masz w sercu, *albo* mając, za nic sobie
Poczytujesz pamięć drogich (1)! Rzekłaś świeżo, że gdyby ci
340. Dano siłę, twa nienawiść jasną łuną-by zabłysła;
A gdy ja każdego razu pragnę ojcu pomstę ziścić,
Ty nietylko mnie nie wspierasz, ale jeszcze łamiesz zapęd!
Nie grzechże to przeciw ojcu i lekliwość iście podła?
345. Nauczno mnie, lub odemnie postłysz: jakież zysk mi spłynie,
Jeśli skarg tych zaprzestanę? Czyż nie żyję nędznie? prawda!
Ale więcej mnie nie trzeba! A dokuczam im i dręcę,
Że aż cieszy się w mogile, iż mu taka cześć, umarły,
350. Jeśli *jest* tam radość jaka!... A cóż *ty*, *zawistna* wielce,
Twoja zawiść — w *słowie* tylko; w *rzeczy* jesteś z mor-
dercami!
To też jabym się ich władzy nie ugięła, choćby mi kto
Wszystkie łaski w darze stawił, w jakie *ty* opływasz teraz!
A dla ciebie niech tam sobie stół bogato zastawiony
355. I obfitość będzie wszelka! Moją strawą: *nie opuszczając*
Opuszczonych! Twój szczęśności ci nie zajrzę i nie pragnę,

(1) Miejsce jedno z najtrudniejszych, które explikatorowie powszechnie źle wykładają. Całe te zdanie uważam za stawione na dowód, że w rzeczy samej Chrysothemis ma owe „roztropne” przestrogi nie ze siebie, ale od matki. Ztąd wyraz *ἐπειδ* (*ἐπελα*) w tym miejscu (mniej zwyczajnie) znaczy *gdyż*. Ja go wcale nie przetłumaczyłem, bo zwrot zdania sam już oddaje odcień przy czynowości, o który tu chodzi. Powiada więc Elektra, że albo nie ma żadnego przywiązania do ojca Chrysothemis, kiedy takie jej daje przepisy; albo też, będąc przywiązaną, nie dba o niego. Do pierwszego się pewnie nie przyznaje; drugie jest sprzecznością, zatem niepodobieństwem; nie pozostaje przeto jak wnosić, że powtarza bez zastanowienia zasady cudze, zasady matki.

Ani tybyś, mądrą będąc! Tak zaś, mogąc dzieckiem prawém
Najlepszego się nazywać z wszystkich ojców: zwiń się matki!

360. Owoż ujrzy świat zdumiony, żeś przewrotna i zdrajczyni
Rodu, ojca umarłego i wszech osób drogich tobie!

Przewodnica Chóru.

Tylkoż, przebóg, nie dawajcie skrzydeł słowom aż do
gniewu!

Wszakże w obu mowach waszych zysk utajon; byleś tylko
Ty z rad mądrych *jéj* korzystać, a znów *ona* z *twoich* umiała.

Chrysothemis.

365. Jać już, o niewiasty miłe, zwykła jestem mów *jéj* takich
I przenigdy rzeczy o témbym nie wszczęła, gdybym właśnie
Nie słyszała o najsroźszej już wiszącej nad nią kaźni,
Która ją powstrzyma od tych nieskończonych utyskiwań.

Elektra.

Toż-no powiedz, cóż tak straszne? Bo jeżeli rzeczesz gor-
sze

370. Niżli tamto: jużbym dłużej ci nie stała w przeciwieństwie.

Chrysothemis.

Owoż ci wypowiem wszystko, ile mi wiadome tylko.

DZIEJE KSIĘZTW NAD-DUNAJSKICH,

TO JEST:

MULTAN I WOŁOSZCZYZNY,

podług

Kogalnitcbaua,

SKRÉŚLONE PRZEZ

Leona Rogalskiego.

Dzieje Multan i Wołoszczyzny są pod pewnym względem częstką historyi kraju naszego; nie mieliśmy ich jednak opisywanych odrębnie i w zupełności. Aby zaradzić temu niedostatkowi, zamierzyliśmy wydać je w skróceniu, podług dzieła Michała Kogalnitcbana: *Histoire de la Valachie, de la Moldavie et des Valaques Transdanubiens* (Berlin, 1837). Autor, sam Mołdawianin, czerpał wiadomości ze źródeł rodowitych, drukowanych i rękopiśmiennych, nieznanych obcym pisarzom. Tych ostatnich bogaty miał zbiór pod ręką: z polskich przytacza Długosza, i Kodeks dyplomatyczny Dogiela. Korzystał z rozmaitych historyj węgierskich, w téj liczbie z dziesięcio-tomowej Fesslerera, z historyi państwa Osmanów Hammera, z historyi Dacyi, wydanej w języku nowo-greckim, w Wiedniu 1818 roku, we 3 tomach, przez Photino, i z wielu innych, tak dawniejszych, jako téż najnowszych pisarzy o księztwach Nad-Dunajskich.

Gdzie dzisiaj leżą: ziemia Siedmiogrodzka, Wołoszczyzna, banat Temeswarski i Multany czyli Mołdawia, znajdowało się

niegdyś potężne i niepodległe państwo, przed którym sam Rzym drżał, to jest Dacya. W piérwszym wieku ery chrześcijańskiej, rozciągała się ona od Cissy i Karpatów do Dunaju, Dniestru i morza Czarnego. Jój mieszkańcy pochodzić mieli z Persyi, z okolic rzeki Oxus. Wiele mieli podobieństwa do Getów, zamieszkałych przy ujściach Dunaju, i takichże jak oni obyczajów, języka, nawet pochodzenia, gdyż Getowie żyli niegdyś nad rzeką Oxus, która w arabskim języku ma imię Geibu, a lud tameczny nazywał się Geib albo Geci. Dakowie i Geci nie mieli w początkach ani miast, ani wsi, ani żadnych stałych siedzib; byłto naród koczujący, i zaczął budować miasta dopiero na dwa wieki przed Chrystusem. Zamolxis był ich prawodawcą, a później przez nich ubóstwiony (1). Herodot i Strabon powiadają, że był uczniem Pytagorasa, i że jego naukę o przechodzeniu dusz zaszczerpił pośród swego ludu. Byłto naród waleczny i bitny, ustawicznie prowadził wojny o swą niepodległość. Piérwszą, o której wspomina historia, była wyprawa Daryusza. Monarchę perskiego, gdy przeszedł Dunaj, zwabili w głąb kraju, a potem otoczyli Scytowie czyli Dakowie: stracił tu on największą część swego wojska, i po wielkich trudnościach zaledwie zdołał wrócić do Azji. Falangi Alexandra Wielkiego nie zdołały przełamać dzielnego męstwa Daków. zrazu odniósł nad nimi niejakię korzyści, ale przewidując iż spotkać go może los króla perskiego, spieszenie zawarł pokój i opuścił Dacyą.

Roku 324 przed Chrystusem, Lyzymach, król Tracyi, przedsięwziął także wyprawę na Daków. Dromichetes, ich król, podstępem zwabił nieprzyjaciela w głąb kraju, gdzie wojsko jego blizkiem było zguby, z powodu pragaienia; musiał więc z niem razem oddać się w niewolę. Uwolnił go Dromichetes, za co mu przez wdzięczność król Tracyi dał swą córkę w małżeństwo. Często znajdowano w Multanach medale Lyzymacha. Na lat 50 przed Chrystusem, Berebistes, Dak rodem, został zwierzchnikiem swego ludu. Znalazł on Daków osłabionych bezustannemi wojnami, ale przy pomocy rad filozofa egipskiego Dyceneusza, wskrzesił zachwianą ich potęgę. Przeszedł Dunaj, dokonał wielu ważnych zdobyczy, i rozszerzył swe panowanie od morza Czarnego aż do

(1) O tym Zamolxisie posiadamy uczoną rozprawę po łacinie, przez sławnego Grodka, b. profesora niegdyś uniwersytetu wileńskiego, wydaną w Wilnie 1818 r.

Bawaryi. August gotował się wyruszyć przeciw Berebistowi, ale raniony przez Dalmatów (33 r. przed Chr.), zdał dowództwo wojska na Statiliusa Taurusa, który odniósł kilka zwycięstw nad królem Daków. Ten chciał zawrzeć pokój z Augustem, lecz gdy podawał zbyt twarde warunki, Oktawian ich nie przyjął. Berebistes zamierzał wówczas przejść na stronę Antoniusza, ale zabili go Dakowie, sprzykrzywszy sobie wojnę.

Po jego śmierci, trzech wodzowie podzielili się Dacyą. Rhodus, jeden z nich, dopomógł Krassusowi przejść Dunaj i oblegać Dapuxa, innego króla Dacyi, który zamknął się z wojskiem w jednej twierdzy. Rzymianie przez zdradę pewnego Greka dostali się do niej, a ubieżeni zniechęca Dakowie, woeli pozabijać się nawzajem, niżeli wpaść w moc nieprzyjaciela. Krassus zdobywszy drugą jeszcze twierdzę, nazwiskiem Genukla, wrócił do Tracji. Dakowie, którzy podczas zwycięstw wodza rzymskiego schronili się w góry, wybrali swoim królem męża zasłużonego, imieniem Kotysona. Ten, wycieczkami do prowincyj rzymskich stał się tak groźnym, że August, aby mieć go sprzymierzeńcem, chciał córkę jego zaślubić; ale gdy mu to odradzono, wyprawił Kn. Lentula przeciw Dakom. Wódz rzymski, opatrzwszy szaniami brzegi Dunaju, przeszedł rzekę i stoczył walną bitwę; nieprzyjaciel porażony został, a król ich poległ. Kotyson założył Kotyn albo Chocim, twierdzę niedaleko Kamieńca Podolskiego, pamiętną w historii polskiej. Dakowie nie straciwszy odwagi z powodu śmierci swego króla, połączyli się z Sarmatami i wyrugowali Rzymian ze swego kraju.

Około tego czasu Owidyusz, wygnany z Rzymu przez Augusta, przybył w te strony do Tomi. Ztąd przeniósł się do Akkermanu czyli Białogrodu. Jest tu jeszcze jezioro, które mieszkańcy nazywają jeziorem Owidyusza. Według upowszechnionego podania, nauczył się on mowy Getów, i pisał w tym języku poezyc, które zyskały mu serce barbarzyńców. Zresztą, sam Owidyusz mówi: *Nam didici gelice, sarmaticeque loqui*. Wiśniacy powtarzają dotąd z podania, „że przyszedł z nad brzegów Tybru mąż nadwyzczajny, który posiadał słodycz dziecięcia, a dobroć ojca; że ten mąż wdychał ustawicznie i rozmawiał niekiedy sam z sobą; ale jeżeli do kogo przemówił, zdawało się, że miód z ust jego płynie.“ Owidyusz 10 lat przepędził na wygnaniu i tutaj umarł.

Filius Katon wyruszył przeciw Dakom roku 14 po nar. Chr., na czele 50,000 wojska, ale zwyciężony wrócił do Tracyi. Nie ważniejszego w Dacyi nie zaszło aż do czasów Domicyana, za panowania którego Dakowie, pod naczelnictwem Durasa, przeszli Dunaj i porazili wojsko rzymskie, dowodzone przez Appiusza Sabina, który poległ w bitwie. Duras, będąc młodym i nie czując się na siłach do oporu Rzymianom, złożył władzę w ręce Decebala, zdolnego do wielkich przedsięwzięć. Zostawszy królem, Decebal zamierzył połączyć różne części Dacyi w jedno ciało, gdyż od czasu Berebistesza, Dakowie podlegali wielu zwierzchnikom; i powiódł mu się ten zamiar, roku 87 po nar. Chr. Zawarł też on przymierze z Parokusem władcą Partów, tudzież z Sarmatami i Kattami. Dowiedziawszy się że Domicyan wyprawił przeciw niemu Fуска, dowódcę straży pretoryańskiej, zaczął działać zaczepnie, i zgadzał się na pokój, jeżeli mu zapłacią po dwa obole za każdego Rzymianina. Oburzony Domicyan, rozkazał Fuskusowi wkroczyć do Dacyi; lecz ten niezwłocznie był porażony, i sam poległ w bitwie. Lepiej powiodło się Julianowi jego następcy; zwyciężył on nieprzyjaciela pod Tapes albo Talpa, wsią wołoską. Zwycięstwo to wszakże nie przyniosło Rzymianom korzyści, bo Domicyan porażony przez Markomannów, zobowiązał się płacić Dakom roczną daninę. Wszelako, chociaż zwyciężony, odprawił tryumf w Rzymie, i przybrał przezwisko *dackiego*.

Podanie, stwierdzone nawet przez żydów, do tej epoki odnosi następny wypadek. Tytus zburzył Jerozolimę roku 70 po nar. Chr.; większą część żydów zabrano w niewolę i posprzedawano. Mniemają, że Decebal przyjął w swe posiadłości tych, którzy zdołali uniknąć niewoli, i że dał im na mieszkanie ziemię, którą oni nazwali Thalmus, a która dziś jeszcze nosi nazwisko Talmaci, blisko Czerwonej-Wieży (*Rothe Thurm*), niedaleko Hermannstadtu. Wspomniane miasto słynęło w wiekach średnich swoim handlem.

Dakowie pobierali daninę od Rzymian aż do wstąpienia Trajana na tron. Teraz postać rzeczy zmieniła się: Trajan postanowił oswobodzić Rzym od haniebnego haraczku; wystąpił więc roku 100 przeciw Decebalowi, przepędził zimę w Mezji, a następniej wiosny gotował się przejść Dunaj. Król Daków dzielnie mu bronił przejścia, ale w końcu musiał cofnąć się

ze wszystkimi siłami pod Tapes czyli Talpa. Dogał go Trajan; stoczono wielką bitwę, i Dakowie na głowę byli porażeni. Kroniki mołdawskie twierdzą, że Trajan nie przechodził Dunaju, lecz owszem Decebal wyszedł na jego spotkanie do Mezyi, że uderzył na Rzymian w miejscu zwanem Dobroja, ale zwyciężony, musiał wracać za rzekę. Następnie, po wielu stratach, Decebal ciągle zwyciężany, udał się sam do obozu nieprzyjacielskiego prosząc o pokój, pod warunkami jakie zwycięzcy nałożyć podoba się. Cesarz rzymski przystał na pokój, zastrzegłszy, że Dakowie wydadzą Rzymianom swoje maszyny wojenne i warownie. Zostawiwszy załogę w Zarmizegethuse, stolicy Dacyi, Trajan wrócił do Rzymu, gdzie mu senat przyznał zasłużony tytuł *dackiego*.

Ale taki mąż, jak Decebal, nie mógł długo zachowywać się spokojnie. Zebrawszy Daków, pobudowawszy nowe maszyny, wymordował załogi rzymskie, zburzył szaniec nad Dunajem, i uderzył na Jazygów, sprzymierzeńców Rzymian. Na wiadomość o tém, Trajan gotował się do nowej wojny: wziął z sobą synowca swego Adryana i Lucyusza Kwinta Maura, i stanąwszy w jesieni na prawym brzegu Dunaju, tu zimę przepędził. Następnej wiosny, cesarz chcąc aby komunikacja między dwoma brzegami nie była przerywaną, kazał zbudować most z kamienia; sławny architekt Apollodor z Damaszku miał poruczony sobie kierunek téj budowy. Most ten był arcydziełem; o czém przekonać się można z opisu Diona Kassjusza. Wielu podróżnych twierdzi, że most ten znajdował się między Severinem a Cerneti. Michał J. Quin w podróży swojej nad Dunaj widział jego zwaliska; ale Sulzer (*Geschichte des transalpinischen Daciens*, Wiedeń, 1782, tomów 3), twierdzi z większą słusnością, że ów most był zbudowany w Celleb, w okolicach Nikopolis, przy ujściu Oltu. Powiada on, na zasadzie opisu Diona Kassjusza, że most rzeczony nie mógł być gdzieindziej wzniesionym, tylko w tém miejscu, bo pod Severinem i Cerneti Dunaj ma ledwie tysiąc stóp szerokości, pod Celleb zaś przeszło pół mili; i utrzymuje, że zwaliska znajdujące się pod Severinem, są szczątkami mostu Konstantyna Wielkiego.

Podczas budowania mostu, Decebal często ofiarował pokój, ale Trajan go nie przyjmował. Po wielu niepomysłnych walkach dla Daków, Trajan stanął pod Zermigethuse i szturmem zdobył to miasto. Część Daków żelazem lub trucizną życie sobie poodbierała; reszta poszła w niewolę, a miasto spalono.

Garstka ich ratowała się ucieczką w góry. Decebal sam sobie życie odebrał, r. 106, po przeszło 20letniem panowaniu. Tak upadła Dacya i zginął król, który za najpiękniejszych dni cesarstwa, zmuszał Rzymian do płacenia mu haraczu w ciągu lat dwunastu (88 — 100 r.). Viciliś, sekretarz tego króla, aby ocalić swe życie, odkrył Trajanowi ogromne skarby, które jego pan schował w rzece Sargentias; cesarz rzymski wznosił w tém miejscu kolumnę na cześć Jowisza *inventor*. Potem ciągnął dalej swą wyprawę, podbijając lub w pień wycinając Daków. Tak przeszedł z wojskiem 300,000, rzeki Seret, Prut, Dniestr, Dniepr, a według niektórych Boh i Don, i wytepił naród Daków.

Dacya miała swego ducha opiekuńczego, o czém świadczy napis znaleziony w Alba Carolina, w ziemi Siedmiogrodzkiej. Duchem tym była tak nazwana *Baba Dokia*. Na najwyższym szczycie góry Ciahlou, w Multanach, znajduje się jój posąg olbrzymi, częścią utworzony przez naturę, częścią dokonany ludzką ręką. Otacza ją dwadzieścia owiec, i z niej wychodzi strumień. Kmiecie opowiadają mnóstwo podań o tém bóstwie dackiém.

Nic prawie nie wiadomo o dackim języku; mniemać wszakże można, że był dyalektem trackim, pomieszanym z wyrazami sarmackiemi.

Od Trajana do Trajan, zawojowawszy całą Dacyą, ogłosił ją przyjmoł Białogarów w r. 678. wincją rzymską, i wrócił do Rzymu, gdzie mu senat wznosił kolumnę, na pamiątkę wojny z Decebałem: jestto sławna kolumna Trajana. Ponieważ większa część Daków była wytepią, wysłał on do ich kraju wielką liczbę osadników rzymskich z całego cesarstwa, i podzielił Dacyą na trzy części: Dacya *ripensis*, Dacya *transalpina* i Dacya *mediterranea*. Aby ułatwić komunikacją między Rzymem a nowemi osadnikami, Trajan zbudował wielką drogę rzymską, która się zaczynała u Żelaznej Bramy, a kończyła się w Bessarabii pod Caussani nad Dniestrem. Osadnicy rzymscy przybywszy do Dacyi osiedli naprzód w ziemi Siedmiogrodzkiej, w Zarmizegethuse, odbudowanej przez cesarza i nazwanej *Ulpia Trajana*; na Wołoszczyźnie w miejscu, gdzie ich naczelnik założył miasto *Cwacalu*, i w Multanach, w mieście zwaném *Romanu*. Nie te jedne były miasta osadników: Trajan pobudował i inne, jakoto: *Turris*, po wołosku *Turnu*, *Turris litterata* na górze *Mica* albo Mała; w banacie temeswarskim, *Caput bovis*, przy ujściu Dunaju,

gdzie była dacka twierdza Genukla, *Aquae Herculae*, blisko Mehadia, *Municipium Jassiorum*, dzisiejsze miasto Jassy. Cesarz mianował zwierzchnikiem tych osadników, propretora, dowódcę 13 legii.

Sarmaci dowiedziawszy się, że Trajan żyć przestał (r. 117), gotowali się wkroczyć do Dacyi; ale Adryan wystąpił przeciw nim i zwyciężył. Świadczy o tem medal, z napisem: *Adriano restitutori Daciae*. Zazdrośny sławie stryja swojego, kazał zburzyć most wzniesiony przez niego na Dunaju, a to pod pozorem przeszkodzenia najazdom barbarzyńców. Za cesarza Antonina, szesnaście drobnych ludów barbarzyńskich osiadło w Dacyi: to jest przyczyną, że w języku romańskim czyli wołoskim, znajduje się wiele wyrazów obcych i niewiadomego pochodzenia. W r. 212, pod cesarzem Karakallą, osadnicy w Dacyi uznani byli za obywateli rzymskich, i odtąd Dacya ustawicznie była zabierana i odbierana przez barbarzyńców i Rzymian, do r. 257, kiedy wpadła zupełnie w moc Gotów, za cesarza Gallijena.

Cesarz Aurelian, w r. 270, widząc, że wielka część Dacyi znajduje się w ręku barbarzyńców, stracił nadzieję utrzymania tego kraju pod panowaniem rzymskiem. Przeprowadził zatem szczupłą liczbę legij i część osadników tam znajdujących się na drugi brzeg Dunaju, i osadził ich w Mezji, którą nazwał Dacyą Aurelianiską. Łatwo zrozumieć, że największa część Rzymian, którzy od dwóchset lat mieszkali w Dacyi, nie opuścili tego kraju w owęj epoce. Ludność wzrosła znacznie, i Rzymianie nie doświadczali wielkich przykrości ze strony barbarzyńców; przeciwnie, ci ostatni starali się o ich przyjaźń, gdyż będąc ludem koczującym, musieli udawać się w potrzebach do Rzymian, którzy byli rolnikami i mieszkali po miastach. Gdyby zaś barbarzyńcy chcieli uderzyć na osadników rzymskich, ci schroniliby się zaraz w niedostępne swe góry, to jest Karpackie.

Gotowie podzieleni byli na dwie gałęzie: pod imieniem Wizygotów, Tajfalów i Terwingów posiadali Dacyą Trajana; a pod imieniem Greutungów, Austrogotów, zajmowali północne brzegi morza Czarnego. Od Dunaju państwo ich rozciągało się aż do morza Bałtyckiego. Roku 332, Konstantyn Wielki wyruszył z licznem wojskiem przeciw Gotom. Zbudował most na Dunaju pod Severinem, i przeszedłszy rzekę, poraził na głowę Gotów i odparł ich aż do Sarmacyi. Odebrał wówczas Dacyą

z rąk barbarzyńców, i za jego panowania ta prowincya stała się dycecyą prefektury Illiryjskiej, podzieloną na pięć powiatów.

Już przed soborem Niceńskim wielu Romanów albo Daków rzymskich, tudzież Gotów, przyjęło wiarę chrześcijańską; gdyż na tym soborze znajdowali się dwaj biskupi: jeden Scytów, drugi Gotów, imieniem Teofil, a r. 360 Ulfilas opowiadał ewangelią Gotom, którzy znowu opanowali Dacyą.

W r. 376, Hunnowie z królem swym Rua, wkroczyli do Dacyi. Atanaryk, król Wizygotów, musiał cofnąć się między Dniestr a Dunaj. Aby się zabezpieczyć od nieprzyjaciela, wznosił między Prutem a Dunajem mocny mur: ale za zbliżeniem się Hunnów, tak się przelękli Gotowie, że w liczbie 200,000 zdolnych do noszenia broni, uciekli do Tracyi, gdzie im cesarz Walens pozwolił osiedlić się, pod warunkiem, iż dostarczać będą posiłków, ilekroć cesarstwo zniewolone będzie do wojny. W owymto czasie Nicetas, który mianował się apostołem Daków, założył biskupstwo Milkow w Multanach. Hunnowie byli panami Dacyi do r. 453, tojest do śmierci Attyli. Podczas rozlicznych najazdów barbarzyńców na Dacyą, Dako-Rzymianie, nie spodziewając się niczego od Rzymu i Byzancyum, ukrywali się w górach Karpackich, lub téż służyli zwycięzcom. Często zatém później walczyli pospół z barbarzyńcami przeciw Rzymianom byzantyńskim.

Gdy Ellach, syn Attyli, nastąpił po ojcu, Gepidowie, pod swym królem Ardarykiem, powstałi przeciw Hunnom, wypędzili ich z Dacyi, położywszy im trupem, 30,000, w bitwie stoczonej nad rzeką Netard albo Nera. Ellach poległ w bitwie. Anagnastus, wódz Rzymian, zabił Dengezika, drugiego syna Attyli, a Innak, trzeci jego syn, cofnął się do małej Scytyi. Dako-Rzymianie zostali więc pod władzą Gepidów, po wyrugowaniu Hunnów.

Roku 505, Alboin król Longobardów, zawarł przymierze z Bajanem, królem Awarów, na obronę przeciw Gepidom, których królowi Kunimundowi porwał córkę Rozamundę. W bitwie, w której Gepidowie na głowę byli porażeni, Alboin własną ręką zabił Kunimunda. Królestwo Gepidów, po 110 latach istnienia, upadło, i już się nigdy nie podźwignęło. Longobardowie osiedli w Pannonii, Awarowie zaś w Dacyi. Longobardowie przeniosłszy się do Włoch, odstąpili Pannonią Awarom, i ci pod swym hanem Bajanem opuścili Dacyą, i udali się na nowe siedziby.

Po ich odejściu, żaden inny naród barbarzyński nie wkroczył do Dacyi. Dako-Rzymianie, którzy dotąd ukrywali się w górach, gdzie mieli własnych zwierzchników, zaczęli teraz rozszerzać się na równinach, pod imieniem Wołochów. Wielka liczba Rzymian z Dacyi Aurelikańskiej, znęcona pokojem jakiego używali Rzymianie Dacyi Trajana, przeszli Dunaj, przy końcu VIIgo wieku i osiedli w téj części Wołoszczyzny, która leży między rzeką Oltu a Dunajem. Wybrali sobie zwierzchnika imieniem Basaraba, któremu dali tytuł *Bana*, odpowiedni margrabiemu. Kraj, zostający pod jego rządami, obejmował pięć powiatów, które dziś nazywają się banatem Krajowy. Stolicą tego małego państwa była naprzód wieża Severin, a później Krajowa.

Tyle rozprawiano o pochodzeniu nazwiska Wołochów, że wypada nieco nad tém zastanowić się. W dziele *Althochdeutscher Sprachschutz* Dra. E. G. Graff, członka akademii nauk w Berlinie, czytamy: *Waluh*, peregrinus, romanus, *Walahise*, romanus, latinus. Te dwa wyrazy są gockie. Od tego narodu inne ludy przejęły zwyczaj nazywania Rzymian Wołochami. Niemcy długi czas nazywali i Dako-Rzymian i Wołochów *Wälschen*, a Wołochy czyli Italią, *Wälschland*. Dziś pierwszych nazywają *Walachen*, a drugich *Wälschen*. Węgrzyni mianują Wołochów *Olach*, a Mołdawian i Wołochów *Outach*. Piotr Katantsich, pisarz illiryjski, powiada, że odkąd Illiryjczycy poznali Rzymian, zawsze ich nazywali *Vlassi*, to jest *Lassi* (mieszkańcy Lacyum) przydając literę *V* właściwą Illiryjczykom. Wołosi zaś nie nazywają mowy swojej językiem wołoskim, ale zawsze językiem romańskim, *Limba românească*; a mówiąc o całym swoim narodzie, nazywają go Romanami, *Români*. Dopiero gdy chcą powiedzieć z którego mianowicie księstwa albo kraju pochodzą, mianują się Mołdawianami, Siedmiogrodzianami, Wołochami. Nie nazywają nawet Wołochami mieszkańców księstwa wołoskiego, ale *Munteni*, góralami. Podobnie jak w Niemczech, nazwiska Austryaków, Prusaków, Bawarczyków, rozróżniają poddanych różnych krajów, nazwisko zaś Niemców wspólne jest całemu narodowi.

Od przyjścia Bulgarów do założenia księstw. W roku 678, Bulgarowie przybyli z nad brzegów Wołgi, i połączywszy się z Rzymianami Dacyi, zaczęli plondrować prowincye cesarstwa Wschodniego. W r. 683 Bulgarowie przeszli Dunaj i osiedli w dzisiejszój Bulgaryi. Cesarze carogrodzcy, aby mieć pokój, musieli płacić im daninę.

Bulgarowie byli wtedy sprzymierzeni i z Wołochami Dacyi, i z Wołochami Mezyi. W r. 812, zjednoczone te narody, pod królem swym Krumm, odniosły wiele zwycięstw nad wodzami byzantyńskimi. Brat Krumma obległ Adryanopol, król zaś stanął pod murami Konstantynopola. Cesarz Michał abdykował na rzecz Leona. Ten zaś prosił Krumma o rozmowę, celem porozumienia się w przedmiocie zawarcia pokoju. Król Bulgarów zgodził się na pokój, pod warunkiem, żeby mu płacono haracz w pięknych dziewczętach i w szatach jedwabnych. Leon chciał podstępnie zabić Krumma w czasie téj rozmowy, ale nie powiodło się nasadzonemu zbójcom. Król Bulgarów i Wołochów ranniony, potrafił ocalić się z rąk nieprzyjaciół; a rozgniewany, stanął pod Adryanopolem, zdobył to miasto, 20,000 mieszkańców wziął w niewolę, nielicząc kobiet i dzieci. Ci jeńcy musieli osiąść na brzegach Dunaju.

Leon Ormianin, zawarł pokój w r. 814 z następcą Krumma; a za księżnej Teodory, matki i opiekunki cesarza Michała III, Bogorys, król Bulgarów, przyjął wiarę chrześcijańską, ze wszystkimi poddanemi swemi, r. 865, i w następnym roku pisał do Ludwika niemieckiego, prosząc o biskupa i kapłanów. Romanie czyli Wołosi byli chrześcianami już od r. 330. Bulgarowie zostawali zjednoczeni z Wołochami, i składali z nimi jedno królestwo, aż do przyjścia Madzarów, w roku 899.

Madzary czyli Węgrzy, zawojowawszy Pannonią na Bulgarach, opanowali potem ziemię Siedmiogrodzką, gdy jój księżę romański Gelou poległ w bitwie. Nieco wprzód Węgrzy wyruszyli przeciw Menomurutowi, który posiadał ziemię, położoną między Siedmiogrodem, Cissą i Maros. Stolicą jego było miasto Bihor, dzisiaj Wielka Oradya. Menomurut był także księciem romańskim. Miasto, po dwunasto-dniowych szturmach, poddało się Węgrom. Menomurut zawarł wówczas pokój z Arpadem; ponieważ miał córkę jedynaczkę, wydał ją za Zultusa, młodszego syna księcia węgierskiego, i tym sposobem, po jego śmierci, księstwo jego przeszło w dom Arpada. Po zawarciu rzeczzonego pokoju, Madzary wystąpili przeciw Gładowi, innemu władcy Romanów albo Wołochów, który przybył z Widynu i panował w banacie temeswarskim. Gład opierał się im z wojskiem, składającym się z Kumanów, Bulgarów i Wołochów; ale musiał zgodzić się na pokój, i uznać się wielkim lennikiem Węgiei. Ród Głada panował w banacie temeswarskim aż do czasów świętego Stefana króla węgierskiego.

Ahtum czy Ohtum, potomek Glada i pan kraju leżącego między Maros, Cissą i Dunajem, był chrześcianinem i bardzo potężnym. Ponieważ miał wojsko liczniejsze niżeli Stefan węgierski, odmówił uznania go swym zwierzchnikiem, a Stefan nie odważał się zmusić go do tego; ale wypadek niespodziewany podał mu oręż w rękę. Chanadin albo Sunnad, dowódzca wojsk Ahtuma, opuścił go, i przybywszy do króla węgierskiego, objawił mu wszystkie tajemnice dawnego swego pana, obiecując, że mu ułatwi zawojowanie Temeswaru. Stefan mianował dowódcą sił swoich Chanadina. Węgrzy przeszedłszy Cissę, uderzyli na wojska bana, ale po bitwie, która trwała do południa, musieli cofnąć się w lasy Kwkyner i Zewreg. Chanadin stał obozem na górze Orozlan, Ahtum zaś bardzo blisko ztąd na dolinie Nagenz. O północy, wódz Stefana rozbudził swych żołnierzy, i oświadczył im, że święty Jerzy pokazał mu się we śnie, i wezwał aby spieszenie uderzyli na nieprzyjaciela, obiecując zwycięstwo. Węgrzy więc napadli zniemacka na wojska Ahtuma i porazili je na głowę; sam ban poległ w bitwie. Król tak się ucieszył tém zwycięstwém, iż rozkazał aby miasto Maros nazywało się odtąd Csanad albo Chanadin, a prowincya komitatem Csanad, którego rządcą mianował zwycięzcę. Były jeszcze w ziemi Siedmiogrodzkiej posiadłości romańskie, Maramos i Fogaras, które, jako położone w górach, dłużej opierać się mogły Węgom. W końcu jednak i te dwa księstwa uznać musiały zwierzchnictwo Węgrów, ale rządzili niemi książęta romańscy, wybierani przez naród.

W czasie osiedlenia się Węgrów w Pannonii, Multany i Wołoszczyznę zajmowali Kumani albo Komani, połączeni z Romanami. Wielu pisarzy twierdzi, że Kumani w Dacyi byli ciż sami co Komani albo Komuki, zamieszkali wyżej Georgii albo Gruzji; podług innych są to dawni Jazygowie, sprzymierzeńcy Trajana; inni znowu mniemają, że są tymże samym narodem co Wołochy, zwani także Romanami; jeden zaś autor wyprowadza nazwisko Kumanów od miasta Kumy we Włoszech, opierając się na księdze ósmej Liwiusza, gdzie powiedziano: *Cumani ab Chalcide Eubeica originem trahunt*. Oprócz Kumanów, Pieczyngowie długi także czas mieszkali w Multanach i Wołoszczyźnie; byli oni zapewne pokoleniem Kumanów, ponieważ tymże co ci mówili językiem.

Pomimo wspomnianych dwóch ludów barbarzyńskich, było jeszcze kilka pomniejszych księstw w Multanach i Wołoszczyźnie, rządzonych przez zwierzchników romańskich. Na Wołoszczyźnie, już od r. 683 byli banowie Krajowy, a w Multanach około tegoż czasu istniało księstwo romańskie, o czém przekonywa medal brązowy, znaleziony w zwałiskach twierdzy zwaney Semendrya, blisko Romanu w Multanach. Medal ten jest z wieku VIIIgo; z jednej strony ma wizerunek księcia w kapełuszu, zwanym po romańsku *pilèrie*, tudzież napis „ojciec Mołdawii“; z drugiej zaś napis: „*Heredia de Moldova*“, dziedzictwo mołdawskie. Te posiadłości Romanów były niepodległe, i żadna historia węgierska nie przekonywa, iżby one były pod rozkazami świętego Stefana lub jego poprzedników, ani téż Bułgarów, lub Słowian, lub Greków byzantyńskich, bo nigdy wojska carogrodzkie nie posunęły się za Dunaj.

W roku 1042, Romani albo Wołosi, znani pod nazwiskiem Pieczyngów, sprzymierzili się z cesarzową Zoe, opiekunką Konstantyna Porfirogenita, i walczyli, przeciw Bułgarom, którzy się oświadczyli nieprzyjaciółmi Greków.

Salomon, syn Andrzeja Igo, sam potrzykroć koronowany na króla węgierskiego, a wyzuty tronu przez Władysława, widząc się pozbawionym wszelkiej pomocy, udał się do Bessarabii, i błagał Kumanów o wsparcie, których wódz Kutesku odznaczył się w wojnie przeciw Bułgarom i Grekom. Salomon zobowiązał się, jeżeli on przywróci go na tron ojcowski, dać mu nazawsze ziemię Siedmiogrodzką, i poślubić jego córkę; chociaż był już żonaty z córką Henryka III, cesarza Niemiec. Kuman ujęty tak piękną nadzieją, wyruszył z wojskiem swém do Węgier. Opanował już północną część tego kraju aż do Munkaczu, ale Władysław zaszedł mu drogę pod Unghvar i wypędził go z Węgier (1085 r.). Salomon nie upadł na duchu: nad Prutem ułożył nowe plany z wodzem Kumanów. Tzelgu, naczelnik Pieczyngów, połączył się z nimi, i tak wszyscy trzej, na czele 80,000 Kumanów, Pieczyngów i Wołochów przeszli Dunaj, i spolem z Bułgarami pustoszyli ziemię grecką aż do Skotinos i Chariopolis. Pod Kule spotkali wojsko greckie, którem dowodził Mikołaj Maurokatalalus, stoczyli bitwę, i wielką ponieśli klęskę. Tzelgu poległ; Salomon, ze szczupłą liczbą sprzymierzeńców, potrafił uratować się przez środek nieprzyjaciela, i dostał się na drugi brzeg Dunaju.

We dwa lata potém (1089 r.), Kumani wkroczyli do ziemi Siedmiogrodzkiej, która zostawała pod panowaniem Węgrów, i srodze ją spustoszyli. Święty Władysław, król węgierski, zajęty był wówczas wojną z miastami Dalmacyi. Na wieść o wtargnięciu Kumanów, opuścił swe zdobycze, i spieszenie stanął nad rzeką Themes, gdzie spotkał nieprzyjaciela, który pod dowództwem Kopulcha, ogniem i mieczem pustoszył całą ziemię Siedmiogrodzką. Władysław przed bitwą przemówił do żołnierzy: „Walczyć powinniśmy; zwycięstwo jest przy nas. Wiecie, że prawdę zawsze mówię: kto ufa Bogu, niech idzie za mną!” To rzekłszy, wziął chorągiew czerwoną, i uderzył na Kumanów, wprzód nim mogli stanąć w szyku bojowym. Nie spodziewając się tak nagłego napadu, byli zwyciężeni: a wódz i większa część wojowników dostali się w niewolę. Władysław oświadczył, że daruje im życie, jeżeli chrzest przyjmą; ale nie chcieli wyrzec się dawniej wiary i woleli śmierć. Król węgierski uniesiony żarliwością, kazał ich wszystkich pozabijać: jeden tylko zdołał uciec do Multan, i przyniósł wiadomość o rzezi spółbraci. Kumani, w następnym roku, chcieli ich pomścić się, ale znowu odparci, czekać musieli pomyślniejszej dla siebie pory (1).

W roku 1123, Wołosi Dacyi Trajana, powstawszy przeciw Grekom, przeszli Dunaj i zwyciężyli wojsko Kalamana; zebrawszy wielkie łupy, wrócili do Dacyi, ale wojna jeszcze się nie skończyła; dopiero w r. 1164 zawarli traktat z cesarstwem byzantyńskim, i obowiazali się pomagać cesarzowi Emmanuelowi przeciw Węgom. Wołosi, połączeni z Kumanami, tudzież ludami słowiańskimi, prowadzili wojnę już przeciw Grekom, już przeciw Węgom, ale czyny ich zawsze były jednostajne: spustoszenia, rabunek, rzeź. To trwało do r. 1220, to jest epoki kiedy Robert, arcybiskup Granu, ochrzcił wielu Kumauów, wraz z ich księciem.

Za panowania Baldwina de Courtenay w Konstantynopolu, r. 1228, liczne hordy tatarskie plądrowały Multany, Wołoszczyznę i Bessarabią. Mołdawianie i Wołosi musieli przenieść się znowu w góry; równiny do szczętu zostały zniszczone. Batuhan, około r. 1241, szedł na Kumanów. Ich państwo rozciągało się od rzeki Prutu do Jaik. Król ich Kuthen dwa razy odparł hordy tatarskie, ale trzeci raz zwyciężony, musiał uciekać na cze-

(1) Fessler, *Die Geschichte der Ungern*. Lipsk, 1815, tom I, str. 478.

le czterdziestu tysięcy familij, i schronił się w góry Karpackie. Ztąd wyprawił posłów do Beli IV króla węgierskiego, prosząc o ziemię dla siebie i narodu swego. Przynęcał żyć w pokoju, uznawać zwierzchnikiem swoim króla węgierskiego, i przyjąć wiarę chrześcijańską (1). Bela zgodził się na przyjęcie Kumanów do swego królestwa, i osiedli oni w prowincyi, nazwanej Wielką Kumaniją. Ich król obowiązany był mieszkać w zamku niedaleko Pestu, jako rękojmią wierności swego ludu. Tymczasem nadciągali ku Węgrom Tatarzy. Dnia 15 marca 1241 r. Batu-han znajdował się tylko o pół dnia drogi od Pestu. We dwa dni potem, Węgrzy uderzyli na Mongołów, ale byli pobici. Jeniec wzięty przez nich, stał się przyczyną okropnych wypadków. Powiedział on, że wielu Kumanów znajduje się w szeregach tatarskich. Węgrzy domagać się wnet zaczęli śmierci Kuthena, gdyż on, jak mówili, sprowadził nieprzyjaciela do ich kraju. Bela IV, nadaremno chciał bronić niewinnego: nie słuchali go i biegli do zamku, gdzie mieszkał król Kumanów. Ten bronił się z początku, ale musiał uleść liczbie. On i towarzysze jego byli pozabijani, a głowy ich wyrzucono ludowi, który obnosił je po ulicach. Kumani usłyszawszy o morderstwie swojego króla, użyli odwetu: pozabijali wielu przedniejszych Węgrów i zrabowali niemało miast.

Bela wyszedłszy przeciw Mongołom w sto tysięcy, stoczył walną bitwę między rzekami Sajó i Cissą; ale porażony, uciekać musiał do Austrii. Tatarzy, po trzyletnim pustoszeniu Węgier, opuścili je, bo nic już tu nie było do rabowania. Trwoga, jaką wszędzie obudzali, rozeszła się i w ziemi Siedmiogrodzkiej, której część splądrowali. Z tego powodu wielu Romanów przesiedliło się do Wołoszczyzny. Mnóstwo uciekających szukało schronienia w miastach Fogaras i Maramos, położonych w górach, a zatem mniej wystawionych na napady barbarzyńców. Ludność tych miast tak dalece urosła, że potrzeba było szukać nowych siedzib. Do tego pobudziła i inna jeszcze okoliczność:

(1) Tylko część Kumanów przyjąć musiała wówczas wiarę chrześcijańską, a druga pozostała w pogaństwie jeszcze przez wiek cały; gdyż widzimy w liście Barnaby Kędzierskiego, pisanym ze Lwowa 13 lutego 1780 r., przytoczonym przez Sulzera (*Geschichte des transalpinischen Daciens*), że dwaj Minoryci ponieśli męczeństwo w mieście Seret, r. 1340, gdy chcieli nawracać barbarzyńców na wiarę chrześcijańską.

Ci Wołosi byli religii greckiej, Węgrzy zaś wyznawali rzymsko-katolicką. Grzegorz IX, papież, pisał r. 1234 list do Beli, wzywając aby nawracał Wołochów na wiarę katolicką. Wołosi więc z Fogaras, wraz z swoim księciem Rudolfem Czarnym, szukali przytułku na Wołoszczyźnie (r. 1241), prawie bezludnej, wyjąwszy banat Krajowy, gdzie długi czas mieszkali Templariusze.

W Multanach, pomniejsze posiadłości romańskie coraz bardziej były zacieśniane, z powodu najazdów Tatarów, zwłaszcza Nogajskich, tak, że równiny całkiem się wyludniły. Górne Multany i część Bessarabii zamieszkiwali Kumani; z tej przyczyny całą Mołdawią nazywano czas niejaki Czarną Kumanią, a Budżak dzisiejszy zaludnili Tatarzy Nogajscy. Taki stan rzeczy, trwał do r. 1354, to jest epoki, kiedy Dragos, syn Bogdana, króla Maramos, przeszedł do Multan i tu założył dzisiejsze księstwo.

Nim mówić będziemy o nowej erze, która się zaczyna dla ludu romańskiego w Multanach i Wołoszczyźnie, zobaczymy jaki wpływ nań wywarły ludy barbarzyńskie, z którymi żyć musiał ciągle od Adryana aż do XIIIgo wieku.

Rzymianie, zmieniając ojczyznę, musieli też zmienić swoje zwyczaje i obyczaje: przyczyna tego bardzo naturalna. Przychoǳąc z kraju gorącego do zimnego, zniewoleni byli zastosować do tego sposób życia, odzież, pomieszkania. Ale wszystko co się ścierało do religii, praw, rozmaitych obrzędów, małżeństw, pogrzebów, utrzymało się nietykalnie przez wiele wieków w nowej ich ojczyźnie. Dziś nawet dostrzedz można tego ślady. Wieśniacy wołoscy zachowali mnóstwo zabobonów rzymskich, przy małżeństwach zachowują wiele obrzędów, jakich używali obywatele Rzymu; na pogrzebie Romana znajdują się płaczki, *Præficæ*, które przeprowadzają nieboszczyka do mogiły, opiewając jego pochwały i piękne uczynki.

Sami tylko zajmowali się rolnictwem w Dacyi, gdyż barbarzyńcy nie dotykali nawet pług (1); lecz kiedy później zniewoleni byli prowadzić życie koczujące w górach, wzięli się także do chowu bydła: wtedy nazwano ich *Tschibani*, albo pasterze. Wstręt oni mieli zawsze do barbarzyńców, dlatego też ani Gotowie, ani Gepidzi, ani Hunnowie żadnego wpływu na nich nie wywarli; tylko od Bulgarów, którzy byli chrześcianami, przejęli oni

(1) *Nemo apud eos arat, nec stivam aliquando contingit. Ammian Marcellin, lib. 31, cap. 2.*

trochę zwyczajów. Język rzymski musiał przybrać wiele wyrazów z języka barbarzyńców, ale nigdy nie zlał się z ich mową. Wołosi wiernie trzymali się zwyczajów swoich przodków, nie naśladowując koczujących przybyszów. Nigdy Romanie nie chcieli żenić się z kobietami innego narodu. Wstręt do takich małżeństw dotąd u nich istnieje. Nigdy chłop mołdawski lub wołoski nie weźmie za żonę Węgierki, Polki lub inną cudzoziemki. Słusznie powiedział Gibbon: „Wołosi są otoczeni przez barbarzyńców, ale nie pomieszali się z nimi (1).“

Wołosi Zadunajscy, do znieszczenia ich królestwa przez Turków, w r. 1394.

Nie wchodzi do naszego planu pisać całej historii Wołochów Zadunajskich, aż do dni naszych; nam pomkniemy tylko o czasach, kiedy oni składali państwo udzielne: bo gdy pokonani zostali przez Turków w r. 1394, historia ich zlewa się z dziejami państwa Ottomańskiego.

Odkąd Aurelian wyprowadził część Dako-Rzymian do Mezyi, ci nowi osadnicy zostawali już pod władzą barbarzyńców, już pod panowaniem Rzymian, a później Greków, aż do przyjścia Bulgarów. Ci Rzymianie, zuani w historii pod imieniem Wołochów, Mezyan, niekiedy nawet Bulgarów, dostarczyli kilku cesarzów Rzymowi i Byzancyum. Galerius Armentarius urodził się w Dacyi *ripensis*; jego następca Galerius Maximins tu także się rodził, ponieważ był synem siostry Galeryusza; przed wstąpieniem na tron Cezarów, nosił nazwisko *Dara* (2). Licinius był także Dakiem, również jak Justynian.

Bulgarowie wkroczywszy do Mezyi, połączyli się z Wołochami, i utworzyli wspólne królestwo, które trwało aż do śmierci króla Bulgarów Samuela, w r. 1014. Ten król wiele

(1) The Walachians are surrounded by but, not mixed with the barbarians. Gibbon, *Decline of the Roman Empire*, rozdz. XI.

(2) Ród tego cesarza istnieje podziś dzień: zachowywał swe nazwisko *Dara* do XVII-go wieku. W owych czasach, gromada Turków napadła na członka tego rodu Mikołaja Dara, który mieszkał w mieście Moskopolis. Bronił się on tak dzielnie, że sześciu Turków trupem położył; inni zebrali swych przyjaciół i w większej liczbie uderzyli na zamek Dara, który także zgromadziwszy sobie przychylnych, zwyciężył Turków, puścił się za nimi w pogoń, i każdego kogo schwytał, żywcem odzierał ze skóry. Podobnie postępował z Grekami, którzy przyłączyli się do Turków, i pierwsi dla okazania strachu, jak obudzał Mikołaj, zamienili jego nazwisko *Dara* w *Dera*, które pochodzi od greckiego słowa Δέρω, co znaczy obdzieram; odtąd ród ten sam przybrał nazwisko *Dera*.

zwycięstw odniósł nad Grekami. Wkroczył do Tracji, Macedonii, przeszedł dolinę Tempe i rzekę Peneus, i dążył do Peloponezu, ale Nicefor Uranus, wódz cesarza Bazylego, dognał go nad rzeką Sperchius, i w pień wyciął jego wojsko. Samuel nawet nie mógł ocalić się inaczej, jak tylko leżąc długi czas zatoniony między trupami. Ztąd wrócił do Bulgaryi, zaciągnął nowe wojsko, które także było porażone.

Co rok Bazyli odnosił nowe zwycięstwa nad Bulgarami, ale najslawniejsza jego wyprawa była r. 1014. W bitwie, w której Samuel musiał ratować się ucieczką, gdy wojsko jego było pobite na głowę, cesarz wziął w niewolę piętnaście tysięcy jeńców; podzielił ich na seciny, i wszystkim kazał oczy wylupić, zostawivszy jedno oko każdemu setnemu, aby odprowadził tamtych do Samuela. Nieszczęśliwy król tak się zasmucił tym okrutnym widokiem, że we dwa dni potem umarł. Jego syn i następca Gabryel, zwany także Romanem albo Radomirem, odniósł zwycięstwo nad Grekami; ale zabił go krewny jego Jan Władysław, i nastąpiwszy po nim, poddał się Bazylemu. Ten mając podejrzenie, że on myśli zbuntować się, wysłał przeciw niemu żołnierzy, którzy go zabili w potyczce pod Dyrrachium. Bulgarya stała się naówczas prowincją rzymską, i Bazyli przybrał chlubne przydomko Bulgarochtona. Zjednoczone królestwo Bulgarów i Wołochów upadło więc, a ich krajem rządili książęta, mianowani przez dwór byzantyński. Wszelako Nicetas Choniates świadczy, że Wołosi zatrzymali swe miasta i warownie, i że panowanie Greków nad nimi było tylko pozornem. Ten pisarz bizantyński nazywa także Wołochów Mezyanami.

Cesarz Izaak Angelos, z okoliczności małżeństwa swego z córką Beli, króla węgierskiego, aby zwrócić sobie koszta godowe, nałożył większe podatki na prowincye. Wszystkie ludy, a zwłaszcza Bulgarowie, mocno się tём zniechęcili. Piotr i Asan, dwaj bracia Wołosi z góry Hemus, obrażeni za policzek, jaki jeden z nich odebrał od cesarza, zaprzysięgli zemstę, podburzyli Wołochów i Bulgarów, i na ich czele pustoszyli kraje cesarstwa. Ale Izaak Angelos w r. 1187, rozproszył ich, zmusił do cofnięcia się za Dunaj, gdzie oni prosili o pomoc Romanów i Kumanów Dacyi. Z temi nowemi sprzymierzeńcami, Asan wrócił na drugi brzeg Dunaju i wyparł Greków z Mezyi. Cezar Jan Kantakuzen, szwagier Izaaka, wyruszył przeciw rokoszantom, którzy za jego zbliżeniem się schronili się w góry. Kantakuzen mniemając że uciekli, rozłożył swój obóz na równi-

nie, nie zabezpieczywszy go czatami i rowami. Bulgarowie i Wołosi wpadli tu niespodziewanie w nocy, i wielką rzeź sprawili. Kantakuzen, z garstką wojska, ledwie zdołał dostać się do Konstantynopola.

Po takiej porażce, Izaak Angelos zebrał liczne wojsko i sam wystąpił przeciw nieprzyjacielowi. Przybywszy do Taurokome, dowiedział się, iż Wołosi rabują okolice Lardei, i z ogromnemi łupami będą wracać w góry. Cesarz przyspieszył pochód, i po czterech dniach stanął pod Bereą, gdzie spotkał nieprzyjaciela. Wojsko wołoskie, poleciwszy jednemu oddziałowi uprowadzenie łupów w góry, gotowało się do boju. Nicetas Choniates, który towarzyszył cesarzowi jako historyograf w czasie tej wyprawy, opisuje z najdrobniejszymi szczegółami bitwę, i sposób wojowania Bulgarów i Romanów, których nazywa Scytami i Wołochami. Naprzód, mówi on, pokilkakroć puszczali strzały, potem wzięli włócznie w ręce; zmyśliłi później ucieczkę, żeby wywabić pogoń Greków, i z większą zajadłością, lotem ptaka wracali do bitwy. Powtarzali to razy kilka, a spostrzegłszy, że zwycięstwo przechyla się na ich stronę, przestali uciekać i wracać; wzięli się do szabel, i z okropnym wrzaskiem rzucili się na Greków, chyląc niż słowo wymówione, i zabijali bez różnicy walczących i uciekających. Izaak ze wstydem wrócił do Carogrodu, i następnój wiosny szedł znowu przeciw Asanowi, który ogłosił się królem. Naderemno oblegał przez trzy miesiące twierdzę Lobitze, i wrócił bez skutku do stolicy. W rok późnziej, wyruszył raz jeszcze na Wołochów, i zbliżył się aż pod górę Hemus; nie spotkawszy atoli nigdzie nieprzyjaciela, zamierzał wracać do Byzancyum; lecz Asan zniemacka napadł na niego w wąwozie, i otoczywszy go ze wszech stron, większą część jego wojska w pień wyciął. Cesarz winien swe ocalenie poświęceniu się kilku jezdnych, którzy ofiarowali swe życie, przeszkadzając czas niejaki Wołochom ścigać Izaaka. W tych to bitwach przekonano się, że Wołosi nie byli *Kutzowlachi* czyli Wołosi kulawi, jak ich Grecy przez szyderstwo nazywali, ani téż *Cinciari*, albo komary; ale *Cinciani*, godni potomkowie znakomitego rzymskiego rodu *Cinciana*.

Ośmieleni Wołosi rozszerzyli się dalej, zdobyli Anchiale, Warne, Triadizza, Stumium, Nisus. Izaak zamierzał wysłać przeciw nim Konstantyna Angelos: lecz gdy ten chciał wynieść się na cesarza, został uwięziony i oślepiony. Wołosi, w których jeden tylko Konstantyn wzniecał obawę niejaką, na wieść o jego

nieszczęściu, spuścili się ze swych gór, rozbiegli się po ziemiach cesarstwa, spalili Filippopolis, zrabowali Sardykę i pomknęli się aż do Adrianopola. W r. 1193, Izaak wyprawił przeciw nim liczne wojsko, pod dowództwem Alexego Gui i Bazylego Vatatzes, które zniesione zostało; pierwszy wódz uciekł, drugi zginął w bitwie. Cesarz nie stracił jednak odwagi, wystawił nowe wojsko, prosił o pomoc i otrzymał ją od teścia swego Beli III króla węgierskiego. Wszystko mu zapowiadało pomyślny skutek; lecz Alexy Komnen, jego brat, kazał mu ocozy wyłupić i sam wstąpił na tron carogrodzki. Przywłaszczyciel ofiarował pokój Wołochom, ale ci podali tak twarde warunki, że wolał prowadzić dalej wojnę. Kiedy go zaprzętały sprawy Wschodu, dwaj bracia wkroczyli na nowo, pobili wojska cesarskie i wzięli w niewolę księcia Aspiatesa. Cesarz polecił swemu zięciowi Izaakowi Sebastokrator iść przeciwko nim; młody i nie-doświadczony wódz pośpieszał na nieprzyjaciela, który pustoszył okolice Strymonu i Amfipolis; nie powziawszy wiadomości jakie były siły Wołochów, gonił za nimi; jazda jego cwałem przebiegła trzydzieści stadyów, piechota co tchu zdążała za nią; i wojsko stanawszy znużone naprzeciw nieprzyjaciela, nie zdolne było do boju. Większa część Wołochów, ukryta w zasadzce, otoczyła hufce cesarskie; Izaak dostał się w niewolę; żołnierzy jego prawie wszystkich wycięto. Siedział on w okowach aż do śmierci, która nastąpiła niedługo przed zgonem Asana. Ten po dziewięcioletniem panowaniu, zamordowany został przez swego krewnego Ivancu. Takież los spotkał jego brata Piotra, bo i tego zabił jakiś Wołoch. Tron otrzymał Jan, młodszy brat Piotra i Asana, który uciekł z Konstantynopola, gdzie był długi czas zakładnikiem. Alexy wyprawił przeciw niemu protostratora Manuela Kamutzes, którego żołnierze opuścili, jak tylko zechciał wystąpić w pochód, nieżycząc bić się z Wołochami; cesarza także odstąpiło wojsko, i Jan swobodnie przebiegał i rabował okolice góry Hemus, Tracyą i Macedonią.

Następnego roku 1199, Alexy Komnen ciągnął z wielkiem wojskiem przeciw Chryzusowi, Wołochowi rodem, który na własną rękę prowadził wojnę z cesarzami: opanował on Strumizza, ogłosił się królem, i założył swą stolicę w zamku Pro-saka. Alexy obległ go w tej twierdzy, nadzwyczaj mocnej i opatrzonój we wszelkie maszyny wojenne. Po kilku bezskutecznych szturmach, Grecy musieli ze wstydem zaniechać oblężenia: cesarz prosił o pokój, obowiązując się uznać Chryzusa kró-

lem i dać mu w małżeństwo jedną ze swych krewnych. Wołoch zgodził się, i Komnen za powrotem do Carogrodu przysłał mu córkę protostratora, która rozwiodła się z mężem. Tegoż roku Wołosi z góry Hemus, spółem z Kumanami bessarabskiemi, spustoszyli na nowo Tracyą, i pomknęliby się aż pod bramy Konstantynopola, gdyby Ruś nie wkroczyła do kraju Kumanów, którzy zniewoleni byli opuścić Jana i spieszyć na obronę własnych posiadłości. Wołosi, bez względu na odejście sprzymierzeńców, nie zaprzestali wojny; opanowali miasto Konstancyą w obwodzie Rhodope, i oblegli Warnę; ale to miasto zamieszkałe przez Łacinników, dzielnie się broniło. Jan przy pomocy ogromnej maszyny oblężniczej, szerokości rowów a wysokości murów miasta, po trzydniowym szturmie zdobył Warnę.

Ten Jan był królem Wołochów i Bulgarów; ci ostatni nie składali największej części wojsk jego. Niektórzy pisarze mylnie biorą te dwa narody za jeden, gdyż one wielce od siebie różniły się. Innocenty III papież wyprawił legata do Jana, aby go koronował na króla Macedonii, Tessalii, Bulgarów i Wołochów. W liście do niego pisanym wina mu, że on i jego naród pochodzą od Rzymian. Jan przez wdzięczność zgodził się na zjednoczenie z kościołem rzymskim; ale niedługo potem, gdy zaszły pewne nieporozumienia między nim a papieżem, odprawił księży katolickich, i dochował wiary kościołowi greckiemu.

Alexy, syn Izaaka Angelos, po śmierci swego ojca uciekł do Rzymu, i błagał papieża o pomoc przeciw swemu stryjowi, Alexemu Komnenowi, który oślepił jego ojca i tron sobie przywłaszczył. Papież polecił Krzyżownikom obecnym w Rzymie, przywrócić na tron ojcowski młodego Alexego, który obiecywał wielkie nagrody za tę posługę. Stanąwszy pod Konstantynopolem, Krzyżownicy wezwali Greków o wygnanie przywłasczyciela, i uznanie prawego ich cesarza; ci ostatni po długich układach, zgodzili się wreszcie, ale niedługo potem zbuntowali się i zabili młodego Alexego. Łacinnicy mszcząc się jego śmierci i aby otrzymać to, co im obiecał, oblegli Konstantynopol, zdobyli go dnia 14 kwietnia 1204 roku, i mianowali cesarzem Baldwina, hrabiego Flandryi.

Jan chciał mieć pokój z nowym cesarzem; ten mu odpowiedział dumnie, że nie powinien on być pisać do niego jako do równego sobie, ale jako do suzerena. Król Wołochów postanowił wypowiedzieć wojnę Krzyżownikom: nastęrczyła się

wkrótce do tego pochopna zrzeczność. Adryanopol podniósł rokosz przeciw Łacinnikom, którzy spieszenie go oblegli. Miasto prosilo Jana o pomoc; ten przybył prędko z wielkiem wojskiem, i na głowę poraził Łacinników: większa ich część, jak hrabia de Blois, legła na pobojowisku, Baldwin wzięty w niewolę, a Dandolo doża zaledwie zdołał dostać się z tylną swą strażą do Rodosto, a stąd wraz z Henrykiem, bratem cesarza, do Konstantynopola, gdzie umarł tegoż roku. Jan trzymał Baldwina w Ternové rok i cztery miesiące; lecz rozgniewany że Alexy Aspietes uciekł do Łacinników, kazał cesarzowi Konstantynopola obciąć ręce, nogi, a potem głowę. Poraziwszy Krzyżowników, i obrażony, że Adryanopol nie chciał poddać się jemu przez wdzięczność za oswobodzenie od Łacinników, dopuszczał się okrucieństw i względem Greków; z tego powodu przybrał tytuł Romeochtona czyli niszczyiciela Greków, jak Bazyli, co się był mianował Bulgaroohtonem. Jan zwyciężył w kilku bitwach Henryka cesarza Konstantynopola, brata Baldwina; obległ powtórnie Adryanopol, na prośbę cesarza greckiego Teodora Laskarysa, który walczył przeciw Henrykowi, i jego wojska posunęły się aż pod mury Konstantynopola; ale nagła śmierć zaskoczyła go podczas oblężenia Tessaloniki. Tak umarł ów mąż, który godnie prowadził dalej dzieło Asana i Piotra. Piękne zajęłyby miejsce w historii, gdyby okrucieństwa nie plamiły wielkich jego przymiotów. Często żywcem grzebał Greków w zbroi i z koniami, i zasłużył u nieprzyjaciół na przezwisko *Skylojoannes*, to jest pies Jan. Żaden wróg, mówi Akropolita, za ludzkiej pamięci, nie przyczynił tyle zlego Grekom byzantyńskim, co ten Jan. Ten sam król Wołochów panował i w banacie wołoskim. On założył miasto Krajowa, stolicę banatu, i dał jej swoje imię. Król po wołosku znaczy *krerl* albo *keren*, a *Jow* albo *Jusen*, Jan; tak więc z *krulio* utworzono później nazwisko Krajowa, Craiova. Zbudował też w tém mieście kościół nazwany Banesa, który dotąd istnieje.

Po śmierci Jana, Frurila albo Burila, jego synowiec, wstąpił na tron (1207 r.), z krzywdą Jana, syna Asana. Kilku wiernych sług uprowadziło młodego księcia z Alexandrem jego bratem na lewy brzeg Dunaju, i ukryło u Scytów lub Kumanów mołdawskich, przy pomocy których, Jan Asan wstąpił na tron ojcowski r. 1217, wypędziwszy przywłaszczyciela.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

KOMPOZYCYE NA FORTEPIAN.

Muzykalność i kompozytorowie.—Chopina dzieła pośmiertne.—PP. Dietrich, Dobrzyński, Kurasowski, Koman.—Oryginalność.—PP. Ant. Kątski, Krzyżanowski.—Mazur i cechy muzyki narodowe.—Ks. Lubomirski, p. Moniuszko.—Kompozycyja głosowa i narzędziowa, klasywoy i romantycy.—PP. Madejski, Nowakowski, Ostrowski, Pusch, Rodkiewicz, Terajewicz, hr. Józef Wielhorski.—Życie i sztuka.—Wysocki.—Cel i korzyść przeglądu.

Gdyby kto chciał wątpić o coraz większém upowszechnianiu się u nas muzyki, mimo na tysiące dających się liczyć fortepianów, i wygrywanych na nich tworów różnego rodzaju, od polki do wielkiej fantazy, od gamm do etud koncertowych: toby go z błędu wywieść powinien poczet kompozytorów polskich coraz większy, rosnący we wszystkich kątach, gdzie mowa polska przeważa. Poczetto nietylko ludzi fachowych czyli tak zwanych artystów zawierający nazwiska, ale i miłośników, *vulgo* amatorów. Nazwy: artysta, amator, oznaczają stosunki do towarzystwa raczej niż do sztuki, nie mówią na korzyść lub niekorzyść plodów fantazyą stworzonych; i łatwo być może, bywa nawet, że tak zwany amator więcej ma przygotowania, więcej wrodzonych zdolności, niż człowiek fachowy. Przecież ogół większą ma w tego ostatniego wiarę, bo ufa jego specjalności w rzeczy, z której sam bardzo mało pojmuje, i przypuszcza bez badania dalszego, że powinien to rozumieć czemu się poświęcił. I ogół słusznie postępuje; postępowałby sprawiedliwiej, gdyby sam miał dosyć świadomości rzeczy, potrzebnej do zrozumienia różnego stopnia zasługi, różnego rodzaju działania; bo mało która nauka lub sztuka zatrudniających się nią ludzi, na tyle kategorii dzieli, co muzyka. A każda kategoria zakreśliła sobie pewne granice, za które oddające się jej indywidua nie są obowiązane wychodzić. Do wykonywających nie należy uczyć, ani komponować; kompozytor niekoniecznie uczy albo biegły jest w wykonaniu, równie jak uczący, któremu nikt nie zarzuci że nie komponuje; a przecież uczący są tak często zarazem wykonawcami i kompozytorami! To się znaczy, że kategorie zatrudnień muzycznych ściśle są z sobą połączone, i żadnej wyłącznie poświęcać się skutecznie niepo-

dobna. Szczególniej téż kompozytor: musi sam przedewszystkiém swoją pracę choćby w przybliżeniu wykonać, a nieraz uczyć innych jak ją chce mieć wykonaną. Jeśli jednak nie jest dyrektorem jakiego ciała muzycznego, a koncertów nie daje, to musi uczyć albo umierać z głodu. U nas przynajmniej, gdzie z literatury trudno się utrzymać, z kompozycyi niepodobna. Więc kompozytor u nas poławia się w najniepodobniejszych czasach do tego indywiduach, i wykazuje przedewszystkiém potrzebę duchową wylania swoich myśli tonami. Więc gdzie ta potrzeba częstsza, tam więcej serc dla muzyki bijących, tam muzykalność więcej upowszechniona. Nie idzie jeszcze za tém, by tam sztuka piękniej kwitła, jak polot literatury nie na liczbie piszących i czytających zależy. Wielu powołanych, lecz mało wybranych; a to tak mało, że gdyby oni sami tylko rzeczą się zajmowali, nie byłoby prawie ruchu. Więc graj, ktoś się uczył, choćbyś ani pięciu tonów poczciwie zagrać nie był zdolny; ucz, kto znajdziesz uczniów choćbyś ich tylko nauczył gardzić pracami tych, których świat za wybranych okrzyknął; komponuj kto zdołasz wydać, choćbyś nie wiedział dlaczegoś jedną nutę obok drugiej położył! Szczególniej komponuj, to świat powie żeś wszystkie rozumy pojadał! Bo świat naiwny myśli że musiałeś się uczyć kiedy umiesz, a umiesz skoro robisz. Świat logicznie rozumuje, a jakże się często myli! Jeśli kiedy, to tutaj można powiedzieć, że teoria z praktyką się mija. Wielu kompozytorów pamięta, że „żaden rycerz wojny nie nauczył się z książki” i mniema, że dosyć uczyć się grać, to przyjdzie chwila intuicyi i kompozytor jak grzyb z ziemi wyrośnie. Gazety imą głosić imię „znanego kompozytora”, ludzie się będą dziwić i głową kiwać, czyjeś serce się rozczuli, droga do nieśmiertelności otworem stanie i t. d. i t. d. Im więcej takich, tém lotniej sztuka w górę pójdzie—dlatego, by uciec; a jeśli nas nie opuściła dotąd, to dlatego, że większa łaska Pana Boga jak złość ludzka, że kilku istotnie zdolnych podtrzymuje to, co ćma innych psuje, a psuje tém snadniej, że się w specjalność uwinęli. Cóż dopiero jeśli w jednej kategorii, dajmy na to, wykonywających, zyskali imię choćby i zasłużone i do kompozycyi się wezmą? Nie uczyli się nie prawie z tego, co do niej umieć potrzeba, albo żadnych do niej nie mają zdolności, ale mają imię. Z niemi trudno wytrzymać walkę kilku poczciwiej mniemającym, i to w obec tłumy nieumiejącego pojąć co znaczne: bo tamci koryfeuszowie pociągają go ku sobie tak samo, jak pajac lub akrobata przemoże u mass mówcę i szlachetnego mimika. Chcemy przez to powiedzieć: że płytkość żywiołem jest tłumowi, bo ją rozumieć; a jeśli mu się przedstawia w imię sztuki, w wabnej postaci poetyczności albo w to-dze szarlatanijskiej powagi, to i cóż dziwnego, że go zachwyci? Trzeba by tedy naprzód, by ogół się wykształcił i sam wybierać umiał. U nas i muchy się na to nie gonią; jesteśmy pod tym względem w położeniu tak rozpaczliwym, że gorszego obawiać się nie potrzebujemy. Ze to nie przesada, łatwoby było przekonać, zastanawiając się nad naturą muzyki, jej rodzajami, zastosowaniem i t. d. i przymierzając to do nas. Ale to rzecz zbyt długa na dzisiaj; dosyć będzie rozebrać pytanie: z kąd się u nas biorą ci, którzy muzykę propagują czynnie, z zawodu, to jest

artyści? A nawet i nie wszyscy, bo sami tylko kompozytorowie, skoro im ten artykuł ma być poświęcony.

By zostać twórcą w muzyce, zacząć trzeba od nauki wykonania, dlatego tylko, by za jego pomocą otworzyć sobie wrota do téj odrębnej czarodziejskiej krainy, zaludnionej tonami mówiącemi nie o tém, co się widzi i wie napewno, ale o tém, co nikomu widzieć nie dano, co wszyscy jednak przeczuwają, zgadują; tak jak przeczuwają życie przyszłe, a nie mają o jego szczegółach wyobrażenia. Jeszcze się Swedemborg dla muzyki nie zjawił i nie nauczył nas: jaki jest stosunek między tonami a przedstawioném przez nie, albo wywołującym je uczuciem? między światem muzyki zmyslowym i duchowym? — pewnie nigdy się nie zjawi; ale każdy kompozytor jest témsamém i dla siebie, i dla innych wielkim owym mistykiem. Tłum słucha i wierzy, albo nie. Żeby jednak umieć do niego przemawiać odrębnym językiem muzyką zwanym, trzeba go się nauczyć. Tutaj jedni biorą się do grammatyki i składni: oglądają cząstki i w całość je wiążą; inni wołają się uczyć z praktyki, przez konwersacyą muzyczną; inni nakoniec przez jedno i drugie, i oczywiście ci najlepiej sobie radzą. Dla piérwszych i ostatnich nie ma u nas sposobności uczenia się, bo nikt, ile nam wiadomo, nie zajmuje się istotnym kompozycyji wykładem, któryby jéj poetykę i filozofią obejmował: to i zagranicą, mimo katedr i konserwatoryów niewszędzio się zdarza. Ani składni muzycznej nikt u nas nie uczy, i wszystko się kończy na oderwanych grammatyki częściami, z których znów każda jest bez całości w sobie, bez systemu, bez ducha, istny trup, czasem jakimś tam galwanicznym doświadczeniem poruszony. Że to na mało się przyda, łatwo pojąć; czegoż naprzykład nauczy tak zwany choć zmarły oddawna generalbass, prócz kilku akkordów na seciny rozmnożonych, z któremi nie wiadomo co robić? Więc kto chce więcej, ile można najwięcej, jedzie za granicę. W istocie najlepszy to sposób, ale mało komu dostępny. Kto musi zostać w domu ratuje się jak może i jak rozumie; a że i praktyczne kształcenie się coś znaczy, więc powoli i powoli coś się zbierze, i kompozytor się zrobi. Jeśli wielka zdolność tą drogą idzie i przyzwie w pomoc wytrwałość a pracę; jeśli wpadnie na tor szczęśliwy i ma zkadınad nabyte pomocnicze przygotowanie: to zaiste może dojść do czegoś godnego sama przez się. Nauczycieli jéj innych niepotrzeba, bo i oni tylko wskazać mogą; ale trzeba w dziesięćkroć pomnożonej usilności, długich lat mozolnej pracy, by doświadczeniem krótkiego żywota zastąpić doświadczenie wieków, myślą młodą i swoją tylko prawie, zastąpić myśl wytrawną tylu mistrzów! Po większej części tego wszystkiego nie bywa; oswojenie się z mnóstwem rozmaitych dzieł sztuki, pogadanka koleżeńska, osobisty namysł, proba, trochę nauki tu i owdzie w lot schwyconej: oto siły z któremi często nowsi nasi kompozytorowie występują do walki z zamięłowaniem publiczném wzrosłém na płodach, którym miejsce nie w świątyni sztuki, ale w jéj kruchcie się należy. Zaiste, siłyto niewielkie, to téż i niewielkie rzeczy niemi powstają. Formy najprostsze, jak: pieśni, waryacje, zaledwie niemi zbudować można jakotako, a w najgorszym razie jakie pot-purri, choć to wszystko różno nosi

nazwy, rzadko prawdziwe. Na co inaczej, kiedy i to do wziętości i sławy zyskania wystarcza, a publiczność też więcej nie pragnie, bo nie zna! Takeśmy nisko spadli (jeśliśmy kiedykolwiek wyżej stali), że już niżej spaść nie możemy. To, co do nas handel księgarski sprowadza i co jedynie odchodzi, co powszechnie jest ulubione, należy do jednego prawie lub dwóch rodzajów najniższych w hierarchii płodów muzycznych, a i to jeszcze najczęściej bierzemy plewę zamiast ziarna. Na tem się kształci smak ogółu, na to się zapatrują nasi kompozytorowie niektórzy; a im gorzej naśladują, tem pewniejsi powodzenia. Nie wymieniamy tu nikogo i niczego, bo po chrześcijańsku postępując nie można nikogo wyłącznie obwiniać, chyba okoliczności. Niemniej jednak serce boli widząc drugą, trzecią, a nawet szóstą edycją (co znaczy przynajmniej tysiąc egzemplarzy) jakiejś tam kompozycyi, gdy najlepszych naszych autorów znaczne i podniosłe prace i w jednej się nie rozchodzą. Można by niemal zawsze popularność utworu za miarę niedołęжности jego uważać, za miarę poczciwości muzycznej autorów. Więc cóż robią lepsi?—albo nie wydają wcale, by kosztów nie ponosić, jeżeli zwrotu ich z góry pewnymi być nie mogą, albo rzadko tylko próbują szczęścia, albo nakoniec zniżają się do ogółu. I do tego dochodzi nieraz, że ludzie istotnie zdolni pojąć różnicę wartości prac muzycznych, zamiast naśladować co lepsze, gorszemu się oddają. Dowodem ich utwory na coraz płytszy dyllentantyzm obliczone, obawa zrobienia nie już czegoś pomnikowego, ale sumiennego przynajmniej, zawierającego myśl głębszą; bo to zapoważne, zaciężkie, może zaproste i skromne. Jak niema szczęku, brzęku, jak niema tytułu chwytającego jak wędka, jak niema jakiegó stereotypowego szurum-burum: kompozytor za nie-szczęśliwego się uważa, i tak długo pracuje, póki nie skrzywi prostego, naturalnego nie odzieje przesadą arlekina, łaskotom nie obwinie tego, co ciche. Otóż tak naginają artyści swój talent do żądań ogólnych.

„Przecież nie wszyscy; o! nie, na Peruna!..”

Są i u nas ludzie, którzy wyrobiwszy sobie znaczne o sztuce pojęcie, stróżę czujni własnej godności, nie zniżają się do schlebiania gniaowu—nie mogą; kwiat nie może się zbyć swej woni i farb uroczych. W tem wyżsi od kwiatu, że się doskonałą ciągle i zyskują w sztuce przyjaciela, który ich do grobu nie opuści, a po śmierci orędownikiem im będzie, bo za życia w czystości ich widział.

I tamci pierwsi godni pobbazania: im brak sił, by wytrwali, bo pusty worek nie może stać prosto, jak mówi poczciwy Ryszard Franklina. Widząc, że na schlebianiu lepiej wychodzą, bo zyskują pieniądze, choć lichy, niestety! i wziętość nielepszą także, usuwają się od walki, mimowolnie brną coraz dalej, a nawet jako ludzie fachowi popiérają głośno opinie dające im puklerz nieprzebity niby; kto więc, możeby ich niemyślność zaprzysiądz gotowi: alboż kłanca powtarzając się ciągle nie uwierzy nakoniec w to, co sam wymyślił? I oto od ziarnka do ziarnka nabiera się miarka; trochę się zużyje, a reszta pójdzie na śmieci: tak łatwo mieć nowe! Cóż dopióro, jeśli ten i ów inaczej nie umie, a potrzeba mu gwałtem zdobyć sobie pozycją, okazać się artystą? Daromnie mu gadać: bratku! zajrzyj do książki i dzieł sztuki, do własnego

serca i tajników natury—nie zrozumieć co by to znaczyło. Bo żeby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, jaki stosunek człowieka do sztuki; pomyśleć czasem nad przyczyną skutków, poznać olbrzymie prace innych i zmierzyć wysokość do której podnieść się trzeba, by w ich szeregu stanąć. Umiejętność nadstawienia miną i czupryną jest ceniona od ludzi, ale w obec sztuki na nic się nie zdola, która cię jak daguerotyp przedstawi czém jesteś, a nie czém chcesz się pokazać. Ona jest złączeniem wiedzy i uczucia; więc kto chcesz być z nią za panie-brat, nabywaj ciągle wiedzy i ciągle wykształcaj serce, albo urodź się gieniuszem. Mamy przekonanie, długiem porównywaniem ludzi i ich dzieł zyskane, że z prac najdokładniej choć ogólnie można poznać autora; gdy praca jałowa i pusta, i człowieka umysł pusty a serce jałowe. Gieniusz także, jakkolwiek jeszcze byłby niewyrobiony, nadaje swym płodom właściwą piętno: dar boży zastępuje mu pracę i studia innym konieczne. Jest on jasnowidzącym poniekąd i dlatego zgaduje to nawet, czego inni nie zobaczą, nie postyszą może nigdy, a co z czasem szerzej, dobitniej wypowiedziane, pokaże się związane tajemną nicią z tem, co kiedyś bez wiedzy, mimowolnie, albo rzucone przezeń jako drobiazg mało cenny, powstało. Świat potem pozbiera te okruchy i dziwić się im będzie, choćby nie było czemu.

Takim drobiazgiem w szeregu arcydzieł Chopina są już po jego zgonie wydane dwa mazurki w Warszawie u R. Friedleina, waryacje z piosnki narodowej niemieckiej u Haslingera w Wiedniu, i dwa walce u Wildta w Krakowie. Mazury należą do najpięknszych jego utworów: są dziełmi radosnej chwili Terpsychorze poświęconej, inprovizacya wychodzącej z dzieciństwa młodości, olśnionej wdziękiem i ułudą życia, które jeszcze jak rozwijająca się róża wygląda, choć już w niej zaród robaka, który ją zniszczy. W mazurku drugim znać już piętno, połowę młodszą dzieł jego cechujące, łąć z uśmiechem zmieszana, wesołe czoło chmurką śmętności jak plamką narzucone. Te znaki są nieomyślne. Prawdziwość pochodzenia lepiej jeszcze, bo dotykalnie zorecza egzemplarz tych mazurów, litografowany ręką towarzysza młodości w 1825 r. na użytek kilkunastu osób pragnących je posiadać. Mamy go w tej chwili przed sobą; dwie stronnice, a na każdej jeden mazurek starym zwyczajem pomieszczony bez tytułu oddzielnego; tylko nad pierwszym położono: Mazur par F. Chopin; nad drugim świecą same początkowe głoski F. Ch. Waryacje zdają się pochodzić z czasu, w którym panna Sontag pierwsze swe laury w Europie zbierała i zachwycała między innymi piosnką szwajcarską: *Steh' nur auf du lieber Schwoiserbue* (waryacje z tego tematu śpiewane przez p. Sontag wydali u nas wówczas Bielawski i Damse). To, co Chopin z tej piosnki zrobił, zgrabne jest i wykończone, ale drobno i bardzo mało ma cech odznaczających dzieła jego. Naśladowanięto ogólnego stylu waryacyj, i dlatego może za życia autora nie wydane. Chopin tak był surowym dla siebie, że nawet znacznie wyższej sonaty (op. 4) wydanęj mieć nie chciał, choć ją był zrazu nakładcy odstąpił. Walce noszą na tytule datę wpisania w imienniku hrabiny P. rok 1844. Znać też w nich więcej dojrzałości, szczególnie w pierwszym; a lubo niewykończone zostały tak, jak Chopin zwykł był to robić z tworam,

które sam do publicznego użycia oddawał, i nie mają pociągającej, magnetycznej siły prac innych, która częściej niż się zdaje pochodzi z wykończenia: niemniej jednak widać, że jemu winny życie. Pewni jesteśmy, że większej jeszcze wartości i większych rozmiarów twory Chopina ukryte jeszcze są tu i owdzie; dobrzeby było je światu pokazać (1), a może i włączyć do ogólnego zbioru dzieł jego, który się pewnie z czasem ukáže, ale który teraz liczne spotyka trudności. Gdyby się nas pytano o sposób, w jaki należałoby urządzić ogólne takie wydanie, albo nawet cząstkowe nieznanych dotąd prac Chopina: radzielibyśmy trzymać się porządku chronologicznego. Według niego możnaby iść za rozwijającą się, potężniejącą, przedzierzgamą się a raczej odkrywającą myślą autora. Nie należałoby tu koniecznie trzymać się lądzy dzieła, którą sam autor położył, uwzględniając raczej kolęj wydawania niż tworzenia. Jedno z drugim mogło paść niekiedy razem, ale niezawodnie niezawsze; wszelkie wiadomości w tym względzie korzystnie użyte byłby powinny. Gdyby jeszcze w przedmowie spisano powody, które dały życie temu i owemu dziełu; powody nieraz drobne a płodne w skutki, charakterystyczne może niekiedy; powody jakich każdemu człowiekowi a więc i artyście nie brakuje, byłyby to materiały pomocnicze przyszłemu biografowi Chopina. Owszem, samo takie wydanie dzieł wszystkich byłoby już autobiografią tonami, nauczającą jak mało która.

Zamierzwszy dzisiaj trzymać się alfabetycznego porządku, przechodzimy od Chopina do p. Dietricha, którego ostatnie dzieła, wszystkie nakładu Friedleina w Warszawie, przejrzeć chcemy. *Chant sans paroles* op. 19, małeńki ale zgrabny kawałek; *Tarantella* op. 20. podobna raczej do kontredansa zbyt szybkiego do tańca. *Tarantella* jest tańcem także, ale powinna mieć charakter szalony, przypominający skutki ukąszenia zjadliwego owadu: szybkość tempa nie stanowi tutaj wszystkiego. *Walc* op. 20 dobry. *Marsz* op. 24 nie ma nic w sobie wojennego ani poważnego. *Talizman* op. 25 pieśń rosyjska ułożona na fortepian; lichy to romans, ułożenie lepsze jeszcze. Daleko lepsze op. 26, bo choć wariacje na temat ukraiński są biedne, to przecież jest tam jeden rys charakterystyczny na str. 6tej, udatny do za-

(1) Nigdy jednak inaczej, jak za pozwoleniem osób, które do tego mają prawo; one same rozstrzygać powinny co wydać, a co nie, bo im znana jest ostatnia pod tym względem wola zgastego. Komuż wolno ją lekceważyć? Komu innemu przystoi ją tłumaczyć? Kto wie, może osoby mające do tego prawo nie zezwolą na wydanie albo postarają się o wykończenie, którego ślad w pozostałych po autorze papierach być może. Nie chcemy tu już mówić o własności, lubo i to dla uczciwych ludzi wiele znaczy, ale o nadużyciu. Rodzina Chopina, wiemy o tem, *nikomu i nie* po nim nie odstąpiła: jakimże prawem księgarz krakowski może wydawać dzieła Chopina pośmiertne i pisać wielkimi literami, że to jego własność handlowa? Gdzie rękojmia, że mnóstwo mogących się pod wielkiem Chopina imieniem okazać publikacyj, przedstawia istotnie jego twory? Gdy przyjdzie czas i okoliczności pozwolą na wydanie prac jego nieznanych, to znajdują się środki zawiadomienia o tem kogo to obchodzić będzie. Nim to nastąpi, niech nikt się nie poważa frymarczyć imieniem genialnego człowieka, nie pokrywa nadużycia i gwałtu miłością dobra ogólnego, bo w braku pisanego prawa, opinia publiczna go skarci.

dziwienia. O *Kaskadzie* op. 27 trudno co powiedzieć; z góry widać, że jeśli p. D. chce w muzyce malować materyjalną stronę zjawisk natury, to mu się nie uda, bo muzyka do tego niezdolna. To, co z kaskady da się słyszeć, jest tylko szum mniej więcej mocny; więc sumienny kompozytor może na kawałku papieru napisać *tremolando* jaki taki akkord, i kazać go grać tak długo, jak komu chce się szumu kaskady słuchać. Kto chce widzieć masę wody spadającą, tuman, mgłę, kurzawę wodną, pianę, skały i wszystko co w kaskadzie widzieć można, to niech się do prawdziwej uda. Figura jakiej p. D. użył raczej kropło znaczy, których w kaskadzie nie bywa. Słowem, kompozycya ta choć zgrabnie ułożona mniej maluje przedmiot, niż narysowana na mappio rzeka prawdziwą, bo tam przynajmniej długość i kierunek widać. Parafraza z opery *Rigoletto* op. 29 cierpi na brak efektów instrumentalnych, w które ubierać zwykli cudze pomysły wszyscy kompozytorowie parafraz, jak Kullak naprzykład. Położone na tytule: *morceau de concert* dla oznaczenia wzniosłości stylu czy trudności mechanicznych, zupełnie jak przesadzona pretensya wygląda, bo tam ani stylu, ani świetności mechanicznej niema. Kto to pot-pourri zagrać zdolny, gotów się uważać za wielkiego wirtuoza, a w gruncie bardzo mało może umieć. *Sycylianka* op. 30 zupełnie w stylu tarantelli pana D. ułożona, mniej tylko rozwinięta, mniej ina pretensyi, więc miłsza. *Bluet* op. 31 zgrabna piosnka, ale nie więcej; przypomina często walca. Jużto oryginalne kompozycje pana D. zwykle walca lub kontredansa rytmem się żywią; zdaje się, jakoby z natury do tego rodzaju tworów miał skłonność, bo w istocie tańce tego autora są wcale dobre: niechże tej naturalnej skłonności sfolguje, a znajdą się wdzięczni. Może nawet w tym rodzaju byłby oryginalniejszym, o ileby nie zechciał posilkować się wyjątkami z oper; bo co w tworcach jego podobnych większej części tych któreśmy wymienili, zdźbła oryginalności nie widzimy, nic talentu samoistnego. W tylu przytoczonych wyżej pracach żeby też nie znaleźć nic, coby było nowe, charakterystyczne, a raczej jeden tylko pomysł— to szkoda papieru. Wprawdzie to wszystko napisane zręcznie, gładko, elegancko nawet; przecież wszędzie i zawsze to naśladowanie tylko: pustka z każdego okresu wygląda.

Retablissement, gr. valse brillante op. 63 pana Dobrzyńskiego, nakład Friedleina w Warszawie, istotnie walc wielki, świetny, z werwą napisany, urozmaicony aż miło. Jest tam przecież jedno chropowate miejsce w przykończeniu (coda), na które autor wszedł wiedziony wykręcającym się piérwszym pomysłem, które pewnie w jego fantazyi ma znaczenie dla nas niewidzialne; szorstkość tylko czujemy. *Bolero* z opery tegoż autora wyjęte (u Friedleina w Warszawie) dawną jest znajomością, o której jużśmy w swym czasie mówili; taką znajomość chętnie się spotyka.

Nokturno na basetę i fortepian op. I pana M. Karasowskiego (w Lipsku u Breitkopfa i Haertla) dobre nam o autorze rokuje nadzieje. Styl tu właściwy przedmiotowi, melodya gładka, łagodna, wpadająca niekiedy w patetyczność podnieconą rodzajem recitativa instrumentalnego, ożenienie dwóch narzędzi muzycznych w ogóle szczęśliwe:

tyle zalet w tej pierwszej kompozycji. Ale brak jedności prawie zaraz z początku uderza, z powodu różnych tematów zaczynającego rzecz fortepianu i występującej po raz pierwszy baselli. Czy utwór cały miał być *solo* jednego narzędzia z towarzyszeniem drugiego, czy to miał być duet (co prawdopodobniejsze), zawsze wspólność pomysłu była konieczną, choćby z pewnemi odmianami, naturze każdego narzędzia przystającami. Albo to, co mówi fortepian, z początku nieco krótsze być powinno i wyglądać jako wstęp do tego, co basella obszerniej opowie; albo to, co mówi basella po fortepianie (str. 2) w inną powinno być tonacyt i stanowić część drugą dyalogu. Nie brakłoby i innych jeszcze sposobów wprowadzenia rzeczy, a każdy mniej więcej kazałby zmienić coś z dalszego ciągu, który zawsze wypływnie logicznym początku być winien. Nie rozszerzamy się tu jednak nad tem, bo całe prowadzenie tego nokturna pokazuje, że autor to dobrze pojmuje. Spłatanie dwóch tematów pod koniec trochę może zakrótkiem, dowiódł staranności nawet o jedność, której z początku uchybił.

Niegodzi się z pierwszej już pracy pana H. Komana, romansem nazwanej, (u Friedleina w War.) decydować o talencie autora; to też zatrzymamy się do następnych, jeśli nas niemi obdarzy. Może w nich więcej samoistności spotkamy, więcej interesu w melodyi i ścisłości, więcej równowagi, biegniki nie tak pospolite, kiedyś mają być okrasą. Wolelibyśmy ich nie widzieć w romansie, bo one wychodzą z prostoty, jednę z cech tego rodzaju kompozycji; kompozycji trudniejszej niż się zdaje, bo w skromnym przyborze zawierać mającej myśl nową, tkiwość, naiwność, czasem lekkość, a zawsze płynność i prostotę. Wszystkie to przymioty konieczne, a nader rzadkie w nas, przywykłych do świetności, wytworności, kokieterii.

Zarzucając tu i owdzie brak oryginalności i przeczuwając, że to jeszcze zrobić nam przyjdzie: czujemy potrzebę powiedzenia o niej cokolwiek, by nasze wyrazy źle zrozumiane nie rzuciły na kogo podejrzenia, że przepisuje cudze myśli a nie własne daje. To się nie tak ma rozumieć, znaczy tylko: że tam nie nowego nie ma, żeśmy już to samo, a raczej prawie to samo słyszeli jakie sto razy lub daleko więcej. Tak samo w życiu potocznie uwija się tysiąc zużytych myśli, powszechnie znanych, temi samemi prawie wyrzeczonych wyrazami; dlatego one nikogo nie uderzą, w nikim myśli nie rozbudzą, a nudzą niemilosiernie. Tak naprzykład poeci opisują od wieków piękność dziewiczą; więc opisów tych na tysiące liczyć można, a wszyscy opowiadają szczegóły tak samo widziano przez wszystkich, tym samym prawie porządkiem, temi samemi wyrazami. Piękność dziewicza zbrzydłaby już czytelnikom, gdyby nie była jednym z cudów stwórcy. Kto nie umie inaczej widzieć jak inni, to niech swoje ekstazy dla siebie schowa, bo będą ziewać słuchając. W muzyce prócz ważniejszych rzeczy stanowiących jądro, są jeszcze inne podrzędne dla wielu, które takimi jednak nie są, bo na główne wpływają więcej niż oprawa na obraz, jako stanowiące jego cząstkę. Są to raczej formy przygrywki, różna harmonia, różno manieri i formuły tu i owdzie wcielone, biegniki t. p. Wyglądają one w muzyce jak poró-

wnania w poezyi, albo jak rymy, lub coś podobnego. Porównania zużyte niczego nie dowodzą; trzeba nowych, by uderzyły i z nowej strony przedstawiły przedmiot; w ten sposób z podrzędnego stanowiska do głównego niemal podnieść je można. A rymy?... toć jaż oddawna słynie u nas owe: za-go-ści-ta-się i t. d. zbiór rymów spowszedniałych, których się wierszopisom wystrzegać kazano. I chociaż śmiesznym jest bezwarunkowy zakaz ich używania, to pokazuje, czem jest dla wiersza świeżość końcowego brzmienia. Więc choć i w muzyce śmiesznymby było wypędzać z niej to i owo, pojąć łatwo, że ono wszędzie przystawać nie może, chyba że obojętne, nieznaczące, a więc tém mniej warte. Proszę tedy wystawić sobie poezją przedstawiającą obrazy znane, i z tej właśnie strony, z której je wszyscy widzą i czują, porównania dającą oklepane, np. usta jak maliny, włosy jak heban i t. d. a do tego rymy trywialne i bez właściwego charakteru, jaki mieć winny stosowne do treści (boć są dla ucha, nie dla oka); proszę sobie to wszystko wystawić i powiedzieć, co tam jest oryginalnego, samoistnego? Przenieśmy to do muzyki; zobaczywszy tam melodyą, harmonią, przygrywkę, formuły, passaże, a wszystko tak samo lub prawie tak samo, jak to już było tysiąc razy użyte, jeśli nie więcej, nazwiemyż to oryginalnym? A jednak autor nie przepisał żywcem, ale jako niemający własnego zdania, powtarza innych i wypali jakie tam setne kilkadziesiąt czasem *opus*. Świat krzyczy na płodność, na pracowitość, na gieniusz nakoniec... w kopijście! Mówimy tu o autorach w ogóle, zaludniających wszystkie części ziemi. Papier który w ciągu roku nieużytecznie zabazgrzą, wystarczyłby pownie, mierząc po angielsku, na pokrycie Chin całych, a wartości artystycznej niema i na kawałek ziemi. Bo im się zdaje, że lada pomysł godzien uwieńczenia, że im ktoś więcej pisze, tém znakomitszy; więc nie dziwnego, że ich dzieła wyglądają jak przedmiot zdaleka widziany. Nie znać dobrze ani kształtów, ani rozmiarów, ani koloru, ani charakteru, ale jest to coś, tego nikt nie zaprzeczy. To coś w miarę jak się zbliżamy do niego coraz bardziej traci wydatność, zamiast jej nabierać i rozplynie się gdzie w powietrzu. Nie tak! Żeby stworzyć godne człowieka i sztuki dzieło, trzeba czekać na natchnienie lub myśl zcną, a strzedz się, by kaprysu nie wziąć za natchnienie, wspomnienia cudzej myśli za własną. Dalej trzeba umieć myśl pochwyć, rozwinąć, obejrzyć i pokazać; potem można ją wykończyć, wygładzić jak jej przystoi lub autorowi się zdaje, a ciągle czuć serce bijące, widzieć otwierający się świat własny:—to będzie oryginalność. Albo w kilku słowach: trzeba się uczyć harmonii i kontrpunktu, kształcić umysł i serce, reszta przyjdzie z łatwością, jeśli pan Bóg niezupełnie talentu odmówił. Wstanieli myśl nieudatna lub niezupełnie świeża, to ją ozdobi i odświeży wypracowanie, które samo niczém innym być nie powinno, jak dopełnieniem pomysłu, może nawet częstką jego. One jeśli myśl buja, wiąże jej ustępy w jedną całość, jeśli jednostajna to ją urozmaica. Ale dosyć! gdybyśmy tu foliały napisali, podobno na nich się to nie zdało, bo zmuszałoby do pracy i oględności, które są ciężarem dla bark słabych:—dźwigać go nie zechcą. Oto raczej damy

tu krótką receptę dla chciwych sławy kompozytora, i dla większej jasności, w porównaniu. Dajmy na to, że malarz ma predykcją do krajobrazów; więc żeby imaginacyi nie wysiłał, przygotowuje sobie różne krajobrazy przypadłości na osobnych kartonach, np. wodę, młyn, lasek i piasek, i tak, by linia w linię pasowały. Z tych czterech szczegółów różnie umieszczonych, kilkanaście krajobrazów mieć może; a jeśli młyn zdarzy mu się od wody laskiem albo piaskiem przegrodzić, to tém oryginalniejsze będzie. Więc kompozytorze przyszyj splondruj tuzin oper włoskich i francuzkich romansów, pierwszą lepszą szkołę generalbasu, ćwiczenia kilku autorów, a masz materiału na całe życie i będziesz artystą! O formę się nie troszcz:—śmieciom wszystko jedno w jakim są worku.

Z trzech dzieł p. Antoniego Kątskiego, któremi są walc op. 151, romans bez słów op. 152, i mazur op. 153 nakładem R. Friedleina wydanych, drugie najlepsze. Szkoda, że figura przygrywki na której przeprowadzeniu możnaby powiedzieć że wypracowanie polega, choć daje ruch, jest tak monotonna, że choć dość szczęśliwie utrzymana, nie podniosła się do stworzenia własnóm bogactwem oddzielnego ustępu. Ożywiłaby się przeto całość, piękna i tak wprawdzie, ale nieco jednostajną melodyą wypełniona i napozór zadługa, choć istotnie nią nie jest. Zawsze to jednak szanowna praca. W walcu zgrabnym formą, udatnym nielicznymi pomysłami, najmniej się spodoba część druga, dlatego że nieśpiwna, jako z tak zwanój gammy chromatycznej zrobiona. Nie należąca do żadnej tonacyi, dopiéro z pomocą harmonii zyskuje miejsce stałe, na niój się opiera, zamiast ją zawierać niejako w sobie. Pomysły tego rodzaju dobre są na krótkie rzuty, ale nie na wypełnienie ustępu jako treść główną; a jeśli wszędzie melodya, która potrzebuje wsparcia harmonii, by być pojętą, jest wadą, to szczególniej w tańcach. Prostota i łatwe wpajanie się w słuch pierwszą po tanczości jój zaletą być musi. Mazur zwany Karnawałem Warszawskim arcy słaby; daremnieby w nim szukać szaleństw i excentryczności karnawałowych, choćby tak skromnych i pospolitych jak w Warszawie. Jako muzyka do tańca ujdzie, jak się to mówi. Takich prac wysypać można na dzień i codzień tyle, ile napisać można, choćby się nie miało wprawy pana K. w spisywanie i ubieranie pomysłów muzycznych.

Pan Ignacy Krzyżanowski udarował nas dwiema pracami: romansem bez słów op. 9 i dwoma mazurkami op. 10 u Breitkopa i Härtla wydanemi. Gdyby zawsze podobne tym kompozycom rozbierać przychodziło, małoby było zatrudnień równie przyjemnych, jak pisać recenzye. Wszystkie niemal wyrazy zdążałyby do wykazania zalet, opowiedzenia szlachetnych dążeń, dowodzenia, że autor rozumie rzecz swoją, że jego przygotowanie i większym sprosta zadaniom, gdy mniejsze tak poważnie traktuje; słowem do powiedzenia wszystkiego co autorowi miłe być może, i ozłocenie jakiej tam pigułki, którą recenzent zadaje mu niekiedy dla utrzymania swój powagi. Nie zarobitby wtenczas na opinią złego języka, jadowitego pióra, niedowarzonego mędrka, i wszystkich epitetów, któremi odpornie mający się autorowie

tóm chętniej zasłaniać się lubią, im prace teń mnić warte, im wię-
 cęj prawdopodobne a niepowściągliwe pióro wyda się z wątpliwością
 co do usposobienia, pojęcia, oryginalności, natchnienia. W takim ra-
 zie lepiej nie pisać o tém co nie warte, powiedzą ci i owi, zapomina-
 jąc, że gdyby tylko o istotnie ważnem się mówiło, bardzo mało o czém
 powiedziéby coś można. Tymczasem rozprawiając ubodzie się czasem
 kogo wprawdzie, ale jak ochłonie i pomysli, to może mu to na
 dobre wyjdzie; czasem i recenzentowi samemu, jak mu porządną wy-
 tną replikę. Alboż i on tego nie potrzebuje? Więc bracia, postępujcie
 po chrześciańsku, opatrujcie potrzeby bliźniego! Tymczasem wy, któ-
 rych pracom odmawiamy tego i owego, zajrzyjcie z nami do pana
 Krzyżanowskiego pracy, to dojrzyjcie jak tam w Romansie myśl pier-
 wsza zaczyna się w charakterze ogólnym, ale niebawem błysnie z niéj
 iskra, tętno uderzy i już w połowie pierwszej stronnicy, poznać ła-
 two, że autor ją sobie przyswoił, na własność swoją obrócił i po swo-
 jemu mówi jéj każe: a znacząco, a szeroko, a szlachetnie. Każdy przy-
 bywający okres zapala się niejako do przedmiotu. Na stronnicy dru-
 giej występuje rozkołysana figura przygrywki, własna, znacząca, i do
 bolejącego śpiewu dodaje groźne zrządzenie basu lub rozpaczne trze-
 potanie się wiolinu. Nagle ucinanie téj figury, a raczej przeskakiwa-
 nie jej z jednéj skrajnej okolicy instrumentu w drugą, podnosi wartkie
 jéj życie i sprzecznością uwydatnia rysy cząstkowe. Nie w tym jednak
 charakterze dojść ma do końca romans; nagle, bo nieskończywszy okresu
 przemienia się w spokojniejszy. Nowa figura przygrywki występuje;
 jéj pospolitość pogłębieniem harmoniczném pokryta, nie ufa widać so-
 bie, bo wkrótce drugiej przyzywa, a potem się łączą na czas jakiś. Tém
 wsparciem wzmocniona, nabrawszy otuchy, figura przedostatnia sa-
 ma już do końca rzecz prowadzi, zatrudniając obie ręce i towarzy-
 sząc najpierwszemu pomysłowi, zesmutniałemu, rozbolełemu, i jak myśl
 każda po stoczonéj walce, po przeżytych czasie, mocno zmienionemu.

Usiłując tu wyrazami tłumaczyć naturę téj kompozycyi, nie chcie-
 liśmy przedstawiać jéj treści: byłoby to z pomocą ograniczonych środ-
 ków w niezmierną krainę wyobraźni chcieć się zapuścić, w której
 każdy właściwą sobie drogą postępuje: byłoby chcieć objaśnić rzeczy
 właśnie w półświecie urok mające, widome zupełnie tylko w stanie
 owego nastrojenia osobliwego, w jakim dźwięki muzyczne nas osad-
 zać zwykły. Przedstawiliśmy tylko cielesne przypadłości kompozycyi,
 widome każdemu jednakowo, kto pojmuje charakter czynników mu-
 zycznych; a przedstawiliśmy je nie dlatego, że interesującą ułożyły
 całość, ale dla zrobienia jéj zarzutu, który brakiem jedności oznaczamy.
 Nie ulega mu melodia główna, niby kanwa rozciągnięta, na kilka wy-
 datnych części rozdzielona, choć chwilami mętna lub jakby figurze
 przygrywki poświęcona; różnaitość to figur przygrywających (zbyt
 ruchomych na *romans*) uwłącza jedności. Każda z nich albo sama
 z siebie wydatna, co szczególnie do drugiej (str. 4) się odnosi, albo
 starająca się o wydatność za wpływem harmonii (str. 5), albo wy-
 różniająca się rytmicznie (str. 5) choć na krótko występuje, by nie
 dosyć dawała powodów do utrzymania jéj ciągłego. Nierozległe ka-

źródle działanie sparaliżowane jest innych znaczeniem, i co najważniejsze, żadna przygotowana, zapowiedziana nie jest, tylko tak z nienacka się zjawia. Taki kompozytor jak p. K. zrozumieć szczegóły inne tego nieco hurtem zrobionego tu zarzutu, ani będziemy dlań szukać usprawiedliwienia w zwyczaju mnogich na fortepian pisarzy. Wielu z nich nie okazuje się tyle myśląciami i czująciami w kilkunastu razem wziętych pracach, jak p. K. w jednym mazurku; op. 10 dwa ich zawiera. Na co tylko złożyć się mogą: szczęśliwy pomysł, znajomość szczegółów techniki muzycznej, wykończenie najdokładniejsze, wszystko te mazury mają w sobie. Ale to wszystko jeszcze mało, bo tam w każdym okresie i frazesie, w każdej niemal kadencji melodyjnej i harmonicznej tkwi życie i prawda, w szatę rzewnej prostoty najczęściej odziana. Oba te mazury, a szczególnie drugi, wyżej stawiamy od rozbióranych dawniej tego autora mazurów (op. 2), bo w ogóle są prostsze, łatwiejszej faktury, a co do ducha więcej się zbliżają do niedającego się opisać typu ludowego, tak mistrzowsko odwzorowywanego dawniej przez Chopin'a. Chopin tyle napisał mazurów i tak różnych od siebie, czyli innymi mówiąc wyrazami: z tylu różnych stanowisk ducha narodowego w nich przedstawiał (że o innych jego dziełach nie mówimy), tak wreszcie mistrzowsko rys po rysie układał, a w samym układzie tak wiernie obyczaj ludowy zachowywał, że każdy z nowych kompozytorów w tem lub owem podobny mu będzie, jeśli jak p. K. dopatrzy uczuciem, co tam na dnie serc naszych leży. Podobnym mu nawet być musi w ogóle mówiąc, bo dla kompozytora polskiego Chopin pozostanie arcywzorem, dopóki istota życia ludowego się nie zmieni i nowych typów nie stworzy.

Mazur nawet taneczny bierze wzór i okrasę z tego, co lud tworzy; dowodem wszelkie mazury nieco lepsze, to jest nie polegające wyłącznie na rytmie, najważniejszój, ale nie jedynój z cech muzyki narodowej, jak to powszechnie mniemają. Bo i czemuż w muzyce nie mającej nic z rytmu za narodowy uznanego, ślady narodowości bywają jednak? Drugą cechą są owe zwroty melodyjne, jakby z jakiejś szczególnie gammy wysnute, na jakiejś szczególnie harmonii oparte, których nawet technicznie dokładnie i wyczerpująco opowiedzieć nie można, ale które istnieją i są znane. Wielkie jest prawdopodobieństwo, że te zwroty zabytkiem są tonalności dawnej, która w wykształconym świecie znikła już zupełnie. Lud tradycyjnie przechowujący ojców obyczaj stary i formę widzenia choć nie szczegóły, wiarę i przesady i wszystko co stanowi jego charakter, zatrzymał ją dotąd jeszcze. Zatrzymał ją mimo nieszczęśliwych katarynek, reznoszących po słolach nowych pomysłów roje, martwem wyrzeszczanych zadęciem i fałszywymi tonami. Tonalność sięgająca dawniejszych czasów, może wsiąknięta w zagon z krwią i potem, a pług co rok coś z niej wydobędzie a resztę przyorze, by jeszcze na jakiś czas starczyło. Inna rzecz rytmiczny mazur żywy. Rytm nie wydatny w muzyce starzej, dopiero z wyrobieniem się taktu w miejsce dawnej mensury stał się dosadniejszym. Daty oznaczyć niepodobna, bo choć prawo natury na którym rytm się opiera istnieje od początku stworzenia, różne narody przodku-

jące cywilizacji ludów, różnie je sobie tłumaczyły; w naturze bowiem każdy szczegół bogaty jest w stosunki do innych i w zastosowanie do potrzeb człowieka. Rytm zaczął się wyrabiać wtenczas, gdy narody miały czas obejrzeć się wkoło siebie, oddzielić granicami od drugich, poczuć się w sobie, i na tle cywilizacji ogólnej uwydatnić własny charakter, i jak któremu przystało, jąć się nauk, handlu, rolnictwa i w nich działalność swoją przedewszystkiem rozwinąć. Rytm, to jest ruch, a ruch istotnie umysłowy zaczął się w Europie w wieku XV. Znać go już było wówczas nieco, i biegł w jednym kierunku choć licznymi drogami aż do wieku XVIII, by na jego krańcu się wstrzymać i w nowym kierunku rzucić. To też rytm powoli w owej epoce jął się wydobywać; dojrzałość jego pada właśnie w końcu XVII i początkach XVIII wieku, i od téj dopiero pory wiemy coś pewnego o muzykach narodowo-rytmicznych, równie jak i o tańcach nowszych; od téj pory wiemy coś o mazurze. Spotykamy go w pieśniach, które do téj opoki odnieść wypada, lubo jako taniec wykształcony tak, jak go mamy, podobno i wieku jeszcze nie istnieje. Zwroty dziwne o których mówiliśmy wyżej, są duchową muzyki stroną, historyczną, że tak się wyrazimy; połączone z tętnem materialnego życia, młodszych sięgającego czasów, stanowią muzykę narodową. Wieki to z wiekami ożenione w małoznaczącym tańcu zrobiły obraz narodu; bo każdy byt posiada ślady pochodzenia, piętno istnienia obecnego, a może i przeczucie jutra. Cech własnych rzec się nie może, ani przywłaszczyć obcych. Dlatego daremnie Włosi, Francuzi i Niemcy siłą się na mazura, a nie umieją go zrobić, ani żadnego z naszych domowych tańców. Oni niebożątka nas nie znają; chwycą rytm, żywoł dzisiejszy, i myślą, że nim wszystkiego dokażą, a my się śmiejemy, że do naszego najlepszego dobrać się nie mogą. Zajrzyjcie do mazura Schulhofa (souvenir de Varsovie) nakładem Friedleina w Warszawie wydanego; zgrabne to jest i piękne nawet, ale polskiego nie tam nie widać.

A teraz zajrzyjcie do mazurów kscia K. Lubomirskiego; o ile skromniejsze o tyle prawdziwsze. Liczne te drobiazgi (wiele ich wydał Friedlein w Warszawie) widocznie dzielą się na dwie kategorie: mazurów do słuchania i do tańca, mówiąc językiem potocznym choć niewłaściwym, boć i tych ostatnich słuchać można nie tańcząc. Jedne i drugie zawierają zawsze w sobie coś przypominającego owe cechy wyżej przytoczone, coś niekiedy zupełnie oryginalnego. Charakter ich ogólny łagodny, często tęskny, rzadko zamaszty. W jednych i drugich zacność pomysłów w parze idzie z opracowaniem starannem, wyższem bez porównania od tego, które spotykamy w mnóstwie mazurów różnych autorów, mazurów często spisanych tak, jakby choiano by ich nikt nie grał. Ta sama staranność cechuje inne taneczne utwory kscia L., jak walce, polki i zbliżone do tanecznych marsze. Co do ich taneczności nie wyrzec nie umiemy, wątpiąc o naszej kompetentności i wiedząc, że ochota taneczna nie z samej tylko muzyki tryska: jej obowiązkiem raczej ją mierzyć, porządkować, a na to często i rytmu dosyć. Widzieliśmy już tańczących przy muzyce z dłoni i butelek wydobytych.

Ale za to dopatrujemy w melodyjach i prowadzeniu ich przez naszego autora rysy, które w znakomitszym kompozytocy rodzaju miejsce znaleźćby mogły, gdyby go chciał probować. Już go nawet próbował w tylu pieśniach do śpiewu, o których tu jednak nie mówić nie możemy, postanowiwszy samą tylko muzyką narzędziową dzisiaj czytelników naszych zajmować.

Nie koniec jeszcze tańcom; bo jakże pominąć dwie polki i trzy walce pana S. Moniuszki, wydane u Friedleina w Warszawie. Taki kompozytor czego się imię wszystko uszlachetni. Jego walce przeszliczne może niesłusznie do tańców liczymy, drugi przynajmniej. Sąto raczej pieśni w rytmie walca ulane, odziane wypracowaniem pełnym świadomości i czucia, których utwory przeznaczone do tańca nie miewają; bo trudno pozostać myślącym gdy się szaleje, albo innych w grupy taneczne kojarzy. I polki pana M. nie takie drygalskie jak zwykle bywają: to też zapewne zaciężkie, za mądre będą na muzykę taneczną, choć autor w nich jak i wszędzie zachował właściwą sobie swobodę prowadzenia harmonii, ale odebrał swobodę grającym. Mniemamy, że ten ustrój prac pana M. na fortepianu pochodzi z nawyknienia jego do traktowania muzyką wyrazów poezyi i potrzeby jego ducha zapuszczania się w jej głębię, z fantazyi przenikliwój widzącej kilka stron przedmiotu naraz, i umiejaczej je tonami schwycić. Do tego trzeba mieć przedmiot wydatny, tyle przynajmniej, ile słowo wydatnym go uczynić może, i to podobno będzie powód że p. M. tak mało dał nam dotąd prac wyłącznie narzędziowych; śpiew go mocniej pociąga. Przyjmując tekst nietyle za przewodnika jak za główną oś około której myśli się wiją, objaśnia niemi przedmiot albo go przetwarza wedle swego widzenia, a zawsze w nim ma dowód, poparcie i kontrolle nawet, której się nie lęka, która owszém jest mu pożądana, bo pokazuje prawdę tego, co się odstrychać zdaje, naturalność tego, czego w texcie nie ma na wierzchu. Jedno i drugie w pracach pana M. do śpiewu pokazuje, że umiē poddać się poecie i sam poetą niezależnym pozostać. Dlatego jego pieśni wielką mają potęgę, bo to dwóch poetów ożenione myśli: jedno w dwóch, dwoje w jednym. W muzyce narzędziowój przedmiot widzenia poetycznego nie jest w materiją wcielony poprzednio, dwoiście, ale raz tylko i pojedynczo. Niejeden kompozytor usiłuje więc uchwycić pojawy swój fantazyi w szereg chwil i myśli, determinowane mających znaczenie. Streszcza rozpierzchnione, porządkuje logiką od ziemi pożyczoną, co mu się łączyć inaczej nie chce; słowem tworzy sobie text niejako, obraz jakby istotnie narysowany i dopiero muzyką kształt po kształcie, rys po rysie wyrabia. Za tém idzie, że chłodnie przy opisaniu tego, co w nim gorzało poprzednio; praeuje by wydobyć to, co się już niepowrotnie skryło, cień tylko zostawiwszy. A że formę chciał mu dawniej nadać w myśli, choć ono formy narzuconój przyjąć nie mogło, bo miało własną; więc kompozytor cień widzenia swojego schwyci i technicznie go uwinie jak można najstrojniej. A tacyto zwykle najlepiej umieją, bo ucieleśniając wszystko nabrali wprawy do wygładzania formy ze wszystkimi jej przypadłościami. Są oni tém prawie w muzyce, czém byli niedawno

w poezyi klasycey nowożytni (1). Inaczej romantycy. Oni na skrzydłach fantazyi lecą za przedmiotem swego widzenia, nie usiłując go na ziemię przyciągnąć, od której stroni; szczęśliwi, że tyle stron niezmiernych obszarów z nim zwiedzili, chwytają jego obraz lekkimi rysami przelewającemi się w inne, w miarę jak fantazyja sunie. Więc w ich twórcach chwila za chwilą oryginalna i nowa, a jednak myślą o tym samym przedmiocie wypełniona. Rysy same przez się składają formę; ztąd ona także oryginalna w ogóle i w szczegółach, lubo koniecznie się logicznie układa. Nie z pomocą jednak tej logiki, na wyrozumowaniu, na obliczeniu efektów opartej, ale według logiki marzenia nieujętego, przeskakującego przestrzenie, zawsze przecież od punktu do punktu, tak, że przynajmniej jego rzuty policzyć można, jeśli nie odległości zmierzyć. Na zimno oglądane tego rodzaju prace być nie mogą, bo je silne uczucie wywołało, a jego władza budzi uczucia, jak dźwięk oddźwięk rozbudza. Tamte o których mówiliśmy poprzednio, fantazyją tylko w grę wprowadzają, bo mimo całego starania o okresność, nieokreślonymi pozostały dla słuchacza. Więc zawsze słuchacz muzyki narzędziowej mniej lub więcej własnemu uczuciu, własnej fantazyi oddać się może, a tłumacząc sobie jednem i drugim to, co uchem chwytą, cieniuje rysy ostro, grubo zestawione, mgliste obrazy łączy z sobą i z chwili w chwilę przebiegając używa, rad, że dusza jego czynna życiem niezemijskiem buja po okolicach oprowadzana przez inną duszę. W muzyce głosowej widniejsze mu one, w narzędziowej różleglejsze i ponętne tajemniczością; w tamtej na myśli więcej, w tej więcej na fantazyi użycie polega. Sąto cechy rodzaju. Ale nie przeto kompozytor głosowy fantazyi pozbyć się może, narzędziowy myśli, bo przestałby być artystą, którego zadaniem właśnie jest łączyć myśli fantazyją, jako jednej duszy przymioty dopełniające się nawzajem. Każda myśl zdolna jest przejść w marzenie, w idealność, każdy ideał opiera się na myśli jak na opoce, i dlatego jest czemścis. Sama myśl zimna i ograniczona zyskuje od fantazyi zapal i polot: fantazyja sama z siebie mglista i niepraktyczna, od myśli bierze żywot i statek. Jak je p. Moniuszko łączy w swych pracach głosowych, opowiadaliśmy już tyle razy; a przy oglądaniu jego pracy wyłącznie na fortepian ułożonej pod napisem *Vilanella* (Warsz. R. Friedlein) spostrzegamy to samo z właściwą rodzajowi różnicą. Nadpis ten włoski znaczy po polsku dziewczynę wiejską, i dlatego może *Vilanella* była kiedyś nazwiskiem pieśni oddzielnego rodzaju (2) i tańca w południo-

(1) Że przez klasyków i romantyków nie roznmiemy tu szkoły, ale osobistość autorów, nie plody jakiejś epoki, ale ogół twórców: powinno być z dalszego widoczne. Mniej jeszcze chcemy tym sposobem stopień mistrzostwa wskazywać, jak ktoś z wyrazu: klasyk, mógłby wnosić; raczej, jeśli wolno mówiąc o kompozytorach tak się wyrazić, racjonalistów i idealistów określić pragniemy.

(2) . . . les villanelles aries, les canzonnette alla Napolitana, étaient aussi repandues sur le continent pendant la dernière moitié du 16me siècle, que les barcaroles venitiennes et les vaudevilles provencaux le furent vers la fin du 17me. Memoires sur la vie et le siècle de Salvator Rosa par lady Morgan. Paris 1824. I. 60.

wój Europie używanego w siołach, i prawie wyłącznie przez dziewczęta wykonywanego. Widocznie p. M. o tańcu nie myślał, by sobie zeń zadanie utworzyć; nie pragniemy jednak dociekać, czy, i jakiemu obrazu determinowane go natchnęły; dosyć, że sielskie. Myśl główna przez całą przewija się kompozycją, a fantazyja coraz szersze wyrabia jej koło. Niedość ono rozległe, by nieścignione okiem obszary zajmować, bo myśl sielan przygląda się temu co ma około siebie, w obrębie jednej miejscowości się zamyka: jak to życie szlachetne rolnika za granicę własnego ładu nielubiące wybiegać, ciasno niby, ale obszerne, bo znajdujące pod ręką wszystko, co mu potrzebnego dla ciała i duszy. Wy, coście nawykli do pracy i natury, a Pan wam pobłogosławił, że wam i użyzniony znojem waszym łąn się złoci, i łąka kobiercem kwiecistym połyskuje, i strumień słodko szumrze, i gaj rzewnie szumi, i trzódka wesoło skacze, tak, że wam się serce rozplywa i rośnie zarazem:—znajdziecie obraz waszych uczuć w kompozycyi tej p. M.; podsłuchał was widać i nam powiedział, a wam ułatwił przypomnienie ich sobie w smutnych chwilach.

Mówiliśmy nieco wyżej, że z tonalności i rytmu można poznać epokę powstania pieśni; muzyka zatem zdolna jest iść w pomoc badaniom historyków, i więcej niż się zdaje tym szczególniej może, którzy jej nie znają filozoficznie i historycznie. Osadziwszy rozwinięcie się rytmu i tańców w pewnej epoce, jak co do którego, np. mazura, można oznaczyć czas urodzenia niektórych pieśni pobożnych, z których wiele ma rytm mazura, mniej widoczny jako poważnie kroczący, niemniej jednak niewątpliwy. Taką jest kolenda: W żłobie leży i t. d. niezawodnie nie starsza jak wiek XVIII, co i język potwierdzać się zdaje. Nie idzie jednak za tym, by dzisiaj żyjący muzyk dobrze robił traktując ją jakby jaką wczorajszą piosnkę świecką, jak to się zdarzyło jej w pracy pana Marcellego Madejskiego (*Noël, cantique spirituel slave, transcrit pour piano. Vienne, chez Mechetti*). Autor dał tej pieśni podszewkę z najnowszej i zarazem najlichszej materji, choć zdaje się, że z początku poważniej myślał. I tam jednak nie zdobył się na nic godnego pieśni napół przynajmniej religijnej, pieśni jeśli skromnej myślami, to wzniesionej wysoko tajemnicą wiary, którą opowiada w swój sposób. Cieszy nas jednak, że pieśń polska i ludowa (nie wiemy czy godzi się nazwać ją ogólnie słowiańską), zaczyna zajmować kompozytorów. Jużby też czas był, byśmy przestali żywić się cudzoziemskimi, kiedy mamy podostatkiem naszych i pięknych. Przedmiot to godzien uwagi, a może natchnie naszych pracowników lepięj, niż dotąd się im wiodło. Wprawdzie niewielu tego próbowało, to też jeden p. Dobrzyński zasługi tu położył istotne.

Część licznych nakładów Friedleina stanowią prace pana Nowakowskiego i należą do lepszych; o niektórych mówiliśmy dawniej. Z nowszych mamy przed sobą: Gondolier, romans op. 36, i elegję op. 37 oboje na fortepian. Widzimy w nich rozwinięcie znakomitsze w szczegółach treść ochłodzących, gdy ono dawniej więcej do formy się ścigało; widzimy zagłębienie się w uczucie, szperanie w jego skambach a więc więcej duchowości i prawdy, niż dawniej bywało; wi-

dzimy wypielegnowanie i wykończenie dowodzące łatwości, t \acute{e} m zaszczytniejsze, je \acute{s} li ona jego jest wypadkiem. Ale widzimy tak \acute{z} e zawsze jeszcze t \acute{e} sam \acute{a} manierno \acute{s} ć zu \acute{z} yt \acute{a} ju \acute{z} przez tylu kompozytor \acute{o} w, odbieraj \acute{a} c \acute{a} pracom niezaprzeczenie w \acute{l} asnym autora t \acute{e} cech \acute{e} samoi \acute{s} tno \acute{s} ci, któraby im mi \acute{e} dz \acute{y} tysi \acute{a} cem uton \acute{a} c nie da \acute{l} a, kt \acute{o} ra zawsze \acute{s} wie \acute{z} za, odr \acute{o} wnia dok \acute{l} adnie dzie \acute{l} o jedno z pomi \acute{e} dz \acute{y} innych tego samego pi \acute{o} ra. Gdyby nas zapytano, ile takich prac r $\acute{o$ wnych kompozytor \acute{o} w wskaza \acute{c} umiemy, toby \acute{s} my przyzna \acute{c} musieli, \acute{z} e, by je zlicz \acute{y} mi \acute{e} dz \acute{y} mn \acute{o} stwem tych, kt $\acute{o$ re \acute{n} i si \acute{e} dzisiaj zajmujemy, palc \acute{o} w dw $\acute{o$ ch r \acute{a} k mo \acute{z} eby nie brak \acute{l} o. I je \acute{s} li niewsz \acute{e} dzie gdzieby mo \acute{z} na, ten sam zarzut powtarzania innych i siebie k \acute{l} adziemy, to nieraz i dlatego mo \acute{z} e, \acute{z} e nie dostrzegamy jeszcze wyrobienia technicznego, kt $\acute{o$ re musi poprzedzi \acute{c} ka \acute{z} dy objaw oryginalnej my $\acute{s$ li, aby j \acute{e} y nieda \acute{c} po \acute{l} aman \acute{a} i w og $\acute{o$ lnym kolorycie ton \acute{a} c \acute{a} . Wyko \acute{n} czenie i zgrabno \acute{s} ć znowu, cho \acute{c} wiele znac \acute{z} ą, nie na d \acute{l} ugo wystarcz \acute{a} ; ale skoro im towarzyszy \acute{s} wie \acute{z} o \acute{s} ć i si \acute{l} a, to pokoleniom dzie $\acute{l$ o przekaz \acute{a} em og \acute{o} . Rozumiemy my i to d \acute{y} brze, \acute{z} e i to przy \acute{m} ioty jak \acute{o} kolwiek wa $\acute{z$ ne, niezawsz \acute{e} s \acute{a} dostateczne do upowszechnienia dzie $\acute{l$ ta: trzeba jeszcze okoliczno \acute{s} ci przyjaznych, o kt $\acute{o$ re u nas trudniej podobno jak gdzieindziej; ale gdy okoliczno \acute{s} ci przyb \acute{e} d \acute{a} , niechby zasta \acute{l} y rzecz czekaj \acute{a} c \acute{a} ju \acute{z} na nie. Od pana N. wolno \acute{z} ada \acute{c} tego, co daremnie by \acute{l} oby proponowa \acute{c} niejednemu autorowi, tak zwanych *morceaux de concert*. Co najwi \acute{e} cej zarzucamy panu N. to owo passazowanie, kt $\acute{o$ re \acute{n} \acute{s} wczeg $\acute{o$ lniej pod koniec melodye swoje osnuwa \acute{c} lubi. \acute{Z} eby ju \acute{z} znacznie dawniejszych prac nie si \acute{e} ga \acute{c} , wskazujemy pr $\acute{o$ cz wymienionych wy \acute{z} ej dzie \acute{l} , jeszcze 32, 33 i 34. W ka \acute{z} dem spotykamy to samo, lub prawie to samo: ma \acute{z} -to znaczy \acute{c} , \acute{z} e prace te maj \acute{a} jeden charakter? Autor mniema inaczej, jak z samych ju \acute{z} tytu \acute{l} ow wida \acute{c} . Mo \acute{z} e to wskazuje, \acute{z} e passaze owe maj \acute{a} charakter bardzo rozliczny? Nam si \acute{e} to nie zdaje, a pewno i panu N. Wi \acute{e} c on dobrze zapewne, jak z motyw \acute{o} w poprzednio wprowadzonych nowe stworz \acute{y} pomys \acute{l} y, nada \acute{c} im kszt \acute{a} lt passaz \acute{o} w, je $\acute{s$ li \acute{c} ju \acute{z} przyj \acute{e} ta metoda u \acute{z} ywa \acute{c} ich ka \acute{z} e. Bo prawd \acute{a} jest, \acute{z} e maj \acute{a} powien wdzi \acute{e} k i schlebaj \acute{a} graj \acute{a} cym; to t \acute{e} ż nie pot \acute{e} pian \acute{y} ich bezwarunkowo, tylko \acute{s} wie $\acute{z$ sz \acute{e} i stosowniejsze do tre $\acute{s$ ci mie \acute{c} pragniemy; praca zyska na znaczeniu i spojno \acute{s} ci cz \acute{e} sci.

Adagio i Rondo na fortepian op. 11 pana F. Ostrowskiego (u Friedleina w Warsz.) mo \acute{z} naby przyr \acute{o} wna \acute{c} do ludzi, o kt $\acute{o$ rych ka \acute{z} dy kraj zachowa \acute{l} pamie \acute{c} w legendzie r $\acute{o$ wnie cieniowan \acute{e} j, co to zasna \acute{w} szy raz snem g \acute{l} ebokim w jakim \acute{o} stroniu, po kilku lat dziesi \acute{a} tkach wyszli na \acute{s} wiat bo \acute{z} y. Oni si \acute{e} nie zmienili, lecz jak \acute{z} e wszystko oko \acute{l} o nich si \acute{e} zmienilo! Jakim \acute{z} e okiem nowi ludzie patrz \acute{a} na ich kostium i obyczaj, jak \acute{z} e si \acute{e} dziwi \acute{a} ich po \acute{t} jeciom i opiniom? Ot \acute{o} z tak pewno dziwi \acute{a} si \acute{e} dzisiejszej muzyki wychowa \acute{n} cy pracy wspomnian \acute{e} j. I my si \acute{e} j \acute{e} y dziwimy; nie dlatego jednak, \acute{z} e troch \acute{e} szpakowato wygl \acute{a} da. Tyle \acute{s} my razy ju \acute{z} wydali si \acute{e} z naszym uwielbieniem dla rzeczy starych, mchem prawie poro $\acute{s$ tych, \acute{z} e radzi \acute{b} y \acute{s} my prawie odkry \acute{c} gdzie jaki ich skarb, chcieli \acute{b} y \acute{s} my, by si \acute{e} podobne im na kamieniu rodzi \acute{l} y, gdyby \acute{s} my nie czuli, \acute{z} e czas powrotu dla nich nie przyszed \acute{l}

jeszcze, a może nie tak prędko przyjdzie, bośmy napiętkne w *postęp* wkroczyli. Ale temu się dziwimy, że autor naśladował Czernego, najmniej godnego naśladowania z kompozytorów na fortepian szkoły, która naszą poprzedziła. Szkoła szkołą, rodzaj rodzajem: każde z nich ma swoje dobre, jeśli nie brak konceptu i zręczności; obojga szczerpło bardzo autor w swój pracy rozrzucił.

Z licznych dzieł pana Aloizego Maryi *de Pusch* znamy tylko dwie polki, marsza i parę walców. Na tytule jednego położone op. 35 i tytuł autora, *membre honoraire de plusieurs societes philharmoniques*, uprzedza na jego korzyść. Gdy się jednak zajrzy do środka!... ale o tém zamierzamy, dopóki nie poznamy innych dzieł wspomnianego autora.

Z nowemi dziełami pana Gedymina Rodkiewicza, którego *amour en reve* (op. 3 u Friedleina w Warszawie) mamy przed sobą, pewnie się nieprędko zobaczymy. Domyślamy się bowiem, że to op. 3 należy do trzydziestu przynajmniej, które chce napisać i spalić przed pierwszém, które na świat chciał puścić. Jakiś wielbielciel mnóstwa nut podszedł go i wydał, nie wiedząc, że nie na lczbie, ale na ich znaczeniu rzecz stoi.

Dowód tego wyraźny w mazurku skrzypcowym pana Alexandra Terajewicza, ułożonym na fortepian i jako op. 11 wydanym u Friedleina w Warszawie. Nut tam tak mało, że mniej nie można prawie, a jednak są myśli, jest wdzięk, jest czucie; aż miło, i żałować nam przychodzi, żeśmy innych prac tego autora nie spotkali dotąd. Może są między nimi i takie, którym nazwa koncertowych (*de concert*) słuszniej się należy, bo to się do drobnego acz udatnego mazura nie ściągają, choćby bywał nawet na koncertach wykonywany.

Prace fortepianowe Józefa hr. Wielhorskiego należą do najlepszych polskiem nazwiskiem oznaczonych. Jest ich dwadzieścia kilka, a chociaż wszystkich nie znamy, niemniej dlatego przeczuwamy ich ducha z połowy, która przed nami leży. Cechą to właśnie jest prac znacznych autorów, że w każdej z nich połączone są przymioty, z których jeden w tém, inne w innych dziełach szerzėje są roztoczone, i z jednego dzieła wnioskować można prawie niezawodnie o wszystkich. Zaraz sześć mazurów (pewnie op. 1) i trzy nokturna op. 2, oba wydane u Westphala w Berlinie (nokturna są także w drugiej edycji u Bote i Bock w Berlinie) mają piętno dojrzałego wykształcenia muzycznego, i dowód zapatrywania się na najszlachetniejsze wzory między nowszemi fortepianistami jak Chopin, Henselt, a może i Taubert, jeden z lepszych muzyków i wirtuozów, któremu, jako swemu nauczycielowi, ofiarował autor pierwszą swą pracę, mazury. I zaiste Taubert nie miał powodu wstydzic się swego ucznia, chyba mógł mu zarzucić zbytek wypracowania, mającego niby dowieść, jak początkowy kompozytor korzystał wybornie z nauki, której widocznie lada czém nie zbyto. Nokturna równie jak mazury mają myśli własne, prowadzenie szlachetne i oryginalne, a oba te dzieła pokazują, że muzyka zacna drogą jest autorowi, jako ucieleśnienie uczuć, urzeczywistnienie marzeń. Dzieło 5te: dwa impromptu u Breitkopfa i Hartla w Lipsku, wiele jest słabsze, mimo gwałtowności pomysłów. Henselt tam się zanadto przebijają. Pieśń bez słów, utwór fantastyczny (op. 9. Schlesinger w Berlinie)

reprezentuje może w życiu autora początek jednej z tych walk, które człowiek każdy wcześniej czy później, dłużej czy krócej zwodzi z samym sobą, jeśli ma tyle sił, by je na dwa obozy rozłożyć. Każdy ma się opornie drugiemu, aż zawrą traktat zabezpieczający każdemu istnienie na cały żywot człowieka: ale istnienie, które niemniej jest walką toczącą się w głębi, o której tylko piana na wierzchu zaświadcza. Z tej walki wyrabia się z myśli człowieka osobiste widzenie, wrzając zrazu wulkanem, płynące na wyskokach, goniące za excentrycznością w której fantastyczność widzi, gotowe wiele narobić hałasu z powodu drobnych rzeczy. Im dalej w życie, tém ślad walki więcej się zaciera, ale skutki pozostają nazawsze; i choć się to i owo przytępi, niemniej widome będzie w pewnego rodzaju dualizmie, umiejącym sobie formy właściwe wyrobić i przeważać to tą, to inną stroną; czasem obie odstąpić, splatając ich promienie w jedném ognisku, które jest dziełem, czynem. I dlatego téżto w dziełach sztuki, choćby tak nieokreślającej jak muzyka, w dziełach godnych istotnie do niej należeć, widać ślad usposobienia, które im dało początek. A we wszystkich dziełach jednego człowieka, do jednej i tej samej kategorii jego działania należących, objawia się rys po rysie, wskazówka po wskazówce, objaśniająca życie wewnętrzne, a więc i zewnętrzne poniekąd. Bo któż jego wpływom się wywinie, któż nie przyzna, że z niego wziął znakomitą część tego, co się do jego głębi schroniło? Więc dzieło zbiorowe to biografia autora, nie każdemu wprawdzie czytelna, a nawet widzącym ją niedająca się zformułować w wyrazy, ale niezawodna. Tak w dwóch nokturnach pana Wielhorskiego (Breitkopf, op. 11) widzimy brak melodyi: chcemy powiedzieć melodyi takiej, która sama dla siebie i przez siebie ma całość i konsekwentność; potrzeba harmonii, by jęj wybryki zrozumieć. Dla nas jest to symbolem owych dwóch sił, dowodem owej walki o której mówiliśmy wyżej; znakiem marzeń niełącznych, może żądź niepodobnych do zaspokojenia; harmonia, ów reprezentant porządku i realności, jednoczy je i łagodzi. Niemniej siła kompozycji słabnie przeto, bo dwie jęj części paraliżują się wzajemnie; harmonia opór stawia zachceniom melodyi, ale i sama nie może urozmaicać i głębi pomierzać, jako czém inném zajęta. Dzieła: 10 (wydane w Lipsku u Kistnera) i 13 (tamże u Breitkopa) są dwie fantazyje na fortepian, któremi może autor chciał złożyć hołd modzie, podżęgnięty prawdopodobnie przykładem tylu kompozytorów różnej zastugi. Nie lubimy fantazyj, bo to zawsze zlepiane i manierne. Przecież wstręt nasz od rodzaju nie zaślepił nas tyle, byśmy nie umieli wyróżnić tego, co w nim lepszego. Szlachetna dążność pana W. uchroniła je od płytkości. Piérwsza świetna i elegancka, może nieco grzesząca zbyt częstym poddaniem się manierom wirtuozów, ma zaletę własnego pomysłu, nie wadę żywienie się okruciami z cudzego stołu; nazwa fantazyi da się więc tu zastosować tém słuszniej. Forma porządna jednoczy liczne pomysły, ale w tém co na wirtuoza obliczone nie ma wynalazku, choć biegunki i formuły przez autora użyte, nie tyle jeszcze co dzisiaj spowszedniałe były, mianowicie w zastosowaniu do fantazyi, bo to op. 10 około dziesięciu lat już podobno istnieje. Druga fantazyja z Belliniego (il Pirata) powstała

tematów, ale przyswojonych zupełnie przez naszego autora. Pełno w niej ruchu, czasem prawie zawiele, naprzykład w tym miejscu wariacyj, gdzie się dwa temata łączą z sobą. Te dwa temata połączone są dowodem, jak autor dba o zjednoczenie myśli, jaką solidarność między niemi organizuje, jak pragnie wypracowaniem uzacnić rodzaj, skoro mu się oddał. Fantazya ta poważna więcej niż strojna, może przedstawiana jest trochę wypracowaniem; wygląda jak tkanina gęsto nabita, równa, trwała, urobiona we wzory rozliczne, mniej godne podziwienia jako rysunek, więcej jako staranności dowód. Trzecie impromptu op. 14 u Breitkopfa i ulotne myśli op. 15 u Hoffmeistera, złożone z dwóch mazurków, z romansu z ritornellą na chór i piosnki: *quand tu seras seule* (oba ostatnie bez słów) są to drobne kawalki, lecz poważne i myślące. Impromptu przesliczne i oryginalne, mazurki jaśniejsze od owych, które op. 1 stanowią. Nie wiemy, co wypełnia dzieła od 15go do 20go; przekonani jednak jesteśmy, że te same cechy w nich się znajdują, jakie poprzednie odznaczają, jakie spotykamy w wielkim marszu i walcach op. 20 i 21 u Friedleina w Warszawie wydanych. Choć dopiero połowę prac p. W. znamy, zdaje nam się jednak, żeśmy go pojęli i prawie przewidujemy jakim się pokaże w różnych formach i rodzajach, którym się może już poświęcał albo poświęci jeszcze. Tak zgadnąć można jak sobie postąpi dobrze znana nam osoba w pewnych okolicznościach: można przewidzieć ruchy i wyrazy niemal wymienić. Jest to dowód wykształconego w niej widzenia, pewnej samodzielności, która przecież jeszcze nie jest tém, co stanowi istotną oryginalność; ta bowiem podług nas polega na tém właśnie, że jój przewidzieć, odgadnąć nie można, chyba ogólnie. Takie właśnie pojęcie mamy o nieznanym pracach pana W. przywołując im témsamém dosyć oryginalności, lubośmy zapatrywanie się na innych w pierwszych tego autora pracach dostrzegli. Ale samodzielność coraz więcej się wyrabia; może kiedyś więcej w pomysłach tkwić ona będzie; dziś więcej w przedstawieniu i prowadzeniu ich leży. Inne przymioty z dzieł tego autora widome są: poprawność prawie bezwarunkowa i wykończenie staranne, choć czasem wyszukaniem grzeszące i dające się niekiedy uwieść brzmieniu fortepianu znaczonemu użyciem pedatu; nadto głębokość i szerokość często, szlachetność, prawie zawsze siła, a czasem śmiałość do niejasności niekiedy posunięta (np. w walcu Iszym str. 4 ostatnie dwa takty i następne). Zachowaliśmy w pamięci kilka manier drobnych, kilka ulubionych akkordów i formuł harmonicznych, do których z czasem pewnie więcej z dalszych prac przybędzie, by kierunki umysłowe autora zyskały wydatne chwile, za któreby je ująć i obejrzyć można. Wtenczas coś więcej powiedzieć będzie można o kompozytorze, mającym dosyć sił, by do lepszych był policzony już dzisiaj—daj Boże do pierwszych w przyszłości. Winniśmy tu jeszcze dodać, że czysto materialna strona kompozycyi pana W. polega na traktowaniu fortepianu w sposób zupełnie nowożytny, i wymaga niekiedy znakomitego mechanizmu.

Wielki Krakowiak G. N. Wysockiego z rękopismów po nim pozostałych, nakładem Friedleina w Warszawie wydany, grany był kiedyś

przez autora z towarzyszeniem kwintetu (lubo z orkiestrą napisany) przed wyjazdem jego w podróż artystyczną do Niemiec. Dostyc to już dawne czasy, ale pamiętamy, że nam się słabą pracą ta zdawała; dziś widzimy, że tak jest istotnie. Ś. p. Wysocki miał talent do pomysłów, niedługą formę wypełnić mających; dowodem tego za życia jego jeszcze wydane dwa zeszyty krakowiaków (Breitkopf i Hartel op. 1) tak pięknych i rozmaitych, jak nikt u nas nie robił. Prawdę powiedziawszy, mało też kto doświadczał się w tym gatunku. Z naszych narodowych rytmów piszemy przedewszystkiem mazury, rzadko już teraz poloneza; ale o krakowiakach jeśli słyhać, to tylko o jakimś opracowaniu dawno już znanego, albo o przedruku melodyi ludowych niegdyś wydanych, ze wszystkimi błędami i brakami wydania pierwszego. Wysocki więc jedyny tu jest prawie, a godnie się wywiązał z zadania, jakie sam sobie narzucił, nietylko co do treści, ale i co do liczby. Pozostały nawet po nim w rękopiśmie liczne krakowiaki, nie ustępujące dawniej wydanym. Ten o którym mówić zaczęliśmy, przybrał rozmiary szerokie, koncertowe, ale się nie udał, bo Wysocki nie miał dostyc imaginacyi, by rozprysnąć się w kapryśne bigoniki, uporządkowane jednak, w te arabeski muzyczne i fantazyjne rzuty, służące za oprawę głównym ustępom, a jednak wyglądające same jak obrazki oddzielne. Dlatego w tym krakowiaku ile razy autor wprowadza ustęp melodyjny, część muzyczną tego, co niejako rondem chciał zrobić, zawsze jest godnym i świeżym; ale gdy przyjdzie kontynuacja *sola*, ustępy *di bravura*, zaraz widać jak mozolnie wynajduje, jak niezręcznie wiąże. Jedytno z prac Wysockiego tego rozmiaru, dlatego może nieudatna; forma mu się wymykała i wymknęła. Może to i sam widział, i dlatego zaniedbał wykończenia i przygotowania do druku. Więc wydawca powinien był powierzyć redakcyą komuś sumiennemu i znającemu się na rzeczy, a pewnie niejedno zostałooby zużycionem bez krzywdy pomysłów pięknych niekiedy i we wstępie. *adagio* i w samym Krakowiaku.

Na zakończenie pozwalamy sobie zwrócić uwagę czytelnika na cel, powód, a może i korzyść przeglądów naszych w piśmie niniejszem zamieszczanych niekiedy; korzyść zupełnie niezależną od ich wewnętrznej wartości. Chcielibyśmy tym i owym przypomnieć prace ogłaszane wprawdzie w swoim czasie (lubo niezawsze i niekoniecznie w piśmie dla wszystkich znajomóm, bo często cudzoziemskiem), ale może już zapomniane. Zawiadomienia księgarskie zwykły sucho mówić o tytule, autorze, miejscu i cenie, a to łatwo się zapomina. Czasem tylko jakim przyjacielsko rekomendującym wyrazem, jakim szumnym wykrzyknikiem chciałoby rzecz ogłaszaną jak gwoździem do pamięci czytających przybić; ale sympatya osobista, wykrzyknik westchnienia kupieckiego znaczący, tylko bardzo naiwnych złapać mogą. Więc wspomnieć drugi raz lub trzeci, a jeszcze trochę obszerniej, jestto chętniej nieraz pomódz pamięci. Ważniejszą jednak jest rzeczą zbierać w gromadki rozprysłe w szczególnych ogłoszeniach wiadomości o wyjściu prac różnych autorów, bo się tym sposobem tworzy powien rodzaj kroniki bibliograficznej. Mniejsza o to, że się w nią jakiej setki

polek lub kontradansów nie wciągnie; rzadko one do kategorii prac artystycznych należą, lubo niemal zawsze należoby chciały. Ale gdy się nie prawie z ważniejszego nie pomija, to można ztąd mieć niejako obraz ruchu w pewnej miejscowości, pewnej społeczności. Naszém zadaniem jest chwycać ruch muzyczny w Polsce; ale zadanie to niełatwe nawet z pomocą ogłoszeń księgarskich. Bo czasem nie więcej prócz ogłoszeń do nas nie dochodzi, albo wzmianki pism czasowych, skwapliwie chwytających i powtarzających każdą wiadomość o tem, co się odlegle od ich środka działania dzieje. Wiemy naprzykład, że w Warszawie, Wilnie, Petersburgu, Moskwie, Kamieńcu Podolskim, Odessie, Lwowie, Krakowie, Poznaniu, że już nie mówimy o miastach cudzoziemskich i miasteczkach mniejszych, wychodzą prace muzyczne Polaków lub w Polsce osiedlonych przybyszów; znają to może na miejscu, ale jak brzmi, jak to wygląda, często nie widzieli ni słyszeli w innych stronach. Więc daremnie byłoby zakrawać na obraz ruchu całego; urosnąć on może tylko z cząstkowych przeglądów. Tymczasem pocieszać się trzeba nadzieją, że wydawcy z czasem zrozumieją swój własny interes, i ułatwią nam poznanie swych nakładów. Lecz za najważniejszą rzecz w przeglądzie uważamy samo pomówienie o kompozytocy, rozstrząsanie, ścieranie się zdania ze zdaniem, choćby jedno głośno się objawiło, drugie w ciszy przepadło: to naprowadzanie na drogę błądzących, oswajanie z warunkami sztuki i pojęciami o niej: słowem wszystko, co koniecznem jest następstwem każdej publicznej pogadanki. Nie jest-że ona tém potrzebniejszą, że sama tylko daje sposobność nauczania się czegoś? Więc w imię tych korzyści niech nam ją przebaczą pośrednio i bezpośrednio w niej interesowani. Niech nam przebaczą i ci, których prace do niniejszego przeglądu albo dawniejszych nie weszły; jednemu trudno znać wszystko a wszystko. Niestety! ubolewaliśmy już nieraz nad szczególną apatyą ludzi fachowych, nad ich zawziętém milczeniem! Należyż dać jój wziąć górę? dosyćże pokątnego zdania, żadnym nie popartego dowodem, żadnym nie stwierdzonego rozbiorem? Czemu redakcyje pism naszych codziennych tak troskliwe od niejakiego czasu o swój felieton, nie zajmują się rozstrząsaniem prac muzycznych? Dla ogółu czytelników stałoby się to wkrótce przedmiotem wielkiej wagi: wszak muzyka tyle a może więcej ich zajmuje, co literatura książkowa, i prace artystów innego rodzaju! Wszak mówią niekiedy gazety o koncertach i operach: a jak to ślicznie nieraz napisane, jak techniką okraszone! Należy się jeszcze jeden dalej krok zrobić, na ogólną pociechę czytających, pomszczenie pokrzywdzonych i podniesienie sztuki.

J. Sikorski.

O kniaztwach we wsiach wołoskich; z poglądem na wójtowstwa we wsiach na magdeburskiém prawie osadzonych.

Druqa część rozprawy: „o wsiach wołoskich” przez Alexandra hr. Stadnickiego. We Lwowie, 1853. 4ka, str. 37.

W r. 1848 wydał we Lwowie Alexander hr. Stadnicki rozprawę „*O wsiach tak zwanych wołoskich, na północnym stoku Karpat*” i w niej zebrał i wyjaśnił wszelkie jakie mógł zgromadzić szczegóły o tych osadach, których pochodzenie sam Czacki niedostatecznie objaśnił. W tomie IV Biblioteki Warszawskiej r. 1851, str. 166, ś. p. Stanisław Lisowski zdawszy sprawozdanie o powyższej rozprawie, zamierzał, znalazłszy wiele nowych szczegółów w tym przedmiocie w archiwum metryk koronnych, uzupełnić jęj niedostatki. Śmierć przerwała tę pracę, z którejby autor mógł wielce korzystać.

Część 2 rozprawy pomienionęj w r. b. jako przedruk z dodatku tygodniowego przy Gazecie Lwowskiej wydana oddzielnie, podaje jako dalszy ciąg wykład praw i dochodów *kniaziów*, które im królowie polscy lub prywatni dziedzice, przy zakładaniu wsi wołoskich z swego udzielali, i które nietylko najintratniejszą, ale w swych następstwach najważniejszą część dotacyi kniaztw stanowiły. Zastanawia się następnie autor dłużej nad warunkami, pod któremi ta dotacya udzielaną bywała, i nad przemianami, których doznały zbiegiem czasu te warunki, równie jak sama instytucya kniaziów. Śledzi następnie wszelkie ich ślady nawet w tych czasach, gdzie pierwotny cel i charakter tej instytucyi, jeżeli już nie wcale zaginęły, to przynajmniej zupełnie zwichniętymi były; i kniaztwa, to w dożywocia szlacheckie się przemieniły, to w ręce właścicieli dóbr przeszły, lub też po przeniesieniu wsi wołoskich na prawo magdeburskie i nadanie im przywilejów miejskich, w majątek miast się przeistoczyły.

Mozolne te badania, (które z czasem dopięro mogą się we wszystkich szczegółach uzupełnić, po przejrzeniu skrupulatném najważniejszych archiwów) są nicobojętnym materialem do wewnętrznych dziejów naszego kraju; tém bardziej, że historia kniaztw jest oraz w wielu względach historyą wsi, do których te kniaztwa należały, a po części także historyą wielu rodzin, które im swe nazwisko nadawały, lub od nich je przybrały.

Na takiejto drodze pracowitych a suchych dla wielu badań, zbierają się powoli zasoby, do poznania gruntownego naszej przeszłości, głównie wewnętrzznego życia narodu. Coraz wychodzą na jaw ukryte dotąd pomniki, które już słabięj, już mocnięj strony ciemne wielkiego tego obrazu oświecają; dlatego najdrobniejsza w tej myśli praca wdzięcznie jest przyjęta; długie bowiem lata jeszcze upłyną, zanim ujrzymy cały obraz w całej jaśni prawdy historycznej.

W.

Czarna Wstążka i La Kaczuczka. Powieści Włodzimierza Wolskiego. Nakład Zawadzkiego. Wilno. 1852 roku.

(Nadesłano).

Z rzadka bardzo imię pana Włodzimierza Wolskiego pojawia się na scenie ruchu piśmienniczego. Czy panu Wolskiemu tworzenie z taką trudnością przychodzi? Czy zajęty pracami oddzielnymi od zawodu literackiego, wolniejsze tylko chwile piśmiennictwu poświęca? Czy płody, któremi nas kiedyniekiedy obdarza, tak niepowszedniej są wartości a rozległych wymiarów, że każdy potrzebuje tyle przestrzeni w czasie przed i po wyjściu, aby się wygodnie umieścił i wyczekał, aż już przycichną o nich rozgłosy, i wpływy w skutkach się okażą? Czy wreszcie niewzględna powszechność zraziła go obojętnością, lub zbyt ostrym sądem?—Otóż podobno żadna z tych przypuszczalnych przyczyn nie wstrzymuje autora *Czarnej Wstążki* od stałego uprawiania literackiej niwy; jeżeli zaś jest jaka, to pewnie niedostateczna do usprawiedliwienia tych przerw, które, dlatego samego, że są przerwami, i zbyt długimi, niecierpliwie i zniechęcać muszą życzliwą mu dotąd czytającą publiczność.

Pan Wolski Włodzimierz jest jedynym może z młodych u nas autorów, który przy rzeczywistym talencie, posiada sumieniejsze jak zwykle dziś bywa wykształcenie umysłowe, smak na czytaniu nowoczesnych znakomitych płodów w literaturze powszechniej zaprawiony, a do tego wszystkiego, niezwykłą łatwość i giętkość słowa i wprawę uderzającą. Z temi jednak zasobami, rzadko w jednym umyśle skojarzonymi, pracuje w literaturze naszej prawie jako diletant.

Miał lat podobno osiemnaście, kiedy fantazyą poetycką pod tytułem: *Ojciec Hilary*, zrobił sobie odrazu najkorzystniejszy, i rzeć można, świetny wstęp do grona uprawiaczów piśmienniczej dziedziny; a po owym poemaciku, dając zaledwie znaki życia próbkami wybornych tłumaczeń i ulotnemi z okoliczności poczyjkami, zamilkł wreszcie na długo, jakby z czemś wielkiem gotował się do wystąpienia. Tak sądzić mieliśmy prawo, tak nas nawet prywatne wieści do sądzienia usposabiały; gdy oto po tej długiej pauzie, zjawia się już jako przedruk, zgrabny tomik powieści: *Czarna Wstążka* i *La Kaczuczka*, a w nim ani śladu tego ognia, tak w pierwszym utworze widnego,—który przez czas mógł się być tylko oczyścić i wyjaśnić, ale nie powinien był przygasnąć. Napróżno szukaliśmy tu owych śmiałych, wyrazistych pociągów pędzla, bo znikły gdzieś bez śladu, i nie poznaliśmy w autorze *Czarnej Wstążki* ognistego niegdyś młodzieńca—poety. Ręka, która przedtém zuchwałe, ale pewne czyniła poruszenia, dziś ze drżeniem, nie maluje, nie szkicuje, ale trwożnie kropkować zdaje

się ledwie obrazki; przybłąkała się jakaś spekulacyjno-filozoficzna na małą skalę charakterystyka, zarywająca coś z Balzaka, a w tonie i humorze z Hofmana: słowem, obca temu duchowi rodowości, który tak szczęśliwie zaczął się od niejakiego czasu rozwijać. Daruje nam autor, że z pobłażliwością przyzwolitą w ocenieniu miernych zdolności, o nim wyrażać się nie możemy, bo pomimo tego zwrotu w ostatnich utworach, widzimy jeszcze rzeczywisty talent i możność postawienia się pewniejszą stopą w świecie literackim. W tej nawet *Czarnej Wstążce* są ustępy z tak wyraźnie wyższą zdolnością napisane, myśli gdzieniegdzie przeświecające tak samoistne i pełne siły, że byle czas jakiś pracy i szczerego oddania się i przejęcia się dzisiejszym duchem w literaturze wiejącym, a mielibyśmy prawdziwą przyjemność przy powitaniu każdego nowego płodu jego pióra.

Czarna Wstążka z tonu zakrawa na jakąś powieściową rozprawę o sercu kobiety-lwicy. Nie możemy odmówić wielkiej prawdy w niektórych zarysach, ale ta prawda zbyt wyjątkowa, bo z jednego lub kilku wzorów wyczerpana. Cały obraz dla naszej publiczności, która pamięta wszelkie salonowe dzieje społeczeństwa warszawskiego, może być zajmującym, o ile przypomina pewnymi rzutami głosu dawno już między nami nie dźwięczące; obraz taki jednak tracić musi wiele dla reszty świata niewtajemniczonego w dzieje miejscowe. To samo i śmielej jeszcze powiedzieć możemy o drugiej powieści *La Kaczuca*, której szczegóły przypomniaty nam doskonale znane prawdziwe czy podrobione historye, które, sądzimy, nie potrzebowały utrwalenia drukiem, bo się i teraz powtarzają ciągle w małym kółku wyjątkowego towarzystwa, a zawsze są i nieciekawce, i nie nauuczające. O jednej i drugiej powieści powiemy tu jeszcze szczegółowiej, a teraz zwrócimy się do autora z zapytaniem: dlaczego takim, jakkolwiek szczęśliwymi kopiami, wyczerpuje siły talentu? dlaczego szuka efektu zbyt łatwego, a niegodnego prawdziwej zdolności? Rzecz niewątpliwa, iż wystawiony za szkłem portret znajomej jakiej osoby na ulicach miasta, jeżeli zajmuje i podobieństwem uderzającym i rysunkiem dobrym, a tych zalet portretom pana Wolskiego odmówić nie można; powiadamy tedy, że wystawione za szkłem twarze znajomych, choćby z niższej sfery osób, zająć muszą, i chwilowy szmer pomiędzy widzami roznieca; ale jakież te portrety mieć będą znaczenie o kilkanaście mil za Warszawą, a jeszcze dalej w Krakowie, Wilnie, we Lwowie; któż tam na nie z ciekawością spojrzy? Takie środki obudzenia zajęcia byłyby właściwe w sylwetkach felietonowych, ale nigdy nie powinny zatrudniać talentu, i mieścić się w książkach. Oprócz wielu niekorzyści, jakie na autora takich kopij spływają, jeszcze i ta przybywa, że skoro autor dla zatarcia śladu zkąd wziął prawdziwy wzór, odmieni jaki rys, jaki szczegół opuści lub doda, może bardzo właściwy i uogólniający postać; słowem, jeżeli autor chce zrobić z swego portretu, obraz, publiczność świadoma ory-

ginału, na cały głos wołać będzie: nieprawda, nieprawda! tak nie jest, tak nie było;—choć autor powieściarz bynajmniej nie zobowiązał się malować jak jest i jak było. Ani na chwilę nie przypuszczamy, żeby autor *Czarnej Wstążki* nie był zdolny obrazować społeczności w pewnych zadaniach, któreby za najwłaściwsze dla swego talentu obrał; ale przeciwnie jesteśmy przekonani, że dla rozrywki, dla kaprysu, z okoliczności przypadkowej postanowił korzystać i napisał dwie powiastki: *Czarna Wstążka* i *La Kacsuca*, a wrażenie jakiego to wywołać może, już mu się naprzód uśmiechało przy pierwszych scenach. Wrażenie byłoby mogło, nie przeczymy, ale portrety spóźniły się trochę z wyjściem z litografii.

Po tej apostrofie do pana Wolskiego, przypatrzmy się bliżej samemu powiastkom.

Czarna Wstążka, drukowana naprzód w felietonie Gazety Warszawskiej, a potem wydana oddzielnie w Wilnie nakładem księgarni Zawadzkiego, musi przecież zawierać coś godnego tej podwójnej publikacji. Tak zaprawdę, pomimo tego wszystkiego, cośmy już na rzetelną jej niekorzystać a sumiennie wyrzekli; pomimo niezręczności w wyborze przedmiotu; pomimo najpowolniejszego ruchu aż do sceny: *improwisacya Antka*; pomimo niewstrzeżliwego gawędziarstwa, które rzecz całą mogłoby, przy lepszych jeszcze chęciach autora, do nieskończoności poprowadzić: *Czarna Wstążka* ma niezaprzeczenie, dla kilku ostatnich scen, wartość talentu. Dla tych zapewne kilku scen, wydartych prosto z serca gorącą dłońią, i w celu wyprowadzenia młodego autora z grzesznej odrętwiałości, która bynajmniej talentu nie umacnia, a której pozwolił sobie zadługo pan Wolski; Gazeta Warszawska i pan Zawadzki drukowali *Czarną Wstążkę*. Dla tych przyczyn i my, odstępując na chwilę od zasady, którą w nas dostrzegł pewien nader sumienny a bezstronny krytyk współkolega, od zasady *wysystematyzowanego atakowania* wszelkiej samodzielnej zdolności i śmielszego poglądu, odczytaliśmy z uwagą utwór zdolnego poety, raz w felietonie, drugi raz w oddzielnym wydaniu, nie aby go zniweczyć i błotem obrzucić, lecz aby wynaleźć w nim i wskazać wszystko, co piękne i talentem nacechowane; a bez pomiarkowania ostrym słowem drażniąc miłość własną autora, pobudzić go do nieustannej a sumiennej pracy, kiedy mu nie brak talentu i usposobienia. Ucieszymy się serdecznie, jeżeli rozdrażniony autor z całą zaciętością wystąpi przeciw naszej krytyce, byle nie w dowcipnym artykuliku dwu lub trzy-szpaltowym, ale w jakiej wstążce jaśniejszej barwy, która by się dała wpleść do świetnego splotu wstęg polskiej poezji, a nie zginęła w nim jak tyle innych ginie, niedojrzana.

W *Czarnej Wstążce*, po dwóch odczytaniach, nie mogliśmy dojrzeć treści, znaczenia, celu: może inne bystrzejsze oko już go dopatrzyło. Treść powiastki podług nas taka:

Antoni, artysta, talent przez jakiś czas w niepoznaniu, a jednak szczęśliwie i na dobrej drodze rozwijający się; przypadkowym staraniem przyjaciela i pięknej kobiety, wychodzi z ukrycia i nędzy, i pada ofiarą tej samej protektorki pięknej, ale zimnej, która mu dłoń przyjazną podała i światu ukazała. Oto cała treść, dosyć nawet szczegółowo skreślona. Dodać tu naturalnie musimy, dla objaśnienia przyczyn sympatii pięknej damy dla Antoniego i nawzajem: że ta dama pojmuje sercem i duchem *sztukę*, a mianowicie muzykę, że smak jej wykształcony wpływał wiele na ogładę smaku Antoniego, a zaś prostota pojęć młodego artysty, i zdrowe uczucie rodowej melodyi, o której dama nie miała wyobrażenia, rozszerzyło także krąg jej wyobraźni. Wzajem tedy udzielali sobie siły żywiołów bohaterowie powieści, których jednemu lub drugiemu niedostawało; i stało się *przecionie*, jak na dworze Kiejstuta: nie on ją nauczył kochać, ale *ona* jego kochać nauczyła, sama nieprzyjawszy lekcji. Antoni kończy bardzo traicznie, bo umiera z rozpacz, właściwie z przeziębienia: stał bowiem przez pięć godzin na deszczu i chłodzie pod oknem swego ideału, który nie wiedział o tym wyczekiwaniu, nie wyjrzał, — i tym go zabił. Aż do tej sceny, rzeczy wloką się w najpospolitszej gawędce, którą kiedyniekiedy ożywia jakaś wyrazistsza figura, lub wypadek. Największą niewłaściwością w szkicu pana Wolskiego jest naprzód to: że cały ciężar intrygi i kierunku powieściowego, autor zdaje się przyjmować na swoje barki w osobie opowiadacza tego szkicu Zdzisława, a ten wszędzie sam współdziała i wszędzie sobą zapełnia atmosferę powieściową. Powtóre: że od pierwszej stronnicy, aż do improwizacji Antoniego, autor sztydzi bez ustanku ze wszystkich, które powprowadzał figur, albo, jak się to zwyczajnie nazywa, obmawia swoich znajomych złośliwie. Można czasem chwilowo uledz takiemu usposobieniu do złośliwego dowcipkowania, ale niepodobna ciągle dzień cały, tydzień i wreszcie przez całą powieść dowcipkować. Nie ma położenia, nie ma istoty, nie ma uczucia, któreby w *Czarnej Wstążce* ośmianiem nie było; a ponieważ, jakieśmy wspomnieli, ów Zdzisław opowiadacz nacechowany jest wybitnie indywidualnością autora, i do wszelkiego działania jako aktor sam należy: ztąd najnieznośniejsza jednostajność, i czasem, zreęczny dowcip, nie uśmiech, ale oburzenie i niesmak w czytelniku rodzi. Samo to oznaczanie jakimiś wymyślonemi przydomkami osób wprowadzonych, nudzi i zniża bardzo ton nastroju powieściowego. Bohaterka naprzykład nazywa się tu stale *białą damą*, brat Antoniego, *pomocnikiem archiwisty* lub *rendantem* (po sto razy powtarzany); pewna panna Cezaryna, żartobliwie przezwana została *kontr-alcikiem*; jakiś jegomość bez żadnego charakteru i znaczenia w powieści, *mistyfikatorem* i t. d. Denominacje takie raz użyte, uchodzą, i między młodem kolegami do pewnego czasu utrzymują się, ale świat przedstawiony w *Czarnej Wstąż-*

ce nie jest przecież owym poczynającym życie:—to świat dojrzały w różnych sferach. Co szczególne także, to to, że autor ulega w tej powiastce pewnym uprzedzeniom; jak sobie raz coś upatrzy do jakiej figury, to i bez litości torturuje ją i ośmiewa. Ofiarą takiej niechęci i tyranstwa jest przez długi czas brat Antoniego, ów *promocnik* archiwisty, dla którego w końcu dopiero autor łaskawszym się staje. W inném znowu miejscu niemilosiernie szykanuje pannę Cezarynę, i poprostu bawi się niebardzo nawet śmiesznemi śmiesznościami tej amatorki-artystki. Tam znowu obiad u matki Antoniego—ów budyń przypalony, czy zakalcowy, jakże długo mordują czytelnika. Zdaje się czasem autorowi, że wpadł na bogatą żyłę dowcipu i charakterystyki, i obraca jeden wyraz po wielokroć, aby ugrzązł koniecznie w pamięci czytelnika. We wszystkim widać pretensyą do zręcznego wzorowania natury, ale że to nadto wyraźnie widać, chociaż tedy nieraz trafnie charakter osoby lub stanu pochwycony, nie zatrzymujemy nad nim uwagi; owszem, chronimy się zauważyć, bo przeczuwamy, że nam autor jeszcze nieraz przypomni, jak to szczęśliwie postrzeżone i powiedziane było. Zdaje się panu Wolskiemu, że powinien, ile się tylko da, z okoliczności korzystać, i wyczerpać każde źródło do samego dna; a to nieprawda, i błąd największy; bo w naturze, na świecie, żadna scena i jej działacze, nawet żadne miejsce, nie stoi bez ruchu, jakby oczekując na malarza, ale drga w nieustannych przemianach, i coraz to nowém światłem, to nowym kolorem się obleka. Trzeba tedy chwytac nie jedną pojedynczą chwilę, ale cały szereg chwil, cały horyzont chmur i światła.

W pierwszej części opowiadania, koncert Antoniego dosyć szczęśliwie i prawdziwie odrysowany. Któż z nas nie był protektorem jakiego swojskiego talentu, kto z nas nie miewał biletów do sprzedania na takie koncerty pojawiających się młodych artystów? Autor *Czarnej Wstążki* zna równie dobrze jak i my dzieje tych koncertów, i bardzo trafnie skopiował koncert Antoniego z wzoru niejednego a prawdziwego. Przykre jednak wrażenie opis ten po sobie zostawia, bo wszelkie uczucia, jakie przy uroczystej chwili młodego koncertanta obudziły się mogły, są albo niedotknięte, albo sponiewierane. Sama tylko śmieszna strona protekcyi i protegowanego uderza i stanowi przedmiot obrazu: wszystko zaś, co prawdą być mogło, nawet sam talent Antoniego, podane w podejrzenie i obrocone w żarty. Czemu tam choć jednego oklasku nie ma szczerego, i z serca? czemuż nawet sama *blada dama*, najistotniejsza protektorka talentu Antoniego, nie przyklasnęła z popędu mimowolnego, kiedy uznawała talent młodzieńca, i tak chętnie słuchała jego muzyki nieraz w własnym salonie? Czemuż ów opowiadacz, główny motor publiczności, i kierujący jęj zapalem, nie oddzielił się choć na chwilę od tłumu i nie wypowiedział, co rzeczywiście czuł, i co publiczność uczuć była powinna? Ta nieustanna złośliwość w najuroczystszych chwilach, musi obudzić niesmak, a więc i nieprzy-

chylność dla utworu. W całej powieści nie ma jednej istoty, do którejby serce czytelnika szczerze przyłgnać mogło, z którąby się chętnie złączyło, i wraz z nią wszystkie zło i dobre losy dziełilo. Antoni prawdziwy bohater powieści, artysta pełen serca i talentu, wystawiony jako waryat, nie zasługujący na politowanie nawet. Poznajemy go zaraz w jednej z początkowych scen powiastki, kiedy uwerturę swoją wygrywa na szybach od okien, na stole i szklankach, w braku fortepianu.— Prawda, że to kręcznie oddane, z humorem niewymuszonym; ale bez wdzięku, bez uczucia, które należało chcieć w nas obudzić na niedolę marniejącego i bez przyszłości talentu. Portret matki Antoniego narysowany w odrażającej karykaturze. Jej głupstwo, egoizm i obojętność dla syna artysty, nie wytłumaczone bynajmniej brakiem usposobienia, któreby jej dało poznać wyższą jakąś zdolność w synu, ale oddane tak, jakby się przedstawić mogło pierwszemu, jakimubądź przybyszowi. Dopelnienie tego portretu, gdy Antoniemu powiódł się koncert, jeszcze bardziej razi, bo z kobiety dotąd bez wychowania a obojętnej, nawet niesprawiedliwej, robi się ohytra i płaszcząca się. Fawory, jakie matka i cała rodzina Antoniemu okazują teraz, niedobrze są obmyślane, a co najwyraźniejsza, niedobrze skreślone. Dwa te obrazki jedną rodzinę przedstawiające, są w niezgodzie z sobą: albo w pierwszym braku niektórych koniecznych rysów, albo w drugim przybyły nowe, w niezgodności z pierwszymi zostające. Przypuśćmy jednak że to fakt, że tak było i być mogło; dlaczegoż poczciwy, jak go autor najczęściej nazywa, rendant, brat Antoniego, w tak widoczny a poniżający wszelką uczciwość sposób, przymila się i nadskakuje Antoniemu. Jeżeli to był człowiek krótko widzący, ale prawy i z sercem, jak ostatnia scena pogrzebu dowodzi; czemuż w początkowych zarysach okazuje się i głupim, i niemiłosiernym, i imponującym zawsze poczciwemu bratu? Taka niezręczność rysunku uderza we wszystkich członkach rodziny Antoniego. Autor widocznie opracowywał tylko dwie postaci: Antoniego i bladą damę, a inne brał jak mu się nadarzały, aby miał z kogo żartować. Siostra Antoniego, podstarzała panna, najnieśmaczniej skarykaturowana, bez wszelkiego prawdopodobieństwa, a do tego karykatura z najgorszym rysunkiem. Owa czułość udawana w kobiecie bez wychowania, a tak, zdaje się, być musiało, bo cała rodzina Antoniego przeraża swą głupowatością, zło odbija przy prostoduszności matki. Słowem, wszystkie drugiego rzędu postaci dorywczo narysowane, gdy pojedyncze sceny z widoczną pretensjonalnością drobiazgowo wypunktowane. Uczynilibyśmy wielką krzywdę autorowi, gdybyśmy nie wspomnieli o scenie maskaradowej, którą niewątpliwie *con amore* rysował. Jeżelibyśmy wartość jej z dokładności kopii oceniali, trudno zaprzeczyć, że jest wykończoną i prawdziwą nad wszelki wyraz: bo równie nudna, jak najczęściej bywa maskarada, a tak tajemnicza, jak najskrupulatniej zakapturzone domino. Jeżeli zaś

ma to być szkic charakterystyczny: to niestety, brak w nim wszelkiego charakteru. Gawęda i gawęda, silenie się na zręczny, a nader salonowy dowcip, który mógł nie uspić interesowanego w tej scenie, Antoniego, ale znuży niezawodnie każdego najcierpliwszego czytelnika. Te pół-słówka znaczące, to cechowanie domin, którego sobie w dobrym tonie autor pozwolił, to intrygowanie biednego artysty, Cezaryny i bladej damy; mogą, jakeśmy powiedzieli, intrygowanych naprawdę zająć, ale niewtajemniczo nych i obojętnych czytelników zniecierpliwiają tylko. Z wielką radością żegnamy się z maskaradą, jak z owym obiadem u matki Antoniego. Niemniej rozwlekłą a bezbarwną sceną, jest pielgrzymka nocna pod oknami panny Cezaryny, bladej damy, śród deszczu, śniegu i zawiei. Scena ta jednak staje się o tyle ważniejszą i potrzebną, że sprowadza rozwiązanie stanowcze wypadków. Już od tej chwili poczyną się szereg scen z talentem pisanych: improwizacja Antka, żywo z piersi skołatanej wyrzucona, przypomina młodzienczy umysł autora, żywość imaginacji, której dotąd brak czuliśmy najzupełniejszy. Zdaje się, jakby autor długo a długo przygotowywać się potrzebował, zanim rozbudzi w sobie ogień i życie. Gdyby pan Wolski po napisaniu *Czarnej ostąski* zechciał być sumiennie rozpatrzyć się w swej pracy, byłby wyrzucił niewątpliwie z połowę rozwlekłych gawędek i sprowadził rzecz do prostszego wyrażenia. Choroba Antka wybornie napisana: czujemy razem z autorem i biędnym bohaterem gorączkę trawiącą, która luda chwila zerwie wszystkie nici utrzymujące go słabo przy ziemi. Mały portrecik poczciwego sługi Antka, ani jednego rysu nie potrzebuje do uzupełnienia rysunku; nawet ta wódka, którą pozwolił sługa uczestować się panu tyfusem nawiedzonomu, zdaje się tu konieczną. Palenie nut i rękopisów, przypominając wiele podobnych scen nieraz opisanych, osłabia trochę żywość całego obrazu. Jeszcze jedna okoliczność podnosi uroczystość tych obrazów: to, że autor poważniejszy ton przybiera i mniej sam ze swoją osobistością narzuca się, a pozwala kreacyom swoim dotąd na pasku prowadzonym, samym mówić i działać. Dotąd słyszeliśmy zawsze choć zdala głos autora i jego wystowienie mechanicznie wprowadzone w organizm jego bohaterów, i to czyniło powieść jednotonną i nudną; od katastrofy z Antkiem występują barwy wyraźne i odmienne, rzuty śmielsze i pewniejsze. Pomijamy pogrzeb z żywem dosyć uczuciem opisany, ale już słabszy od poprzednich opisów, a zastanowim się chwilę dłuższą nad epilogiem. Przez całą powieść autor pracował usilnie nad odmalowaniem charakteru *kobiety łowcy* czy *bladej damy*, a jednak wyznać musimy, żeśmy widzieli tylko usiłowania, widzieliśmy farby, a trudno nam było dojrzieć rysunku, na którym te farby oprzeć się były powinny. Wieczór u bladej damy, na którym opowiadacz miał szczęście tańczyć z gospodynią domu, lepiej ją odznaczył, jak wszystkie dotychczasowe studia. I zręczność,

i delikatność dotknięcia, i wyrazistość zarazem: wszystko zachowane nadzwyczaj szczęśliwie. Rozmowa w czasie tańca uywana, a jednak koniecznego ciągu nie pozbawiona, i ta *czarna wstążka* nieznacznie w jasny włos wpleciona, i nakoniec owe pieniądze dla rodziny Antka przysłane: dokładnie malują damę, której niewypadało sercem zapłacić za poświęcone jej serce; ale monetą brzęczącą wspaniałość i współczucie okazać, na to i towarzyskie położenie i dobry ton pozwoliły. Epilog lepszy nierównie, nawet dobry zupełnie w stosunku do całej powieści.

Z większą przyjemnością czytaliśmy *La Kaczuca*, albo właściwie mówiąc, z większym zajęciem. *La Kaczuca* z mniejszą pretensjonalnością napisana, a więcej ma spójności i z wyraźniejszych figur, dobrze ugruppowanych, przedstawia obraz. W *Czarnej Wstążce* chciał autor zaimponować dzisiejszym znacznym powieścio-pisarzom, głębookością myśli, filozoficznym poglądem na serce kobiety, dowcipem zaś, przejść wszystkich najdowcipniejszych satyryków. Cele były wielkie,—skutek widzieliśmy jaki. W *La Kaczuzy* spokojniejsze, ale więcej artystyczne miał usposobienie. Obrazek rozwija się łatwo, interes mały, ale nieprzerywany popisywaniem się osobistém. Treści nie powinniśmy nawet przytaczać, bo ta objawia się w pierwszych kilku kartach, jednak dla zwyczaju, jaką jest powiemy:

Młoda tancerka zagadkowe prowadząca życie, w tłumie starych i młodych wielbicieli, szczerych i tymczasowych kochanków, utrzymuje jednego pocziwego, naprawdę rozkochanego młodziana, na wodzy; zachowuje go sobie na czas, kiedy się jej sprzykrzą już holdy wszystkich, a przyjdzie czas, w niedostatku świetnej partyi, zrobić tylko dobrą, to jest dobry interes. Jedna większa kompromitacya, a trzeba wiedzieć, że Sylfida nasza dbała jeszcze o opinią publiczną, zmusza ją rzucić się w objęcia rozkochanego, a utrzymanego dotąd w pewnej odległości wielbiciela. Otóż i treść cała bez szczegółów intrygi, bo ta właśnie cała wartość powiastki stanowi.

Najwyrazistszą sceną z tego obrazku jest *kolacyjka* przez poważnego starca dla Sylfidy dana, na której wszystkie osoby do dramatu należące występują w właściwych charakterach. Jedna część rysunku tej sceny bardzo dobrze wykonana, to jest szkice wszystkich charakterów; ugruppowanie figur i połączenie ich z sobą, nietyłe szczęśliwe, bo rozmowa między biesiadującymi zamało ożywiona, posiedzenie przydługie, uboczne konwersacye niedobrze do całości wplecione. Błąd zaś w oznaczeniu głównej postaci ten najbardziej rażący, że Sylfida nasza mało okazuje zręczności i pewności siebie, lękliwa i nietyłe bystra w słowie, ile Sylfidy pierwszego rzędu być zwykły. Radzi wstajemy od kolacyjki, która naturalnie bez lekkich skandalów obejść się nie mogła; radzi, że z wielką starannością autor potrafił osłonić wszystko, co osłonić należało dla zachowania godności rze-

czy drukowanój. Drugą ważną sceną wyjaśniającą charakter bankiera, a rzucającą wielkie światło na tajemniczą Sylfidę, jest pojedynek, właściwie układy o warunki pojedynku w domu wyzwanego Krezusa. Zręcznie i prawdziwie rzecz oddana; tchórzostwo Krezusa, pełne właściwych i dobrze uchwyconych cech. Trzecia nakoniec scena w domu uszczęśliwionego już młodziana w objęciach Sylfidy, a poprzedzona sceną w łoży na widowisku baletowóm, najlepiej obmyślana i z wielką oddaną łatwością. Jak niezacznie, stopniowo, ex-tancerka wprowadzoną jest w zapal, który wreszcie zupełnóm kończy się zapomnieniem, tak, że na odgłos muzyki *Kaczuczcy*, pani domu przenosi się nagle w świat teatralny, przybiera hiszpański kostium, i z kastanietami w drżącém ręku, puszcza się w taniec, aby przekonać gościa, że złe dzisiaj na scenie tańczą kaczuczę, że niesprawiedliwie unoszą się widzowie, i brawem nagradzają tak niegdyś po mistrzowsku przez nią wykonywany, a dziś skarykaturowany taniec. Na tę scenę wchodzi mąż, i z przyzwoitą powagą, w kilku słowach kładzie koniec probie tańca. Wszystko to odbyło się naturalnie, bez zgorznięcia i złej woli, bez kokieterji, o którą mógłby kto być dawniej posadzić tancerkę. Do szczęśliwszych, już nie scen, ale napomknięć, należy ukazanie się niepewne siwej głowy starca w oknie Sylfidy, którą zacny, jak go powszechnie nazywano, i bezinteresowny protektor, bronił zwykle przeciw wszelkim napasciom młodzieży i niedowiarków w jej nieskażoność. To jedno ukazanie się siwej głowy w rannej godzinie u tancerki, było dostatecznóm do rzucenia podejrzenia, może zresztą niesprawiedliwych; nienależało jednak tej szczęśliwej a delikatnie tłumaczącej się myśli powtarzać drugi raz i trzeci. Cała lekkość szkicu przepadła, podejrzenie zamieniło się w pewność, a myśl autora własną jego ręką skrzywiona, zdradziła wadę pióra, które na każdy lepszy koncept chce gwałtem zwrócić uwagę czytelnika i powtarza mu go ciągle, aż znudzi i odstręczy. Pierwsze chwilkądane. Widac, na to wspomnienie odżyła cała świeżość i lekkość djego myśli; jedne po drugich żywo przebiega obrazki, a wszystkie tak prawdziwe, wierne a urocze, że widocznie rysunkiem kieruje ręka talentu. Jakże szczęśliwie tę kolekcją obrazków kończy taniec studenta z córką przekupki w bramic przy straganie. Kiedy już wyliczamy szczęśliwsze miejsca i szkice, musimy więc życzliwemi i sprawiedliwemi się okazać dla autora, którego zapewne dość ostro zaatakowaliśmy w początku. Chcemy tu przytoczyć, czyli wspomnieć tylko o jednym porównaniu w dwóch czy trzech wierszach oddanóm, gdy tancerka trapiąca jukiemś wewnątrzem zgrzyzotami sumienia lub serca, zmusiła usta do uśmiechu; ten uśmiech porównał autor do białej przepaski czy sznurka na czarnej załobnej sukni. Nie przypominamy sobie w tej chwili dosłownie tego porównania, bardzo podług nas szczęśliwego, a egzemplarza powiastek nie mamy pod ręką. Lepiej to

zapewne oddane przez autora, jak nasze przytoczenie, ale myśl ta sama. Jedną drobną zrobimy tu jeszcze uwagę o mniemanym Krezusie: 1) wolno było autorowi, który jako szafarz dostatków i nędzy dla swych kreacyj, wszystkiem czem ponysli, obdarzyć je może, uposażyć Krezusa większym niż 50,000 na rok dochodem; parękróć nie byłoby zawiele, a więcej zasady do nazywania bankiera Krezusem, i więcej środków do prowadzenia wystawnego życia, i bratania się z panami tytułowaniem; 2) pan Krezus bankier, bez ubliżenia prawdzie, mógł być przyzwoitszym i lepiej wypolerowanym; że brzęczał dukatami w kieszeni, to dobrze, że łatwo wchodził w zażyłość z panami, także dobrze; gdyby był jeszcze zuchwalszym i nadętym, to byłoby jeszcze lepiej, a najlepiej—nie należało go tytułować bankierem, ale poprostu spekulantem na łatwowierność młodzieży, inaczej, procentowiczem.

Takie jest nasze zdanie o utworach pana Wolskiego, który zwykle mniej nam daje jak wziął od natury, który wprawdzie szkic *La Kaczusza* zręcznie napisał, ale bynajmniej nie wynagrodził nim długiego milczenia, choć oto teraz mówić mamy o nowo ogłoszonym jego poemaciku, pod tytułem: *Wielki Pan*.

Bylibyśmy zapomnieli dodać, że w tomiku przed rokiem w Wilnie wydany, oprócz *Czarnej Wstążki* i *Kaczuchy*, mieści się jakiś ustęp fantastyczny czy realny o muzyce *Don Żuana*, tłumaczony z niemieckiego. Tłumaczenie wyborne, język polski jest w niem lepszy jak w oryginalnych powiastkach; zdaje się, że autor pełen pretensyi do dowcipu, a w rzeczy samej dowcipny, chciał dać nam do zrozumienia, że biegłość w obcych językach nadwreżyła mu nieco czystość i łatwość wysłowienia we własnym. Do tego przypuszczenia mamy zasadę, bo wszystko co przedtem pisał, dobrze było pisane; ostatni utwór *Wielki Pan* wykrywa też same zalety: zkądże *Czarna Wstążka* pełna nieswojskich obrotów? Widać bliższe przyjaźni stosunki z bladą damą, z takim przejęciem się i zapomnieniem były kreslone, że pisząc po polsku, przypominał tylko sobie konwersacyą francuzką, i tę wiernie, ile się dało, przepolszczał.

K. W.

*Dziwadła. Powieść współczesna przez J. I. Kraszewskiego.
Tomów II. W Petersburgu. 1853 r.*

W Warszawie przed czasem niedawnym mieszkał niejaki p. *Jerzy Sumin*, dziedzie dóbr z Poznańskiego. Pełną kieszeń, lecz puste serce miał ten p. *Jerzy*; grał tu, pił, kochał się, bawił, aż ujrzał, iż stała mu się w końcu takąż kieszeń, jak było serce. Rzucił miasto, kochanki, długi, i zemknął na Polesie, do dziadka.

Nie odrazu p. Jerzy trafił do dziadka: „jak prawy Warszawianin—mówi autor—mając Żmudź i Polesie za jedno“ wyjechał znacznie na północ; lecz w końcu trafił.

Z pierwszych listów p. Jerzego dowiadujemy się, jakito kraj jest Polesie. Opis nie jest bardzo pochlebny dla okolicy. „Gdyby Dante znał był Polesie—pisał p. Jerzy do przyjaciela—przyhyłoby mu pewnie obrazów do jego piekła.“ Lasy, trzęsawiska, kaluże, to wdzięki kraju; drożyny z błotnistą groblą i dziurawymi mostami, to wielkie drogi handlowe; płeć piękna: kobiety w czepkach szarych od dymu, z włosami nie szczesanymi, z rękami i twarzą umywanymi tylko na wielkie święto. „Warszawskie przekupki podobniejsze od nich do kobiet“ mówił *Stanisław*, służący pana Jerzego.

Dom dziadka p. Jerzego, pana koniuszego Sumina, nie mógł się jednak uskarżać na widok płci pięknej. Pan koniuszy jedno miał tylko upodobanie, i jedno codzienne zajęcie się—myslistwo. I p. Jerzy musiał polować: pół dnia trawił na polowaniu, drugie pół rozmawiał o polowaniu. Jedyny sąsiad który odwiedzał czasem p. koniuszego, było pan kapitan (rywal bogactw starego Sumina) „figura—pisał p. Jerzy—którą gdybym gdzie spotkał, dałbym mu dwa złote jałmużny“.

Tak opisywał p. Jerzy Sumina panu Edmundowi Suszy w Warszawie Polesie, w listach: 1, 2, i 3, lecz nie tak w 4. W czwartym doniósł o poznaniu osoby, która się dalej stała bohaterką wszelkich następnych listów, całej powieści. Była to „panna Irena“ „królowa Irena“, jak najczęściej wyrażał się p. Jerzy.]

Panna *Irena* była to młoda sąsiadka (z *Rumiannój*), którą p. koniuszy niegdyś wychował, którą uwielbiał, i którą tał dopóki mógł przed siostrzanem, znając siostrzana.

Panna Irena od lat dziecinnych była siérolą, lecz otrzymała w dziedzictwie rozum, który stawał jój za ojca i matkę, i znaczne dobra.

Panna Irena różniła się trochę od reszty płci swojej: przenosiła wprawdzie nad igłę i tańce, konie i pistolety; lecz też nad stroje zewnętrzne, stroje wewnętrzne. Była gwiazdą pośród płci swojej, biczem dla męzkiej; gnuśność, próżnowanie, głowa lub serce puste, były przedmiotem nie pośmiewiska, lecz prosto wzgardy, dla królowej Ireny. P. Jerzy uczył całą swą niższość; wziął dzierzawę blisko *Rumiannój*, ale nie śmiał się zbliżyć, nie śmiał nawet bywać u królowej Ireny, i patrzył tylko na nią—przez perspektywę. Panna Irena w swych wymaganiach mogła też być istotnie popsutą, mieszkał bowiem w sąsiedztwie niejaki pan Graba, ideał męzki. P. *Hutor-Graba*, było człowiek trochę zaszczerzy i ostry, z tąż też nielubiony na świecie, nawet od własnej żony, (która go wcześniej porzuciła); mimo to jednak zakochany zawsze w swiej żonie i świecie, to jest w ludziach, dla których całe swe mienie rad był poświęcić. Oddany dobru swych włóścian, z nimi jadł, orał i kosił; dziedzic dużego majątku, w życiu swém przestawał prawie

na chlebie i wodzie, a oszczędzony pieniądz obracał na ulepszenia rolne, na zbiory obrazów, książek i t. d.

Takimi byli: stary koniuszy Sunin, panna Irena, p. Hutor-Graba:—*dziwadła*, jak mówi ironicznie autor w napisie powieści.

Kilka słów królowej Ireny, przykład Graby, gdęrania dziada, prędko otworzyły oczy, i wpłynęły na zmianę pana Jerzego. Karty, próżniactwo, zabawy, kochanki dawne, wnet nie powstały nawet w myśli zawstydzonego. Przemieniony i przerodzony, sam dalej stał się królem uczuć (odrazu już pociągniętej skrycie ku niemu) królowej Ireny; wnet też dziedzicem jej ręki, majątku; a piekło Danta przemieniło się dla pana Jerzego na niebo Danta.

Taka jest treść nowej powieści pana Kraszewskiego, którą w tym roku otrzymaliśmy. Powieść ta wyraźnie ma cel, i piękny: powoływanie do pracy, do polepszania się. Mówią o tém już treść powieści, już zdania i przestrogi jej figur. „Nie ma szczęścia w *szatach* młodości“, w jedynin z ostatnich swych listów pisze pan Jerzy „ono tylko w spokojnej ustroni wiejskiej, w ciszy sumienia.“ „Wszędzie i zawsze człowiek który chce, użytecznym być może“ uczył pan Graba. Nie z pozwolenia nawet autora, ale tylko przez nałóg, jeden z typów jego nazwaliśmy tu ideałem; autor nie chciałby nawet dopuszczać tego nazwiska. „O! wyraz ten (ideały) jest największą plamą na twarzy ludzkości—mówi;—nazwano ideałem wszystko, czego obawiano się spełnić, czego się leniono dostąpić, czego nie chciano z niebios na ziemię sprowadzić“. Powieść ta, ma téż zalety wszystkim innym powieściom p. Kraszewskiego właściwe, jakoto: trafność charakterystyk, czystość i potoczność stylu, dyalogów i t. p.

Żałować wszakże możemy, iż przy tym celu i przy tych środkach, niezupełnie im odpowiada expozycja powieści.

Do zarzucenia z téj strony mielibyśmy tu najprzód grzech, (niech daruje nam autor, że jeszcze raz przypomnimy) grzech większej części jego utworów:—*pospiech*. Tom drugi nie odpowiada tu wcale pierwszemu; jestto zbiór sytuacji, obrazów, lub odrębnych i niedodających w ten sposób siły artystycznej budowie powieści. lub wyraźnie do końca tylko gonących;— i powtóre: formę powieści—*listy*.

P. Kraszewski nie jest pisarzem wewnętrznym, lecz przedmiotowym; stroną silną jego talentu jest przerys, pochwycenie przedmiotów które spotyka, charakterystyka, z usunięciem i cienia własnej osobistości. Talent jego jest raczej z rodzaju tych, jakie mieli np. w Anglii *Walter-Skott*, *Szekspir*, nie zaś *Bajron*; dla talentu w rodzaju tym, nie są przeto właściwe formy wewnętrzne, np. listy. List jest w powieści dobrym i pożądanym, jeżeli odsłania nam więcej serce, charakter, położenie swego autora, niż dyalogi lub opis. Listy w obecnej powieści p. Kraszewskiego nie odsłaniają więcej charakteru swoich autorów, niż opis; składają ją listy czysto-opisowe (obejmujące nawet opisy i dyalogi z opowiadania osób trzecich słyszane, co nie dodaje równie złudzenia arty-

stycznego) pana Jerzego; słabsze (psychologiczne) Edmunda, i najslabsze Ireny, jako donoszące tylko o szczegółach, które już zgadł dawno czytelnik, i w których nie widzimy wcale ręki *królewskiej*.

Wady te nie znoszą wszakże, dodajmy, liczniejszych zalet powieści, wśród których kładziemy za główną: pamięć w każdej rozmowie, obrazie, szczególe wprowadzonym, jako téż w całej osnowie powieści na ów cel, o którym wspomnieliśmy. Jako za jedną z lepszych wskazujemy tu na rozmowę w Rumiannie, przy pierwszej wizycie pana Jerzego, między nim, panem Grabą i panną Ireną, o celu w ogóle życia, o kriterium jakie w tym względzie ma służyć we wszystkich miejscach i czasach.

Dziwadła, jeżeli nie liczbę arcydzieł, to jednak pomnożyły bez zaprzeczenia liczbę dobrych książek do czytania w naszej literaturze.

T.



ROZMAITOŚCI.

NOCLEG W ZAMCZYSKU.

(Opowiadanie dawnego wojskowego).

Sprawiedliwe są sądy Boże!

Koniec zeszłego a początek naszego stulecia zastał mnie na Litwie 20-letnim młodzieńcem, a domownikiem u ś. p. Antoniego Prozora, u którego pozbawiony od dzieciństwa rodziców wychowałem się i wzrosłem.....

Na początku miesiąca stycznia przywołał on mnie do siebie, a oddawszy chlubną dla mnie z ust podobnego człowieka pochwałę doznanej wierności, wręczył mi listy, które do Krakowa zawieźć i w własne ręce tamiecznych przyjaciół swych złożyć polecił; nadto dał mi kilka jeszcze ustnych zleceń do przyjaciół swoich w okolicach Białegostoku i Włodzimierza Wołyńskiego, a opatrzywszy na drogę i stosownych udzieliwszy ostróg, wyprawił mnie z domu.

Podróż tę odbywałem sam jeden, konno. Za pozorny jej powód służyły mi różne sprawunki, które niby z Wiednia przez Kraków zakupić miałem; w tym celu wiozłem kilka listów zaadresowanych do tamiecznych rękodzielników. Mimo tego, roztropność nakazywała mi unikać miejsc niebezpiecznych, co połączone z zimową porą, przedłużało jeszcze bardziej i tak długą mą drogą. Szczęśliwie jednak i bez najmniejszego wypadku odprawiłem większą jej połowę, minąłem Połesie i wjechałem w granice Wołynia, w pobliżu rzeki Styru.

Tu dnia jednego, na noclegu w zaufanym domu, ostrzeżono mnie, że droga wiodąca do miasteczka, przez które przejeżdżać wypadło, nie przedstawia wielkiego bezpieczeństwa dla mojej osoby, i dlatego wskazano mi natomiast uboczną przez lasy droż yną,

której wciąż w prostym trzymając się kierunku, o południu przybyć miałem do dworu poleconego mi obywatela.

Dzień był posępny, wietrzny i słotny. Porwana wichrem zawieja suchego śniegu, zaścielającego grubo ziemię, zasypywała ścieżkę, którą do lasu dążyłem, tak, że zaledwie mógł rozpoznać, a wilgotna śnieżna flaga, padająca bez ustanku, bila w twarz, nie dając podnieść oczu. Ucieszyłem się wjechawszy do boru, gdzie było nieco ciszej, i przeto łatwiej wskazanęj pilnować się drożyny. Niedługo przecież trwała ta pociecha i wnet w ciężki zmieniła się kłopot: im głębiej w las wjeżdżałem, tém bardziej bijący z góry płachtami śnieg zaścielał ślady drogi, aż mi je zakrył do szczytu. Pamiętając jednak, że wciąż w prostym prowadziła kierunku, starałem się go ile można zachować, spodziewając się tym sposobem uniknąć obłądu. Niestety! niedaleko ujechawszy jeszcze przekonałem się, że zbledziłem. Co krok prawie wpadałem z koniem w głębokie zaspy śniegu, natrafiałem na zdrojowiska grzązkie, pokryte kruchym lodem, który się załamывał pod nogami konia; nareszcie zabrnąłem w gąszcz, z którego zaledwie wydostać się zdołałem.

Po kilku godzinach takiego błędzenia, i ja, i koń mój byliśmy znużeni; stanąłem wytchnąć trochę biédnemu zwierzęciu, które przez ten czas żuło młodociane latorośle, i sam z podróznęj posiliłem się fiaszy.

Straciwszy nadzieję znalezienia drogi, zdałem się na instynkt koński; jakoż nie zawiodłem się na nim. Po niedługim czasie koń mój wybrnął z gęstwiny i przepadlin leśnych, zaczął stąpać równo i pewnie: widocznie znalazł jakąś ścieżkę ubitą; lecz czyli tę, którą mi jechać trzeba było?.... Ha, gdybyż się tylko dostać do wsi jakiej lub chaty, snadniej się będzie drogi dopytać, byle raz wybrnąć z téj przekłętej puszczy!

Pomimo jednak, że koń z największym wysileniem po grubo zawianej stąpał drodze, końca lasu znikąd nie było widać; na tém zaś większy mój kłopot, mrok rychły w tej porze począł już zapadać, a pomnożony cieniem ogromnych gałęzistych sosien, zupełną okrył mnie nocą.

Wśród słotnęj, zimowęj nocy, w nieprzejrzanym lesie, w nieznanym stronie, zbłąkany, głodny, strudzony, w obawie by lada chwila koń nie ustał podemną, blizki już byłem rozpaczy.

Na szczęście powietrze zaczęło się zwolna uciszać, śnieg ustał, przetarły się chmury, zajaśniał w pełni księżyc i niebo wyskrzyżło się gwiazdami. Wkrótce też i koń mój wydostawszy się z lasu, stąpał po szerokiej, wysadzanęj drzewami drodze, wiodącej ku czernięjącym budynkom, w których migające światła niemniej sprawiedliwie radowały mnie, jak widok gościnnego ładu skolatanego burzą żeglarsza. Wystawcież sobie dopiero uciechę moję, gdy minąwszy bramę rozwartą, wjechałem na obszerny dziedziniec jakiegoś dworu.

Żywo zeskoczyłem z konia, uwiązawszy go u kobylicy, pobiegłem do najbliższego okna w którym się świeciło, i zapukawszy w szyby, prosiłem aby mi drzwi sieni otworzono. Za chwilę wyszedł do mnie ze światłem w rękę niski, sędziwy, napół już rozebrany mężczyzna, i powitawszy, do izby mnie wprowadził. Opowiedziawszy pokrótce dzisiejszą podróż i zbłąkanie moje, prosiłem o gościnny nocleg dla siebie i konia. Otwartemi rękoma przyjął mnie starzec; z pośpiechem zarzuciwszy na siebie kożuszek, poszedł na drugą stronę sieni, zbudził w komorze drzemających pacholków: jednemu rozkazał wprowadzić do stajni konia, rozsiadłać go, nakarmić, napoić, świeżej podesłać słomy; drugiego posłał z dzbanem do piwnicy po wino. Sam powróciwszy do izby, otworzył w grubym murze ukrytą szafkę, dobył z niej dość sporą resztę ryby na zimno (bo było właśnie piątek), bułkę chleba i jaszczyk prasnego miodu, co wszystko zastawiwszy przedemną na stole, zaprosił do posiłku.

W moim podówczas wieku, po całodziennym poście i trudzie, rzuciłem się nań chełwie.

Tymczasem wysłany chłopak przyniósł z piwnicy spory dzban wina, które gospodarz mój korzeniami zaprawiwszy, przysunął na kominku do ognia, obiecując mi, po umęczeniu i przeziębieniu, doskonały na rozgrzanie napój. Jakoż niedługo czekając, zastawił pacholek na stole, na dużej cynowej misie dzban grzanego wina, woniącego cynamonem, muszkatelem i imbirem, a obok dwa spore kubki.

Staruszek zasiadł naprzeciw mnie, napełnił obadwa i tak ciągnąc powoli doskonały trunek, poczęliśmy gawędzić o powszechnych naówczas wszystkich rozmów przedmiotach, o nowych zdarzeniach i oczekiwanych wypadkach. Z uwag, które czynił, z zajęcia, z jakim słuchał opowiadań moich, poznałem w uprzejmym gospodarzu obywatela wolniejszego od przesądów, niżby wiek jego spodziewać się kazał.

Gdy nareszcie dno dzbana ukazało się próżne, staruszek wzięwszy świecę ze stołu, poprowadził mię przez kilka pokoi do przeznaczonęj mi sypialni, gdzie gotowe już łóżko i ogień w piecu na mnie czekały, i życząc spokojnej nocy, samego zostawił. Zaledwie układałem się w łóżko i dotknąłem poduszki, zasnąłem natychmiast; czyto jednak skutkiem rozmarzającego napoju, czy z innęj jakiejj przyczyny, sen mój był ciężki, gorączkowy, przerywany, pełny widziadeł i marzeń. Jeden sen osobliwie przedstawił mi się tak żywo i dokładnie, tak dziwnie sprawdził się wkrótce, że na całe życie zachowałem go w pamięci.

Sniło mi się, że o samej północy stałem samotny w jakiejś załobnej, bladym światłem oświetlonej kaplicy. Ściany były z czarnego marmuru, w pośrodku ołtarz biały, także marmurowy, po boku kilka ciosowych starych nagrobków rycerskich; w podłodze przed ołtarzem widać było otwarte wnijsie do podziemnego sklepienia, a ogromny grobowy kamień leżał na bok odwalony.

Nagle podwoje kaplicy same się z łoskotem rozwarły, i nieznanym jakimś, niezwykle postacię poczęły z wolna długim szeregiem wchodzić w uroczystym milczeniu. Jedne z nich miały na sobie świetne zbroje stalowe, na ramionach zawieszono lamparcie i rysie skóry; inne ferezye, czamary, kontusze różnych krojów i barw; niektóre przybrane były w fiolety i rakiety księże. Oblicza wszystkich, różne wiekiem, rysami, kształtem bród i wąsów, jedno w drugie były białe, jak prześcieradło smiertelne, a z pod rozwartych nieruchomie powiek, dziko błyszczały szkliste, w słup stojące oczy. Szli tak cicho po kamiennej posadzce kaplicy, jakby płynęli w powietrzu; stalową blachą pokryte stopy rycerzy, stąpały bez łoskotu po marmurze, i szable wlekły się bez szczęku. Wszystkie te smiertelne widziadła kroczyły wprost ku otwartemu sklepieniu grobów, i zstępując jedna po drugiej, nikły w czarnych otchłaniach. Na samym końcu o kilka kroków za całym orszakiem, postępował wysoki, w ciemną szatę ubrany, z myśliwskim u pasa nożem, młody jeszcze mężczyzna: jego tylko jednego twarz miała cerę życia, lecz tak posępny, zimny i chytry był jej wyraz, tak złowrogie oczu jego spojrzenie, że wstrętem i przerażeniem wskrosz mię całego przejęły. Stanąwszy u rozwartego wnijscia grobów, obejrzał się dziko wokół. Spostrzegłszy mnie, rzucił się na mnie z wściekłością, schwycił za włosy, i przywlekłszy na brzeg lochów, usiłował do nich strącić. Z całą siłą trwogi smiertelnej wydzierać mu się począłem, i tak szamocąc się gwałtownie, zlany zimnym potem, zbudziłem się z okropnego marzenia. Lubo później zasnąłem raz jeszcze, przerwany sen nie wrócił już więcej.

Pomimo przerywanego i niespokojnego noclegu, zbudziłem się rano zdrow i rześki. Począłem się już nawet do dalszej sposobie podróży, gdy wszedłszy mój gospodarz, zwiastował mi złą nowinę, że mój koń tak mocno znużony jest i podbity, iż bez całodziennego spoczynku niepodobna będzie na nim jechać. Zaszedłszy do stajni, znalazłem istotnie białe zwierzę w tak godnym pożalowania stanie, że mimo gorącej chęci pośpiechu, musiałem przyjąć na ten dzień cały serdecznie ofiarowaną pocziwego starca gościnność.

Wracając z stajen do zamku, teraz dopiero po dniu białym rozpoznać mogłem jego powierzchowność. Zamekto musiał być kiedyś obronny, jak wskazywał głęboki i szeroki przekop, otaczający go naokoło, tudzież mur gruby ze strzelnicami do ręcznej broni, przez pół już w gruzach leżący i dzikiemi wijącemi się krzewami, pokryty.

Obszerny, wokoło drzewami sadzony dziedziniec, z trzech stron zamykały wzniesione w kształt podkowy mieszkalne zabudowania. Środkowy korpus, o wysokim łamanym dachu, z armaturą i herbami na froncie, z przysionkiem na czterech grubych słupach wspartym, łączył się po każdej stronie długą galerią z oficynami bocznymi, z których jedna była pomieszkaniem sa-

mego pana, druga rządcy, (a tym był mój uprzejmy gospodarz) i zamkowej służby. Główny gmach, jak mi to choć nie pytany, obyczajem wieku swego ludzi chętnie gwarzyć i opowiadać lubiący staruszek powiadał, od roku blisko stał pustkami.

Nieco na ustroniu, z nad gęstwiny brzoź i świerków sterczała wysmukła, złocistym krzyżem uwieńczona wieżyca. Rządca zwrócił na nią uwagę moją.

— „Jestto kaplica grobowa, dziedziczna od kilku wieków w rodzinie tutejszych panów. Warto w niej widzieć rzeźbione marmurowe statuy i nagrobki starodawne. Stoi dziś właśnie otworem, jako w rocznicę zgonu nieboszczyka pana a brata dzisiejszego dziedzica, dla zamkowych sług i ludzi ze wsi, westchnąć za duszę jego chcących. Miała być i msza żałobna; ale cóż, dobrodzieju: nasz kapelan, ksiądz Xawery *Societatis Jesu* wyjechał za pilnemi sprawami jakiemis do Łucka i dotąd jeszcze nie wrócił”.

Tak gwarząc, przywiódł mnie staruszek przed kaplicę, z której przez uchylone drzwi dochodziły wpółgłosie modły kilku chłopów i bab wiejskich. Kiedyśmy weszli do środka, zaledwim naokoło raz powiódł oczyma, stanąłem cały osłupiały z podziwu. Raz pierwszy w życiu przestąpiłem próg ten, a przecież miejsce zdało mi się doskonale znanem. Istotnie byłato też sama kaplica, którą w marzeniu tej nocy widziałem: poznawałem też same ściany z czarnego marmuru, ten sam biały w pośrodku ołtarz, i starożytne po stronach grobowce; przed ołtarzem głaz ogromny, z wrytym na wierzchu herbem, i nieczytelnym od wieku napisem, przykrywał wejście do grobów sklepionych, które we śnie widziałem otworem stojące.

Ten dziwny skład marzeń sennych z oglądaniem teraz przedmiotami, nadzwyczaj zajął myśl moją i długo jeszcze po wyjściu z kaplicy siłem się nad wykładem snu owego. Wreszcie, nie mogąc w żaden sposób wynaleźć mu żadnego znaczenia, zwyczajem w podobnych razach pospolitym, przypisałem go samemu przypadkowi i dowolnej grze wyobraźni, i zgoła tym przedmiotem zajmować się przestałem.

Powróciwszy do izby, gdyśmy siedli do śniadania, wszedł dworski, przynosząc rządcy jakoweś od pana zlecenie. Zdziwiłem się niepomału, słysząc, że dziedzic jest w domu. W całym bowiem zamku było tak pusto i głucho, jak w klasztorze; z czego, nawykły patrzeć na hałaśne i okazałe dwory naszych panów, wnosiłem, że dziedzic nieobecny być musi. Gdy dworski wyszedł z pokoju, oświadczyłem starcowi zdziwienie moje nad niezwykłym obyczajem życia tutejszego pana;—chyba, rzekłem, jestto już zgrzybiały i schorowany człowiek, oczekujący w łóżku ostatniej godziny.

— „Przeciwnie, mój dobrodzieju—odpowiedział rządca—nie liczy jeszcze lat spełna trzydziestu i czterstwy jak Bóg daj zawsze. A jednak żyje samotnie jak pokutnik, unikając społeczeństwa ludzkiego, nie wychodząc krokiem za mur zamkowy, ani przyjmując gości u siebie od połowy roku z górą, to jest od czasu, jak

tu na mieszkanie przybył. Całe jego towarzystwo składa kapelan, ksiądz Xawery, a służbę, dworski, który tylko co ztąd wyszedł, i przez którego rozkazy pańskie zawždy odbieram. Ażebyś wszakże nie myślał, mosanie, że takowy młodego i dostatniego pana obyczaj z brudnego skapstwa, głuństwa lub (uchowaj Boże) czego podobnego pochodzi, powiedzieli ci muszę i dawniejsze powołanie jego, i zdarzenia smutne w rodzinie jego od lat kilku zaszły, na które bądź sam patrzałem, bądź od ludzi opowiedziane je mam. Potrzeba mosanie wiedzieć, że zmarły dwa lat temu z górą pan starosta, rodzic terazniejszego dziedzica zamku, byłto srogi tyran dla poddanych swoich: o byle co chłostał srodze i więził człowieka, a nieraz nawet niewinnie. Jednego razu, a mija temu rok trzeci, skatował, jak wszyscy mówią, niesprawiedliwym uniesiony gniewem (co racz mu Boże na sądzie swym darować) tak okrutnie starą ze wsi babę, powszechnie za *znachorkę* u ludu mianą, że na trzeci dzień skołała. Przed śmiercią przywoławszy do siebie włodarza kazała mu iść powiedzielić starości, że nim nad nią młoda porośnie trawa, zapożywa go na straszny sąd Boga; nim zaś się jej grób niewinny trzykroć zazieleni, obaj jego synowie nędznie zejda ze świata i nazwisko na wieki zaginie. Śmiałci się starosta z tej babskiej pogroźki, i po staremu pił, hulał i mordował; alić nim spełna rok wyszedł, zachorowawszy nagle, skołał pomimo starań żyda lekarza, nie mając nawet tej ostatniej pociechy, aby synowie oczy mu zawarli. (Starszy bowiem bawił na ten czas w Warszawie, młodszy zaś wychowany pod okiem OO. Jezuitów, powziąwszy chęć do stanu duchownego, został w Mohilewie, jako nowicyusz w tancecznym konwencie *Societatis Jesu*). Ostatnią wolą swoją unierający starosta opatrząwszy młodszego syna, jako przyszłego zakonnika, niewielkim zapisem, majątek cały zlał na starszego, rozkazując mu pod błogosławieństwem ożenić się w przeciągu roku. Widać stała mu na myśli owa wróżba znachorki, zapowiadająca rychły rodzinie jego koniec, i że spełnieniu jej zapobiedz chciał."

„Zjechał więc wkrótce młody dziedzic z Warszawy; aże odając się politycznym naukom, niewielki był gospodarz: za wstawieniem przeto łaskawego pana regimentarza, pod którym barską odbyłem kampanią, powierzył mi rzady majątku swego. Przysłowic mówi, mosanie: że nieopodal pada jabłko od jabłoni; że jakie drzewo, taki klin, jaki ojciec, taki syn. Bywać tak często, ale co na ten raz stało się na przekor przysłowiu. Syn mojego starosty był, iż tak rzekę, aniołem w ludzkim cieles, wzorem sprawiedliwości, pobożności i miłosierdzia ku biednym. To też choć dziecię znienawidzonego ojca, rychło zyskał szacunek i wierność u wszystkich włości, i powszechna była pomiędzy ludźmi radość, gdy nadszedł czas, że pełniąc rodzicielską wolą, zaślubić miał zaczynać ze sąsiedztwa pannę."

„Nikt tedy nie wspominał o wróżbie nieboszki znachorki, bo nikt nie życzył wypełnienia jej: i pewnie sama, gdyby z grobu

wstała, widząc dobrego pana, odwołałaby klątwę swoją. Alć widno w zlej godzinie wyrzeczone słowa, spełnić się na nim musiały.”

„Na kilka tygodni przed nadchodzącem biednego pana weselom, poczęli się tu zjeżdżać zaproszeni przyjaciele i krewni; między nimi brat młodszy a dzisiejszy dziedzic przybył z nowicyatu. Przy licznych zjeździe tylu panów i ich dworów, było na zamku wesoło jak w raju; codzien bankiety, zabawy i jako w zimowej porze, tłumne łowy w obszernych ponad Styrem kniejach. Aż dnia jednego, (a dzisiaj właśnie rocznica tego nieszczęsnego dnia) wszystko państwo ze strzelcami polowało na dziki w ostępie nad samym brzegiem rzeki. My studzy czekaliśmy w zamku z gotowym obiadem; tymczasem przyszedł wieczór ciemny, a ich z powrotem jak niema, tak niema. We dwie lub trzy godziny dopiero po zachodzie dnia, wrócili wszyscy krewni, przyjaciele, ale dobry pan nie wrócił z nimi. Jak powiadali, po kilkogodzinnych łowach zszedłszy się pod trzeina dębami na odpoczynek i posiłek myśliwski, spostrzegli nicobecność samego gospodarza. Jedni drugich dopytywali nawzajem o niego, lecz od chwili rozejścia się na stanowiska, żaden go więcej nie widział; brat zaś młodszy, który najbliżej niego stał, zapewniał, że gdy na znak łowczego zszedł z swego miejsca i przechodził około stanowiska braterskiego widział je próżnem i sądził, że go już w miejscu zebrań zastanie. Gdy napróżno to trąbką, to strzałami przywoływali nicobecnego do siebie, po długim oczekiwaniu, nie słysząc żadnej na swe hasła odpowiedzi, niespokojni, pobiegli go szukać wszyscy. Nieszczęściem ziemia zmarzła i niepokryta śniegiem, nie mogła podać żadnego śladu, ku której stronie odszedł opuściwszy stanowisko. Na los więc szczęścia rozproszyło się co żyło po knieci; mimo atoli najgorliwszych poszukiwań, z zapadłą nocą smutni do zamku wrócić musieli.”

„Przez dwa dni jeszcze marno były wszelkie szlakowania; czwartego dopiero ranku rybacy, łowiąc w Styrze pod lodem ryby, wyciągnęli z wody pańskiego trupa.”

„Niespodziewany zgon dobrego pana przejął głębokiim żalem włość całą, ale zarazem przywiódł na pamięć przepowiednię znachorki umierającej. Stała ona się powszechnym rozmów przedmiotem, i widać doszła uszu pozostałego brata nieboszczyka; odprawivszy bowiem pogrzeb i opłakawszy śmierć jego, pomimo przedstawień przyjaciół, rodziny, ażeby nie mając żadnego jeszcze święcenia, wystąpił ze zgromadzenia i ojcowskie objął mienie: jak gdyby nie chcąc z majątkiem ciężącego brać przekleństwa, wrócił z pospicchem do konwentu swego. Lecz gdy i tam ścigać go nie przestały nalegania przyjaciół ojcowskich, gdy wreszcie sami *patres*, duchowną swoją powagą, przez wzgląd aby utrzymać znakomite w narodzie imię, nakłaniali go do przyjęcia dziedzictwa: przyjął nareszcie ten kielich (jak mówił) i dzień przyjazdu zapowiedział.”

„Na powitanie przybywającego, a bardziej ażeby wracającemu do zamku, pod tak okrutną opuszczonego wróżbą, nie dopuścić smutnych wspomnień, zebrało się u nas sąsiedztwo; my też domownicy staraliśmy się jak najokazalszém przyjęciem pozyskać względy nowego dziedzica. Nad samym wieczorem przybył on, z przyjacielem swoim księdzem Xawerym; wesolą twarzą powitał wszystkich i dziękując zebranyim gościom za braterski afekt, zaprosił ich do wielkiej rycerskiej sali, gdzie zastawiona czekała wieczerza. W sali tej (którą zaraz wasanu pokażę) są wizerunki całej rodziny, począwszy od najdawniejszych przodków, aż do starosty i dwóch jego synów, których obrazy, gdy z domu odjeżdżali, wymalować i zawiesić tam rozkazał. Nieszczęściem jakimś nowy gospodarz siadł właśnie w tej stronie, gdzie wisiały owe trzy portrety. Gdy więc dziękując za głośne „vivat” którem go powitano, powstał z kielichem w rękę z miejsca swego, wzrok jego padł na wizerunek świeżo pochowanego brata. Na widok ten zadrżał cały, upuścił kielich z ręki i błąd jak trup, niezrozumiałe belkocąc wyrazy, upadł omdlały na ziemię. Przytomny temu jego zakonny przyjaciel kazał położyć go w łóżko, a następnie oddalwszy wszystkich z sypialni, przywrócił mu przytomność. Wróciwszy później do sali, przeproszał imieniem chorego zgromadzonych gości, którzy też zwarzeni tym przypadkiem, rychło się rozjechali.”

„Nazajutrz pan sam powstawszy z łóżka, rozkazał mieszkanie sobie urządzić w oficynie, którą podziśdziem zajmuje; środkowy zaś korpus zamknąć i pustkami pozostawić. Odtąd, jakem ci, mosanie, powiadał, żyje w samotności prócz nicodstępного księdza Xawerego, nieobcując z żadną człeczą duszą. Bóg więc, czyli to z żalu po śmierci braterskiej, albo też czyli pokutą i modlitwą odwrócić od siebie pragnie wiszące nad rodziną jego przeznaczenie.”

„Lud, któremu podobne życie niepojętem się wydając, przypisując je przeczcuiu blizkiej i niezawodnej śmierci, powtarza przepowiednię owę jako niedaleką spełnienia. Mówią nawet, że mające wnet osierocić dziedzictwo, zajmują już duchy w posiadłość: że w opuszczonym zamkowym gmachu widują ludzie przez okna w jasne nocy miesięczne snujące się widma, i słyszą głośne śmiechy lub jęki”

„Myślę jednakże, że choć teraz księżyc świeci, spokojnie przespalsz, mosanie, w twoim pokoju, galeryą tylko od sali rycerskiej przedzielonym, i że za Bożą pomocą przespisz spokojnie i tę drugą”

Z niewypowiedzianym udziałem i zajęciem słuchałem dziwnej powieści starca, jak gdybym przeczuwał rolę, którą mimo woli w jej rozwiązaniu wziąć miałem.

Wstawszy od stołu, rządcą wyszukał kluczy od zamkowej sali, i wedle obietnicy do niej mnie poprowadził, przez wąską, ciemną galeryą, łączącą się z sypialnym pokojem moim. Sala owa,

której nazwisko rycerskiej pozostało zapewne z dawniejszych czasów w puściznie, gdyż teraz nic nie miała w sobie rycerskiego, zajmowała na wysokość całe dwa piętra. Nad głównymi drzwiami zawieszony był długi dla muzyki ganek, w przeciwnej ścianie trzy ogromne okna z kolorowemi szybami oświecały ganek ten wspinały. Kuliste sklepienie zdobiły misterne rzeźby, przedstawiające bajeczne ludzkie i zwierzęce potwory; wśród rzeźb tych gnieździły się teraz wróble, przez potłuczone wlatujące szyby.

Posadzka była z wielkich białych i czerwonych naprzemian kładzionych marmurowych płyt, ramy u drzwi i okien, jako też u szerokiego komina, podobnież z marmuru ciosane. Dwie boczne ściany, staroświeckiem powleczone obiciem, zdobiły dwa rzędy oparanych w kosztowne ramy rodzinnych obrazów.

Pierwsze na obrazy te spojrzenie tajemniczym przejęło mnie dreszczem, i zapomniany już prawie dziwny sen dzisiejszej nocy z całą żywością na pamięć przywiódło. Byłyto wszystko te same postacie, które widziałem w marzeniu sennem, w uroczystym pochodzie w grób wstępujące: te same stroje, lica też same, tylko że tutaj żywemi farbami nawiedzone, gdy u widziadeł nocnych trupią białością świeciły. Teraz nie mogłem już snu mego igraszce rozuzdanęj przyznać wyobraźni: zbyt wiele w jego osnowie, porównanej ze spotykaniami na jawie szczegółami, było zgody i myśli; a mrowie mimowolnego przerażenia wstrząsające duszą moją, znać dawało, że życie nie ziemskie zetknęło się ze sprawami niewidzialnego świata....

Zadumany, roztargniony, niezdolny byłem zwrócić uwagi na słowa rządcy, który prowadząc mię koleją, począwszy od najdawniejszych antenatów, od jednego do drugiego portretu, wliczał szeroko godności i sprawy każdej z przedstawionych osób. Natomiast pilnie dopatrując się w same wizerunki, znajdowałem dzikie jakieś zadowolenie, porównywając ich rysy z rysami widm śmiertelnych snu mego.

Z największą bacznością przyglądałem się obrazom trzech ostatnich rodziny członków, o których powieść tak mocno mię zajęła. Obok starosty ojca, odmalowanego w zielonej myśliwskiej kurcie, na którego twarzy zwierzęca srogość i lubieżność osiadły, wisiał portret starszego syna. Oblicze jego różne było, jak dzień od nocy, od ojca; rysy miał prawdziwie piękne, męzkie, wzniosłe czoło, otwarty wzrok, szlachetny wyraz rozlany po całej twarzy. Kończył zbiór cały obraz teraźniejszego zamku dziedzica; było ten sam wysoki, posępny człowiek, który w widzeniu mojem nocnem zamykał uroczystą processyą mar, i mnie do grobu wtrącić za nimi się silił. Z niewypowiedzianem uczuciem trwogi, a zarazem ciekawości, wlepiłem wzrok w jego zimne oblicze, poorane tak młodo bruzdami gwałtownych i rozuzdanych namiętności, z zacisniętymi złośliwie ustami, z ukośnemi, złowrogim blaskiem strzelającemi oczyma. Mimo wstrętu, który we mnie widok tej postaci wzbudzał, mimo nienawisci dziwnej, snem ku niej natchnio-

nój, zaledwie przecież wzrok mój od niej oderwać zdołałem, a odchodząc ze sali za rządcą, raz się jeszcze mimowoli za nią obejrzałem.

Oglądanie dalej, jako też przyległych, równie niezamieszkałych komnat, zajęło nam kilka godzin czasu, i powróciwszy do oficy, zastaliśmy już obiad na stole. Reszta krótkiego dnia zesła mi prędko: odwiedziłem kilkakroć konia mojego, kazałem mu na miejsce zgubionój nową dać podkowę, starałem się od gościnnego gospodarza wywiedzieć doskonale o kierunku dróg i ścieżek okolicznych, o położeniu miast i znaczniejszych wiosek, aby od nowego zabezpieczyć się zbłąkania.

Ponieważ przy stałej pogodzie należało się spodziewać doskonale jasnej nocy, postanowiłem dla nagrodzenia poniewolnej zwłoki, dobrze jeszcze przed świtem ruszyć w dalszą podróż: nie chcąc więc starszuskowi przerywać ранnego snu, pożegnałem go rozstając się wieczorem, i przyrzekłem solennie wstąpić w odwiedziny, jeśli tą stroną powracać będę.

Mogło być koło dziesiątej, gdy mnie rządcą samego w sypialni mej pozostawił. Ażeby z jutrem tém skorzej się wybrać w drogę, rzuciłem się nierozebrany na łóżko, przespać kilka godzin. Lecz zaledwie zgasiwszy świecę zawarłem powieki, ta ciemność i cisza głucha nocy zalegające zaamek, zmieszane z zaledwie dosłyszczanym szumem poblizkich drzew, zamiast ukoić do snu, obudziły w mej duszy cały rój dziwnych myśli i trwóg, przez dzień uspionych. Wybiegłszy z tajników swoich, otoczyły one teraz łożo moje, jak duchy mściwe łożo zbrodniarza.

Wspomnienie snu zeszej nocy dręczyło mnie okropnie: w ciemności otaczającej mnie, widziałem, gdziebądź zwróciłem spojrzenie, nienawistną postać pana zamku, z szyderezim uśmiechem, mordercze topiącego we mnie źrenice... To widziadło wyobraźni tak mnie nareszcie znękało, że nie mogąc dłużej przenieść mroku, zerwałem się z posłania i pobiegłem otworzyć okiennice, przez których szpary wciskało się kilka miesięcznych promieni. Nie podolawszy odemknąć zardzewiałych zasuw, odgrzebałem w popiele ogniska kilka iskier tlejących, i rozdmuchawszy je, zapaliłem zgaszoną świecę.

Razem z grubym mrokiem pierzeło widmo owe złośliwe; sam śmiałem się teraz z dziecinnój trwogi, która pociemku zostać mi nie dała; niemniej jednakże myśl niespokojna, niezdolna oderwać się od zajmującego ją przedmiotu, krążąc wokół niego, jakby w czarodziejskim zawarta kole, siłała się dojść znaczenia wczorajszego snu, odgadnąć w nim przepowiednię lub przestrożę. Napróżno całą siłą rozumu i woli starałem się przekonać o niepodobieństwie, aby widzenia takie spełnić się kiedy mogły; napróżno wstydem i gniewem sam ku sobie przejęty, chciałem gwałtownym ruchem po pokoju zagłuszyć niesforny głos, odzywający się w mej duszy.

Wtém wzrok mój padł przypadkiem na pęk kluczy, wiszący we drzwiach zamykających galeryę, która mój pokój ze salą

rycerską łączyła. Byłyto klucze od całego środkowego gmachu, widać przez rządce zapomniane. To mi przypomniało, że zaraz za salą znajduje się biblioteka z kilkunastu szaf złożoną; dla umilenia samotnej bezsenności, dla rozerwania nieukojonych myśli, poszedłem tam wynaleźć co do czytania. Przeszedłem szybko galeryą i salę, wynalazłem z zapyłonych ksiąg stosu „Nową Gigantomachią Kordeckiego“, która choć kilkakroć czytana, zawsze miała dla mnie powab nowości, i szedłem z nią napowrót do sypialni mojej.

Przechodziłem właśnie przez rycerską salę, gdy na zamkowej wieży odczuwał się dzwon zwiastujący północ. Pospępane echo pustych komnat powtarzające dźwięki zegaru, przywiodło mi na pamięć powieść rządcy o widmach, które podług poszeptów ludu, zjawiać się miały tutaj w jasne nocy miesięczne. Zabobonny strach, nigdy mi przedtém nieznanym, podniósł mi włosy na głowie; stanąłem, i pół trwożno, pół ciekawie powiodłem dokoła oczy. Promienie pełnego księżyca, przez trzy ogromne okna z dworu się lejące, oświecały ściany sali i zawieszzone na nich obrazy swoim tajemniczym światłem. A kiedy spojrział na te dwa długie szeregi nieruchomych, przez pół widnych, przez pół zaćmionych twarzy, zdało mi się, że wzrokiem swym groźnym chcą mnie przykuć do ziemi i zabronić kroku dalej. Siłą magiczną tego wzroku spętany, stanąłem niezdolny postąpić krokiem, podobny człowiekowi, który we śnie trwożącym sili się uciec, a poruszyć się nie może. Żłany zimnym potem, osłupiały i nieprzytomny, liczyłem z zimną krwią powolne uderzenia zegaru. I oto jeszcze ostatni dźwięk dzwonu nie rozchwiał się w powietrzu, a drzwi od galeryi przeciwniej tej, którą wszedłem, zaskrzypiały z cicha i wysoka osoba w bieli ukazała się na progu. Z zapiętym w piersi oddechem widziałem jak widmo to zwolna posuwało się ku mnie.... aż zbliżyło się do tyła, że w blasku świecy, którą w ręku trzymałem, rozpoznać je lepiej mogłem. Wtenczas poznałem, że tēm widziadłem był żywy, z ciałem i kośćmi człowiek; poznałem też same nienawistne rysy pana zamku, które na obrazie z takim zajęciem strasznie oglądałem, które mnie we śnie minionej nocy tak okropnym natchnęły strachem. I nie wiem, czy widok najgroźniejszej mary przeraziłby mnie tyle, co ta postać złowroga, w pustce i ciemności nocnej idąca ku mnie, z ciśniętym w prawicy ogromnym myśliwskim nożem, z wyrazem oblicza, w którym wyczytać było snadno słowo:—mord!...

Postać jego cała zdradzała spiącego i we śnie marzącego okropnie człowieka: w jednej tylko koszuli, z otwartemi ale nieruchomie wlepionemi przed się oczyma, z ciężkim, głębokim oddechem, niepewnemi stąpał kroki. Chód jego podobny był chodowi skradającego się kota. Idąc stawał co chwila i szeptał urywane wyrazy.

Natężyłem słuch i uwagę

— Tak, to tu... tu gdzieś! — szeptał ledwie dosłyszczanym głosem. — Ale nie! to mi się tak zdać tylko musiało!... On utonął, tak, utonął!... Godzinę-m całą czatował... nie wypłynął... Zkądby się zaś wziął znów żywy?... Umarli nie wracają... nie!...

I znów milcząc, postąpił kilka kroków dalej. Aż nagle stanawszy z wyciągniętą ręką przed obrazem utopionego brata, przylumionym ale przerażającym zawołał wykrzykiem:

— Ha! na piekło!... więc to prawda! On żyje, żyje tu... Brrr!!

Zamilknął nagle; po ciele jego przebiegł febryczny dreszcz, potem położył palec na usta, i stał nieruchomy; znać było zamyslił się głęboko. Nareszcie odezwał się znowu:

— Cicho! cicho!.. jeden sposób!.. trza go ztąd więcej nie puścić!.. Jeżeli mi żywo ujdzie, wydrze mi ojcowskie mienie... zgubi mnie.., Trzeba korzystać póki czas!... Cicho!... cicho!...

I z słowy temi czołgnął się jak wąż ku obrazowi brata, stanął tuż przy nim, wyprostował się nagle, podniósł do góry nóż, i z okropną siłą przebiwszy płótno, uderzył żelazem o ścianę, aż roztrzaskano części klingi z brzękiem posypały się po podłodze. Ze zgrozą lodowatą słuchałem urywanej mowy śpiącego, spowiadającej tajemnicę bratobójczego sumienia..

Przejęty okropną prawdą jego słów i ruchów, widząc wznieśiony brzeszczot błyszczący w ręku jego, zapomniałem, że cios ten martwemu zagraża płótnu. i z przestachem, jakbym na istotne miał patrzeć morderstwo, poskoczyłem zatrzymać podniesione ramię; lecz cios szybki jak błyskawica spadł, nim mu przeszkodzić zdążyłem. Gwałtowne to uderzenie i loskot, który po nim nastąpił, zbudziły zbrodniarza.

Stanął, powiódł ręką po czole, spojrzął po sobie, po rozdartem płótnie obrazu i drzazgach rozsypanych noża, drgnął cały i odwróciwszy się spieszenie postąpił krokiem; gdy wtém wzrok jego padł na mnie.

— Kto tu? — zawołał, cofając się ku ścianie przerażony; lecz natychmiast wracając do przytomności, groźnie powtórzył zapytanie swoje: —, Co tutaj chcesz? kto jesteś? ‘

Drżałem, wrzałem wtędy cały z oburzenia... Tajemny głos duszy mojej wołał, że Bóg sam sprowadził mię tu, bym odkrył i obalił zbrodniarza. Nieprzytomny, uczuciem tém wskroś przejęty, zbliżyłem się ku niemu i uroczystym przemówiłem głosem:

— Świadek od Boga zesłany, aby niewinna śmierć twojego brata nie pozostała bez kary. Drzyj bratobójco! bo dzisiejszy świt odkryje światu tajemnicę twoję!..

Ledwiem domówił słów tych, twarz zbrodniarza pobladła i wykrzywiła się szatańskim śmiechem, oczy jego zajaśniały jak ślepie ranionego wilka: zgrzytnął zębami, i poskokiem rysia rzucającego się na łup, rzucił się na mnie.

— Ha! idźże sobie razem z tą tajemnicą do djabła, który cię tu przysłał! — wrzasnął chrapliwie, twarde mi jak żelazo rękoma chwytając gardło moje, i topiąc w niem paznogie, a przycisnąwszy głowę moją do kościstych piersi swoich począł mnie dławić.

Napróżno ślepemi ciosami bijąc w głowę jego, chciałem zmusić go, ażeby puścił mi szyję;—pięści moje chybiały lub źle uderzały, gdy tymczasem gwałtowniejsze coraz ściśnienie kościstych palców zbrodniarza, tamowało mi oddech... Czulem, że chwila jeszcze, a uduszony skonom... W ostatecznej rozpacz, zebrawszy konwulsyjnie wszystkie me siły, pięściami i głową zarazem ugodziłem w pierś jego. Uderzenie to było tak gwałtowne, że palce jego pusiły me gardło, a on sam potoczywszy się kilka kroków, upadł około ściany na ziemię, ze strzaskaną o ostry róg kominowego grzymu skronią... Krew i mózg rozprysły się gwałtownie. zbroczona głowa kilka razy jeszcze podskoczyła na kamiennęj posadzce—kilka jęków —i już trup martwy leżał u moich stóp.

Wszystko to stało się tak nagle, tak pomimo woli mojej, że teraz dopiero ochłodszy nieco, mogłem objąć myślą cały wypadek i skutki, jakieby dla mnie wynikły, gdybym odkrytym został. Obcy, nieznanany nikomu, czyliżbym uzyskał wiarę najświętszemi przysięgi, zaręczając niewinność moję? Nie poczytanożby mnie raczej za zbrojce i jako takiego nie ukarano?

Szczęściem, zdarzenie całe pokrywał mrok i cisza nocy. Koń mój czekał gotowy w stajni i wszyscy uprzedzeni byli o moim rannym wyjeździe. Nikt się zatem nie zdziwił, gdy w godzinę po północy przyszedłszy do stajni, siadłem na koń i polecając stajennemu raz jeszcze pożegnać rządcę, o księżycu wyjechałem z zamku.

Skrytymi szlakami ujechałem mił pięć nim dzień zaświtał, a jak gdyby Opatrzność czuwała nademną, spadły o świcie śnieg zakrył me ślady przed pogonią, jeśliby jaka była.

Dalszy ciąg drogi odbyłem szczęśliwie.

* * *

W roku 1812 jako oficer towarzyszyłem wyprawie Napoleona na Rossyą. Jednego razu pulk mój stanął obozem pod tym, właśnie zamkiem, gdzie tak okropne niegdyś miałem zdarzenie. Główny gmach z rycerską salą leżał już napół w ruinach; oficyny były jeszcze zamieszkałe, ale nikt z mieszkańców o znajomym mi rządcy zgoła nic nie wiedział. Zapytałem nareszcie kilku wieśniaków o okoliczności zgonu ostatniego syna starosty. Uśmiechnąłem się gdy mi opowiadali, że taż sama upiorzyca znachorka, co zadusiła starostę, a starszego syna jego utopiła w Styrze, roztrzaskała także głowę ostatniemu rodziny owęj potomkowi... Lecz zadrzałem, słysząc, że odtąd co noc w zwałiskach sali przechadza się postać jego płomienista z jękiem, groźbami i okropnym wyciem.

Po tém wszystkiem, co mnie w tym zamku spotkało, nie mogłem uważać téj powieści za zupełnie czerzą bajkę, i mimo zgrozy, jaka mnie ogarnęła, gotów byłem za nadejściem nocy iść się nacznie o prawdzie przekonać. Ale przed wieczorem jeszcze pulk w dalszy ruszył pochód,—i nigdy już więcej w życiu noga moja w téj stronie nie postąpiła.

Roman Zumarski.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Quetelet z kilkoletnich obserwacyj barometrycznych i nad elektrycznością atmosfery ważny wyciągnął wniosek, dotyczący wpływu elektryczności na stan barometryczny powietrza.

W tej pracy rozdzielił wszystkie spostrzeżenia klimatologiczne na dwie grupy: w pierwszej zajął wysokości barometru wyższe nad średnie ciśnienie atmosfery; w drugiej, wysokości mniejsze od średniego stanu. Podobnie na także dwie grupy rozdzielił dostrzeżenia nad elektrycznością powietrza, przyczem jednak usuwał spostrzeżenia wskazujące bytność elektryczności ujemnej. Z porównania tak ułożonych tablic okazało się, że barometr zawsze stał wyżej, gdy w powietrzu było elektryczności więcej jak średni stan miesięczny, i przeciwnie. Wielkość różnicy w wysokościach barometru w różnych po sobie idących miesiącach, odpowiada stosunkowi zachodzącemu w napięciu elektryczności przy pogodnym i pochmurnym niebie. Jednakże w marcu i październiku, Quetelet wykrył dwa maxima w różnicach barometrycznych, które nie mają odpowiednich w obserwowanych napięciach elektryczności.

Ze wszystkich jednak dostrzeżeń ten ogólny wynika wniosek, że pomijawszy inne znane przyczyny, barometr tém wyżej stoi, im mocniejsze jest napięcie dodatniej elektryczności w powietrzu. Podczas bytności ujemnej elektryczności, barometr, przy innych jednakich okolicznościach, dosięga swego najniższego stanu.

* Zwykle dla okazania doświadczeniem działania dopełniających się kolorów, używano dwóch szkieł: żółtego zabarwionego na zielono, drugiego na czerwono, które następnie złożone i przed okiem trzymane, przepuszczają białe światło. Maumené do tego celu zaleca używać roztworów soli kobaltowych i niklowych, dopóty rozcieńczanych wodą, aby ich ubarwienie stało się mniej więcej jednej mocy. Tak przygotowane ciecze po zmieszaniu wydają płyn bezkolorowy; bar-

wa czerwono-różowa soli kobaltowej nawet dość stężonej, dokładnie się dopełnia przez zielony kolor soli niklowej.

* Volpicelli w czasie zaćmienia słonecznego 1851 r. (28 lipca), za pomocą termo-actinometru Melloniego spostrzegł, że promieniowanie ciepłikowe wzrasta, postępując od brzegów ku środkowi tarczy słonecznej. Volpicelli następnie śledził ilość ciepłika wyrzucaną przez słońce w różnych położeniach téj gwiazdy. Już dawniej Melloni okazał, że stosunek promieni słonecznych przepuszczanych przez warstwę wody, środkującą między dwoma szklami, lub przez tafły z kryształu górnego zadyminionego, zmienia się stosownie do różnej grubości warstwy powietrza, i że ta zmiana podlega szczególnym prawom, bo przy jednakich nawet okolicznościach przybierać może przeciwne znaki. To spostrzeżenie stwierdził Volpicelli, i nadto ze swych doświadczeń wniósł, że promienie słoneczne składać się muszą z różnorodnych pierwiastków; że atmosfera ziemską pochłonywa te pierwiastki różnemi sposobami, a to stosownie do grubości jéj warstwy; że o tém odmiennem pochłonywaniu świadczą ciała diatermiczne, przez które przechodzi promień słoneczny.

Tenże autor puszczając promienie słońca przez połączone trzy blaszki: jedną z soli, drugą z alunu, trzecią z siarczanu wapna krystalicznego, osłabiał do tego stopnia działanie ciepłikowe promieni słonecznych, iż te pod względem ciepłika nie różniły się od promieni księżycowych, zachowując jednak większe natężenie światła.

* Fizycy, a szczególnie Joule, usiłowali oznaczyć związek między pracą mechaniczną, a ilością ciepłika, czyli innemi słowy: ilość pracy jaką może rozwinąć jednostka ciepłika. Kupfer dla dojścia do tegoż samego celu obrał następny sposób, oparty na sprężystości metali, porównanej z ich rozszerzaniem się od ciepłika. Oznaczył wprzód przedłużenie walca metalowego długiego na pewną jednostkę, podczas obciążania dolnego jego końca różnemi ciężarami, następnie przedłużenie tegoż walca podczas ogrzania go od 0° do 100°, i z porównania tych danych otrzymał wypadek, że ciepło potrzebne na ogrzanie funta wody od 0° do 100°, może podnieść 9921 funtów do wysokości jednego cala.

Ten wypadek jest dość zgodnym z równoważnikiem ciepłika, znalezionym przez Joule, a mianowicie z ciężarem 10680 funtów i 9876 funt. podnoszonemi do wysokości 1 cala.

S. P.

CHEMIA.

Czyli dawni Egipoyanie znali kwas saletowy? Przez p. Thornton i Herapath. Przedmiot powyższy już dawniej był rozbiegany przez ojca p. H; ponieważ jednak objawiły się i zdania przeciwne, z tego powodu syn p. Herapath, znowu na nowo się nim zajął. Treść jego pracy, przytaczająca się w własnych wyrazach, jest następująca:

„W pamiętniku mego ojca o chemii u dawnych Egipcyan, podano wypadki doświadczeń, tyczących się pewnych znaków lub napisów hieroglifowych, wykrytych przez niego w zwojach mumii, świeżo przez p. Nash odwiniętej. Z tych zaś okazuje się, że starożytni Egipcyanie musieli znać ciecz, do znaczenia bielizny o zasadzie saletranu srebra (kamienia piekielnego); a żłąd i kwas saletowy (serwaser), obcym być im nie mógł. Nieco później, p. Denham Smith w odpowiedzi na powyższe uwagi, niezupełnie zgadza się z wnioskami mego ojca, utrzymując, że lubo jest ciekawe wykrycie, iż saletranu srebra już od 3,000 lat używano do znaczenia bielizny, ale wypadki na tem oparte są błędne; bo nie masz żadnego dowodu, aby Egipcyanie znali sztukę przepędzania (destylacya). Sądzi zaś, ale bez przytoczenia dowodów, że owa ciecz do znaczenia bielizny, przygotowywana była z rozpuszczonego chlorku i niedokwasu srebra w roztworze amoniakalnym, bez pośrednictwa jakiegobądź kwasu. Ponieważ to zadanie ze względu naukowego ma pewną ważność, postanowiłem na nowo się niém zająć; i po wielu bezskutecznych usiłowaniach analitycznych, musiałem robić dochodzenia za pośrednictwem drobnowidu.

„Śledząc włókna powłoki napojonej atramentem srebrnym, spostrzegłem na nich następnę cechy. Końce nitki, najbliższe części zniszczonych tkanki, były ubarwione ciemno-brunatno, lub czarno; w pewnych zaś odległościach od części czarnej, włókno było blade żółte, jakby od tego, że podczas rozkładu soli srebrnych, użytych za atrament do znaczenia, pierwiastki usaletrorodnione tkanki, częściowej uległy zmianie.

„Na wielu z powyższych włókien, jako téż i w niektórych miejscach na ich powierzchni, spostrzegać się dawały małe cząsteczki jakiejś tkankiny organicznej, jeszcze wyraźniej ubarwionę niż same włókna. Płuczac to w roztworze amoniakalnym stężonym, części żółte, w szczególności ciała nadpsutego, wewnątrz komórek się znajdującego, stały się jeszcze ciemniejszymi; przeciwnie zaś te, które miały w sobie srebro metaliczne, były bledsze; jakby dlatego, że mała część powłoczki srebrnej rozpuściła się w tym rozcieku; lubo uważano, że tkanina zafarbowana nie zmieniała się, nawet po długim zamoczeniu ję w amonii. Robiąc doświadczenia porównawcze z kawałkiem płótna świeżo znaczonego roztworem saletranu srebra; znalazłem, że włókna miały podobieństwo do powyżęj opisanych, i ta tylko zachodziła w nich różnica, iż kolor żółty nie był tak widoczny, i więcéj srebra rozpuściło się w roztworze amoniakalnym; z drugiej zaś strony, włókna ubarwione roztworem chlorku i niedokwasu srebra w amonii, były jednostajnie zafarbowane na ciemno-brunatno lub czarno, i wcale nie miały śladu ubarwienia żółtego.

„Powyższe wypadki porównane z zepsutymi włóknami tkanki mumiowej w bliskości miejsc znaczonej będącej; usprawiedliwiają zdaniem mojem wniosek, że starożytni Egipcyanie rzeczywiście znali kwas saletowy, i używali saletranu srebra do znaczenia bielizny. Jakim zaś sposobem wyrabiali ten kwas, czy przez przepędzanie sale-

tranu sody lub saletranu potażu, z kwasem siarkowym, czyli też sposobami alchemików; tego nateraz rozwiązać mi niepodobna.“ (*L'Institut* 13 *Juillet* 1853).

* Korzenie rośliny zwanéj korona cesarska K. (*Fritillaria imperialis*) zawierają znaczną ilość mączki; P. Basset przeto sądzi, że można ją korzystnie uprawiać na wielką stopę dla zastąpienia ziemniaków. W istocie, niekiedy korzenie téj rośliny dorastają ogromnej wielkości (od 850 do 900 gramów). Badanie mikroskopowe okazało, że ziarna mączki korony cesarskiej mają średnicę między 0^{mm},007 i 0^{mm},057. Ściany jéj komórek są bardzo cienkie, błonka naskórkowa łusek, twarda: przez masę zaś mączkową przechodzą rzadkie naczynia, i dlatego, zdaniem P. B. pozostałość zaledwo wyniesie 2 na 100. Wiadomo zaś, że ziemniaki wydają fabrycznie 15 do 18 na 100 krochmalu. Rozbiór porównawczy obudwóch korzeni daje następujące wypadki:

	Ziemniaki, <i>Solanum tuberosum</i> .	Korona cesarska, <i>Fritillaria imperialis</i> .
Wody	70	68
Mączki	20	23
Ciał zsiadłych	4	5
Pozostałości suchych . . .	6	4
	100	100

Podług obliczenia p. B. ziemniaki placą we Francyi za 100 kilogramów 22 do 28 franków, korzeń zaś korony cesarskiej kosztowałby za tę samą ilość 8 do 12 franków; ale dotąd nie robiono prób na wielką skalę, i dlatego te dane nie są bezzawodnymi. Oprócz użytków fabrycznych z mączki korony cesarskiej, p. B. sądzi że mogłaby ona służyć i na pożywienie, byleby odjąć jéj smak i zapach nieprzyjemny; w tym celu należałoby ją moczyć w wodzie zwyczajnej, odmieniając ją kilkakrotnie lub też w wodzie octem zaostrożonej, w stosunku $\frac{1}{30}$, albo nareszcie w wodzie cokolwiek alkalicznej, przez 24 do 48 godzin, a potem wypłukać w wodzie czystej. (*L'Institut* z 31 *Août* 1853).

* *Tworzenie sztuczne proszku dyamentowego.* Przed kilką atami podaliśmy w Bibliotece Warszawskiej (1) zawiadomienie o doświadczeniach p. Despretz, tyjących się tworzenia dyamentu; powyższy uczony już wówczas stopił i ulotnił węgiel, i okazał, że węgiel stopiony i dyament stopiony, zmieniają się w ołówkę, (grafit). Teraz na nowo donosi p. D., że w doświadczeniu z stosem galwanicznym i węglem przez miesiąc czasu wykonywanym, platyna przy stosie pokryła się proszkiem czarnym, pomiędzy którym, za pośrednictwem mikroskopu, rozpoznać można było kryształki ośmiościenne czarne, na innych zaś nitkach platynowych białe. Powyższe kryształki zmieszane z cokolwiek oleju, posłużyły do gładzenia czyli polerowania rubinu; a wiadomo, że tylko proszek dyamentu tę własność posiada. Osad utworzony drogą wilgotną, w doświadczeniu w którym umieszczono węgiel przy biegunie dodatnim, a drucik platynowy przy ujemnym

słabego stosu; posiada również własność gładzenia rubina ale w daleko mniejszym stopniu. Te doświadczenia sprawdziło wielu uczonych. (Treść z pisma *L' Institut* z d. 7 *Sept.* 1853).

* Krzew szakłaku kruszyny, (*Rhamnus frangula*), w starości na powierzchni wewnętrznej kory korzenia, pokrywa się warstwą małych kryształków jedwabistych, błyszczących, złoto-żółtych, które są pierwiastkiem barwiącym, lotnym nawet w ciepłe zwyczajnem, i zład z czasem osadzającym się w kryształkach, jak powiedziano wyżej, na korze. Piękny ten barwnik nazwany został przez Buchner'a *Rannoξαντιną*, i może być wydzielony przez eter lub wyskok, a potem z zgęszczonego wyciągu przez przepędzanie, dla otrzymania z ulatniającej się pary osadzających się kryształków. (Treść z *L' Institut* z d. 5 *Octobre* 1853)

J. B...a.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1852.

183. Pisma do żony wierszem i prozą. Przez Władysława Mi-niewskiego. (Z godłem:)

Kobiet własne, są ich cnoty:
Ich błędy, prawie zawsze, są naszój roboty.

Wł. M. n.

8ka. Kraków. 1852. W drukarni Czasu. Str. 74. Rejestru karta 1. Kop. 50.

1853.

105. Album K. W. Kielisińskiego (na okładce dodano: nakła-dem J. K. Żupańskiego w Poznaniu). 4ka podłużna. Poznań. 1853. Nakładem księg. J. K. Żupańskiego, druk W. Deckera, lit. Jaro-czyńskiego w Poznaniu. Nap. karta 1, objaśnień kart drukowanych 2 i tabl. 27 z osobnym tytułem. Rsr. 10.

106. Ewangelie na wszystkie niedziele w roku ze stosownemi do nich naukami, oraz czytania i przemówienia przygodne do para-fian. Zebrane z dzieł ks. biskupa Woronicza, ks. Skargi, ks. Anto-niewicza i wielu innych, jak memniej (*tak*) z pism religijnych. 2 to-my. 8ka. Warszawa. 1853. (Na okładce rok 1854). Nakładem Gu-stawa Sennewalda (druk Ungra). Tom I napisów i cenzury duchow-nój kart 3, str. 371, i rejestru kart 2. T. II, napisów kart 2, str. 439 i rejestru kart 2.

107. Gospodarstwo leśne czyli proste zasady hodowania, urzą-dzania i użytkowania, oraz niezbędnej tychże ochrony, ze szczególną uwagą na lasy prywatne, dla użytku właścicieli ziemiańskich, rządców dóbr i leśniczych praktycznie wyłożone przez Antoniego Auleitner, Nadleśnego lasów Rządowych. Z rycinami i tablicami. 8ka. Warsza-wa. 1853. Nakładem autora, druk St. Strąbskiego. Kart 2, i str. 205. Rsr. 1 k. 20.

108. Kolejnik życia przy kolei żelaznej oraz różne gawendy (*tak*) wagonowe (.) z dodatkiem opisu parochodów przez Józefa Rutkowskie-go nadkonduktora drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej (.) Rege-stratora Kollegialnego. 12ka. Warszawa. 1853. Druk Adolfa Kret-htlow. (Nakład autora). Napisów kart 2 i str. 307.

109. Krótka nauka chowu bydła rogatego, Wydana przez Ko-mitet C. K. Towarzystwa Gospodarskiego Galicyjskiego. 8ka. Lwów, 1853, w drukarni Zakładu narod. Ossolińskich. Str. 40. Kop. 15.

110. O ważności małych cnót przez ojca Roberti S. J. (Wydanie drugie). Cena złp. 1 czyli kr. 15 m. k. 32. Kraków. 1853. W księgarni wyd. dzieł katol. druk J. Czecha. Str. 110. Kop. 20.

111. Pisma różne wierszem Stanisława Jachowicza. 12ka. Warszawa, 1853. Nakład autora, druk St. Strąbskiego. Kart napis. i przypis. (*Tytusowi Chalubińskiemu*) 4, str. 292, i rejestru VIII. Rsr. 1 k 20.

112. Roczników Polski Klimakter IV. obejmujący dzieje Polski pod panowaniem króla Michała przez Wespazjana z Kochowa Kochowskiego wojskiego krakowskiego, po-komorzezo i dziejopisa królewskiego. Z łacińskiego tłumaczenia (*przez A. M.*) polskie (z portretem). Wydane J. N. Bobrowicza, 8ka. Lipsk. 1853. Nakładem Księgarni Zagranicznej, druk Breitkopfa i Hertla. Str. XVI i 382. Rsr. 3 k. 40.

113. Towarzysz pilnych dzieci czyli początki czytania i innych wiadomości sposobem łatwym i do pojęcia młodocianego wieku zastosowanym (.) wyłożone przez T. Nowosielskiego. Wydanie drugie. 12ka. Warszawa. 1853. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 2 i str. 175. Kop. 20.

1854.

1. Chrześcijanka uważana ze stanowiska światowego. Dzieło napisane przez księdza Edwarda Frederyka Chassay, z francuzkiego języka polskiemu przyswojone przez Felixa Konwerskiego. 12ka Warszawa. 1854. Nakładem J. Breslauera, druk pod fir. J. Kaczanowskiego. Kart 4 i str. 302. Rejestru kart 1. Rs. 1 k. 20

2. F. Kallimacha Geminańczyka o królu Władysławie czyli o klesce warniejskiej. Przetłumaczył, przypisami objaśnił i biografiją Kallimacha dodał Michał Gliszczyński. 8ka. Warszawa. 1854. Nakładem i drukiem S. Orgelbranda. Kart. 2 i str. 232. Rsr. 1 k. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Józef Korzeniowski pisze powieść z czasów Stanisława Augusta.

— Kazimierz Kaszewski tłumacz Antygony i Edypa w Kolonie, zamierzył przekład trzeciej tragedji Sofoklesa p. n. „Etyt król”.

— Józef Lukaszewicz ukończy w r. b. dzieło: „Opis historyczny kościołów, klasztorów szkółek parochialnych i szpitali w dawniej diecezji poznańskiej”. Opis ten podzielił autor na archidyakonaty i dekanaty. Każdego kościoła parafialnego, każdej kapliczki, każdego klasztoru, każdej szkółki i zakładu dobroczynnego podaje dzieje w krótkości: zdejmuje nagrobki i napisy gdzie są, wspomina o pomnikach sztuki, załącza erekcyjne, ale tylko do XIV wieku, i wykazuje, jak dobra szlacheckie (w których są kościoły) z rąk do rąk przechodziły. Głównem źródłem tej pracy są archiwa katedry poznańskiej i grodzkie, złożone w Poznaniu. Uczony ten badacz gromadzi nadto materiały do historii Soeyan, czyli wszelkich odleici antytrynitarzy polskich.

— K. Wł. Wojciecki rozpoczął druk „Archiwum domowego.” Tom pierwszy obejmuje czasy Stanisława Augusta: sąto ważne ma-

terywały zebrane z rękopismów, a rzucające światło na ten okres dziejowy. Do „Opisu ementarza powązkowskiego” tegoż pisarza, młody i utalentowany artysta p. Matuszkiewicz zdejmuje rysunki nagrobków ważniejszych i piękniejszych.

Kraków. (Wyjątek z listu). Artysta nasz Hanusz, który się kształcił w malarstwie pod dobrimi mistrzami w Wiedniu i Monachium, skopiował Lisowczyka Rembrandtowskiego, zdobiącego piękną galerią dzikowską. Kopią tę wykonał z najskrupulatniejszą wiernością. — Wyszedł zeszyt 2gi Oddziału nauk moralnych Rocznika Towarzystwa naukowego; pomiędzy innemi rozprawami, zwracamy uwagę na rozprawę ks. Serwatowskiego: „Pogląd na dzieje rodu ludzkiego ze stanowiska chrześcijańskiego”, i Karola Mecherzyńskiego: „O wymowie politycznej w Polsce.” — Nakładem księgarza Juliusza Wildta, wyszła: „Mozajka, gawędy i obrazki;” jestto przedruk rozmaitych artykułów z feletonu Czasu. — W drukarni Czasu wydano: „Pisma do żony Władysława Miniewskiego;” jestto zbiór wierszydeł bez treści, stylu i wszelkiej zalety. „Patologiczna anatomia przez Dr. Nikodema Bentkowskiego część 1sza ogólna.” „Słownictwo polskie chemiczne” prof. Emiliana Czarniańskiego. „Sprawozdanie kamitetu ochronek dzieci w r. 1853.” „Siła czyli ruch wirowy jako pośrednik między światem ziemskim a duchowym.” — P. Zenon Halatkiewicz professor, zapowiedział tu naczenie głośniego dzieła, które wielkie wrażenie w świecie naukowym wywołało: Listy odo-magnetyczne bar. Reichenbacha. — Towarzystwo gospodarsko-rolnicze krakowskie wydało tom IV swego Rocznika; zawiera rozprawy Dyżyny Chromego i ks. A. Jakubowskiego. — Władysław Bażan adjunkt przy katedrze chemii w uniwersytecie Jagiellońskim wydał: „Przewodnik w rozbiórach chemicznych jakościowych ciał nieorganicznych.” — Znany archeolog J. Łepkowski napisał o Nimbach, ustęp z archeologii ogólnej, i będzie go drukować w dodatku do Gazety Lwowskiej, a potem wyjdzie osobno. — Kazimierz Mirecki młody artysta malarz wykończył obraz olejny niewielki rozmiarem, przedstawiający ślub Zygmunta Augusta z Barbarą. Osoby są portretowane: sześć osób składa grupę. — Nakładem Friedlejna wyszły: „Ośm obrazów Świętych Pańskich, znajdujących się w kościele katedralnym krakowskim: 1) obraz Pana Jezusa na krzyżu, malowany przez Dolabellę; 2) św. Stanisława (nie-wiadomego pędzla; 3—8: św. Wacława, Jacka, Wojciecha, Kazimierza, Floryana i Wincentego, przez Kunicza Krakowianina w Rzymie malowane.”

Lwów. „Dnia 12 października r. b. w oktawę imienia ś. p. cesarza Franciszka I. protektora Zakładu narodowego imienia Ossolińskich, odbyło się uroczyste posiedzenie naukowe w sali zakładowej. Posiedzenie zagał zastępca kuratora literackiego, Maurycy hr. Dzieduszycki, oddaniem czei należnej pamięci cesarza Franciszka, i J. M. Ossolińskiego, i odczytał obszernie sprawozdanie z czynności zakładu. Ze sprawozdania tego dowiedziata się publiczność; że kontrakt na druk Słownika Lindego (za przyzwoleniem rodziny autora) już jest podpisany, i 1000 złr. m. k. jako zadatek na zaopatrzenie drukarni w potrzebne

dolewki liter niektórych, wyliczone. Późem zastępca dyrektora August Bielowski czytał: „O życiu i pismach Samuela Lindego”: nakoniec Karol Szajnocha zastępca kustosa: „Zaślubiny Jakóba III Stuarta z Klementyną Sobieską córką królewicza Jakóba.“ Rzecz wiele zajmująca, a oparta głównie na jednym z rękopismów współczesnych, będących własnością Zakładu.

— Józefa Korzeniowskiego *Spekulant* wychodzi równocześnie w dwóch tłumaczeniach: w czeskim i niemieckim. Po czesku znajduje się w feiletonie „Prażskich Nowin,” a po niem. w feiletonie niemieckiej *Gazety Poznańskiej*.—W Hamburgu wyszła w przekładzie niemieckim, przerobiona przez pp. Wachenhusen, i v. Tolkinyan komedia: „Wąsy i Peruka.“

Poznań. (z listu) „W Gdańsku znalazła się nowa praca Długosza nieznaną zupełnie: jestto rękopism pergaminowy, który wkrótce drukiem ogłosi Tytus hr. Działyński. W nim znajdują najsilniejsze poparcie pomysły waszego uczonego badacza prof. Dominika Szulca, o jedności rodu z Polakami tak Prusaków, jak Pomorzan i wszystkich sąsiednich z nimi po granice Litwy pokoleń. Tenże hr. Działyński drukuje tom *3ci Aktów Tomickiego.*”

Wyjątek z listu profesora Zejsznera.

Od dwóch tygodni wróciłem z podróży odbytej do Galicji i Węgier. W galicyjskich Karpatach zastanawiałem się nad źródłami oleju skalnego, i nie mam wątpliwości, że, podobnie jak kwaśne źródła, są skutkoni sił podziemnych wulkanicznych. Prawie cały miesiąc niemi się zajmowałem i przerabiałem te płynne massy na asfalt. Zdaje się, że z tego będzie można coś korzystnego wyrabiać, jeżeli równocześnie produkta z destylacji pochodzące sprzedawać będzie można. Geologia Węgier zawsze jest ponętniejsza, bo tam wielka różnorodność i bogactwo niezmiernie metaliczne. Zastanawiałem się, jak powstają żyły które dały żelazo, miedź, srebro, żywe srebro, nikiel kobalt. Jedną z mało uważanych skał Gabro, dała zapewne żyłom początek i te występują na Spiżu w takiej różnorodności i odmianach, o czem dotąd nie wiedzieli geologowie. Rozumie się, że będą rozprawy skoro materiały nadejdą. Żyły te dostarczają na targi przeszło za 6,000,000 złp. surowego żelaza i za tyleż miedzi; trudno obliczyć wartość merkuryuszu, srebra i niklu. Ostatni metal jeden z Ewansów skupuje, wozi do Anglii i wytopia go. W Węgrzech taka jest biéda, że nie można wziąć na siebie wyrobu tego produktu.

Nadzwyczajnie dobrze przyjęto jedną z moich rozpraw, drukowaną w Petersburgu. W Göttyngskim dzienniku *Gelehrte Anzeiger* Haussman powiedział: z Karpat trzeba się uczyć, jak zapatrywać się należy na góry niemieckie....

Mysimy kursa nasze otworzyli; uczniów nieco więcej aniżeli lat zeszłych.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Wrzesień, 1853.

	mm.	°	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.904	27	8.430
Najwyżej dochodził — d. 6 o g. 10 r.	760.75	28	1.237
Najniżej — — d. 26 o g. 10 r.	737.38	27	2.877
Średnia zmiana dzienna barometru	3.935		1.744
Największa zmiana dzienna barometru d. 6—7 o g. 10 w.	13.87		6.149
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 27 lat poprze- dzających	1.019		0.451
Średnia temperatura września wynosi: +	750.923	27	8.881
i ta jest niższa o	13° 09 C.		+ 10° 47 R.
od stanu normalnego z 27 lat poprze- dzających	0.61	"	0.49
Największe ciepło dochodziło d. 24 o godz. 4 po połud.	13.70	"	10.96
Najniższa temperatura była d. 28 o g. 6 r.	23.7	"	18.96
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.8	"	3.04
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 2—3 o g. 6 r.	2.058	"	1.647
	6.8	"	5.44
Termometrograf wskazał:			
Maximum: +20° 5 R. d. 24 po połud.			
Minimum: + 2° 9 „ d. 28 rano.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 79,7 biorąc 100 za zupeł- ne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 9,27 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest prawie równa normalnej.			
Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 46,7 milim. czyli 20,70 lin. par.; ilość ta wody jest mniejszą o 2.59 lin. par., od tej jak zwykle u nas we wrześniu spada.			
Dni pogodnych było 8, napót pogodnych 5, pochmurnych 17.			
— deszczu 13 (d. 1, 2, 3, 4, 5, 7, 9, 20, 25, 26, 27, 29, 30).			
— gradu 1 (d. 30).			
— mgły 4 (d. 8, 13, 14, 22).			
— grzmotów 1 (d. 3).			
— błyskawic bez grzmotów 1 (d. 3).			
Wichrów było 1 (Z.).			
Wiatrów mocnych 4 (4 Z.).			
Wiatr panujący: zachodni.			
Wrzesień r. b. z początku i w końcu był niepogodny, wilgotny i słotny, w środku suchy, pogodny, lecz chłodny; w ogóle o pół stopnia R. chłodniejszy niż zwykle. Piętnaście dni od d. 10 do 15 to jest od pierwszej do ostatniej kwadry księżycy, były suche i ani razu deszcz w ciągu tych dni nie padał. Najcieplejsze dni były: d. 1, 2, 3, 8, 9, 10, 23, 24; najchłodniejsze d. 12, 15, 18, 28. Dwa dni 23 i 24 były tak gorące jak w środku lata; po południu w tych dniach ciepło dochodziło przeszło 20 stopni R. Wiatry północne między d. 10 i 20 często wiejące, znacznie oziębiały powietrze. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napót pogodnych i pochmurnych jest 6,8 : 10,9 : 12,3; w r. b. stosunek tychże dni jest 8 : 5 : 17, co pokazuje iż wrzesień r. b. był mniej pogodny jak zwykle.			
D. 2, 3, 4, 5, 6, 10, 12, 13, 14, 22, 23 pokazywały się płamy na słońcu.			
D. 27 między 5 a 6 wiecz. widziano świetną tęczę podwójną.			

WIDZENIE.

(Z PODAŃ LUDOWYCH).

Matka.

Z nieba do czyśca spadziśtą drogą,
Schodziłam zwolna niepewną nogą.

Tam, koło płota stawa tęsknota;
Każda duszyczka, istna sierota:
Oczy przymknięte, usta się zwarły.
Te, co już bardzo dawno pomarły,
Czasem na chwilę błysną uśmiechem,
I zaraz, jakby uśmiech był grzechem,
Ciemnieją lica, chylą się głowy,
I rozchodzą się bédne niemowy.

Dokoła pustka, gdzie zwrócisz oko,
Wszędzie jak zajrzeć, długo, szeroko;
Żadna się trawka z ziemi nie puszcza,
Gruda i gruda, pochmurna puszcza!
Po polu wicher przeciąga suchy,
W którego zimnie drżą bédne duchy.

Córka.

To te duszyczki, proszę ja matki,
Nie mają swojej na zimę chatki,
Ani przykrycia, ani odzieży,
I to tak wszystko na słońcie leży?

Matka.

O! mają one swoje poddasza,
Ogrody, chaty, takie jak nasza,
I takie wody, i takie pola:—
Ale im do nich wrócić niewola.

Córka.

Cóż one robią? czem się tam bawią?

Matka.

Chodzą po grudzie i nogi krwawią...
A inne proszą rzewnemi słowy,
Żeby im Bóg dał wieniec cierniowy.

I na ich prośby, w pochmurném polu,
Jawi się anioł cichego bólu,
Z koroną Zbawcy całego świata,
Z której kroplami święta krew złata.

A na ten widok okrutnej męki,
Żadna po wieniec nie wznosi ręki:
Ran Zbawiciela słodkich się boją,
I przed aniołem wyklęte stoją;
A potem jakby wróble spłoszone,
Lecą powietrzem w pole zamglone.

Córka.

To dla nich nigdy słońce nie świeci?

Matka.

Czasem małeńki promyczek zleci,
Gdy ludzie mówią Zdrowaś Marya:
Wtedy się słońce przez mgły przebija,
I smutne światło na ziemię sieje,
W którym gromada duchów się grzeje.

Córka.

Teraz co więcej?

Matka.

O dziecię lube!
Szłam coraz dalej przeze mgły grube,
Gdzie bardziej drżące i więcej smutne
Siedzą w swych duchnach dusze pokutne.
Jakem tam przyszła i jaką drogą,
To tylko święci odgadnąć mogą!

Na jednej skale stromej, ponurj,
Nad którą ciężkie płynęły chmury,
Siedziały dusze jedna przy drugiej
Patrząc na pustę żywota smugi.
Po owych smugach snuły się grzechy
W różnych postaciach, marne uciechy.
Tych nagich grzechów uśmiech nieczysty,
Sprawiał umarłym wstyd wiekuisty.

Córka.

A czyto one nie mają dłoni?
Czemuż z nich żadna się nie zasłoni?

Matka.

Nie moje dziecko: ręce duchowe
Są tak przejrzyste, jak kryształowe;
Więc choć się dusza widokiem brzydzi,
Choć się zasłania, to wszystko widzi.

Na brzegu czyśca nieszczęśne duchy
Wydały za mną jęk tęskny, głuchy;
Spojrzałam na nie: stały dokoła,
Schyliwszy na piersi schmurzone czoła.

„—Powiedzcie (rzekłam) co wam potrzeba?”

„—Miłości ludzi, i łaski nieba.

Rzeknij słóweczko w naszej dolinie
Tam, wiesz, gdzie woda przeczyście płynie”.

I nie skończyły; — smutne wspomnienie
Podniosło piersi w jedno westchnienie,
I nappełniło bujnemi łzami,
Że z wiatru spadły deszczu kroplami.

Córka.

Ach Boże! Boże! Powiedzcie dalej
Czyście i dziatki w czyścu spotkali?
Dzieci to prosto do nieba wchodzą:
Złego nie robią, ludziom nie szkodzą!

Matka.

Były i dzieci. Przy końcu drogi
Gdy mi znużone ustały nogi,
Szłam sobie spocząć na małe wzgórze;
Aż tu nademną jak błysnie w chmurze;
A słowo! rzekłam, cóż się-ta dzieje:
Włosy się jeżą, serce truchleje,
Deszcz gwiazd złocistych w oczach mi świeci;
Myślałam w trwodze, że niebo zlecił!

I znowu ciemno: ażci po chwili
Słyszę, że małe dzieciątko kwili:
Jedno i drugie, i coraz więcej,
Wzmaga się przy mnie ten płacz dziecięcy!
Jezu najdroższy! cóżto za głosy
Rozdzierające, płyną w niebiosy?
Żal mnie ogarnął, w oczach się zćmiło!

Córka.

Matulu moja, i cóż to było?

Matka.

Byłyto dzieci zmarłe przedwcześnie,
Co się skarżyły bardzo boleśnie,
Że im świętego chrztu strumień chłodny,
Nie obmył z duszy grzech pierworodny.
Boso, w koszulkach, zmęczone całe,
Leciały ku mnie kochanki małe;
A ja nad niemi, wedle zwyczaju,
Żeby już sobie poszły do raju,
Zrobiłam krzyżyk ręką zyczliwą:

„—Idźcie dziecieczki w drogę szczęśliwą!
Ja was chrzczę w Imię Ojca i Syna”.

Ledwie skończyła, każda dziecina
Wznosi się zwolna w ciche powietrze.
Prześliczne duszki od puchu letsze
Wzlatują w górę, i nad nią głowę
Wiszą plecionką złotą, różową!
Im wyżej lecą tém nieznaczniejsze,
Coraz to mniejsze, coraz to mniejsze:
Jeszcze znać słodki uśmiech aniołków
I lekką odzież barwy fioletków;
Wreszcie znikają jak krople rosy,
I nic już nie ma, tylko niebiosy.

Tak przez tych dzieci kryształne ciała
W czyscu raz jeszcze niebo-m widziała:
Jak przez zasłonę wysoko, w górze,
Wyraźnie Jezus jaśniał w lazurze,
A z dłoni jego padał blask błogi
Na cienie, co mu biegły pod nogi.

Potém szłam dalej mówiąc koronki,
Przez jakies zgniłe, cuchnące łąki,
Po białych liliach, co ślicznie wzrosły,
Smukłe lodygi ku niebu nosły:
I jużby pewnie jak chmurki srebrne,
Splatały świetne wieńce podniebne,
Gdyby im szatan w śnieżne kielichy
Nie wsączył jadu złości i pychy.

Przedemną wdali niebo ciemniało:
Tam nieustannie błyskało, grzmiało.
W powietrzu dziwne słyszałam kłótnie;
A co mi dawniej bywało smutnie,

Teraz się bałam iść w ową stronę
Pod te obłoki, pod zapalone.

Córka.

Żebyście téżto powiedzieć chcieli:
Coście najpierwej w piekle widzieli?

Matka.

Widziałam najpierw jedną rodzinę,
Co przechodziła smutną dolinę.
Plakali razem, nędzę współczuli,
A jedni drugich pod serce kłuli!

Ach! jakie zbrodnie! skończenie świata!
Żona na męża, siostra na brata,
Matka na syna, a syn na ojca,
Jeży się, ślini, rzuca jak zbójca.

Na boku wielka duchów gromada
Schylona niby pod krzyżem pada,
I niby ręce wznosi w pokorze:—
Lecz jako ognie świecą się noże.

Chciałam się schylić po kwiatek złoty,
Co rósł na smugu wdzięcznemi sploty;
Wyciągam rękę chciwa zdobyczy,
A kwiat łeb w górę wznosi i syczy!

Wszystko zniszczone, wszystko się wali,
Trzeszczy, zapada, gnije i pali;
A pod gniewliwych niebios zasłoną
Świćci zła gwiazda miotłą czerwoną.

Córka.

Jak téż wygląda szatan przeklęty?

Matka.

Czasem jak szatan, czasem jak święty:
Raz obrzydliwy lot nietoperza
Jak sieć pajęczą na świat rozszerza;
To znowu jakby okryty zorzą
Udaje piękność i mądrość Bożą!

Córku.

Matenko moja, ja aż się boję,
Gdy powiadacie wędrówkę swoją.
To w piekle żadnej nie ma jasności,
Ani spoczynku, ani radości?

Matka.

Widziałam jasność: tak się świeciło,
Jakby się w nocy miasto paliło.
I radość także słyszałam wściekłą!

Jednego razu śmiało się piekło
Gdy pani panu truciznę wlała,
W pięknym ogródku go pochowała,
Nasiała liści, rutki, i maku,
By po téj zbrodni nie było znaku (1)!

Drugi raz piekło śmiechem wybuchło,
Kiedy śpiewanie w kościółku zgłuchło.
Trzeci raz otchłań śmiechem zawrzała,
Gdy miłość Boga w sercach zagasała.

Na straszném łożu jest i spoczynek,
Na smugu zwiędłych niezapominek.
Tam w jedném miejscu, Bożeż mój, Boże!
Widziałam owe Madeja łoże;
Na niem spi zbrodzień z czerwoną brodą
Cały oblany śmiertelną wodą.
Wąż opasuje spodlone czoło
Zwinąwszy ogon w złociste koło:
Nikczemną duszę kłębami ściska,
Z oczu lzy kapią, jak ze źródlika!
Z pod łoża jakby drzewa wyrosły
Płomienie, złote języki wzniosły,
Targane wichrów szalonych falą,
Jak ognie iskry sypią i palą.

Pod temi drzewy, pod płomiennemi,
Przy łożu zbójcy, siedzą na ziemi
I dużo istot, co niegdyś skrycie
Zatruty młode, niewinne życie.
Tam ja widziałam twarze fałszywe,
Oczy śmiejące, uśmiechy krzywe,
Spiekłe języki po pas wiszące,
Wężowém, czarném żądłem drgające.
Zdradzieckich palców węzeł skurczony,
Błyszczał się zdala krwawemi szpony.

Córka.

To pewnie Judasz, matenko droga,
Leżał na łożu, co wydał Boga?

(1) Zwrot do znanych pieśni ludu naszego.

Matka.

Nie, moje dziecko. Jezus kochany
 Zszedłszy do piekła targać kajdany,
 Ujrzał Judasza jak stał na boku,
 Z śliną na brodzie, ze zdradą w oku.
 Najwyższa Miłość litością zdjęta,
 Najpierw z wroga zerwała pęta.
 Ten, co zwyciężył piekła cierpieniem,
 Powłókł po zdrajcy smutnym spojrzeniem,
 I żadnej męki, żadnej katuszy
 Nie raczył zadać tej marnej duszy:
 Zostawił tylko pamięć żywota,
 I zrosły z ręką, sak pełny złota.

Któż wszystkie nędzy piekła wypowie?....
 Owe łzy sierot, przekleństwa wdowie
 I klątwy matek! O! niech Bóg bronil!
 Widziałam w jednej strasznej ustroni
 Jak pokurczone zbrodniarzy ciała,
 Jedna sieroca łąza pobijała;
 A klątwy matek, jak trąby brzmienie
 Wstrząsały całe piekielne przestrzenie....

Na brzegu piekła jeszczem widziała,
 Przy ciemnych grobach leżące ciała,
 Które z wnętrzości ziemia wyrzucił
 Ten widok srodze serce zasmuca
 Na myśl, jak człowiek siebie zohydzi,
 Że aż nim martwa ziemia się brzydził...

Córka.

Matulu moja! czy owe duchy
 Nie mają żadnej w świecie otuchy?

Matka.

O! mają one jedną nadzieję:
 Że się rąk ludzkich praca rozwieje,
 I że na ziemi, jak próżna mara,
 Zniknie nadzieja, miłość i wiara.

Przeklęte piekło, na wszystko w świecie
 Wściekły jad rzuca, obelgi miecie.
 Brzydząc się cichą pracą człowieka,
 Tłuszcza piekielna wciąż jeno szczeka.
 A ci co w piekło latają w górze,
 Sieją wichrami, by zbierać burze!

Wszystko inaczej, wszystko odwrotnie:
Przez te otchłanie trza iść samotnie,
Bo każde podłe, zdradliwe ramie,
Bo każdy uśmiech, serce ci złamie.

Póki mi życia na świecie starczy,
Wrzask, którym piekło bezdenne warczy
Będę słyszała; słowa bezczelne
I te postaci złe, nieśmiertelne,
Co leżą nago na ziemi tłumnie,
W pamięci będą krzywić się ku mnie.

Tak przeszłam drogę, smutno, boleśnie.
Naraz przeglądam, czy jeszcze nie śnię?
Wkoło mnie ludzie: ci trumnę niosą,
Inni oblani rzewną łez rosą.
Dziad przy mych nogach mówi pacierze,
A ty kochanko, modlisz się szczerze,
I patrzysz na mnie z taką miłością,
Że zapukało serce radością!

Zniknęło z oczu marzenie senne
I jakieś światło, ciche, promienne
Wstąpiło we mnie jak biała zorza,
Jak czysta miłość, jak łaska Boża.

Spojrzałem w okno: to samo sioło,
Siwy dąb schyla stuletnie czoło,
Woda się świeci jak srebrna łuska,
Kilkoro dzieci w stawie się pluska.
I znowu jestem na swojej ziemi,
W chatce, pomiędzy ludźmi dobrymi.

Wiem ja, dziecino, moje godzinę,
I wiem, że z łaski Bożej nie zginę:
Więc mnie nie płaczcie w skonania chwili,
Ani żałujcie, o moi mili!
Jeno mnie płachtą okryjcie białą,
Potém do trumny połóżcie ciało,
A potém bracia, krewni, rodzina,
Niech zaśpiewają *Salve Regina!*

L.



PAMIĘTNIK O TOMASZU ZAMOJSKIM

KANCLERZU W. KOR.

UŁOŻONY PRZEZ

Severyna Gołębiewskiego.

(Dokończenie).

W 1628 powracając z Prabut Zamojski wstąpił do Warszawy, zabawił trzy dni przy dworze i puścił się w dalszą drogę; w Zamościu stanął 6 września. W téj drodze zachorował Jan Swiężyński, porucznik hussarski; chorego odwieźli z Prabut do Torunia, tam umarł, a ciało sprowadzono do Zamościa, gdzie pogrzeb odbył się z wielką okazałością, na którym znajdował się Zamojski z całym dworem.

Nastąpił sejm dwu-niedzielnny w Warszawie, na który Zamojski przybył z osobną komitywą. Spodziejając się że otrzyma pieczęć mniejszą, wielu panów wysłało naprzeciw niemu swoje dwory, mianowicie Wężyk arcybiskup gnieźnieński, i bracia Łubienscy biskupi kujawski i płocki; więc dwornie wjechał do gospody (w rynku u Orlemusa). Jakoż na sejmie król dał pieczęć wielką Zadzikowi, a mniejszą Zamojskiemu, 13 lipca, przez ręce Łukasza Opalińskiego marszałka w. kor. Winszowano mu z wielkim aplauzem, niemal wszyscy senatorowie odprowadzali go do gospody. We dwa albo we trzy dni potem

nową łaską od króla został zaszczycony: otrzymał starostwo jeneralne krakowskie, wakujące po śmierci Tarnowskiego (1).

4 września przybył do Zamościa, 22 listopada wjechał na starostwo krakowskie. Już wtedy chorował na pedogrę i nie mógł stąpić o swojej mocy; w drodze noszono go na krześle, jako jeno z Krańnika wyjechał, aż do ostatniego noclegu pod Krakowem. Z Krakowa na jego spotkanie wyjechały dwory panów i niemało obywatelstwa, prowadząc nowego starostę na zamek. W rynku wysiadł z karety i kazał się zanieść do kościoła N. Panny. Po modlitwie, z podziwieniem obecnych, wstał o swojej mocy i chodzić zaczął, niedając żadnego znaku bólu: wsiadł na konia, a potem na zamku u grobu św. Stanisława powinne Bogu dzięki oddawał. Tego dnia bankietował urzędników ziemskich i obywateli, nazajutrz roki sądził. Spraw nazbierało się siła, bo przeszły starosta miał taki zwyczaj, że na jutro odkładał, i tak przez dwa lata spraw nie sądził.

Przez całą zimę (16²⁹/₃₀) dokuczala Zamojskiemu pedogra: więcej był chory jak zdrów; jednak urząd podkanclerzego z wielką gorliwością odprawował. Jechał więc do Torunia, ale pod Sochaczewem spotkał króla wracającego do Warszawy, z powodu szerzenia się powietrza w Prusiech. Zmieszkał przy królu czas niemały, i wybierał się do Krakowa dla sądenia roków, ale król wstrzymał go od téj drogi, bo właśnie wtedy kanclerz Zadzik w Prusiech pilnował traktatów, i nie zostałoby żadnego pieczętarza przy boku królewskim.

Kommissarze zawarli rozejm z Gustawem do lat sześciu. Nastąpił potem sejm dwu-niedzielny, bardzo niebezpieczny z powodu szerzącego się powietrza; Zamojski na nim był obecny. Poseł angielski Tomasz Rhe, który był pośrednikiem przy zawarciu rozejmu, zjechał na ten sejm do Warszawy; Zamojski przyjmował go wspaniale, odwdzięczając uprzejmość doznaną niegdyś na dworze angielskim: ofiarował mu w upominku kosztowny klejnot, i konia tureckiego z bogatym rzędem.

Kiedy odjeżdżał z Warszawy ku domowi, w Milanowie zaśła go wiadomość o śmierci Alexandra księcia Zasławskiego wojewody kijowskiego. Zamojski wiedząc jakiego człowieka

(1) Tomasz Zamojski był starostą krakowskim, knyszyńskim, sokalskim, rabsztyńskim, nowotarskim i kałuskim. Sokalskim starostą został w 1631, nowotarskim w 1633, kałuskim w 1636.

to miejsce pograniczne potrzebuje, dla obrony od Tatarów i powściągnięcia swawoli kozackiej, z Milanowa powrócił do Warszawy, i proponował królowi służbę swego Stefana Chmieleckiego chorążego braclawskiego, człowieka bogobojnego, trzeźwego, poważnego, a przede wszystkim biegłego w dziele rycerskiem. Namyslał się król przez dni kilka, a już wielu zaczęło się starać o wakujące województwo. Odradzali królowi zazdrośni dobrej sławy, która wyrasta z zasług osobistych; mieli za sobą rację niepoślednią, że nieprzystoi aby krzesła senatorskie słudzy panów zasiadali; ale Zamojski gorącemi prośbami wspierał cnotę i zasługi Chmieleckiego, przypominał zwycięstwo pod Tarnopolem, pod Białącerkwią, i świeżo w listopadzie 1629 odniesione pod Bursztynem, gdy Kantemira z wielkimi ordami rozgromił. Za jego przyczyną król nadał województwo Chmieleckiemu, który o tém nie wiedział i nie spodziewał się tego, gdyż na Ukrainie granic państwa broniąc a pokoju pospolitego przestrzegając, nie myślał o zaszczytach. Zamojski nie pierwój odjechał aż król przywilej podpisał; zatém wziął przywilej i uniżenie podziękował królowi, który serce swoje ku zasłużonemu mężowi przychylił. Rzecz ta wywołała między ludźmi rozmaite sądy: jedni ganili Zamojskiego, drudzy przyznawali mu wielką cnotę, że swojego sługę, dobrze zasłużonego krajowi, na tém miejscu w senacie posadził, na którym sam niedawno zasiadał.

Z pogromu wojska tatarskiego pod Bursztynem, zabłąkał się Islam Giraj sołtan, który potem został w ordzie kałgajem, w Polsce z Chmielnickim wojował a został schwytyany przez żołnierzy Lubomirskiego wojewody ruskiego. Ten więzień siedział pod strażą we dworze Hermolausa Ligęzy podskarbiego kor. Zamojski, którego gospoda niedaleko była od tego dworu, często więźnia do siebie zapraszał, a że sam po turecku umiał, rozmawiał z nim wiele to o sprawach wojennych, to o kraju rodzinnym, to go cieszył łagodnymi słowy, u stołu blisko siebie sadzał, i tak go zobowiązał że sołtan prosił króla, żeby go pod straż oddał Zamojskiemu. A gdy król go zapytał, z jakiego powodu nie chce być przy panu podskar bim, krótko odpowiedział: „bo Ligęza na wojnie nie bywał”; chcąc przez to pokazać, że kto sam nie doznał przeciwnego losu, ten dla drugich nie umie być wyrozumiałym. Wprawdzie nie stało się według jego życzenia, ale odtąd więcej zwracano na niego uwagi. A nim Zamojski

z Warszawy wyjechał, prosił króla, żeby sołtanowi dodano służbę tatarzyna, który w téjże bitwie został wzięty w niewolę i siedział w okowach; za tę przysługę sołtan Zamojskiemu wielce dziękował.

Powróciwszy do Zamościa posłał do Chmieleckiego, prosząc, żeby go odwiedził; więc przyjechał ze swoją żoną i z dwoma synami, Łukaszem i Adamem; a chociaż nie miał jeszcze żadnego oznajmienia o łasce królewskiej, jednak wiedział już o tém z powieści, i przystojnie ze słuszném towarzystwem przyjechał do Zamościa. Zamojski posłał zaraz po niego, żeby się nie bawił, bo już czas obiadu następował. Tego dnia nic mu nie powiedział, dopiero nazajutrz, po mszy wielkiej, w obec zebranych gości oddał mu przywilej przez ręce Piotra Oleśnickiego sekretarza królewskiego. Potém wesele wyprawił słudze swemu Borowskiemu; chociaż chory był na ślubie, i u stołu pana Chmieleckiego już nie jak sługę swego, ale jak senatora wyżej od siebie sadzał, ciesząc się z nim ile mu zdrowie pozwalało. Chmielecki kilka dni w Zamościu zabawił, a potém miał do króla jechać dla podziękowania za okazaną sobie łaskę; ale że niebezpieczeństwo groziło od Tatarów, dawszy pokój dworowi pojechał do Nowego Międzyboża, gdzie niebezpiecznie zachorował.

Do Zamościa w gościnę przybyło towarzystwo zpod chorągwi kwarcianej Zamojskiego, która miała stanowisko w Bełzie; gościnnie ich przyjął i utraktował. A że miał zjazd z panią Chodkiewiczową wojewodziną wileńską, rodzoną siostrą swojej żony, umówiony na dzień 15 lutego 1630 w Łucku, dla załatwienia niektórych spraw przed aktami; nie folgując zdrowiu wyjechał z domu i przed wieczorem stanął w Oryszowie Ruskim w domu pana Oryszowskiego, gdzie całą noc chorował. Nazajutrz miał się gorzej, trzeciego dnia bardzo źle; więc wrócił do Zamościa. Sprowadzono ze Lwowa sławnych lekarzy: Erazma Syksta i Kliszewskiego, którzy radę złożyli i kilka dni przy nim zamieszkałi.

20 lutego równocześnie przyniesiono od króla przywilej dla Chmieleckiego na starostwo owruckie, i z Ukrainy żalną wiadomość o jego śmierci. Wrzód w garle sprowadził go ze świata. Zamojski wielce go żałował, księżom i ubogim rozdał jałmużny za jego duszę, a do króla wstawił się za jego synami,

Łukaszem i Adamem; zatem król zachował ich przy Taborowie z inszemi wsiami w województwie kijowskiem.

W marcu jeździł do Jarosławia tentując o zgodę ze swoim szwagrem Lubomirskim wojewodą krakowskim, w sprawie o dobra jarosławskie; nie przyszło do skutku z rozmaitych powodów. Potém z Zamościa zaraz po Wielkanocy udał się do Krakowa na sądy, i szóstego dnia wszystkie sprawy odsądził. Z Krakowa wspólnie z jejmością jeździł do Częstochowy, a wracając do domu sprowadzili do Krzeszowa dzieci, i razem z nimi pojechali do Leżajska, gdzie wysłuchawszy nabożeństwa przed obrazem Bogarodzicy, siebie i dziatki poruczali boskiej opiece. Powróciwszy do domu Zamojski z podróżynych niewczasów wpadł w chorobę, i przez kilka tygodni cierpiał bole pedogryczne. Przez lato bawił w Zamościu, a gdy król przed powietrzem morowém miał zamiar wyjechać z Warszawy, Zamojski ofiarował mu na mieszkanie Zamość albo Knyszyn. Król wdzięcznie przyjął jego chęci, ale nie zgodził się na Zamość, a królowa bała się knyszyńskiego zamku dla jakichś strachów, i tak powiedziała: „Choćby mnie brat mój rodzony cesarz J. M. zapraszał na noc do knyszyńskiego zamku, tobym tam nie nocowała” (1). Zatem oboje z całym dworem wyjechali do Tykocina; Zamojski także tam się udał, a mieszkając w folwarku pod Knyszynem, ledwie nie codziennie u króla bywał, królewicza i senatorów przy boku królewskim bawiących, jak księdza Zadzika kanclerza koronnego, Łukasza Opalińskiego marszałka w. kor., Wiesiołowskiego marszałka nad. lit., Denhofa wojewodę dorpackiego, wspaniale u siebie traktował. Przez cały adwent bawił w tym folwarku więcej choro jak zdrowo; na wilią sprowadził się do Tykocina, i tam przy królu mieszkał, aż do wyjazdu na sejm złożony w Warszawie.

Sejm zaczął się 29 stycznia 1631. Posłowie ziemscy z marszałkiem swoim przyszli powitać króla; Zamojski odpowiedział na ich przemowę, propozycją od tronu miał ksiądz Zadzik. Po sejmie wrócił do Zamościa, wkrótce jednak wyjechał do Krakowa na sądy. Za radą lekarzy udał się do Egru, do cieplic w Czechach, i strawił tam na lekach sześć miesięcy. Niewiele czuł poprawy w zdrowiu po tych wodach egierskich.

(1) Jakub Zadzik kanclerz kor. do Tomasza Zamojskiego, 26 września 1630.

Z^opowinności swojej senatorskiej przybył na sejm trzy-niedzielny, który się zaczął 11 marca 1632, a skończył zgodnie 3 kwietnia o 11 godzinie w nocy. Wielkanoc przepędził w Warszawie, aż też król Zygmunt z melancholii po śmierci żony, a po części też z samej starości chorować zaczął. Niegodziło się pod taki czas odjeżdżać do domu, więc Zamojski pilnował usługi i zdrowia królewskiego; a gdy postrzegł znaki blizkiej śmierci, wyprawił do Jana Wężyka jako do prymasa, żeby czém prędzej przyjeżdżał, bo już królowi mowę zamknęło; było to 28 kwietnia. Więc na drugi dzień pozwolony był przystęp ludziorom wszelkiego stanu do całowania ręki królewskiej; wszystko co żyje szło do królewskiego łóża na ostatnie z nim pożegnanie, i trwało to dzień cały. 30 kwietnia 1632 Zygmunt III Bogu ducha oddał.

Po śmierci króla Zamojski kilkanaście dni w Warszawie zabawił, znosząc się z królewiczami i z prymasem o sprawach pospolitych. Bezpieczeństwo Krakowa własnymi ludźmi opatrzył, straż zamku powierzył Janowi Komorowskiemu podstarościemu, tudzież sługom swoim zaufanym, Andrzejowi Drwalewskiemu i Danielowi Falibowskiemu, to im przykazawszy, żeby nikogo na zamek nie puszczali; co też oni pilnie wykonali, bo nie puscili nawet panów obywateli ziemskich, którzy się zebrałi na sądy kapturowe i chcieli je w zamku odprawować; przez to wywołali wielkie oburzenie i niechęć przeciwko sobie, i przeciwko panu u wszystkiego województwa.

Prymas porozumiawszy się z senatorami naznaczył konwokacyą na dzień 22 czerwca. Na konwokacyi postanowiono, że elekcyja ma się odbyć 17 września pod Warszawą.

Zamojski sposobił ludzi wojennych, zaciągnął hussarów 150, nad któremi rząd powierzył Pawłowi Złotowskiemu, ze sług ukraińskich i wołyńskich miał hussarzy 150, któremi dowodził Jan Dzik chorąży braclawski, petyhorców 200, którzy zwykli poczty hussarskie osadzać, dragonów koni sto, kozaków młodzieży koni sto, piechoty słuzałej ludzi 200, piechoty z dóbr trybem niemieckim wyćwiczonój 800. Przymem przyjacioł i sąsiadów z ziemi bełzkiej i chełmskiej miał z sobą osób 30. Taką tedy zebrawszy gromadę ruszył z Zamościa 9 października, do Warszawy przybył 16, wprost pojechał na zamek konno z przyjaciołmi i sługami, nawiedził ciała królewskie, bo i królowa nie była jeszcze pochowana, powitał królewicza i udał się

do swojego dworu. Ludzi wojennych rozłożył blisko Warszawy w Czerniakowie i w Milanowie, przy sobie zostawił 200 piechoty, kozaków i dragonów.

Przez cały czas elekcji jeździł do koła w pole. Elekcya ciągnęła się kilka tygodni; 8 listopada 1632 zgodnie obrano Władysława. Przed nowo obranym królem Zamojski popisywał się ze swoją piechotą, która przed królem wykonywała obroty i robiła bronią.

Powrócił do domu, żeby się przysposobić na sejm koronacyjny. Wtém odebrał wiadomość o śmierci Gustawa Adolfa pod Lucen, która nastąpiła 16 listopada 1632. Za to dobrodziejstwo kazał Bogu dzięki publiczne złożyć w kościele farnym. Tegoż dnia (15 grudnia) otrzymał wiadomość o nastąpieniu wojska carskiego na Smoleńsk, na którym zamknął się Gosiewski wojewoda smoleński w 1300 ludzi.

W styczniu 1633 Zamojski przybył do Krakowa na sejm koronacyjny (1). Król odbył wjazd 3 lutego. Nazajutrz wprowadzone zostały ciała królewskie i pochowane w kościele ś. Stanisława. Zamojski chociaż chory, z wielką przykrością i utrudzeniem szedł piechotą od Floryańskiej bramy aż na zamek, na ramionach sług niekiedy odpoczywając. W kościele też statecznie trwał podczas pogrzebu, po śmierci jak za żywota oświadczając królowi uprzejmą wiarę.

Koronacya odbyła się 6 lutego; 7 król hołd od miasta przyjmował. Po królewsku się ubrawszy zasiadł w rynku na majestacie, senatorowie téż swoje krzesła zasiedli. Magistrat ofiarował królowi klucze pozłociste na pozłocistej tacy, i kubki w których było około tysiąca dukatów. Na przemowę odpowiedział Zamojski, klucze królowi oddał, a tacę sobie zatrzymał; taki bowiem był zwyczaj, że taca i kubki dostawały się temu, co na mowę odpowiadał (2).

Posłowie ziemscy zgodnym głosem obrali marszałkiem izby poselskiej Mikołaja Ostroroga wojewodzica poznańskiego. 8 lutego pićrwszy raz król zasiadł w senacie; Ostroróg go powitał, Zamojski od króla podziękował. 9 lutego podał propozy-

(1) 19 stycznia 1633 Władysław pisał do Tomasza Zamojskiego z Warszawy, prosząc żeby go wymawiał przed drugimi, że nie może przybyć na czas od stanów naznaczony na pogrzeb i na koronacyę.

(2) Pamiętniki Albrychta Stanisława Radziwiłła.

cyą ksiądz Zadzik kanclerz kor. 12go uśmierzone zostało za wdaniem się królewskim i staraniem przyjaciół nieporozumienie domowe, między Anną z Sztemberku Ostrogską wojewodziną wołyńską i Stanisławem Lubomirskim, a Tomaszem Zamojskim. Obadwaj panowie pojednali się z sobą. 17 lutego sejm został zamknięty, a posłowie króla pożegnali.

Wakowała kasztelania krakowska, która była nadana i przywilejem potwierdzona Zamojskiemu jeszcze przez nieboszczyka króla; lecz on nie chciał ustępować pieczęci, woląc służyć krajowi na urządzie, niż zasiadać na pierwszym miejscu w senacie; więc i teraz wymówił się królowi od przyjęcia téj godności (1).

Zamojski 30 marca powtórzył nowemu królowi przysięgę na starostwo krakowskie, potem sprawy sądził i przyjmował u siebie króla w kamienicy starościńskiej. W końcu kwietnia wyjechał do Zamościa, a że często napastowały go bole pedergryczne, postanowił zdrowie ratować, zaniechawszy na czas spraw publicznych. 20 sierpnia wyjechał do Włoch razem z żoną. W Lorecie zwiedzili miejsca święte; powrócił w grudniu z polepszonym zdrowiem. Pod niechytność jego w ojczyźnie, gdy Tatarzy wpadli w granice, gromada ludzi żołnierskich z dóbr jego zaciągniętych, stanęła przy wojsku kwarcianém pod sprawą Stanisława Koniecpolskiego kasztelana krakowskiego, i mężnie czyniła przeciw nieprzyjacielowi (2).

Dziwnie to bolało Zamojskiego, że na wyprawie pod Smoleńskiem nie mógł być przy boku królewskim; chciał posłać pewien poczet ludzi, i już się koło tego pilnie krzątano, kiedy Pan Bóg sam szczęśliwie tę wojnę zakończył.

Cesarz turecki Amurat za radą Abazego paszy wojną Polsce zagroził. Na posłuchaniu które dał Alexandrowi Trzebińskiemu podkomorzemu lwowskiemu, szablę do wół wy dobył i łbem dumnie trząsnął, powiadając, że zniesie królestwo polskie. Otrzymawszy o tém sprawę, król wracając z pod Smoleńska w 1634 r. krótki sejm w Warszawie złożył, i sam spiesznie udał się do Lwowa razem z braćmi, Janem Kazimierzem i Alexandrem. Widząc w Polsce gotowość do boju, Amurat zmienił zdanie: Abazego kazał udusić, a Murtazie paszy polecił trak-

(.) Pamiętniki Albrychta Stanisława Radziwiłła.

(2) Władysław IV do Tomasza Zamojskiego 23 grudnia 1633, i 7 marca 1634.

tować o pokój. Król wracając ze Lwowa, przyjął gościnnie u Zamojskiego i polował z nim we zwierzyńcu.

Oslabiony bólami pedogrycznemi, na łóżku niemal całą zimę przeleżał; wstał jednak dla dopełnienia ślubu, i wyjechał do Częstochowy 12 kwietnia 1635. Udał się potem na pogrzeb królewicza Albrychta biskupa krakowskiego, a zachorowawszy niebezpiecznie, 13 maja wyjechał z Krakowa do Zamościa.

Król bardzo sobie życzył żeby w Prusiech Zamojskiego miał przy swoim boku. Wojsko było znacznie powiększone, miał też cesarskich ludzi, ale biedził się z myślami, komuby ster rzeczy poruczyć, gdy do wojny albo do traktatów ze Szwedami przyjdzie. W kanclerzu Zadziku nie miał wielkiego zaufania; to też lubo drugich kommissarzów naznaczył, wstrzymywał się z mianowaniem pierwszego kommissarza. I kiedy sekretarz, Stanisław Pstrokoński, list od Zamojskiego odebrał, król zapytawszy o jego zdrowiu, te słowa dodał: „Dałbym wiele, żebym go mógł mieć z sobą w Prusiech; nie wygadza mi pan ociec jego (na kanclerza przymówka), trzebaby tam innej głowy (1)“. Nikogo z senatorów zaciągać z sobą nie kazał, oprócz Zamojskiego, rozumiejąc, że będzie miał z niego dosyć pomocy tak do prowadzenia wojny, jak do zawarcia pokoju. Wziąwszy sprawę o jego niesposobnym zdrowiu, kazał list do niego napisać, że chociaż wielce go potrzebuje nie chce jednak, żeby gwałt zadawał swojemu zdrowiu, jedno żeby starał się o jego poratowanie; tém goręcej, że takich jak on ludzi, w tak trudnych czasach ojczyzna potrzebuje (2). Zamojski niemogąc stawić się osobiście, znaczną sumę posłał królowi na wystawienie floty (3).

W 1635 były dwa sejmy: na pierwszym nie był dla słabości zdrowia, na drugi przyjechał, kiedy król z Prus powrócił szczęśliwie, postanowiwszy pokój ze Szwedami na lat 26. Na tym sejmie za postąpieniem księdza Zadzika na biskupstwo krakowskie, Zamojski otrzymał pieczęć w. koronną, 30 listopada 1635, w zgromadzeniu senatu. Siedział król na tronie, a marszałek nadworny kor. piękną wymową aż pod niebiosa wynosił godność kauczerską. Zamojski przystąpił do tronu i z rąk

(1) Stan. Pstrokoński do Tom. Zamojskiego 6 czerwca 1635.

(2) Przemysław Rudnicki do Tomasza Zamojskiego, bez daty.

(3) Władysław IV do Tomasza Zamojskiego 3 sierpnia 1635; Stanisław Pstrokoński do Tomasza Zamojskiego 3 sierpnia 1635.

królewskich wzięwszy pieczęć, nogi królewskie ścisnął, potem z miejsca swojego dziękował, i znowu przystąpiwszy do tronu oddał pieczęć mniejszą i rękę królewską pocałował. 5go grudnia na radzie, nowy kanclerz ostro się oświadczył przeciw związkowi małżeńskiemu z heretyczką (1). Po zakończeniu sejmu powrócił do Zamościa i odbył pogrzeb Anny ze Sztemberku ks. Ostrogińskiej, matki żony, 7 stycznia 1636 w Jarosławiu. Na sejm warszawski przybył chory, i ledwie nie upadł przy krześle królewskiem, odprawiając sejmową propozycją, 21 stycznia 1637; król kazał mu podać stolek, żeby folgując sobie rzecz zaczęta kończył. Im dalej, tém bardziej zapadał na zdrowiu, chociaż krzepił się i bywał w senacie. Król często go odwiedzał i lekarzy swoich do niego przysyłał. Chcąc mu dać dowód łaski, pozwolił na ustąpienie starostwa kałuskiego synowi, który nosił imię wielkiego Jana.

Po sejmie odjechał do Zamościa i cały rok chorował. Przewidując, że go czeka krótki żywot, o to się tylko starał, żeby jak najlepiej mógł go dokonać, i o tém często rozmawiał z duchownymi, a mianowicie ze swoim spowiednikiem Bartłojem Sylwiuszem jezuitą. Testament często poprawiał, ludzi ukrzywdzonych nagradzał, kościoły w Raszkowie, w Jampolu i w innych slobodach budować kazał; do Zamościa sprowadził Franciszkanów i własnymi rękami kamień węgielny założył (2); szpitale w Równem, Krasnem i Tarnopolu fundował; żonę pilnie prosił, żeby po jego śmierci rozmaite pobożne nadania do skutku doprowadziła. Nie zapomniał i o akademii Zamojskiej, którą wielce miłował. Bywało, kiedy w Zamościu mieszkał, rzadki był dzień, żeby u stołu nie było którego profesora. Rektorowi sprawił togę aksamitną fioletową; akademii darował dwa berła pozłociste. Na lekcjach i dysputach często bywał i młodzieży sam kwestye zadawał. Ojcom Jezuitom nazaczył 70,000 złotych, żeby w Łotkowcach albo w Skinderpolu na Ukrainie wybudowali skromny kościół, i żeby prowadzili lud do jedności w wierze.

Rozporządziwszy dom należycie, przygotowany na śmierć jak przystało dobremu chrześcianinowi, Bogu ducha oddał 8 stycznia 1638, z nieutulonym żalem żony i dzieci. Zostawił

(1) Pamiętniki Albrychta Stanisława Radziwiłła.

(2) 13 czerwca 1637.

dwie córki: Gryzeldę Konstancją lat 15, Joannę Barbarę lat 14, i syna Jana w roku 11tym. Pogrzeb odbył się w Zamościu 6 lutego; ciało pochowano w grobie rodzinnym w kollegiacie zamojskiej (1).

LISTY

ZAŁĄCZONE DO PAMIĘTNIKA

O TOMASZU ZAMOJSKIM.

Jan, Jerzy i Andrzej Drzewieccy do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Jan, Jerzy i Andrzej Drzewieccy, którzy wespół z Tomaszem Zamojskim pobierali nauki w akademii zamojskiej, żalują wielce jego nieobecności i pocieszają się tą myślą, że jeszcze do akademii powróci. Wspominają o preceptorze Bodzeckim, który ich opuścił udając się do Tomasza Zamojskiego, a który był dla nich ojcem raczj jak preceptorem. Wreszcie polecają służby swoje jego matce, prosząc, żeby ich z miłości przyjacielskiej nie raczyła wypuszczać. Z Zamościa, 25 lipca 1602.

(1) Pamiętnik o Tomaszu Zamojskim został ułożony z listów współczesnych i z życiorysu napisanego przez Stanisława Żurkowskiego, który był przy boku Tomasza Zamojskiego od 16 roku jego życia. Ten rękopism w dawniejszym odpisie, z którego 27 kart pierwszych i 69 środkowych jest wydartych, taki ma tytuł: Manuskrypt za życia j. w. j. m. pana Tomasza Zamojskiego kanclerza koronnego, korespondencji publicznych i prywatnych, przez dworzanina jego pisany. Na drugiej stronie: Diariusz Tomasza ordynata Zamojskiego kanclerza w. kor. od roku 1620 do r. 1638 przez dworzanina jego pisany. W późniejszym zaś odpisie: Życie nieśmiertelnej pamięci j. w. j. m. p. Tomasza Zamojskiego kanclerza koronnego przez Stanisława Żurkowskiego, od roku 1609 do roku 1638 porządnie opisane.

Nadanie prawem dożywotniem wsi Piiskorzewic.

(Z odpisu).

Andrzej Sredziński żeniąc się z Anną Łażnińską krewną hetmana, panną dworską jego żony, otrzymał nadanie prawem dożywotniem wsi Piiskorzewic, należącej do dóbr krzeszowskich w ziemi przemyskiej, z zastrzeżeniem, że gdyby po jego śmierci Anna Łażnińska weszła w powtórne śluby, traci dożywocie. Nadanie datowane w Zamościu 26 maja, 1605, nie było podpisane przez Jana Zamojskiego z powodu bólu ręki, a potem nagłej śmierci. Opiekunowie małoletniego Tomasza Zamojskiego, Jerzy Zamojski bis. chełmski, M. Zebrzydowski wda krakowski, Marek Sobieski wda lubelski i Stanisław Zółkiewski kaszt. lwowski, za zezwoleniem wdowy hetmańskiej Barbary z Tarnowa, potwierdzili to nadanie w Zamościu 4 lipca 1605, jako zgodne z wolą zmarłego.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Troć listu).

Najmilszy synu. Pana Boga za to chwałę, że o twojem dobrém zdrowiu usłyszała. Temes mię ucieszył, że Panu Bogu służysz, jako wiem żeś na święto Wniebowzięcia Panny Maryi przyjmował Pana Jezusa. Czyż to jako najczęściej na święta Panny Mariej, apostołskie i uroczyste, a miej w Bogu nadzieję, że ciebie nie opuści. O wczasie twym rada słyszę i to że nie tesnisz; dziękując za to żeś tak bacznym: głupim synom to przyzwoiła tesnić do matek, a mądrych starać się o to, żeby matkę ucieszyć służąc Panu Bogu, ucząc się pilno nauk i obyczajów przystojnych. Z Krzeszowa, 18 sierpnia 1605.

Janusz Ostrogski kasztelan krakowski do Stanisława Tarnowskiego kasztelana sandomirskiego.

(Z odpisu).

Iż po Bogu nikt inszy okrom rodziców krzywdy dziełek swych dochodzić i domawiać się nie jest bliższym, tak pewnie w. m. m.

m. panu słasznie to pochwalono być musi, że tak znacznego ukrzywdzenia córki swej domawiać się będziesz. Jakoż i nas powinnych domu w. m. niepomatu boleć i obchodzić musi, że tak wielkiego i znacznego domu Tarnowska w dom j. m. panów Zamojskich dana, na takowy potem contempt przychodzi. W tem piśmie w. m. m. m. pana do j. m. pana lwowskiego (1) nic zdrożnego nie baczę; i owszem toż mi się zda, aby byli niem wprzód ichmość upomnieni i t. d. W Częstocicach d. 21 augusti 1605.

W. m. uprzejmy siestrzeniec i sługa

Janusz ksiączę Ostrogski kasztelan krąkowski
ręką swą.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Z oryginału).

Tomasiuńku! I z twego listu i z powieści Łażnieckiej zrozumiałam o twem zdrowiu dobrem; dziękuję Panu Bogu za nie; nie zaniechawaj mi o niem oznajmować ileć się trafi. Jam zdrowa, miewam sam goście którym bywam rada, ojce barnadyny i siostry tegoż zakonu z Przyworska. List od j. m. pani lwowskiej (2) odsyłam ci nazad; dobrze napisany, i twój dobrze. Tatarów jeszcze się nie boję i nie gotuję się uciekać; czekam co dalej będzie. Panu Bogu cię poruczam. W Krzeszowie 2 września roku bożego 1605.

Matka twoja życzliwa

Barbara Zamojska z Tarnowca
ręką własną.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Posyłam ci parę obrazków na ołtarzyk, żebyś się nabożnie modlił. Pytaj się kiedy posyłają do Krakowa, żebyś kiedy do p. dziadka i p. babki napisał. Z Krzeszowa 29 lutego 1606.

(1) Stanisława Żółkiewskiego.

(2) Reginy Żółkiewskiej.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Ucieszyłeś mnie tą twoją chęcią czytania o rzeczach potrzebnych do zbawienia, co aby ci tem lepiej smakowało, posyłam ci łacińskim językiem o naśladowaniu Pana Jezusa. Pomnij żeś najpierwszy ten wiersz łaciny umiał: „początek mądrości jest bojaźń Pańska.“ Prawda, że i wedle świata chcę cię mieć mądrym, ale i duchownie tem bardziej, bo to jest wieczne dobro. Replikwiarz od ojca prowincyała ojców jezuitów „posyłam ci, i cztery obrazy tych błogosławionych ojców i odpusty ich; umiej te rzeczy poważać i kochać się w nich. Z Krzeszowa 22 maja 1607.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Powiedziano mi, że nie masz wina węgierskiego; posyłam ci puzderko i parę flaszek między niem piolunkowego; kiedybyś czuł jaką surowość żołądka, używaj go. Opiece boskiej cię poruczam. Z Krzeszowa 23 listopada 1607.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Z oryginału).

Mój namilszy synu.

Widzę, że cię Pan Bóg inakszym ma niż ludzie mieć chcą: czujesz i o sprawach swych i pono nie bez frasunku; ale to wiedz i tem się ciesz, że cię nic nie potka, jeno co Bóg dopuści. Siemotaś, cierpieć musisz; ale Bóg sprawiedliwy pomści się a tobie nagrodzi. Wiedz, że ociec ojca twego w małych majątnościach odumarł, a za błogosławieństwem bożem i cnotą do takich był przyszedł, jakie zostawił. Ja jechać i czynić co dobrej matce należy będę, Pana Boga biorąc na ratunek, którego opiece cię poruczam. 10 lutego roku 1608.

Matka życzliwa

Barbara Zamojska z Turnowa
ręką własną.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Dla ratunku spraw twych przyjechał tu j. m. pan wojewoda (1). Wesele kiedy bez twego kosztu i ucisku poddanych niech ci będzie wesole. Pokazuj jegomości swoją uniżoność, a nie frasuj się: będzie da Bóg lepiej z twemi rzeczami niż było dotąd. Jest to pan dobrego sumienia. Ichmość pannom wojewodzankom zaleć służby moje i j. m. panu staroście rubieszowskiemu (2). Ja da Pan Bóg na karpia postnego do ciebie przyjadę, mniej oń dbam, ale dla twych spraw będę. Z Krzeszowa 14 lutego 1608.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu)

Jakom mięsupustowała, powieć ksiądz Wojciech; mieliśmy przeniświętszy sakrament na te trzy dni i czyniliśmy modlitwy za potrzeby koronne i swe domowe. Z Krzeszowa 20 lutego 1608.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Dla listu twego i Bogdan był wdzięcznie przyjęty; ja życzę, żeby był katolikiem i ochrzczony, i wierzę że go Pan Bóg przeznaczył do swej chwały, ale oto jeszcze poganinem wraca się do ciebie. Z Krzeszowa dnia 13 marca 1608.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Miłość moja macierzyńska ta jest, żebym pewnie widzeniem ciebie cieszyć się chciała; ale że zwłoczę bytność moją u ciebie, z tejsze to miłości pochodzi. Cóżbym na świecie ra-

(1) Stanisław Żółkiewski wojewoda kijowski. (2) Janowi Żółkiewskiemu synowi Stanisława

da widziała, jeśli nie ciebie, jedyne go mając. Niesłusznie mi przymawiasz o miłość macierzyńską; nie miał jej żaden syn dobry u dobrej matki więcej nad cię: wie Pan Bóg przed którym często łzami się zalewam za cię. Z Krzeszowa 18 lipca 1608.

Jerzy Zamojski biskup chełmski do Barbary Zamojskiej.

(Treść listu)

Jerzy Zamojski zaklina na wszystkie obowiązki Barbarę Zamojską, żeby nie wyjeżdżała z Zamościa aż tamci wyjadą, co rychło nastąpi, aby jeno pobrali te raty na które czekają. Widzi w. m. jak kręcą i przyczyn szukają z strony akademii i kościoła; księdza dziekanowa to robota: jeszcze za żywota nieboszczyka on coś zamyślał, ale mu nie poszło i nie pójdzie. Usprawiedliwia się że sam być nie może; pod przyjaźń kiedy się co mówiło, niemiło im bywało, pogotowiu teraz w zajątzeniu. Nie byłby tak przezbożny, żeby się miał na mnie rzucać, ale za lada przyczyną, mógłby się kazać na którego z moich choć w mieście rzucić, więc tumult. Chwali postępek pana sendomirskiego (1), który życzliwie radzi o swym wnuku. 4 listopada 1608.

Barbara Zamojska do Sredzińskiego.

(Treść listu).

Wspomina o pogrzebie pani matki swojej (2), który ma się odbyć we wtorek zapustny. Dwie rzeczy wstrzymały Barbarę Zamojską od towarzyszenia ciału ze Stobnicy do Wielowsi. Jedna, że jegomość (3) ciało piechotą prowadzić chce; mnie jakoby przystało jechać, a iśćbym nie mogła. Druga, że jeśli Tomasz ze mną ma jechać, tedyby mu pono nie pozwolili do Stobnicy. Pewien go widzę pan ociec z obietnice j. m. pana wojewody kijowskiego (4), a w Zamościu o tém nie myślą. Z Krzeszowa 9 lutego 1609.

(1) Stanisława Tarnowskiego. (2) Zofii z Ocieskich Tarnowskiej (3) Stanisław Tarnowski. (4) Stanisława Żółkiewskiego.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Dwoje trudności teraz mam: i święta, i twe sprawy o których siła pisać muszę i do Moskwy i indzie. Wiedz o tem, że i Pana Boga za cię proszę i staram się o twe sprawy, gdzie należy nie opuszczam. Na święta nie mogę być u ciebie, alem ja jako zawdy z tobą, choć nie w Zamościu, mieszkam. Z Krzeszowa 28 marca 1610.

Tomasz Zamojski do Barbary Zamojskiej.

(Treść listu).

Pan wojewodzie (1) przyjechał tu w piątek wielki, wczora wyjechał; pokazał mi miłość i ja jemu, wedle woli w. m. Chce się uczyć ze mną, i preceptorów prosił, żeby mu czytali osobno co opuścić; nie wiem jeśli co będzie z tego. Pani wojewodzina kijowska (2) obesała mię ruskim obrazkiem ś. Mikołaja; iż tu był ksiądz biskup, prosiłem, żeby go poświęcił i posyłał go w. m. rozumiejąc, że go w. m. z łaską przyjmiesz. Waclaw (3) tu był: prosił mię do w. m. o przyczynę o starostwo; pokropiłem go święconą wodą, to jest anim obiecał się przyczynić, anim odmawiał, jeno to uczynię, coby było z dobrem mem. Z Zamościa 15 kwietnia 1610.

Barbara Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Żebyś czego inszego nie rozumiał, niż w rzeczy samój jest, pisząc właśnie że miałam katar w piersiach, potem jakieś zarżanie, niby gorączkę; wzięłam pigułki, które mnie trochę osłabiły, a teraz szlę po pany doktory, bardziej dogadzając w tem zdaniu pana Simonidesa niż swemu, po pana Birkowskiego, a proszę, żeby dla rady był i ksiądz Ursyn. Pana Simonidesa jeszcze nie ma; jeśli tam jest proś go aby jechał. Nie frasuj się, bo nie masz nic niebezpiecznego. Z Krzeszowa 19 kwietnia 1610.

(1) Jan Żółkiewski. (2) Regina Żółkiewska. (3) Waclaw Zamojski.

Piotr Oleśnicki do Tomasza Zamojskiego.

(Z oryginału udzielonego mi przez K. W. Wojcieckiego).

W niedzielę j. m. pan hetman (1) audyencyą miał u króla j. m., na której przypomniał w. m. mego m. pana. że się w. m. jako we wszystkim, tak i w tej o którą w. m. upraszał godności (2), spuszczać chcesz na łaskę j. kr. mci, i hyc w jakimkolwiek miejscu (3) by król j. m. mieć chciał, będąc gotów tak publice jako i privatim na każdym placu służyć j. kr. mci. Zaczem król j. m. zawoławszy księdza sekretarza (4) kazał mu pisać przywilej dla w. m. na województwo podolskie. Z Warszawy 6 marca 1618.

Tomasz Zamojski do Krzysztofa Zbaraskiego koniuszego koronnego.

(Treść listu).

Zbaraski jeden dzień tylko miał zabawić u dworu, ale do dworu jachać jest jako wsieść na morze: wsieść zawsze wolno, wysieść niezawsze. Pan chełmski (5) oganiając majątnostkę swą którą miał z łaski królewskiej, poległ od szabli pogańskiej; zostały po nim dzieci. Zamojski prosi Zbaraskiego, żeby starał się u dworu aby im zostawiono tę majątność. Z Zamościa 21 lipca 1618.

Stanisław Zamojski do Tomasza Zamojskiego wojewody kijowskiego.

(Trochę listu).

Oznajmuję w. m. że m. zjeżdżał nad Nistr, żeby się widzieć z dwornikiem hospodarskim, i byłem tam kwoli niemu tydzień cały. Wymawiał się tem że zjechać nie mógł, bo ci Tatarowie, którzy z Polski idą, łapają Wołochów i więżą, i co zarwą biorą; a idą tak ciężko, że jeno po mili, po półmili uchodzą.

(1) Stanisław Żółkiewski. (2) solicitabat dignitatem.

(3) quocunq;ue (4) Jakóba Zadzika.

(5) Jan Zamojski strażnik koronny.

Był z nimi Muralt galga, Aliszach murza, Kantymir z synami; a sam soltan w Białogrodzie. O Skinder baszy burkulab powiada, że w Tchini, wojska ich są po Budziaku; powiadają, że zaraz do nas drugich wyprawią jak ci przyjdą. Kozaków którzy nas najeżdżają znoszą bez szkody poddanych w. m..... Stroiny baszty, i teraz prosim uczynić to w. m. dla tych sam ludzi ubogich; obroną będzie barzo dobrą obiema miastom i zamkowi; podmurować choć na kopią a potem drzewem budować, że będzie górę strychowała wszystkę. Folwark zniósłszy tam zład chyba Pan Bóg zechce nas podać nieprzyjacielowi, tobyśmy się nie bronili; a małym barzo kosztem to będzie mogło być jeszcze przed zimą. Druga dziura wielka do zamku z miasta, ale to mniejsza, bo za tą basztą zamek by w pokoju siedział i miasto stare wszystko. Z Szarygroda 8 listopada 1620.

Cedula.

Posyłam listów kilka, które na tém pobojuwisku nazbierała Wołosza barzo siła j. m. pana kanclerzynych, ale ich ma być wór u jednego Wołoszyna, o które się staram.

Zygmunt III do Tomasza Zamojskiego.

(Z oryginału udzielonego mi przez K. W. Wojcieckiego).

Zygmunt III z łaski bożej król polski, wielkie książe litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie, inflanckie, i szwedzki, gocki, wandalski dziedziczny król.

Wielmożny uprzejmie nam miły. Chcąc sposobić taką liczbę wojska, któraby proporcjonalna jakożkolwiek mogła być siłom nieprzyjacielskim, a doznawszy chęci i ochoty uprz. waszej w przeszłych ekspedycjach wojennych; posyłamy list nasz przypowiedny do uprz. w. na tyle koni usarzów, ilebyś ich uprz. w. sposobić mógł. Przetoż żądamy uprz. w. abyś uprz. w. z tej się posługi naszej i Rzptej nie wymawiał, co my i wdzięcznie od uprz. w. przyjmujemy, i na te koszty uprz. w. mieć chcemy młciwe baczenie, życząc przytem uprz. w. dobrego zdrowia od Pana Boga. Dan w Warszawie dnia 11 miesiąca stycznia roku Pańskiego 1621, panowania królestw naszych polskiego XXXIV, szwedzkiego XXVII.

Sigismundus Rex.

Katarzyna Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Proszę żebym mogła wiedzieć, jeśli w. m. do obozu pódziesz, mój kochaneczku serdeczny; ja nierzkąc dni ale godziny liczę w melankoliej, a każda godzina tygodniem mi się widzi bez w. m. Z Zamościa w październiku 1621.

Stanisław Zamojski do Tomasza Zamojskiego wojewody kijowskiego.

(Treść listu).

Oznajmuję w. m. żem miał popis z pany szlachtą, z bojary i z kozakami, i regestr ich posyłam. Dawno było im tego trzeba, a sam u nich popisu nie było od lat kilku... Pan strażnik i pan Chmielecki (1) mają z półtora sta kozaków zaporoskich przy sobie. Z Szarygroda 24 października 1621.

Krzysztof Radziwiłł do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Krzysztof Radziwiłł donosi Tomaszowi Zamojskiemu, że Szwed z wielką potęgą wpadł do Inflant, Rygę blokauzami ściśnął i częstemi szturmami mury pokolał. To niebezpieczeństwo zaskoczyło w Rydze kapitana Labara, gdy ledwie miał gotowych czterdzieści koni. Wezwany przez ryżan, wszedł do nich w służbę. Z obozu (bez daty).

Jakub Zadzik sekretarz wielki kor. do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

P. Kołaczkowskiego z ludźmi król obrócić raczył do Inflant. Kapitan Labar za poddaniem się Rygi poszedł na służbę Gustawową, lubo Gustaw dał im wolność pójsć gdzieby kto chciał. Z Warszawy 10 listopada 1621.

(1) Stefan Chmielecki dzierzawca kraśniański.

Jan Dzik do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Dzik donosi o umacnianiu Raszkowa. Wały niesłychane poczęły sypać, sami ludkowie niebożęta dla siebie siłują. Gospodar posyłał do Porty uskarżając się, że dani zwyczajnej jako dawał cesarzowi nie może teraz oddać, bo Wołosza co majątniejsi wyszli do Raszkowa i prosił o pomoc dla zniesienia go. Popis towarzystwa włości szarogrodzkiej odbył dnia dzisiejszego, i rejestronych posyła. Różną się o poczty i konie niejednakie mają. Z Szarogrodu 7 lipca 1625.

Jan Dzik do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Szpiega, którego w Raszkwie pojmano, po moim odjeździe z obozu na próbę dawano i na pal wbito. W Raszkwie już na górnym zamku pale poczęły stawiać. Krynica wśród miasta zginęła, zaczęły wiele ludzi z włości, którzy są na robocie, od wody dniestrowej choruje. Wołochów też nazad wiele odeszło. Z Łuki 22 lipca 1625.

*Sekretarz wielki koronny (1) do Tomasza Zamojskiego.**List pisany cyframi (2).*

(Z oryginału).

Jaśnie Wielmożny a mnie wielce mściwy
panie wojewodo kijowski!

Acz wiem, że j. m. pan *Oleśnicki* (3) da o wszystkim sprawę u. m. memu m. p., abym jednak dosyć uczynił powinności

(1) Książdz opat czerwiński sekretarz wielki, synowiec biskupa naszego, prosił mię bardzo, abym jego ochotę do służb w. m. opowiedział. Wojciech Srebrzyski kanonik krakowski do Tomasza Zamojskiego. Z Bodzęcina 3 grudnia 1625.

(2) Oto jest klucz używany w tych i w następnych listach, wyczytany za pomocą kilku wyrazów, które były między wierszami nakreślone ręką Tomasza Zamojskiego.

a	b	c	d	e	f	g	h	i	k	l	ł	m	n	o	p
i	u	o	w	q	x	y	k	a	h	p	p	n	m	c	l
				q	r	s	t	u	w	x	y	z			
				e	s	r	z	b	d	f	g	t			

(3) c p q r m a o h a.

mojój, i ja przyłożę się kilka słów. Naprzód to oznajmuję, że dawno sjem (1) nikczemniejszy nie był, gdyż dwie niedzieli darmo (2) strawiwszy, rebus non conclusis (3), przyszli do senatu (4), a to się działo directorem (5), który i źle zaczął urząd (6) swój, gorzej jeszcze dokonał (7). Acz ma li się prawda rzecz i my jesteśmy niemałą przyczyną oziębłe koło tego chodząc, i alto silentio te conclusiam odprawując (8), a iudicio multorum mogłyby być rzeczy dobrze paść, ale ledwo jeden i drugi kilka słów przemówił (9). Duchowienstwo (10) jeżeli kiedy milczało (11), teraz najbardziej wszystko surdis auribus przyjmując. Starostowie (12) nie dali, awo zgoła, ledwośmy tym odartym Prusom sukienkę wyłatali (13), z której mało się co cieszyć będą.

Pan koniuszy (14) na tém wszystkę salutem ojezyny (15) sadził, gdyby były porty i w Koronie i w Litwie zawarte (16), ale Litwa tego bronila i pan bronil (17), eicho to jednak dla invidii (18), czego miał takie racie: spustoszenie prowentów stółowych, spustoszenie miast (19) et incertitudinem eventus, gdyż to zawarcie portów (20) jako udawali miało pmństwa (21) które bez nas być nie mogą na Gustawa poruszyć (22), co rzecz niepewna. Atoli to inwencie na które się silili wszyscy posłowie i senat (23), w dym się obrócili. Gdy pospolite ruszenie namawiano, pan rzekł: protestor, ja na nie nie pojadę (24). Znać że się nam obóz (25) uprzykrzył, Haec publica. i

Ci co dobre cery pokazowa'i (26), jakom tego nie rozumiał żeby to miało być z serca, i teraz nie (27). Wprawdzie że z wielką ochotą przyjęty pan Oleśnicki (28), lecz to są artes aulae (29). Effectus to pokaże (30) przy terażniejszej okazji (31), lecz jakom to często mówił, obawiam się, że na swój młyn wodę

(1) widmc raqn (2) wdaq maqwtappa wisac (3) mem o-
emopbrar (4) we rqnizb (5) wasqozesqn (6) tiotip bstiw (7) ye-
sta agrotq wehemip (8) zq oemopbrain ewlsidbaio (9) haphi rped
lstqnedaaq (10) Wbokedaqmrzac (11) napotipe (12) Rziserzcdaq
(13) lsbren rhbaqmihq dgpizipa (14) Lim hemabrtg (15) ripbzqn
egotgtang (16) lszg g d hesemaq g d pazdaq tidiszq (17) pazdi
zqyc uscmapi g lin uscmap (18) wpi ambawaa (19) ribrzertqmaq
lsbqmqzdz rzepedgok, ribrzertqmaq nairz (20) tidisoaq lszod
(21) Limrzdii (22) ugwt maqneyi ni ybrzidi lsbrtao (23) mu-
bqmqzaz mi hzesq raq rapapa drgroa, lerpdaq g rqniz (24) Lim
stqhp lszqrzes ai ni maq maqlcaiwq (25) euer (26) oqsg lchitedipa
(27) nuipc ugwt rqsoi g zqsir maq (28) Lim epqrntoha (29) iszq
ibpq (30) qxxqozbr lchitq (31) coostg.

ciągnie, et alienae gloriae invidit (1), czego był świadkiem obóz (2), gdzie *ambiciam inszym sławy nie życząc* (3) ale tylko swoim (4), wszystko popsuwał (5). Ale *Pan Bóg ulciscetur reipub: iniurias* (6), i teraz już poczyna gdy jako grzyby pomarzę (7) siedzą w jamach (8). *Towarzystwo wypowiada służbę i odjeżdża. Konie* (9) dziwnie chorują, *którym nogi* (10) bardzo puchną a z nozdrzy żółtość ciecze (11); do tego głód (12) między niemi. *Pulkownicy* (13) niebardzo zgodni (14), bo teraz pod *niebytność regimentarza swarząc się* *Zółkiewski z Konięcpolskim* (15) ktoby miał isć, dwa kornety (16) upuścili. Ale podobno tego będzie więcej, i za tak słabym rozumkiem (17) nie polecą ptacy. (18) Jednak *istam doninitricem Livoniam* (19) szkoda opuszczać, dla czego niezawadzi pod czas *listem* (20) obestać, a *do króla* (21) jako najczęściej *pisać* (22), gdyż *dwór* (23) jest *małej pamięci* (24). I napotém cokolwiek będzie nie omieszkać o wszystkim dawać znać w. m. memu m. panu, którego się natenczas miłościwej łasce pilnie zalecam. W Toruniu 5 decemb. 1626.

Uniżony sługa (25)

Sekre. (26)

Sekretarz wielki kor. do Tomasza Zamojskiego.

(Z oryginału).

Jaśnie Wielmożny a mnie wieleł mściwy panie
wojewodo!

Żadnej okazji nie chcę opuszczać, za którąbym nie miał pisać do w. m. mego m. p., i teraz lubo nie mam co oznajmić, nie chciałem jednak *próżno* (27) puścić *pana O'ześnickiego* (28),

(1) cuidain raq tq mi rdeg npan dewq oaiymaq qz inaqmq ipesaq ambawaz (2) cuer (3) inuzain amrtgn rpidg maqtgotio (4) rdegn (5) lelredip (6) lim ucy bp̄aroqzbs sgalbu. amabsair (7) ystgug lenistpq (8) dainiok (9) zedisstarzde dgle daiwi rputuq g cwaqtwti hem:q (10) hzesgn meya (11) lbokni i tinctvstg telzero oaotq (12) gpew (13) Lbp̄nedmaoa (14) tyewna (15) maquazmero sqyanqnzisti rdistio raq tēphaqdrha r hemaqoleprhau (16) wdi hesmqzg (17) sitbmbaqa (sic) (18) lep̄eim lzioa (19) arzin wemamazsaoqn pabemain (20) parzqn (21) we hsepi (22) lario (23) wdes (24) nipg linaqoa (25) bmatema rplyc (26) Rqcsq (27) vaauu (28) lima ep̄qrmaohaqye.

który że siła ustnie odnieść ma w. m. memu m. p. co z różnych zrozumiął, mnie też tą razą prace ubyło. To tylko natenczas oznajmując, że w sprawie w. m. mego m. p. ci po którychem się najwięcej spodziewał, a to widzę i ci *oziębłe służyli* (1). Spodziewałem się ja wprawdzie tego, ale nie po wszystkich; temu się jednak *dziwuje* (2) że *jeden* (3) śmie prawie *ubespieczac* (4). Wszak to *skutek* (5) pokaże, mnie się jednak dostało słyszeć, że w tamtej *stronie żadnej odmiany* (6) nie będzie; i dlatego podobnoć nie masz *rzetelnej deklaracji od hetmana* (7). Ja w tej mierze obawiam się, że tylko *sobie samym* (8) a nie drugim *sławy* (9) życzym. Jednak w. m. dlatego *nie truć ducha* (10), a wiedz pewnie, że *pan ma dobry affekt ku w. m.* (11). Wprawdzie ta *absentia od seimiu* (12) była u niektórych podejrzana (13), i mnie o to *szczególno* (14) pytano, jeżeliś nie *malikontent* (15) odjechał; ale wybiłem to im z głowy, pokazując, że pilne sprawy potrzebowały tego. *W obozie* (16) do tego czasu nie się *nie sprawiło* (17) gdzie *nędza wielka*. Sjemu (18) spodziewać się wkrótce, a najdalej o *ś. Jamie* (19).

Listy które w Niderlandzie od agenta Gustawa (20) przejęto przepisawszy poszłę, gdyż tego niemało; a proszę odpuść w. m. mój m. p. że się ładajako pisze, gdyż ledwo co czasu mogłem mieć. Zalecam się przytem łasce w. m. mego m. p. jako najpilniej. W Warszawie 16 decemb. 1626.

W. m. mego m. p. uniżony słuźebnik.

Sekretarz wielki kor. do Tomaszu Zamojskiego.

(Z oryginału).

Jaśnie Wielmożny mści panie wojewodo

panie mój mściwy.

Odpisuję na dwa listy w. m. memu m. p. wprzód sobie upraszam dwie rzeczy: pierwsza, aby *po przeczytaniu list ten*

(1) etaqnpq rpbtqla (2) wtadbaq (3) aqwqm (4) buqrlaqotio (5) eventus, qbqumzbr (6) rzsemaq tiwma cwnaing (7) stqzqug wqopisizg cw kqznimi (8) nobis ipsis, meuar alrar (9) rpide (10) animum non despondeat, imanbn mem wqrlmwigiz (11) lim ni weusg ixqghz (12) iurqmzai cw rqgnb (13) lewqgstiini (14) specialiter (15) nipocmzqmze (16) Denctaq (17) maqrlsidalc (18) mqwti duqphi. Raqnb (19) c r. aimaq (20) parza hzcseq d mawqspimwtaq cw iyqmzi ybrzidi.

był zdrapany (1); druga, ażeby nikomu to nie szkodziło (2), i żebyś w. m. przeciw żadnemu rancoru (3) i złego serca nie miał (4), gdyż cokolwiek czynię, wszystko to czynię z ochoty mojej do służb w. m. mego m. p., i żebyś dosyć obowiązkowi swemu uczynił wszystko to pisząc (5), jednak protestor nie chce nikomu szkodzić (6).

Doszły mi tedy obadwa listy w. m. jeden 11 januarii, drugi 31; piérwszy mię nie zastał, gdyżem był dla pewnych trudności moich odjechał, drugi oddał mi sługa w. m. Na te zem nie odpisał, ażeby in suspicione negligentiae nie zostawał, umyślnie posłańca swego posyłam, dlaczego téż przychodzi mi *niektóre rzeczy liberius pisać* (7). Naprzód widzę, że w. m. ochota (8) nietylko w saponnieniu poszła, ale cię którzy się najbardziej ostawiali (9), omnibus modis jako przedtem przeszkadzali (10), tak i teraz przeszkadzają (11). Okrom laiskiego jest podkanclerzy (12), jakom tego z miejsca pewnego doszedł teraz na wyjezdem. Już to pewna i niewątpliwa, że ci dwaj w. m. z regimentu pruskiego zrazili. Podkanclerzy (13) wszelakim sposobem promowował na to starostę sendomier. (14), teraz różnemi praktykami na bułową forytuje (15), o czém niżej, a nie wątpię pospołu z laiskim (16) chcą tego dokazać. Dawnom ja to wiedział, że ten człowiek tak się miał z w. m. obchodzić i przestrzegałem, jakoż nie omyliłem się na tem i teraz pilniem ucha nadkładał jeżeli uczyni jaką wzmiankę; ale widzę, że o tém ani myślał (17), a wie też o tém bardzo dobrze, że w. m. hetman nie rad widział w Prusiech (18), z czém hetman (19) dał się słyszeć na miejscu jednym (20). Aleć podobno i na inszych miejscach toż się dzieje. Boją się bo wiem i rozumu i potencji (21), i co za tém idzie, że przy nich tylkoby został honor imperii (22), a przy w. m. vis et pote-

(1) le lstqotgzimab parz zqm uqp twsilimg (2) mahcnb ze maqrthewtape (3) simocsb (4) tpqye rqsoi maqnaip (5) lartio (6) lsczqrzer maqokoq rthcwtao (7) maqhzesq stqotg pauqsabr lario (8) cokezi (9) dtilenmaqmaq lertpi ipq oart hzestg raq miauiswta exaiscdipa (10) lstqrthiwtipa (11) lstqrthiwtaia (12) Piarhaqye agrz lowhimopqsta (13) tsqyanqmb lsrhaqge tsitapa Lcwhimopqsta (14) lscnededip mi ze rzisierzq rqnwenaqe (15) lsi-ozahina mi nbpidq xesazbaq (16) t Pifrlhaqn (sic) (17) czqn ima narpip (18) kqzniu maqsiw dawtaip d Lsbraqok (19) kqzniu (20) rpartqo mi naqrob (21) ucain raq uedaqn g setbnb g lczq- mzg (22) awtaq tq lstg maok zaphe ng terzip kemcs anlqsg.

stus (1); jakoż tak będzie potrzeba uczynić, gdy Pan Bóg *zamy-
sły nasze pobłogosławi. Podkanclerzy i ten affekt swój prze-
niósł indziej* (2). Ten jakom pisał na tém wszystek jest, ażeby
starostę sendomier. na hetmaństwo wsadził (3). Przed nie-
dziel trzema począł być rumor, że *starosta sendomier.* (4) miał
być w *Warszawie* (5); pytałem się o tém pilnie, coby za *przy-
czyna bycia jego była* (6), i doszedłem, że był wokowany (7);
jakoż mam pewną wiadomość z *Krakowa* (8), że jest i było tego
pełne miasto (9). I już się był z *majętności swęj ruszył i do
Sendomierza przyjechał* (10), wczora jednak przyniesiono to,
a powiadają że pewnie, iż *nazad powrócił* (11). Od kogoby je-
dnak miał być *wokowany, dochodzę, że privatis litteris* (12), tu
już *śladno się domyślić od kogo* (13). Już się tedy w. m. nie
spodziewaj, ażeby *który z tych dwu miał szczerze favore* (14).
Z kanclerza też mała pociechu (15), gdyż tak jest *obnoxius
alieno arbitrio, że go mogą słusznie nazwać mancipium
dinoffia. W Prusiech* (16) acz rozumiem że w. m. wiesz co się
dzieje, ja jednak *krótko numienię. Joannes in eodem* (17) to
tylko *sprawili, że dwieście człowieka pod Puckiem utrucili
dies rerum verbis et litteris terunt* (18). A to umie Pan Bóg
nadgradzać, że *alienae gloriae invidebant* (19). Byśmy jeno tego
*albo z niesławą, alb szkodą rzeczypospo. nie odbieżeli, non
sine fundamento* (20) to piszę, *gdyż siłom ludzi wielkim nie-
podobu się tu prędku familiaritas hetmana z kurfirstem,
u którego był i w liście swym bardzo go chwali, wszystko po
nim dobre obiecując. Displicuit to wielom, że go chwali,
u to jeszcze bardziej że wygrał na nim pięć tysięcy złotych*

(1) bar qz lezqrzir (2) tinarpg mirtq leupeycrpida. Lewhimo
pqsta g zqm ixxqoz rdeg lstqmacrp amwta (3) rzisierzq rqnwca-
naqs. mi kqznmrzdcdriwtap (4) rzisierza rqnwenaqs (5) d dis-
rtidaq (6) lstgotgmi ugoai aqyc ugpi (7) deoeding (8) t hsihedi
(9) lqpmq nairze (10) t niaqzmeroa rdqg sbrtgp g we rqnwenaq-
sti lstgaiokip (11) grt mitiw ledseap (12) ugwt deoedang weo-
kewtq tq lsabizar pazzqsar (13) rmiwmc raq wenarpao ew heyo
(14) hzesgr r zqok wdb naip rotqstq xebqsq (15) oimopqsti zqt
nipi leoaqoki (16) cumcfarb ipaqme isuazsac tq yc neyq rpbrmaq
mitdio nimoalabn wamcexxai. d Lsbraqok (17) hszche minaqmaq
Acimamqr am. qewqn (18) rlsidapa tq wdaqroaq otpedaqli lew
lbohaqn bzsioapa waqr sqsbn bqsuar. qz pazzqsar zqsbmz (19) tq
ipaqmq ypesaq ambawquimz (20) ipuc t maqrpdin ipuc rthewin
stqotalerlc maqwuaqtqpa, mem rainq xbmwinqmcz.

a drudzy twierdzą, że czerwonych; pewnie kurfirst dał się umyślnie pociągnąć. Dziwują się i temu, że wziął od niego pierścień kosztowny (1), a takie rzeczy niezwykły bywać, jeno między przyjaciółmi, jako *pignora constantiae et verae amicitiae* (2). Wszystko to jednak za wiadomością *Dinoffa* było pewnie (3). To wszystko z kandydatury mego wypisawszy, uniżenie proszę, jakom i wprzód prosił, ażebyś w. m. mój m. p. złego serca przeciw tym nie brał (4), gdyż inaczej musiałbym mieć sumienie (5), i inszym animuszem tego nie piszę, jeno na przestrożę (6) jako komu ufać (7). Oddaje się przytém z uniżonemi służbami memi łasce w. m. mego m. pana. W liży 10 martii 1627.

Uniżony służebnik
S. (8)

Cedula 1.

Nie pisałeś mi w. m. mój m. p., jeżeli listy moje dwa doszły w. m. mego m. p. przez pana Oleśnickiego.

Tego posłańca mego nie śmiałem z Warszawy posłać, a to dla suspicii jakiej, i teraz tracąc ślad posyłam go przy kozaku j. m. księdza biskupa, rozkazawszy mu, aby udawał że nie mnie służy, ale j. m. Możesz mu w. m. śmieie listów powierzyć, gdyż nie jest z onych prostaków.

Cedula 2.

Zamykając list ten przyszło mi pisanie z Warszawy, że pan hetman prawie z płaczem do króla j. m. pisał, ażeby dał drugiego hetmana; mianując i w. m. i pana starostę sandomierskiego. Dano mi téż znać i o tém, że król j. m. pisał już o tém

(1) ywgt rapen pbwta daqphan maqlwecui raq zi lsqwhi xinapaisazir kqznimi t hbxxaszqñ, b hzesqye ugp g d paroaq rdan uiswte ye okdipa, drtgrzhe lc man weusq euqobaio. Warlpaobaz ze daqpen zq ye okdipa i ze ugroj niswta, tq daysip mi man lajo zaraqoa tpezgok, i wsbwta zdaqwotin tq otqsdemaok, lqdmaq hbsxaszr wip raq bnarpmaq lcoaiymio Wtgdbai raq g zqnb tq dtaip ew maqye laqsroaqm hertzeding (2) naqwta lstgai-oacpna aihe laymesi oemrzimzar qz bqsq inaoazaq (3) wamexxi ugpe lqdmaq (4) tpqye rqzoi lstqoid zgn miqusip (5) naqo rbnmaqmaq (6) ni lstqzeczyq (7) heub bxio (8) R.

do w. m. mego m. p. Ja jako uniżony sługa, który wszelakich ozdób wysokim cnotom w. m. życzę, nietylko się z tego cieszę, ale téż per salutem patriae w. m. mego m. p. obtestor, ażebyś to onus na się wziął, a tém ochotniej, że jeżeli kiedy, tedy teraz będzie amplissimus campus virtuti w. m. mego m. p. Książę j. m. pan koniuszy (1) w piątek przeszły w nocy z tym się światem rozstał. Daj Boże, ażeby się ta nowina odmieniła, gdyż nierychła ojczyzna takiego człowieka będzie miała.

Tomasz Zamojski do księdza regenta.

(Z brulionu).

Siedzę tu jak na igłach między rozmaitemi nowinami o tej wojnie. Byłbym tego prozen, kiedybym oraz z królem j. m. jachać mógł, ale to nieszczęście me sprawiło, że podówczas był złego zdrowia, a potem nie mogłem się wyplątać z tutecznych labiryntów. Po bytności na Ukrainie pana bełskiego (2) takie tam motus poddani moi poczynili, że jedno miasto pograniczne Raszków, niemalym kosztem odemnie ufortyfikowane porzucili, z drugich na głowę iść chcieli. Przyszło ich tu do sta do mnie; miałem z półtóry niedzieli kłopotu nimem ich ukłóysał. W Zamościu 11 lipca (1627).

Jan Dzik do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Mam w Bogu nadzieję, że nad Dniestrem nigdzie tam takiego miasta nie będzie jako ten Jampol w. m. m. m. pana, bo niedalej dwóch albo trzech lat spodziewam się jarmarków lepszych niż w Mohilowie, byle Pan Bóg pokój dał. Z Szarogrodu 9 maja 1628.

Maciej Wityng do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listów.)

Maciej Wityng (Mattias Wittingh) skarży się przed Tomaszem Zamojskim, że gdy siedział pod wartą przyszedł do niego

(1) Krzysztof Zbaraski. (2) Macieja Leśniowskiego.

pan Strzyżowski i podpiwszy sobie zbił go, pokrwawił, rękę mu stłukł, głowę obuchem przebił, i szpadę mu złamał, a nieprze-
stając na tém tak udał. że Wityng pierwszy się porywał, kiedy
on nietylko się nie porywał, ale go jeszcze dla Boga prosił,
płaszczem się zasłaniając, żeby się nad nim zlitował.

Nazajutrz przyszedł do niego Jan Dzik i opowiedział mu
wołę Zamojskiego, żeby na Ukrainę pojechał i dwieście wybrań-
ców wywieszył. Dzik żądał od niego przysięgi, że wiernie i ży-
czliwie służyć będzie.—Nietylko przysięgę wykonam, odp. Wi-
tyng, ale i oblig dam za siebie, który tak jest ważny, jako przy-
sięga między kawalerami, jako mam dwieście piechoty wywi-
czyć i wiernie panu służyć. Przymem Dzik powiedział: we dnie
masz z bronią chodzić a w nocy pod wartą być. Wityng pro-
sił, żeby tego nie było, gdyż on chce statecznie wiary dotrzy-
mać. Z Zamościa 9 i 10 listopada 1628.

Katarzyna Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Z oryginału).

Moje najukochańsze serce
mój serdeczny dobrodzieju.

Uniżone posługi moje zalecam jako napilniej w miłości-
wą łaskę w. m. mego miłościwego pana i dobrodzieja kocha-
nego. Piszesz mi w. m. mój mości pan i dobrodziej, że do mnie
często pisać nie możesz dla zabaw swych. Rozumiem ja mój do-
brodzieju, żeby nie było w. m. ciężko, by nie te zabawy, o so-
bie mi dawać znać. Pana Boga proszę, żeby dodawał sił i zdro-
wia do znoszenia tych prac i niewczasów. A że nie jest zdanie
i wola w. m. mego dobrodzieja, żebym w tę drogę się puściła,
jako wszystkie rozkazania w. m. równo z przykazaniem bo-
skim przyjmuję i posłuszeństwo w nich zachować sobie ży-
czę, tak i terazniejszą wolę w. m. Rozumiem to o miłości w.
m. mego mił. pana, że uwoluiwszy się od prac dworskich, ze-
chcesz prędką bytnością swą mnie uniżoną sługę swą ucieszyć.
Rozproszenia naszych od nieprzyjaciela żaluję barzo, ale się
tem cieszę, że mię w. m. upewniasz o bezpieczeństwie swoim.
Jam i dziatki nasze zdrowiśmy dobrze z łaski bożej. Czekać
będziemy Pana Boga prosząc o prędką bytność w. m. mego
mciwego pana i dobrodzieja. Oddaję przytem uniżone wieczne

posługi moje w łaskę w. m. mego mciwego pana i dobrodzieja.
W Zamościu 20 lutego 1629.

W. m. mego mciwego pana i dobrodzieja z serca miłująca
ca małżonka i uniżona wiecznie sługa.

Katarzyna Zamojska z Ostroga.

Katarzyna Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Według obietnice mojej stawię się jutro da Pan Bóg na
obiad w Lublinie, gdziebym rada ptakiem przeleciała i prędko
się ucieszyła z widzenia w. m. Gryzeleczka według rozkazan
w. m. jedzie ze mną. 19 marca 1629.

Jakub Zadzik kanclerz koronny do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

List j. m. pana krajczego, któryś mi komunikować raczył,
odsylał nazad w. m. m. panu; żartuje on podług zwyczaju
(1), choć niebardzo do żartów, kiedy o takich gościach w tam-
tych krajach znać dawają. Toż sam do nas napisał był j. m.
pan hetman (2), posławszy oryginały listów od kozaków zapo-
roskich z samego Zaporozża, którzy oznajmują, iż orda wielga
przeprowadziła się przez Dniepr u Strzelice. Po tych listach, któ-
re były z dnia 10 bieżącego miesiąca (3) nie mieliśmy żadnego
pisania; owo Pan Bóg tę burzę odwrócić będzie raczył, w czém
mnie konfirmuje list w. m. datowany 21 do p. regenta pisany,
w którym nic nie oznajmujesz o tem niebezpieczeństwie, a jużby
przecie w tamtych krajach słyhać było cokolwiek. Propozycy-
ą j. kr. m. o sposobie elekcii (5) dziwna rzecz jako ludzie
niechętnym umysłem (6) przyjęli, tak że z drugich sejmików
i mówić o tem zakazali. Szaleje nasz lud (7), jako to już w sta-
rzejącej się rzpcei (8), odrzucając zbawienne rady (9); przyjdzie

(1) al solito (2) Stanisław Koniecpolski (3) de data 10 pre-
sentis (4) de data 21 presentis (5) de modo electionis (6) alienis
animis (7) Desipit noster populus (8) in senescente republica
(9) salutaria consilia.

poddać się swojemu losowi (1). Nasza ztąd droga odwłóczy się dla niesposobności zdrowia j. kr. m. Opowiedziałem j. kr. m. chęć tę w. m. z którąś się ozwać raczył do wygody j. kr. m. lubo Zamościem lubo Knyszynem; wdzięcznie to przyjąć raczył, jednak na Zamoście jako odległe nie przypadł, a królowa jejmość knyszyńskiego mieszkania dla jakichsi tam strachów bardzo się boi, i tak powiedziała: choćby ją tam rodzony brat cesarz j. m. prosił na noc, tedyby tam nie została. Zbijałem ją wprawdzie raciami te strachy, jednak trudno pozbyć strachu (2) białymgłowom. W Tykocinie mieszkać zamyślają w sąsiedztwie (3) Knyszyna, zktąd snadno w. m. m. pan wygodzić będziesz mógł usługą swoją j. kr. m. Z Warszawy 26 września 1630.

Katarzyna Zamojska do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Winszując mu polepszzonego zdrowia w cieplicach, tak dalej pisze: Jam z łaski bożej z dziećmi naszemi zdrowa, rozkazania w. m. mego dobrodzieja we wszystkiem przestrzegam, melankoliej się strzegę i zdrowie szanuję, o co też pilnie i uniżenie w. m. mego mił. pana i dobrodzieja proszę, żebyś w. m. owocami zbytniemi nie psował zdrowia, wesolo wód tych zażywał, melankolią wszystkę tam niemcom darował, a wesolo da Pan Bóg do domu się wrócił. Rozumiem, że ta nowina o śmierci królowej już w. m. doszła, którą Pan Bóg wziął niespodzianie z tego świata. 9 lipca przy wieczerzy słabo się jej zrobiło, o 5 z rana już jej nie było na świecie. Tę przyczynę znajdując, że ją zbytnie gorąco przejęło, gdy w dzień Bożego Ciała szła piechoto na processią od kościoła ś. Jana do Najświętszej Panny na Nowem Mieście i na oktawę toż uczyniła, jako mi pani kuchmistrzowa pisze. Prosił ją król j. m. żeby nie chodziła, ale ona odpowiedziała na to: „kiedybym sił swych nie znała, tedybym nie wdawała się w to chodzenie.“ Pisała też do mnie panna Orszuła barzo żalсны list, w którym przypomina, że umarła matka wszystkiej korony a osobliwie pana podkanclerzego i w. m., tak do mnie pisze, których ona siła miłowała i szanowała. Niech jej to Bóg w drugim życiu nagrodi. Straszą nas

(1) quo fata trahent sequi (2) metum eximere (3) in vicinia.

Tatarami i uniwersały hetmańskie przychodzą do żołnierzów żeby się kupili. Pan hetman jeno po 50 koni pod chorągwiami pozostawiał. W. m. towarzysze kupą we stu koni chcą wejść do obozu; rozumieją po w. m. że tą ich chęcią nie pogardzisz i że ćwierć im nie zginie; jeździli z Bełza do mnie, ale ja w to co do mnie nie należy wdawaciem się nie chciała. Z Zamościa 19 lipca 1831.

Jakub Zadzik kanclerz koronny do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu.)

Tomasz Zamojski otrzymał od króla przyrzeczenie, że mu nada wakującą kasztelanią krakowską. Jakub Zadzik wymawiał Zamojskiemu, że przed nim sekret z tego robił, jak gdyby on sekretu nie umiał dotrzywać. 3 marca 1632.

Jan Dzik do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu.)

Hospodar terazniejszy nie chce poniechać poddanych w. m. a to z powodu lotrostw, których się dopuszczają poddani pana hetmana i panów Czetwertyńskich, którzy ustawicznie wyprawują czaty do wołoskiej ziemi, zabierają stada i trzody bydła i mimo Raszkowa pędzą. Dobrze byłoby napisać do pana hetmana, żeby poddani jego tych lotrostw zaniechali; także do hospodara, żeby winnych patrzył. Bymci miał zlecenie, oddałoby się Wołochom w dwójnasób, jedno bez woli w. m. nie chcę nie ważyć. Przez te kilka niedziel ustawiczne trwogi były, dla których pan starosta kamieniecki skupił chorągwie pod Braclaw, lecz już chwala Bogu minęły, gdyż co było krymskich Tatarów na Budziakach, pognali nazad do Krymu, jeno budziaccy zostali. To mi też za pewne powiadał kozak z Humania, który do Winnice do pana starosty jeździł, że kozacy wysiekli Oczaków, jednak nie bez szkody, gdyż i kozaków z tysiąc na placu tam legło. Z Ziałowa 16 marca 1633.

Stanisław Pstrokoński sekretarz królewski do Tomasza Zamojskiego

(Treść listu.)

Królowi j. m. mile bardzo było pozdrowienie w. m. Spytawszy się o zdrowie w. m. przydał (słowa jego kładę): „Dał-

bym za to coś, kiedybym go mógł mieć z sobą w Prusiech; niewygadza mi jakos pan ociec jego (na księdza kanclerza przymówka); trzebaby tam innej głowy. Strony małżeństwa pewien jestem, iż heretyczki nie pojmie; stoi jednak mocno w zawziętym affekcie przeciwko Fryderyka, i o to stara się wszelkiemi sposobami, żeby katoliczką została; inakszym sposobem upewniam, że jej nie pojmie. Ale to samemu w. m. memu m. panu tak jako i strony ojca; widzę, że się nim król j. m. niebardzo kontentuje. O spalenie listu tego unizenie proszę w. m. Strony następstwa na pieczęć mniejszą, nie racz w. m. nalegać, ale tylko pewne osoby proponując, spuszczać się na wolę pańską. Z Warszawy 6 czerwca 1633.

Ksiądz Przemysław Rudnicki jezuita do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Wielce sobie życzył tego j. kr. m. żebyś w. m. pomógł tej expedycij do Pruss. Mogłoby się co sprawić z dobrem rzptej; nieprzyjaciel znędniony, Gustaw z morza wysiadł mało co ludzi z sobą przywiódłszy; my krom wojska znacznie przyczynionego mamy cesarskich ludzi, ale cóż po tém, kiedy nie ma rządu ani rady. Nie ma komu wojny prowadzić; jeśli też traktować przyjdzie, to aż serce człowieka boli patrząc na pana jako się z sobą biedzi, upatrując komuby summam rei poruczyć. Pomni że tak rok z tytułów jest złupiony a nieprzyjaciel onemi ozdobiony; i na co się to zdało? Jedno że się nam dostało przywitać, że nas na oczy przypuszczono. To też j. kr. m. lubo mniejszych komissarzów naznaczył, na takiego coby był wodzem (dux sententiae) jeszcze się nie rozolwował; i teraz za niebytnością w. m. niemało mu trudności przybędzie. Nikogo z senatorów ani z urzędników kor. nie kazał z sobą zaciągać okrom w. m., rozumiejąc, że z samego w. m. dosyć będzie miał pomocy tak do prowadzenia wojny, jako i do zawarcia pokoju. Wziąwszy sprawę o niesposobnem zdrowiu w. m., tak mi kazał do w. m. napisać, że lubo w. m. wielce potrzebuje, nie chce jednak abyś w. m. gwałt miał zdrowiu swemu czynić, jedno żebyś w. m. starał się o jego poratowanie, tem goręcej, że go w tak trudnych czasach ojczyzna potrzebuje.

Wojciech Serebryski kanonik krakowski do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Starostwo nowotargkie otworzyło się, o którym lubo wiedzą że je król dał w. m., wielu jednak widząc odmiany w panu posłali starać się o nie. Król dał słowo i nie wątpię że go nie odmieni, że nikomu nie da wakancii, jedno takiemu, któryby był obecny w Moskwie albo poczet posłał. Starostwo tamto wszystko na czynszach, które wynoszą 8,000 zł, ale że wsi osiadłe wielkie, z karczem byłby wielki pożytek, i już browary zasadził nieboszczyk Komorowski, ale z temi browarami zapaśćby przyszło, ażyby się odprawila lustracja. 19 października 1633.

Władysław IV do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Władysław IV z obozu za Smoleńskiem na Bohdanowej okolicy, 23 grudnia 1633 dziękuje Tomaszowi Zam. że jego ludzie skoro posłyszeli o niebezpieczeństwie, stawili się do obozu i wraz z drugimi mężnie czynili przeciw nieprzyjacielowi, jak o tem dał sprawę kasztelan krakowski (I).

Władysław IV do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Pod niebytność uprzejmości waszej w ojczyźnie, za nastąpieniem wojsk pogańskich na państwa rzptej, gromada ludzi żołnierskich uprzejmości waszej stanęła przy wojsku kwarcianem, czém oświadczyłeś uprz. w. miłość swoją ku ojczyźnie, za co tak od nas, jak od rzptej odnosić będziesz wdzięczność i nagrodę. Gdy rzptej grozi nowe niebezpieczeństwo od wojsk pogańskich,² które Abazy basza pędzi w nasze granice, pilnie żądamy uprz. w. żebyś ludzie swoje połączył z wojskiem rzptej pod sprawą j. w. kasztelana krak., dla dania wstretu nieprzyjacielowi. Z obozu na Bohdanowej okolicy, 7 marca 1634.

Władysław IV do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Władysław IV dziękuje Zamojskiemu za summę posłaną na okręty: chciałeś w. m. wygodzić potrzebie naszej, z kąd sta-

(1) Stanisław Koniecpolski.

teczną życzliwość w. m. ku nam uznawamy. Z Grudziąza 3 sierpnia 1635.

Stanisław Pstrokoński sekretarz królewski do Tomasza Zamojskiego

(Treść listu).

Pieniądze przysłane przez p. Kołuckiego Stefana, nielicząc, tak jakom wziął zapieczętowane, oddałem dziś królowi j. m. czytałem i list w. m. królowi; za wczesne i bardzo potrzebne subsidium pieniężne podziękować kazał, rozumiem, że i sam osobnym listem dziękuje w. m. Wczora przyjechaliśmy do Grudziądza. Ichm. pan krakowski i wojewoda ruski wyjeżdżali przeciwko królowi z piękną kawalerią. Jutro ma być tajemna rada strony ostatniej rezolucie, jaka ma być dana komissarzom szwedzkim. Wszystkie rady do pokoju zmierzały, ale i król j. m. dosyć z siebie czynił i czyni; już samą się kontentuje Prusią, z strony Liwonięj na 20 lat przymierza pozwala. Tuszą, że na tem stanie, lubo jeszcze dziesięciu lat koniecznie napierają się Szwedowie. Gdy obaczą króla statecznie przy swem trwającego, nadzieja w Bogu, że na potrzebny i pożądany pokój pozwolą. Z Grudziąza 3 sierpnia 1635.

Stanisław Pstrokoński sekretarz królewski do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Proszę i uprzejmie życzę, abyś w. m. na kilka dni przed sejmem do Warszawy stawić się raczył, o czém i wczora znnowu król j. m. ze mną mówił, i pewien jest że w. m. będziesz mu chciał w tém wygodzić. Z obozu 14 września 1635.

Stanisław Pstrokoński sekretarz królewski do Tomasza Zamojskiego.

(Treść listu).

Przed kilką dni pytał mię król j. m. o rezolucją w. m. m. m. pana z strony województwa krakowskiego, a gdym na to nie miał odpowiedzieć kazał mi pisać i umyślnie wyprawić do w. m. Dozszło także do mojej wiadomości od wielu zacnych osób, a mianowicie od j. m. księdza podkanclerzego, że książę j. m. pan kanclerz lit. (1), zamysła w. m. prosić o pannę Gryzeldę. Z Warszawy 17 września 1637.

(1) Albrycht Stanisław Radziwill.

*Komput przyjaciół domowych, sług i czeladzi pobocznej
jaśnie wielmożnego j. m. pana wojewody kijowskiego.*

(Z oryginału udzielonego mi przez K. W. Wójcickiego).

J. m. pan starosta radomski	J. m. pan Kowalkowski
J. m. pan podczaszy bełski	J. m. pan sędzia ziemski lubelski
J. m. pan podstoli bełski	J. m. pan chorąży bractawski
J. m. pan wojski buski	J. m. pan chorąży lubelski
J. m. pan Zemislawski	J. m. pan Garczyński
J. m. pan Żorkowski	J. m. pan Cetner
J. m. pan Pruszkowski	J. m. pan Zajęczkowski
J. m. pan Rzeszotarski	J. m. pan Prokop Szorneł
J. m. pan Czychrowski	J. m. pan Żegota
J. m. pan Morochowski	J. m. pan Serebryski
J. m. pan Rabaszewski	J. m. pan Romiszowski

P. Wacławowicz
P. Rokszycki
P. Borkowski
P. Malczewski
P. Dołżek

Pan Jarocki
Pan Łysakowski
P. Wolski
P. Białokurówic
Bobicki.

P. P. pachołeta

P. Brześciański	P. Chrzastowski
P. Czernicki	P. Białobocki
P. Podniesiński	P. Janicki
P. Kazanowicz	P. Wojciechowski
P. Kozmiński	P. Rączkowski
P. Borzymowski	P. Zieliński
P. Słomiński	P. Pruszyński
P. Stawski	P. Komorowski
P. Marchocki	Piwko
	Nagorka

Cudzoziemcy.

P. San Simor	Lapio
Baran	Michel
Dzam	Santamor
P. Montani.	Fortuna.
Pikart	

